

**TANYA HUFF**

LINIE

KRWI

# ROZDZIAŁ 1

*Od jakiegoś czasu był niemal świadomy. Nicość rozpadła się na kawałki, kiedy zabrali go z komnaty od dawien dawna ukrytej za pustą od wieków kryptą zapomnianego kapłana. Ostatnia warstwa zaklęcia zamykającego została zapisana na kamieniu, który roztrzaskali, żeby się dostać do miejsca jego spoczynku, a kiedy kamień przestał istnieć, zaklęcie też zaczęło znikać.*

*Z każdą chwilą coraz bardziej się rozplątało. Otaczające go ka, więcej dusz, niż było blisko niego przez tysiąclecia, wzywało go, by się posilił. Powoli sięgnął do swojej pamięci.*

*I kiedy ledwie otarł się o siebie i sięgnął w głąb, by tylko chwycić i zabrać klucz do swojej wolności, krzątanina wokół niego ustała i życia odeszły. Ale nicość nie objęła go ponownie.*

*I to było najgorsze.*



Szesnasta dynastia. Doktor Rax delikatnie powiódł palcami po powierzchni gładkiego, nierzeźbionego prostopadłościanu z czarnego bazaltu. Dziwne, reszta kolekcji była z osiemnastej. W każdym razie teraz już rozumiał, czemu Anglicy tak łatwo zrezygnowali z artefaktu - chociaż był naprawdę wspaniałym przykładem swojego rodzaju, nie było szans na to, żeby sięgnął na wystawę nowych odwiedzających, ani na to, żeby mocno rozjaśnił tajemnice przeszłości.

Poza tym dzięki temu, iż targana żądzą posiadania angielska arystokracja miała więcej pieniędzy niż rozumu, w Wielkiej Brytanii znalazło się już egipskich zabytków aż zanadto. Doktor Rax bardzo uważał, żeby tych

przemysleń nie dało się odczytać z jego twarzy, bo przedstawiciel wspomnianej arystokracji, a w każdym razie jednego z jej młodszych pokoleń, zaglądał mu właśnie przez ramię.

Zbyt dobrze wychowany, by zadać pytanie, czternasty baron Montclair pochylił się do przodu, chowając dłonie w kieszeniach swetra z naszywką herbową.

Doktor Rax, niepewny, czy młodzieniec jest zaniepokojony czy tylko nie może sobie znaleźć zajęcia, postarał się go zignorować. „A ja myślałem, że to tacy jak Monthy Python wynaleźli arystokratycznych głupków”, przemknęło mu przez głowę, kiedy kontynuował oględziny, „Ależ ze mnie dureń!”

W przeciwieństwie do większości sarkofagów ten, który doktor Rax właśnie badał, nie miał pokrywy; lecz nasuwany od węższej strony kamienny panel. Mężczyzna przelotnie zastanowił się, czemu już ten fakt nie sprawił, że znaleziskiem zainteresowały się angielskie muzea. O ile było mu wiadomo, zachował się jeszcze tylko jeden sarkofag z konstrukcją tego rodzaju, alabastrowe cudeńko odnalezione przez Za-karię Goneima w niedokończonej piramidzie schodkowej Sechemcheta.

Stojący za jego plecami czternasty baron Montclair odchrząknął.

Doktor Rax nadal go ignorował.

Chociaż sarkofag jeden róg miał nadkruszony, był w bardzo dobrym stanie.

Spędził niemal sto lat upchnięty w jednej z piwnic posiadłości rodowej Montclairów, zapomniany przez wszystkich i wszystko, łącznie z czasem.

Ale nie łącznie z pajakami. Doktor Rax stał z sarkofagu zakurzoną zasłonę pajęczyn, zmarszczył brwi i palcami, które chciały zacząć drżeć, wyciągnął z kieszeni marynarki małą latarkę.

- Czyżby coś było nie tak? - Młody baron był odrobinę nerwowy i miał ku temu powód. Za niecały miesiąc bowiem miała do niego przyjechać bardzo ekskluzywna firma specjalizująca się w przebudowach i nowych aranżacjach wnętrz, której zadaniem było zmienić siedzibę jego przodków w nader ekskluzywny klub sportowy, a ta cholerna kamienna skrzynia stała dokładnie w miejscu, gdzie planował umieścić żeńską saunę.

Serce tak waliło doktorowi Raxowi, że niemal zagłuszyło pytanie. Naukowiec zdołał mruknąć: „Nie, nic”. Ukłąkł i ostrożnie przejechał wąskim promieniem światła wzdłuż dolnej krawędzi nasuwanej pokrywy. Na samym środku spoiwa, piętnaście centymetrów nad podstawą sarkofagu, był gliniany owal, niemal nienaruszona gliniana pieczęć z - na ile doktor Rax mógł dostrzec przez kurz i pajęczyny - kartuszem Thota, starożytnego egipskiego boga mądrości.

Na jedną chwilę zapomniał o tym, że powinien oddychać. Nienaruszone spoiwo oznaczało jedno: sarkofag nie był pusty, jak wszyscy przypuszczali. Przez kilka długich chwil, odmierzanych przez bicie jego serca, spoglądał na spoiwo i walczył ze swoim sumieniem. Anglicy już powiedzieli, że nie chcą znaleziska. Nie miał obowiązku informować ich z czego rezygnują. Z drugiej

strony... Westchnął,

- Muszę zadzwonić - powiedział nerwowo do zagląającego mu przez ramię barona. - Czy mógłby mi pan wskazać, gdzie jest telefon?



- Doktorze Rax, co za miła niespodzianka! Wciąż jest pan w Haversted Hall przy tym cholernie wielkim pudle z czarnego kamienia jego lordowskiej mo-  
- Owszem, tak się składa. I dlatego właśnie dzwonię. - Wziął głęboki oddech. Lepiej załatwić to szybko, będzie mniej bolało, jeśli straci znalezisko. -

Doktorze Davis, czy któryś z pana ludzi widział ten sarkofag?

- A co? - prychnął angielski egiptolog. - Potrzebuje pan pomocy przy identyfikacji?

Doktor Rax w jednej chwili przypomniał sobie, czemu go nie znosi i jak bardzo.

- Dziękuję, myślę, że sam sobie poradzę. Byłem tylko ciekaw, czy ktoś z pana ludzi go widział.

- Nie było potrzeby. Widzieliśmy resztę tego baracha, które Montclair wygrzebał ze wszystkich kątów posiadłości. Skoro tyle bogactwa nawiwożono kiedyś z Egiptu, można by myśleć, że przodek jego lordowskiej mości też przywłókł ze sobą coś cennego, choćby przypadkiem, a tu co?...

Etyka zawodowa walczyła w Raksie z żądza. Etyka wygrała.

- A jeśli chodzi o sarkofag...

- Doktorze... - Po drugiej stronie linii doktor Davis westchnął głęboko. - Dla pana ten sarkofag to pewnie gratka, ale proszę mi wierzyć, my już mamy takich wystarczająco dużo. Magazyny pękają w szwach, tyle w nich ważnych przedmiotów o ogromnym znaczeniu historycznym. - „A wasze nie pękają w szwach”, brzmiała niezbyt subtelnie za-woalowana wiadomość. - Być może nigdy nie zdołamy ich wszystkich zbadać. Myślę, że stać nas na to, by jeden goły kawał bazaltu przekazać do kolonii.

- Mogę więc posłać po moich ludzi i zacząć go pakować? - zagadnął cicho doktor Rax. Ton jego głosu kontrastował z dłonią zaciśniętą na kablu od telefonu tak mocno, aż pobiełały kostki.

- Jeśli nie chce pan skorzystać z pomocy moich ludzi...

„Nie, nawet gdybym miał na kolanach wieźć sarkofag do domu...!”

- Nie, dziękuję. Na pewno macie dużo ważnych historycznych rzeczy do zrobienia.

- Skoro tak, niech pan robi, co chce. Wypełnię papiery i wyślę je panu do

posiadłości. Wywiezie pan sarkofag do siebie bez problemów, jakby to była gipsowa figurka Big Bena. - Która, o czym jasno świadczył ton głosu doktora Davisa, jest mniej więcej tyle samo warta co ten sarkofag.

- Dziękuję, doktorze Davis. - „Ty nadęty, egoistyczny dupku”, dodał w myślach doktor Rax, odkładając słuchawkę. „No cóż”, uspokoił dręczące go sumienie, „nikt nie może powiedzieć, że nie próbowałem”.

Poprawił marynarkę i z uspokajającym uśmiechem odwrócił się do wiszącego mu niemal na karku barona.

- Zdaje się, że mówił pan o pięćdziesięciu tysiącach funtów jako cenie wyjściowej?



- Hm... Doktorze Rax... - Karen 'Lahey wstała i otrzepała kurz z kolan. - Jest pan pewien, że Anglicy tego nie chcą?

- Jestem. - Rax dotknął dłonią piersi. Dokumenty, które miał w kieszeni marynarki, zaszeleściły kojąco. Doktor Davis dotrzymał słowa. Sarkofag mógł opuścić Anglię zaraz po spakowaniu i ubezpieczeniu.

Karen spojrzała na pieczęć. To, że byt na niej kartusz Thota, a nie jeden z symboli cmentarnych, już samo w sobie było niespotykane. A to, co ukrywało spoiwo, jeszcze bardziej.

- Wiedzieli o... - wskazała dłonią na gliniany owal.

- Zadzwoń do doktora Davisa, jak tylko go odkryłem. - To było niewątpliwie prawdą.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i spojrzała na drugiego preparatora. Miał taki sam wyraz twarzy jak ona. Coś tu nie grało. Nikt o zdrowych zmysłach nie wyrzekłby się zamkniętego sarkofagu i tajemnicy, jaką ukrywał.

- A doktor Davis powiedział, że...? - naciskała.

- Doktor Davis powiedział, cytuję: „Dla pana ten sarkofag to pewnie gratka, ale proszę mi wierzyć, my już mamy takich wystarczająco dużo. Magazyny pękają w szwach, tyle w nich ważnych przedmiotów o ogromnym znaczeniu historycznym. Być może nigdy nie zdołamy ich wszystkich zbadać”. - Doktor Rax uśmiechnął się, widząc wyraz niesmaku na twarzach swoich współpracowników. - A potem dodał: „Myślę, że stać nas na to, by jeden goły kawał bazaltu przekazać do kolonii”.

- Nie powiedział mu pan o pieczęci, prawda, doktorze?

Wzruszył ramionami.

- A ty byś mu powiedziała po czymś takim? Karen skrzywiła się jeszcze

bardziej.

- Temu protekcyjalnemu sukinsynowi, proszę mi wybaczyć wulgarność, nie podałabym nawet go-

dziny. Doktorze Rax, proszę nam to zostawić, a spakujemy sarkofag tak, że nawet pajęczyny dojadą nienaruszone.

Jej kolega skinał głową.

- Kolonie...! - prychnął. - Co on sobie wyobraża?

Doktor Rax, wychodząc z pomieszczenia, musiał powstrzymać się od podskakiwania. Kustoszowi zbiorów egipskich z Royal Ontario Museum nie wypadało podskakiwać. To nie było wystarczająco godne. Tyle że nikt nie zamyka, a potem nie pieczętuje pustej trumny.

- Tak! - W odosobnieniu pustej piwnicy na wyższym poziomie pozwolił sobie na zwycięskie wyrzucenie ramion w górę. - Mamy mumię!



*Ruch powrócił, a wspomnienia stały się wyrazistsze. Piasek i słońce. Żar. Światło. Ciemności nie musiał przywoływać w pamięci - ona towarzyszyła mu już zbyt długo.*



Z racji wagi sarkofagu podróż samolotem była wykluczona. Miłą opcją byłaby przyjemna podróż na pokładzie pocziwego transatlantyku „Queen Elizabeth II”. Niestety, budżet muzeum na nabytki został drastycznie nadwerężony przez zakup sarkofagu oraz koszt zapakowania go i ubezpieczenia. Okazało się zatem, że najlepsze, na co muzeum stać, to duński frachtowiec płynący z Liverpoolu do Hali-faksu. Statek wypłynął z Anglii drugiego października i z pomocą Bożą i północnego Atlantyku miał dotrzeć do Kanady po dziesięciu dniach.

Doktor Rax odesłał pakowaczy do domu samolotem, a sam wyruszył w podróż wraz z artefaktem. Wiedział, że to głupie, ale nie chciał się od niego oddalać. Chociaż statek niekiedy przewoził pasażerów, warunki były spartańskie, a posiłki, choć pożywne, monotonne. Doktor Rax nie zwracał na

to uwagi. Ponieważ odmówiono mu wstępu do ładowni, gdzie mógłby czuwać nad sarkofagiem i mumią, którą z pewnością zawierał, starał się przebywać tak blisko niego, jak to było możliwe, nadrabiając przy okazji zaległą robotę papierkową. Nocami leżał na wąskiej koi i wyobrażał sobie chwilę otwarcia trumny.

Czasami zdejmował pieczęć i odsuwał tylny panel w obecności mediów; o znalezisku stulecia mówiono na każdym kanale telewizyjnym i pisano na pierwszej stronie wszystkich gazet świata. Będą umowy na książki, podróże z odczytami i lata badań, podczas których zajmował się będzie zawartością sarkofagu.

Czasem był tam tylko on i jego zespół, pracujący powoli i skrupulatnie.

Czysta nauka. Czyste odkrycie. I lata badań w perspektywie.

Wyobrażał sobie zawartość sarkofagu na wszelkie możliwe sposoby.

Niekiedy dokładnie i ze szczegółami, niekiedy w uproszczeniu. To nie będzie mumia królewska, raczej kapłan albo członek dworu,

więc może nie została namaszczona aromatycznymi olejkami, które częściowo zniszczyły mumię Tu-tenchamona.

Był tak świadomy obecności sarkofagu, że mógłby pójść do ładowni i pośród setek identycznych kontenerów wskazać właściwy. Jego umysł wypełniały tylko myśli o nim, wypierając wszystko inne - morze, statek, marynarzy.

Jeden z portugalskich członków załogi zaczął czynić znak odpędzający uroki, ilekroć doktor Rax był w pobliżu.

A doktor nocami „przed zaśnięciem” zaczął rozmawiać z sarkofagiem.

- Już niedługo - mówił mu. - Niedługo.



*Pamiętał twarz, chudą i zafrasowaną, pochylającą się nad nim i mruczącą coś nieustannie pod nosem. Parnie-  
tał dłoń, miękką skórę wilgotną od potu, która zamknę-  
ła mu oczy. Pamiętał przerażenie, jakie go ogarnęło, gdy poczuł materiał na swojej  
twarzy. Pamiętał ból, jaki*

*odczuwał, gdy owijano i umocowywano wokół niego  
pasma lnianej tkaniny, która trzymała zakłęcie.*

*Nie pamiętał siebie. Wyczuwał tylko jedno ka, oddalone tak bardzo, że*

*musiało sięgać ku niemu tak samo, jak on sięgał. - Już niedługo - mówiło mu. -*

*Niedługo.*

*Mógł poczekać.*



Powietrze wokół rampy prowadzącą do magazynów muzeum było aż ciężkie od tłumioną ekscytacji, która udzieliła się nawet kierowcy ciężarów-ki, człowiekowi wręcz przysłowiowo lakonicznemu. Wyciągnął klucze z kieszeni tak, jakby dobywał królika z kapelusza, i otworzył tylne drzwi ciężarówki teatralnym gestem, któremu brakowało tylko gromkiego; „Ta-dam!” Skrzynia ze sklejki, przymocowana podwójnymi pasami, nie różniła się niczym od innych skrzyń od lat zwożonych do Royal Ontario Museum, lecz cały Dział Egiptologii - z którego nikt nie miał żadnych spraw służbowych w magazynie przyjąć - przysunął się bliżej, a doktor Rax rozpromienił się jak Madonna nad żłóbkiem.

Zwykle preparatorzy nie rozładowywali ciężarówek. Tę jednak rozładowali. Chociaż doktor Rax najchętniej sam poniósłby skrzynię do pracowni, pozwolił im na to. Jego mumia zasługiwała na jak najlepsze traktowanie.

- Chwała bohaterowi powracającemu z tarczą. -Doktor Rachel Shane, wicekustosz, podeszła i stanęła obok niego. - Witaj z powrotem, Elias. Wyglądasz na trochę zmęczonego.

- Źle śpiam - przyznał doktor Rax, trąc zaczerwienione oczy.

- Wyrzuty sumienia?

Prychnął, wiedząc, że się z nim drażni.

- Dziwne sny o tym, jak zostaję związany i duszę się powoli.

- Może zostałeś opętany. - Ruchem brody wska-

- Może zarząd próbował się ze mną skontaktować. - Rozejrzał się wokoło, patrząc spode łba na resztę swojego personelu. - Nie macie do roboty nic lepszego, niż stać i gapić się, jak wyciągają z ciężarówki drewnianą skrzynię? Tylko nowy student podyplomówki wyglądał na zdenerwowanego, inni uśmiechali się wesoło i kręcili głowami.

Doktor Rax też się uśmiechał - nie umiał się powstrzymać. Był wyczerpany i naprawdę potrzebował czegoś porządniejszego niż kawa i fast foody, które zjadał na każdym postoju w drodze z Halifaksu do Toronto, ale jednocześnie nigdy nie czuł aż takiego podniecenia. Ten artefakt mógł umieścić Royal Ontario Museum, instytucję i tak już szanowaną, na mapie istotnych dla nauki miejsc i wszyscy w tym pomieszczeniu o tym wiedzieli.

- Choć chciałbym wierzyć, że całe to podekscytowanie jest spowodowane moim powrotem, dobrze wiem, że tak nie jest. - Nikt nawet nie zaprotestował. - Ale jak widzicie, nie ma czego oglądać, więc może wróćcie wszyscy do



pracowni, gdzie będziemy mogli skakać z radości we własnych pieleszach? Za jego plecami doktor Shane w milczeniu, choć z dużą dawką wycucia, gestem poparła jego słowa.

Wreszcie, po wielu tęsknych spojrzeniach rzuconych na skrzynię, pomieszczenie opustoszało.

- Przypuszczam, że już wszyscy w budynku wiedzą, co mamy? - zapytał Rax, gdy razem z Rachel Shane szli za skrzynią i preparatorami do windy towarowej.

Doktor Shane pokręciła głową.

- Zważywszy na to, jak szybko się w tym kurniku rozchodzą plotki, o dziwo nie. Wszyscy nasi ludzie trzymali gęby na kłódkę. - Zmarszczyła ciemne brwi.

- Na wszelki wypadek. - Na wypadek gdyby się okazało, że sarkofag jest pusty. Im mniej ludzie będą wiedzieli, tym mniej ucierpi nasza reputacja zawodowa. Dekady minęły od ostatniego odkrycia mumii.

Doktor Rax świadomie zignorował podtekst.

- Więc Van Thorne nie wie? - Dział Egiptologii nie miał nic przeciwko nowemu pięknemu skrzydłu Działu Dalekiego Wschodu, jednakże nikt nie przepadał za jego kustoszem i jego podejściem w stylu: „My-mamy-więcej-antyków niż wy”.

- Jeśli nawet - rzekła ze zrozumieniem doktor Shane - to nie dowiedział się od nas.

Równocześnie odwrócili się do konserwatorów, którzy pracowali nie tylko dla nich, ale dla całego muzeum.

Wspierając się jedną ręką o wierzch skrzyni, Ka-ren Lahey wyprostowała się.

- Od nas też nic nie usłyszał. Nie po tym, jak oskarżył nas o spowodowanie nieistniejącej rysy na porcelanowym Buddzie.

Jej kolega chrząknął potwierdzająco.

Winda towarowa zatrzymała się na piątym piętrze, drzwi rozsunęły się, ukazując rozpromienionego doktora Van Thorne'a.

- Wróciłeś już z zakupków, co, Elias? Wygrzebałeś coś ciekawego?

Doktor Rax zdołał wykrzywić twarz w niezbyt uprzejmym uśmiechu.

- To co zwykle, Alex.

Uskoczywszy z ręcznikiem z drogi skrzyni pchanej przez konserwatorów, Van Thorne poklepał ją w geście beztroskiego błogosławieństwa, gdy go mijają.

- Ach...! - powiedział. - Kolejne potłuczone garnki?

- Mniej więcej. - Uśmiech Raksa poszerzył się, odsłaniając zęby. Doktor Shane złapała go za ramię i pociągnęła dalej w korytarz.

- Właśnie dostaliśmy nowego Budde! - zawołał za nimi kustosz Działu Dalekiego Wschodu. - Drugi wiek przed Chrystusem. Piękne alabastrowo--jadeitowe maleństwo bez żadnych zadrapań. Musicie wpaść i obejrzeć.

- Jasne - zgodziła się doktor Shane, wciąż przytrzymując zwierchnika za ramię. Nie puściła go, póki nie dotarli niemal pod drzwi pracowni.

- Nowy Budda... - mruknął Rax, oswobodzając ramię i obserwując, jak

konserwatorzy wprowadzają skrzynię przez podwójne drzwi do pracowni. - Jakie on niby ma znaczenie historyczne? Ludzie wciąż czczą Buddę. Czekaj, czekaj, otworzymy sarkofag i zetrzemy mu ten oślizgły uśmiezek z twarzy. Gdy drzwi pracowni zamknęły się za nimi, ciężar odpowiedzialności za sarkofag spadł z jego barków. Wciąż było wiele do zrobienia, wiele mogło też pójść nie tak, jak powinno, ale przynajmniej podróż przebiegła bezpiecznie. Czuł się jak współczesny Anubis prowadzący martwych ku życiu wiecznemu w Zaświatach i zaczął się zastanawiać, jak starożytny bóg radził sobie z tak wyczerpującym obowiązkiem.

Oparł obie dłonie o skrzynię. Mimo warstw drewna, opakowania, kamienia i wszystkiego, co mogła jeszcze zawierać kamienna trumna, był świadomy obecności ciała, które w niej złożono.

-Jesteśmy - powiedział mu miękko. - Witaj w domu.



*Do ka, które dotąd wyczuwał, dołączyły inne. Czuł ich obecność poza swoim więzieniem, czuł ich wołanie, istotę, a ich bliskość i niedostępność doprowadzały go do szału. Gdyby tylko mógł sobie przypomnieć...*

*Wtem nagle otaczające go ka zaczęły znikać. Bliski paniki sięgnął ku temu, które znał, i poczuł, jak ono oddala się od niego. Trzymał się go, jak długo zdołał, potem trzymał się tego, co jeszcze wyczuwał, a potem już tylko wspomnienia.*

*Nie chcę być sam. Proszę, nie chcę być znowu sam...!*

*Kiedy wreszcie wróciło, rozplakałby się ze szczęścia, gdyby tylko pamiętał, jak to się robi.*



Doktor Rax, odświeżony prysznicem i wypoczęty dzięki przespanej nocy, podczas której nie nawiedzało go nic poza niejasnym poczuciem straty, spojrział na sarkofag. Obmierzono go, opisano, nadano mu numer 991.862.1 - i

teraz był już oficjalnie własnością Royal Ontario Museum. Nadszedł czas.

- Kamera gotowa? - zapytał, wciągając nowe bawełniane rękawiczki.

- Gotowa. - Doris Bercharich, która wykonywała w dziale większość dokumentacji fotograficznej, zezwała przez wizjer.

Zużyła już dwa filmy czarno-białe i jeden kolorowy, jej aparat wisiał teraz na szyi bardziej kompetentnego z dwóch studentów. Miał dalej robić zdjęcia, podczas gdy ona zajmie się filmowaniem. Jeśli ma tu coś do powiedzenia - a niewątpliwie miała - to udokumentuje odkrycie tej mumii naprawdę dobrze.

- Doktor Shane gotowa?

- Gotowa, doktorze Rax. - Poprawiła mankiety rękawiczek, a potem podniosła sterylną bawełnianą podkładkę, na którą miała złapać zdjętą pieczęć. -Może pan zaczynać w każdej chwili.

Skinął głową, wziął głęboki oddech i ukląkł. Kiedy podkładka znalazła się na właściwym miejscu, wsunął za pieczęć elastyczne ostrze łopatkki i ostrożnie zaczął się przebijać przez wiekową glinę. Chociaż jego dłonie poruszały się pewnie, żołądek podchodził mu do gardła, wyżej i wyżej z każdą mijającą sekundą, w miarę jak rósł jego strach, że mimo takich środków ostrożności pieczęć da się usunąć tylko wtedy, gdy ją pokruszy, zmieniając w garstkę czerwonej gliny. Podczas pracy cichym głosem mówił, co wyczuwa za pośrednictwem łopatkki.

Wtem na zewnętrznej powierzchni pieczęci pojawiło się pęknięcie grubości włosa.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem w całym pomieszczeniu był szum kamery. Sekundę później pieczęć, pęknięta równo na pół, ale utrzymywana w całości przez konserwant, leżała na podkładce.

Cały Dział Egiptologii jednocześnie przypomniał sobie, jak się oddycha.



*Usłyszał, jak. pieczęć pęka, jak jej pęknięcie odbija się echem przez stulecia.*

*Przypomniał sobie, kim był. Czym był. Co mu zrobili.*

*Przypomniał sobie gniew.*

*Sięgnął do tego gniewa, by czerpać z niego siły. i spróbował wyrwać się z więzów.*

*Zbyt wielka część, zaklęcia pozostała. Był świadomy, lecz nadal spętany. Jego ka wyło w cichej desperacji.*

*Będę wolny!*

*- Niedługo - padła cicha odpowiedź. - Niedługo.*



Resztę dnia zajęło im usuwanie zaprawy. Mimo narastających zaległości w robocie papierkowej doktor Rax został w pracowni.

- Cokolwiek tam zamknęli, nie chcieli, żeby było łatwo się do tego dostać. - Rachel Shane wyprostowała się, rozmasowując sobie kręgosłup. - Jesteś pewien, że jego lordowska mość nie wiedział, skąd jego przodek to przywiózł?

Rax przesunął palcem po miejscu łączenia płyt

- Nie miał pojęcia.

Spodziewał się, że kiedy wreszcie weźmie się do roboty, będzie zadowolony, ale okazało się, że brakuje mu cierpliwości. Wszystko posuwało się zbyt wolno do przodu, a przecież doskonale wiedział, że tego akurat wcale nie powinien postrzegać jako problemu. Potarł powieki, chcąc odegnać sprzed oczu niepokojącą wizję, jak to rzuca się na pokrywę i odsuwa ją.

Doktor Shane westchnęła i wróciła do zaprawy. - Co ja bym dała za jakąś informację o kontekście i okolicznościach!

- Dowiemy się wszystkiego, jak otworzymy sar-kofag.

Spojrzała na niego, unosząc brwi tak wysoko, aż zniknęły pod kosmykami ciemnych włosów

- Wydajasz się tego bardzo pewny. - Bo jestem.

Owszem, był pewny. W stu procentach. Trwało w nim niewzruszone przekonanie, że gdy otworzą sarkofag, dowiedzą się tego, co powinni wiedzieć, choć nie miał pojęcia, skąd się w nim wzięło to przekonanie. Wytarł nagle wilgotne od potu dłonie o spodnie. Nie miał pojęcia...

Kiedy wreszcie skończyli usuwać zaprawę, było już za późno, żeby tego dnia - a raczej tej nocy - coś jeszcze zrobić. Rano zobaczą, co zawiera kamienne pudło.



Tej nocy Elias Rax śnił o stworzeniu przypominającym gryfa z ciałem antylopy i ptasią głową. Spoglądało na niego z góry straszliwie jasnymi oczami i śmiało się. Obudził się o świcie, ledwie wypoczęty, i był w muzeum kilka godzin przed pozostałymi pracownikami. Starał się unikać pracowni i wykorzystać czas na uporanie się z papierami, w których tonęło jego biurko, ale zanim się zorientował, co robi, już wkładał klucz do zamka i otwierał drzwi.

- Prawie to zrobiłem - powiedział, gdy jakiś czas później do pracowni weszła doktor Shane. Siedział na pomarańczowym plastikowym krześle i zaciskał dłonie tak mocno, aż mu pobieleły kostki.

Nie musiała pytać, co ma na myśli.

- Dobrze, że jesteś rasowym naukowcem i nie ulegasz impulsom - powiedziała lekkim tonem, myśląc jednocześnie, że jej zwierzchnik wygląda, jakby go ktoś przeżuł i wypluł, - Jak tylko reszta przyjdzie, skończymy z tym.

- Skończymy - powtórzył.

Rachel zmarszczyła brwi, a potem pokręciła głową, uznawszy, że lepiej się nie odzywać. Co niby mogła powiedzieć? Że przez chwilę kustosz Dzia-łu Egiptologii wyglądał zupełnie obco i tak samo mówił? Może nie tylko nie spał dziś wystarczająco długo.



Pięć godzin i siedem rolek filmu później wewnętrzna trumna leżała na drewnianym stojaku, po raz pierwszy od tysiącleci uwolniona z sarkofagu.

- To najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam - powiedziała doktor Shane, spoglądając na malowane drewno.

Trumna była antropomorficzna, lecz tylko przy-bliżeniu. Nie było na niej wymalowanych ani wyrzeźbionych rysów twarzy ani symboli Anubisa czy Ozyrysa, czego można by się spodziewać. Za to wokół całej trumny owijał się ogromny wąż, a jego łeb, ozdobiony kartuszem Thota, spoczywał na poziomie klatki piersiowej mumii. Na wezglowiu był przedstawiony Setu, pomniejszy bóg, który stał na straży dziesiątej godziny w Tuat, Zaświatach, i swoim oszczepem pomagał Ra pokonywać wrogów. Na drugim końcu był wizerunek Szemertiego, boga bardzo podobnego do poprzedniego, tyle że używał łuku. Małe węże, zwinięte, choć czujne, zapełniały powierzchnię, której nie zajmował ich olbrzymi pobratymiec.

W egipskiej mitologii węże były strażnikami świata umarłych.

Jeśli spojrzeć na to jak na dzieło sztuki, było piękne - kolory tak żywe i mocne, jakby pracę skończono trzy godziny, a nie trzy milenia temu. Ale jeśli uznać artefakt za okno pozwalające spojrzeć na historię, to szkło w nim było co najmniej zmętniałe.

- Gdybym odważyła się zgadywać - rzekła w zamyśleniu doktor Shane - powiedziałabym, patrząc na kartusze i styl, że to osiemnasta dynastia, nie szesnasta. Mimo sarkofagu.

Elias Rax musiał się z nią zgodzić, choć nie był w stanie myśleć na tyle jasno, by samemu sformułować jakikolwiek sąd.

Resztę dnia zajęło im obfotografowanie obiektu i usunięcie zaprawy z cedrowej żywicy, która trzymała wieko na miejscu.

- Nie mam pojęcia, dlaczego to nie wyszło i nie zmieniło się w miły, łatwy do usunięcia proszek. - Rachel potrząsnęła jedną zdrętwiałą nogą, a potem drugą. Już drugi dzień spędzała głównie na kolanach i choć to podstawowa pozycja archeologa, ona jakoś nigdy nie wierzyła w sens okulawienia się w imię nauki - Tak to wygląda - dodała, mówiąc powoli i wyciągając rękę tuż nad jednym z małych węży - jakby trumna została zamknięta na zawsze.

Jeden ze studentów zaśmiał się. Jego cienki, wysoki chichot szybko zamilkł.

- Otwórz - polecił doktor Rax. W ustach mu nagle całkiem zaschło.

W ciszy, jaka teraz zapadła, szum kamery wydawał się straszliwie głośny.

Elias był zupełnie nieświadomy zszokowanych spojrzeń, jakie jego współpracownicy rzucali na niego i na siebie nawzajem. Rozłożył ramiona i zdołał się uśmiechnąć.

- Czy ktokolwiek z nas dziś zaśnie, jeśli tego nie zrobimy?

„A czy ktokolwiek z nas dziś zaśnie, jeśli to zrobimy?” - przemknęło przez głowę Rachel Shane. Zastanowiła się, skąd jej się wzięła ta myśl.

- Jest już późno. Ciężko pracowaliśmy, a teraz mamy przed sobą cały weekend. Weźmy się do tego w poniedziałek, jak wypoczniemy.

- Podniesiemy tylko pokrywę. - Rax mówił tonem, którego używał, gdy wydobywał od dyrekcji fundusze: tonem mającym oczarować. Doktor Shane nie podobało się, że używa go w stosunku do niej. -

Myślę, że po takiej ciężkiej pracy zasługujemy na to, żeby zajrzeć do środka.

- A prześwietlenie?

- Później... - mówiąc, naciągał parę czystych rękawiczek, próbując ukryć drżenie rąk. - Ponieważ wygląda na to, że usunięto uchwyty służące do opuszczenia pokrywy, ja podniosę od strony głowy. Ray - wskazał na najwyższego z badaczy - ty od strony stóp.

Pozostali mogli się jeszcze pohamować, lecz skoro posunęli się tak daleko, teraz wszyscy już chcieli zobaczyć, co kryje trumna. Ponieważ wicekustosz nie zgłaszała więcej zastrzeżeń, Ray wzruszył ramionami, włożył rękawiczki i zajął wskazane miejsce.

- Na trzy. Raz, dwa, trzy!

Pokrywa dała się łatwo podnieść, choć była cięższa, niż na to wyglądała.

- Aaach...! - z pół tuzina gardeł wydobyło się mimowolne westchnienie. Doktor Rax ostrożnie odłożył pokrywę na stojak i czując, jak serce boleśnie obija mu się o żebra, odwrócił się, żeby zobaczyć, co odsłonił. Mumia była ciasno owinięta starożytnym płótnem, a zapach cedru aż dusił - wewnątrz trumny wyłożono pachnącym drewnem. Ktoś kichnął, ale reszta nie zwróciła na to uwagi. Długi pas materiału, cały pokryty czerwonymi hieroglifami, owijał ciało dokładnie tak, jak namalowany wąż trumnę. Mumia nie miała maski pośmiertnej, lecz rysy twarzy dawało się dojrzeć przez płótno.

Suche powietrze Egiptu było łaskawe dla zmarłych, wyciągając z tkanek całą wilgoć i w ten sposób zachowując ich na wieczność. Balsamowanie było tylko pierwszym krokiem, i to, jak wykazały wykopaliska datowane przed faraonami, nawet nie najważniejszym. Twarz pod bandażami można było opisać tylko jako wysuszoną, choć kiedyś być może zasługiwała na większe komplementy: kości policzkowe były wysokie i mocno zarysowane, podbródek nosił rys stanowczości, a z całości emanowało wrażenie siły.

Elias Rax wypuścił powietrze. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że wstrzymywał oddech. Widać było, że opuściło go napięcie.

- Spodziewałeś się Beli Lugosiego? - zapytała sucho Rachel Shane tak, by tylko on słyszał. W odpowiedzi spojrzał na nią na poły przerażony, na poły wyczerpany i niemal natychmiast pozałowała swoich słów. - Możemy już iść do domu? - zapytała celowo lekkim tonem. - Czy chcesz jeszcze tego wieczoru wykonać wszystkie badania z najbliższych dwóch lat?

Chciał. Bardzo chciał. Zobaczył własną rękę sięgającą do pasma z hieroglifami. Cofnął ją.

- Zabezpieczcie wszystko - powiedział, prostując się. Starał się, by po głosie nie poznali, że ma trudności z wypowiedzaniem słów. - Zajmiemy się tym w poniedziałek.

Odwrócił się i nim zdążył zmienić zdanie, wyszedł z pracowni.



*Gdyby to było możliwe, zaśmiałyby się głośno, nie mogąc powstrzymać wypełniającej go radości Jego ciało mogło być jeszcze spętane, ale wraz z otwarciem więzienia jego ka stało się wolne.*

*Wolne... Wyzwolone... Nienajedzone...*

## ROZDZIAŁ 2

Ja jestem Ozymandia, król królów. Mocarze! Pa-trzcie na moje dzieła i przed moją chwałą gińcie z rozpaczy!

Detektyw sierżant Michael Celluci spojrział krzywo na swoją towarzyszkę.

- Co ty tam bełkoczesz?

- Bełkoczę? Wcale nie bełkoczę. Rozmyślałam tylko nad ogromem pomników, które ludzie budują

sobie nawzajem. - Vicki Nelson poprawiła okulary i pochyliła się, z wyprostowanymi nogami, dotykając obiema dłońmi betonu pod stopami. Celluci prychnął, widząc to pysznienie się własną sprawnością - mające w oczywisty sposób mu przypomnieć o jego własnych ograniczeniach - i odchyliwszy głowę w tył, spojrział w górę na CN Tower. Z miejsca gdzie stali, u jej podstawy, wieża wydawała się jednocześnie nieskończona i skurczona. Antena radiowa, częściowo ukryta za kępą restauracji na tarasie widokowym, dodawała jej wysokości.

- Krowy rozmyślają, żując trawę - burknął. -A podejrzewam, że chodziło ci raczej o ludzi w kontekście rasy, a nie genetyki.

Vicki wzruszyła ramionami, co ze względu na skłon ledwie dało się zauważyć.

- Może. - Wyprostowała się i uśmiechnęła. - Ale nie bez powodu nazywają ten budynek najwyższym wolno stojącym symbolem fallicznym.

- Możesz sobie pomarzyć. - Westchnął, gdy złapała dłoń za lewą kostkę i uniosła nogę w górę pod kątem większym niż czterdzieści pięć stopni. -I przestań się popisywać. Gotowa wspiąć się na sam szczyt?

- Czekam, aż skończysz rozgrzewkę. Celluci uśmiechnął się.

- Przygotuj się na zlizywanie kurzu z moich podeszew.

Wiele organizacji charytatywnych wykorzystywało tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt stopni CN Tower jako środek do zbierania pieniędzy. Biegacze za każdy pokonany stopień dostawali określoną sumę wpłacaną na konto organizacji przez przyjaciół i sponsorów. Aktualną wspinaczkę sponsorował He-art Fund. W punkcie startowym Vicki i Celluciemu zmierzono puls.

- Trasa biegu nie będzie zatłoczona - powiedział wolontariusz, zapisując na kartce tętno Vic-ki. - W tej grupie macie miejsca szóste i siódme, a pozostali to



prawdziwi biegacze.

- A skąd wniosek, że my takimi nie jesteśmy? -zapytał agresywnym tonem Celluci. Po swoich ostatnich urodzinach uświadomił sobie, że do czterdziestki już ma z górki i zrobił się wrażliwy na tym punkcie.

- No... - Młody chłopak przełknął nerwowo ślinę. Niewielu ludzi umiało zadawać pytania tak wojowniczo jak policjanci. - Oboje macie na sobie bluzy i zwykłe buty do biegania. Ci z numerami od jeden do pięć brali na poważnie całą tę aerodynamikę.

Vicki zachichotała. Wiedziała doskonale, co skłoniło Celluciego do zadania tego pytania. Spojrzał na nią spode łba, ale uświadomiwszy sobie, że jakikolwiek komentarz tylko by go pograżył, nic nie powiedział. Odznaczono ich czas i ruszyli na schody.

Wolontariusz jednocześnie mylił się i miał rację. Żadnego z nich nie obchodziło ściganie się z innymi wspinaczami czy pokonywanie samej wieży. Liczył

się wyłącznie wyścig ze sobą nawzajem. Od pierwszego dnia ich znajomość opierała się na współzawodnictwie - dwójka młodych funkcjonariuszy pewnych, że jakiegokolwiek byłoby pytanie, oni na nie odpowiedzą. Michael Celluci, ze stażem dłuższym o cztery lata, z przyspieszonym awansem i pochwałą na koncie, miał powody, by w to wierzyć. Vicki Nelson, prosto z akademii, po prostu wierzyła. Cztery lata później Vicki dorobiła się w policji przydomka „Wiktorii”, okazało się, że oboje mają ze sobą wiele wspólnego, a współzawodnictwo tak im weszło w krew, że nawet przełożeni wykorzystywali je dla dobra policji. Kolejne cztery lata później, kiedy pogarszający się wzrok Vicki zmusił ją do wyboru między pracą za biurkiem a odejściem ze służby, układ

się załamał. Nie mogła zostać i być kimś mniej ważnym niż do tej pory, więc odeszła. Michael zaś nie mógł tak po prostu pozwolić jej odejść. Powiedzieli sobie wówczas pewne rzeczy i potrzeba było miesięcy, by zagoiły się rany, które sobie zadali, a potem kolejnych, kiedy to duma nie pozwalała żadnemu z nich na wykonanie pierwszego ruchu. W końcu zagrożenie dla miasta, któremu oboje przysięgali służyć, połączyło ich na nowo i na ruinach starego związku powstał nowy.

- Blokowanie mnie to oszustwo, ty długoręki dupku!

Okazywało się, że Michael niewiele się zmienił.

Żółte metalowe stopnie po jednej stronie wieży nie były szersze niż metr - akurat w sam raz, żeby wysoki człowiek mógł obiema rękami trzymać się poręczy i ulżyć mięśniom dolnej części ciała. I zupełnie przypadkowo uniemożliwić biegaczom z tyłu wyprzedzenie.

Po sześciu pętrach Vicki przyspieszyła i przeslizgnęła się między Callucim a wewnętrzną balustradą. Łopatkami przejechała po wilgotnym betonie.

Przyspieszyła, pokonując dwa schody z każdym krokiem, czując, jak Celluci

depcze jej po piętach. Przy jej metrze siedemdziesiąt łatwo było biec po dwa stopnie naraz. Niestety, Celluciemu z jego metrem dziewięćdziesiąt było jeszcze łatwiej.

Żadne nie zatrzymało się przy pierwszym punkcie z wodą.

Jeszcze dwa razy zmieniało się prowadzenie, a odgłos gumowych podeszew uderzających o me-

talowe schody wibrował w zamkniętej przestrzeni niczym odległy grom. Z biegiem dnia pleksiglasowa osłona schodów pokryje się parą powstałą z oddechów setek par płuc, ale teraz, wcześniej rano, panorama Toronto rozpościerała się tak wyraźnie, że aż w głowie się kręciło.

Ten jeden raz ciesząc się, że nie ma prawie wcale widzenia bocznego i nie jest w stanie określić, jak daleko są od ziemi, Vicki minęła drugi punkt z wodą.

Jeszcze jakies sto metrów. Jej łydki zaczynały protestować, płuca palić żywym ogniem, lecz była gotowa raczej paść na miejscu, niż zwolnić i dać Celluciemu szansę, aby ją wyprzedził.

Schody nie były już żółte, tylko szare, chociaż poprzedni kolor było widać w miejscach, gdzie nie-

zliczone stopy stany druga warstwę farby. Byli na schodach awaryjnych na poziomie restauracji.

Już prawie... Celluci był tak blisko, że czuła jego oddech na plecach. Ostatnie półpiętro pokonał sekundę po niej. Dwa stopnie, jeden do otwartych drzwi.

Na równym podłożu długie nogi pozwoliły mu się z nią zrównać. Vicki rozpaczliwie chwyciła framugę i wpadła do wyłożonego wykładziną holu.

- Dziewięć minut, pięćdziesiąt cztery sekundy. Dziewięć minut, pięćdziesiąt pięć sekund.

„Jak tylko odzyskam oddech, wytknę mu to”. Na razie Vicki oparła się plecami o ścianę, dysząc ciężko. Serce biło jej tak mocno, że wibracje przecho- dziły przez całe ciało, a pot zbierał się na brodzie i kapał na ziemię.

Celluci oparł się o ścianę obok niej. Podszedł do nich jeden z wolontariuszy Heart Fund ze stoperem w dłoni.

- Zmierzę wam puls na mecie... Vicki i Celluci wymienili spojrzenia.

- Chyba - zdołała wydyszeć Vicki - nie chcemy wiedzieć, jaki jest.

Etap wspinaczki, podczas którego mierzono czas, mieli już za sobą, musieli natomiast wejść jeszcze cztery piętra wyżej, żeby dotrzeć na taras widokowy i oficjalnie ukończyć bieg.

- Dziewięć minut, pięćdziesiąt cztery sekundy... -Kiedy wracali na schody, Celluci wytarł twarz podkoszulkiem. - Nieźle, jak na takie stare próchno.

- Kogo nazywasz starym próchnem, dupku? Pa-

miętaj, że mnie robale żrą pięć lat krócej niż ciebie - Już cię żrą? Patrz, a mnie jeszcze nie ruszyły. Vicki weszła na kolejny stopień. Przez materiał spodni widać było, jak drżą jej mięśnie czworogło-we uda.

- Resztę dnia chcę spędzić w wannie pełnej gorącej wody.

- Niezły pomysł.

- Mike? - Ta...?

- Gdybym znowu wpadła na pomysł wspinaczki na CN Tower, przypomnij mi, jak się teraz czuję.

- Znowu...



Jego rodzaj nigdy nie śnił - albo tylko on zawsze w to wierzył. Tracili sny tak samo, jak tracili dzień, mimo to po raz pierwszy od ponad czterystu pięćdziesięciu lat ocknął się, mając przed oczami wspomnienie, które nie miało nic wspólnego z jego obecnym życiem.

Światło słońca. Nie widział słońca od 1539 roku i nigdy nie oglądał go jako złotego dysku na lazurowym niebie roztaczającego wokół świetlistą aureolę.

Henry Fitzroy, bękart Henryka VIII autor romansów, wampir, leżał w ciemności wpatrzony w pustkę, zastanawiając się, co się, do diabła, dzieje.

Czyżby tracił zmysły? Wielu innych z jego rodzaju właśnie to spotkało.

Docierali w swoim życiu do punktu, w którym nie mogli znieść nocy i oddawali się słońcu i śmierci. Czy w takim razie to wspomnienie jest początkiem końca?

Nie sądził, by tak było. Czuł się zdrowy na umyśle. Ale czy szaleniec umiałby rozpoznać własne szaleństwo?

„To do niczego nie prowadzi”. Zaciśnął usta i jednym ruchem poderwał się z łóżka na nogi. Z całą pewnością świadomie nie pragnął śmierci. Jeśli jego podświadomość miała w tej sprawie inne zdanie, to nie zamierzał jej ulec bez walki.

Wspomnienie jednak nie ulatywało. Trwało w jego głowie, gdy brał prysznic i później, gdy się ubierał. Lśniący krąg ognia. Kiedy zamykał oczy, widział go pod powiekami.

Już sięgał po telefon, lecz sobie przypominał. Tej nocy jest z tamtym.

- Kurde!

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Vicki Nelson stała się niezbędnym elementem jego życia. Pił z niej tak często, jak to było bezpieczne, a krew i seks wzmacniały ich przyjaźń, może nawet rodziły coś silniejszego. W każdym razie tak ten związek wyglądał z jego strony.

- Związek, Jezuuu..! Oto słowo numer jeden lat dziewięćdziesiątych!

Tej nocy chciał z nią tylko porozmawiać, omówić sen - jeśli to był sen - i lęki, jakie się z nim wiązały.

Przeczesując bladymi palcami swoje piaskowo-złote włosy, przeszedł przez

apartament, żeby wyj-  
rzyć na światła Toronto. Wampiry polują samotnie, samotnie grasują w  
ciemności, ale każdy kiedyś był człowiekiem, dlatego może wciąż, przez całe  
swoje długie życie, szuka towarzyszy, którym mógłby się zwierzyć i wyznać,  
kim jest. Henry spotkał Vic-ki w zawierusze przemocy i śmierci, powiedział  
jej prawdę o sobie i czekał na jej reakcję. W zamian za to wyznanie ofiarowała  
mu swoją akceptację, tylko tyle i aż tyle - wątpił bowiem, by zdawała sobie  
sprawę, jakie to rzadkie. Dzięki niej miał od zeszłej wiosny więcej kontaktów  
ze śmiertelnikami niż przez całe poprzednie stulecie.

Za jej sprawą jeszcze dwie osoby wiedziały, kim jest. Tony,  
nieskomplikowany młody człowiek, który czasami dzielił z nim łóżko i krew,  
oraz dętek-

tyw sierżant Michael Cel luci, który nie był ani młody, ani nieskomplikowany,  
i chociaż z jego ust nigdy nie padło słowo wampir, był przecież zbyt in-  
teligentny, by odrzucić dowody widziane na własne

Oparte o szybę palce Henry'ego powoli zwinęły się w pięść. Tej nocy była z  
Cellucim. Uprzedziła go o tym, gdy ostatnio rozmawiali. No dobrze. Może  
staje się odrobinę zaborczy. W dawnych czasach było łatwiej. Wtedy byłaby  
jego i nikt inny nie miałby do niej prawa. Jak ona śmie być z kimś innym, gdy  
jej potrzebuje?

Słońce płonęło w jego wspomnieniach, wszysk-widzące żółte oko.

Spojrzał na miasto. Nie był przyzwyczajony do własnego strachu, więc rzucił  
sen na pożarcie swemu gniewowi i pozwolił, niemal wymusił, by Głód rósł.

Nie potrzebuje jej. Może zapolować.

W dole tysiące świetlistych punktów lśniło niczym tysiące małych słońc.



Reid Ellis wolał muzeum nocą. Lubił zostawać sam na sam ze swoją pracą,  
bez historyków, naukowców i innych pracowników umysłowych zadających  
mu głupie pytania.

- Można by przypuszczać - mawiał często swoim kolegom - że facet z  
czterema tytułami naukowymi powinien umieć rozróżnić, kiedy podłoga jest  
mokra.

Chociaż nie miał nic przeciw pracy w galeriach otwartych dla zwiedzających,  
wolał długie korytarze pełne biur i pracowni. Na przydzielonym obszarze był  
sam sobie panem. Żaden hałaśliwy zwierzchnik nie zaglądał mu przez ramię.  
Mógł wykonać robotę porządnie i po swojemu. Mógł potraktować pracownię

jak swoje prywatne muzea, w których półki często bywały bardziej interesujące niż graty wyłożone dla zwiedzających.

Wtoczył wózek na piąte piętro, pogłaskał na szczęście jednego z kamiennych lwów i zatrzymał się z dłonią na klamce Działu Dalekiego Wschodu. Może powinien zacząć od egiptologii? Zwykle mieli tam ciekawe rzeczy.

Może powinien zacząć od pracowni? Natychmiast.

Nie, to by znaczyło, że śladami obcasów na podłodze biura Van Thorne'a będzie musiał się zająć na końcu, a na to nie miał ochoty. Wyciągnął klucz i przeprowadził wózek przez drzwi. „Jak mawiała moja błogosławiona mateczka, zakasaj rękawy, podnieś tyłek i bierz się do roboty. To co najlepsze zostawię na koniec. Cokolwiek tam mają, nie ucieknie”.



*Ka wyrwało się z jego słabego uścisku i odeszło. Wciąż był żałośnie słaby, zbyt słaby, by je przytrzymać, zbyt słaby, by przyciągnąć je bliżej. Gdyby mógł się ruszać, Głód skłoniłby go do najbardziej rozpaczliwych zachowań, ale ze był związany, mógł tylko modlił się do swojego boga, aby zesał mu życie.*



Niedzielnej nocy w Toronto ulice były niemal wyludnione. Prawa miejskie zabraniały handlu w niedziele i mieszkańcy musieli sobie znaleźć inne rozrywki.

Henry maszerował szybkim krokiem przez Church Street, jego czarny płaszcz łopotał mu za plecami. Ignorował przypadkowe skupiska ludzi. Chciał czegoś więcej niż tylko okazji, aby pić, jego gniew i Głód potrzebowały bójki.

Zatrzymał się na rogu Church i College.

- Hej, cioto!

Henry uśmiechnął się, lekko odwrócił głowę i sprawdził wiatr. Trzech.

Młodych. Zdrowych. Idealnych.

- Co jest, cioto? Głuchy jesteś? - Może czyjaś kuśka mu w uchu utknęła.

Trzymając ręce w kieszeniach, powoli okręcił się

na czubku obcasa. Stali obok wielkiej żółtej bryły Mapie Leaf Gardens. Chłopcy z przedmieść, w gła-nach i rozmyślnie pociętych džinsach, którzy zawędrowali do centrum w poszukiwaniu rozrywki. Jako że było ich trzech na jednego, pewnie i tak by się na niego rzucili, ale żeby się upewnić...

Uśmiech, jaki im posłał, był celową prowokacją, której nie dało się zignorować.

- Pierdolona ciota!

Szli za nim na wschód, wykrzykując obelgi, coraz odważniej podchodząc bliżej, gdy nie reagował. Kiedy skręcił na Jarvis Street, niemal deptali mu po piętach i nawet nie uświadamiając sobie, gdzie ich prowadzi, poszli za nim do Allen Gardens Park.

- Ciota idzie, jakby dalej miała chuja w dupie.

Mały park był oświetlony, lecz były w nim też miejsca wystarczająco ciemne jak na jego potrzeby. Czując, jak Głód rośnie. Henry poprowadził ich daleko od drogi i możliwych świadków. Wilgotne liście leżące na ziemi ugięły się miękko pod ich stopami. Wreszcie zatrzymał się i odwrócił.

Trzej młodzi mężczyźni byli nie dalej niż na wyciągnięcie ręki. Noc już nigdy nie będzie dla nich taka sama.

Otoczyli go.

Pozwolił im na to.

- No? Czemu nie gryziesz pierdolonej ziemi jak reszta pierdolonych homo? Ich przywódca - każda sfora ma jakiegoś przywódcę - spróbował szturchnąć ofiarę w ramię. Kiedy chybił, wyglądał na zaskoczonego. Potem, gdy Henry się uśmiechnął, na oszołomionego. Potem na przestraszonego. A chwilę później na przerażonego.



Podwójne drzwi prowadzące do pracowni egiptologii były pomalowane żaróviaście pomarańczową farbą. Nie po raz pierwszy Reid Ellis zastanawiał się, dla-

czego, wsuwając klucz do zamka. Wszystkie drzwi w tym korytarzu były pomalowane na żółto albo na pomarańczowo i chociaż zapewne wyglądały radośnie, to niezupełnie godnie. Nie, żeby ludzie z egip-tologii byli przeczuleni na punkcie godności. Trzy miesiące temu, kiedy Blue Jays przegrali sześć me-

czów z rzędu, w pracowni zastał na jednej ze zmumifikowanych głów, stojących na biurku, zawadiacko włożoną czapkę bejsbolową.

Teraz, kiedy rozgrywki bejsbola się skończyły, zastanawiał się, czy ktoś z zespołu ma hełm hokejowy. Spoczywanie w pokoju to najłagodniejsze, co można było powiedzieć o Leafsach, chociaż sezon dopiero się zaczął.

- A co dziś dla mnie macie? - zapytał, otwierając jedno skrzydło drzwi by przepchnąć przez nie wózek. W dzisiejszym planie nie było co prawda mycia podłóg, ale wolał przecierać regularnie często deptane miejsca przy stołach i zlewie. Obrócił się i dopiero wtedy dostrzegł nowy element stojący w pokoju.

- O rany.

Reid, którego dłonie nagle zwilgotniały, a w ustach pojawiła się suchość, stanął i zapatrzył się. Tamta głowa w bejsbolówce była nierzeczywista, jak efekty specjalne w filmie wywoływała dreszcze, lecz łatwo było się z niej pośmiać, a potem zapomnieć. Ale trumna, i to z ciałem, to coś zupełnie innego. To był człowiek, martwy człowiek. Leżał tam przykryty plastikowym workiem i czekał na niego.

„Czeka na mnie...?”. Nerwowy śmiech zamarł Reidowi na ustach. Nie chciał naruszać ciszy, która

niczym mgła wypełniała pomieszczenie. „Może powinienem sobie iść?”

Podszedł jednak o krok, dwa kroki w przód. Zapomniał zapalić światło, a włącznik był z tyłu. Odwróciłby się od trumny i sięgnął do niego, gdyby był w stanie, tyle że nie mógł, po prostu nie mógł. Światło padające z korytarza musiało wystarczać, chociaż ledwie rozświetlało mrok wokół ciała.

Podmuch, jaki wywołał idąc, poruszył krawędziami plastikowej płachty, sprawiając, że zaczęła drżeć niecierpliwie.

-Jezu, to jest zbyt dziwaczne. Spadam stąd.

Ale wciąż szedł w stronę trumny. Rozszerzonymi oczami patrzył, jak jego palce chwytają za płachtę i ściągają ją z artefaktu.

„Kurka, będę miał kłopoty. Może jeśli położę płachtę, tak jak leżała, nikt się nie dowie, że on..7 że on... Co ja, kurwa, robię?”.

Pochylał się nad trumną, oddychając coraz szybciej i szybciej. Oczy go bolały. Nie mógł mrugnąć. Otworzył usta. Nie mógł krzyknąć.

I wtedy się zaczęło.

Wpierw stracił swoje najmłodsze ja: pracę tej nocy, pracę podczas wszystkich pozostałych nocy, swoją żonę, swoją córkę, jej narodziny, jej czerwoną twarz wykrzywioną krzykiem... „Ale tak szczerze, doktorze, ona ma tak wyglądać? Chodzi mi o to, że ładna jest, ale taka trochę nabita w sobie"... Ślub i wesele, na którym tak się zalał, że o mało nie upadł, tańcząc ze starszawą ciotką.

Stracił noce spędzone

na picu z kumplami, włóczenie się w tę i z powrotem po Yonge Street...

„Spójrz na tę tam! Jakie melony!"... Grateful Dead dudniące w głośnikach, zapach piwa i trawy, i pot wsiąkający w tapicerkę.

Stracił ceremonię ukończenia szkoły, przez którą ledwie udało mu się

przejsć... „Myślisz, że teraz możesz ruszyć tyłek i znaleźć pracę, skoro już

masz ten śliczniutki papierek ze swoim nazwiskiem?". „Tak, tato"... Stracił upokorzenie, jakie czuł, gdy nie dostał się do drużyny koszykówki... „Nie wyczytają mojego nazwiska. Jestem jedynym, który próbował i nie został przyjęty. Boże, chciałbym się zapaść pod ziemię"... I stracił ból, który czuł, gdy piłka futbolowa złamała mu nos. Znowu smakował pierwszy pocałunek i znowu po raz pierwszy czuł eksplozję wywołaną masturbacją, która ani nie sprawiła, że wyrosły mu włosy na wnętrzu dłoni, ani go nie oślepiła. A potem i to stracił.

Szybko, jedno po drugim, stracił swoją matkę, ojca, zbyt liczne rodzeństwo, dom, w którym się wychował, zapach zamrażniętych psich głów topiących się wiosną, misia z pogryzionym futrem, słodki smak sutka zamkniętego pomiędzy zapalczywie ssącymi wargami.

Stracił swój pierwszy krok, pierwsze słowo, pierwszy oddech.

Stracił swoje życie.

Tak.



Wykazując się niesamowitym opanowaniem, Henry oderwał usta od miękkiej skóry nadgarstka młodego mężczyzny i niemal pieszczotliwie położył jego ramię na ziemi, naciągając mankiet od kurtki tak, że skrywał małą ranę. Chociaż wolał karmić się pożądaniem - namiętność i Głód stanowiły bowiem naturalniejsze połączenie niż Głód i gniew - czasem dobrze było sobie przypomnieć, jaki jest potężny. Powoli wstał, strzepując z płaszcza zabłąkane liście. Koagulant zawarty w jego ślinie powstrzyma krwawienie i cała trójka zaraz się ocknie, nim wilgoć i zimno zdążą wyrzucić im jakąś krzywdę. Spojrzał na nich, leżących w cieniu cisowego żywopłotu, i zlizął kropelkę krwi, która przywarła w kąciку ust. Zostawiał po sobie nie tylko siniaki na ich ciałach, ale też strach przed nocą zasiany w ich duszach, przypomnienie, że w mroku czają się inni, silniejsi łowcy i każdy może paść ich ofiarą. Nie groziło mu, że go zapamiętają czy zdemaskują, bo ich wspomnienia z tej nocy nie będą się skupiać na wyglądzie, lecz na obecności i osobowości. Nie miał pojęcia i niespecjalnie go obchodziło, czy to zdarzenie zmieni ich zachowanie albo poglądy. "Jestem wampirem. Noc należy do mnie". Patetyczność tego stwierdzenia wprawiła go w dobry humor. Wyszedł ze spokojnego parku, uśmiechając się pod nosem na myśl o tym, co się właśnie stało - dzięki



samotnemu wampirzemu łowcy ulice miasta znowu są bezpieczne! Sen, który miał, i spowodowane nim zdenerwowanie znikły splukane krwią.



Celluci westchnął, wsuwając mandat do kieszeni. Od północy do siódmej rano na ulicy przed domem Vicki obowiązywał zakaz parkowania dla nieuprawnionych. Na mandacie widniała godzina piąta trzydzieści trzy. Gdyby wstał pięć minut wcześniej, uniknąłby dwudziestodolarowej grzywny.

Ciężko było się oderwać. Leżał w ciemności chyba ze dwadzieścia minut, słuchając jej oddechu. Zastanawiając się, czy ona śni. Czy śni o nim. Czy o Henrym. I czy to w ogóle ma jakieś znaczenie.

- Chodzi mi o to, Celluci, że nie ma mowy o niczym wykraczającym poza przyjaźń.

- Będziemy kumplami?

- Właśnie.

- Vicki, nikt się nie pieprzy z kumplem.

Prychnęła i przesunęła bosą stopą w górę po wewnętrznej stronie jego uda, aż dosięgnęła palcami delikatnej skóry krocza.

- Chcesz się założyć? I tak to szło...

Potał nieogolone policzki. Ich przyjaźń była mocna, wiedział o tym. Blizny po tym, co zaszło, gdy Vicki opuściła służbę, już prawie całkiem zniknęły.

Seks był niesamowity. Ale ostatnio sprawy się pokomplikowały.

- Mike, Henry to nie konkurencja dla ciebie. Cokolwiek dzieje się między nim a mną, nas dwojga nie dotyczy. Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Wtedy jej uwierzył. Teraz też jej wierzył. Nadal Jednak uważał, że Henry Fitzroy jest zbyt niebezpiecznym człowiekiem, aby się z nim zadawała. Nie tylko stanowił zagrożenie fizyczne, czego dowiódł w sierpniu, ale miał osobowość tak silną, że łatwo było się w niej zagubić. „Chryste, ja bym się w niej mógł zagubić. Nikomu, kto dysponuje taką siłą, nie powinno się, nie wolno ufać”

Ufał Vicki. Nie ufał Henry'emu. I do tego się wszystko sprowadzało. Henry Fitzroy był kimś, kto sam sobie stwarza zasady, i tego detektyw sierżant Michael Celluci nie mógł zaakceptować. Bardziej niż tych niby nadnaturalnych, nieumarłych sił ciemności. Jego związek z Vicki opierał się na określonych zasadach i Celluci cholernie dobrze wiedział, że Fitzroy ich nie uszanuje.

Tyle że dotąd właśnie to robił...

- Może chodzi o to - mruknął, przedzierając się przez labirynt jednokierunkowych uliczek na południe od College Street - że nadszedł czas, by się ustatkować.

Kilka chwil potrwało, nim dotarło do niego, co to oznacza, i nagle przed oczami stanęła mu Vicki i jej reakcja, gdyby wspomniał o małżeństwie. Nie mógł się powstrzymać przed skuleniem się za kierownicą. Ta kobieta ma większy problem z wiązaniem się na stałe niż jakikolwiek facet.

Skrzywił się, przejeżdżając przez rondo na Queen's Park. Pora była zbyt wczesna na filozoficzne rozważania o naturze jego związku z Vicki Nelson - wszystko się dobrze układało, lepiej, żeby tego nie spieprzył. Z ulgą zauważył, że przed muzeum stoi radiowóz i karetka. Zawrócił na pustej sześciopas-mówce i porzucił problemy życia osobistego dla pilniejszych spraw.

- Detektyw sierżant Celluci, wydział zabójstw. -Wysiadając, machnął odznaką w stronę nadchodzącej policjantki, uprzedzając zarzuty co do absolutnie niedozwolonego manewru drogowego. - Co się dzieje?

Młoda kobieta przeknęła gwałtownie to, co miała zamiar powiedzieć, i wydukała:

- Posterunkowa Trembley... Przysłali wydział zabójstw? Nie rozumiem...

- Nikt nie mnie przysłał, akurat przejeżdżałem. -Sanitariusze wnosili ciało z zakrytą twarzą do karetki. Zmarły w chwili przybycia. - Pomyślałem, że zatrzymam się i sprawdzę, czy mogę się na coś przy-dać.

- Raczej nie. sierżancie. Ratownicy mówią, że to atak serca. Sądzą, że to z powodu mumii.

Rok temu, może nawet osiem miesięcy temu Celluci powtórzyłby słowo „mumii” zaintrygowany czy może nawet rozbawiony, ale po tym, jak w kwietniu nadstawił dupy, tropiąc jakiegoś wysłannika piekieł, a część sierpnia spędził w towarzystwie watahy wilkołaków, nie wspominając o zadawaniu się z panem Henrym Fitzroyem, jego reakcje stały się odrobinę ekstremalne. Nie uważał już rzeczywistości za absolutny pewnik.

- Mumii? - ryknął.

- To stało się w... eee... pracowni egiptologii. -Posterunkowa Trembley odstąpiła krok w tył, za-

stanawiając się, czemu detektyw sięgnął po broń. -Mumia leżała tam w trumnie. Wygląda na to, że widok był zbyt szokujący. - Detektyw wciąż wyglądał na dziwnie podejrzliwego. - Mumia jest martwa od dawna. -

Posterunkowa próbowała się uśmiechnąć. - W tej sprawie chyba też nie będą potrzebowali pana pomocy...

Żart wyszedł słabo, ale uśmiech podział. Celluci opuścił rękę. Oczywiście, że w muzeum są mumie. Poczł się jak idiota.

- Jeśli na pewno na nic się nie przydam...

- Nie, sierżancie.

- Dobra.

Mrucząc coś pod nosem, wrócił do samochodu. Naprawdę potrzebował gorącego prysznica, wielkiego śniadania i miłego zwyczajnego morderstwa.



Partner Trembley zamknął notatnik i podszedł do niej.

- Kto to był? - zapytał.

- Detektyw sierżant Celluci z zabójstw. Przejeżdżał, zatrzymał się sprawdzić, czy może w czymś pomóc.

- Tak? Wyglądał na kogoś, kto się wysypia. Co on mamrotał, odchodząc? Posterunkowa Trembley zmarszczyła brwi. - Coś jakby... „lwy i tygrysy, i niedźwiedzie. O rany”.

## ROZDZIAŁ 3

Cześć, mamó. - Dzień dobry, kochanie. Skąd wiedziałaś, że to ja?

Vicki westchnęła i poprawiła ręcznik, którym była owinięta.

- Właśnie weszłam pod prysznic. Kto inny mógłby teraz zadzwonić? - Jej matka była nie do przebicia, jeśli chodzi o dzwonienie w nieodpowiednich momentach. Przez jeden z jej telefonów Henry omal nie stracił życia albo, jeśli na to spojrzeć z innej strony, Vicki uniknęła śmierci. Jakoś nigdy nie rozstrzygnęła, jak to w końcu było.

- Kochanie, jest za dwadzieścia dziewięć, nie mów mi, że dopiero wstałaś.

- Dobrze.

Zapadła cisza, podczas której matka Vicki przetrawiała tę odpowiedź. W końcu Vicki usłyszała w słuchawce jej westchnienie i gdzieś słabo w tle staccato wygrywane przez jej paznokcie uderzające o biurko.

- Vicki, to, że teraz pracujesz na własny rachunek, nie oznacza, że możesz się wylegiwać w łóżku cały dzień.

- A jeśli spędziłam noc, pracując nad sprawą?

- A spędziłaś?

- Właściwie nie. - Vicki oparła bosą stopę o kuchenne krzesło i podstawą jednej dłoni zaczęła roz-masowywać łydkę. Wspinaczka na CN Tower zaczynała o sobie przypominać. - No dobra, w domu byłam dwa tygodnie temu, na Święto Dziękczynienia... - co miało wystarczyć ci do Bożego Narodzenia - ... więc czemu zawdzięczam twój telefon?

- Musze mieć powód, żeby dzwonić do jedynej córki?

- Nie, ale zwykle masz.

- Cóż, w biurze jeszcze nikogo nie ma...

- Mamó, któregoś dnia wydział biologii zacznie oczekiwać, że będziesz płacić za swoje międzymiastowe.

- Bzdury, Vicki. Queens University ma mnóstwo pieniędzy, a telefony z Kingston do Toronto wcale nie są drogie, więc uznałam, że skorzystam z okazji i dowiem się, jak poszła ci wizyta u okulisty.

- Mamó, zwyrodnienie barwnikowe siatkówki to nie jest choroba, która

ustępuje. Dalej nie widzę w nocy i mam beznadziejne pole widzenia obwodowego. Co ma do tego wizyta u lekarza?

- Victoria!

Vicki westchnęła i poprawiła okulary.

- Przepraszam. Bez zmian.

- Więc się nie pogorszyło. - Ton głosu jej matki świadczył o tym, że przyjęła przeprosiny i zgodziła się porzucić temat. - Znalazłaś sobie jakieś zajęcie? Sprawę oszustwa ubezpieczeniowego zamknęła w ostatnim tygodniu września. Od tej pory nad niczym nie pracowała. Gdyby tylko była lepszym kłamcą...

- Na razie nic.

- A co z Michaeliem Cellucim? Wciąż pracuje w policji. Nie może ci czegoś znaleźć? - Mamo!

- Albo ten milutki Henry Fitzroy. - Raz odebrał telefon, kiedy zadzwoniła, i do tej pory była pod wrażeniem. - W lecie coś ci znalazł.

- Mamo! Nie potrzebuję, żeby znajdowali mi pracę. Nie potrzebuję, żeby ktokolwiek znajdował mi pracę. Jestem w stanie sama ją znaleźć.

- Niegrzytaj zębami, kochanie. Wiem, że sama jesteś w stanie znaleźć pracę, ale... Oj, doktor Burke właśnie wszedł, muszę kończyć. Pamiętaj, że gdybyś potrzebowała, zawsze możesz przyjechać i zamieszkać ze mną.

Vicki udało się pohamować i nie rozbić słuchawki przy odkładaniu, lecz tylko dlatego, że wiedziała, że jeśli uszkodzi telefon, nie będzie jej na razie stać na nowy. Jej matka potrafiła być taka... taka... „Cóż, mogło być gorzej. Ma własne życie i karierę, w przeciwnym razie mogłaby się mnie czepiać o wnuki". Wróciła pod prysznic, aż otrząsając się na ten pomysł. Macierzyństwa nigdy nie miała w planach.

Miała dziesięć lat, kiedy odszedł ojciec, i była wtedy wystarczająco dojrzała, by uznać, że macierzyństwo było źródłem większości problemów jej rodziców. Podczas gdy inne dzieci za rozwód winiły siebie, Vicki precyzyjnie określiła, gdzie dokładnie leżała wina. Macierzyństwo zmieniło młodą, podniecającą kobietę, którą poślubił jej ojciec, w kogoś, kto nigdy nie miał dla niego czasu, a kiedy odszedł, potrzeba zapewnienia dziecku wszystkiego stała się głównym kryterium wyborów podejmowanych przez matkę. Vicki dojrzewała tak szybko, jak się dało, bo jej niezależność oznaczała również niezależność matki - czego ta nigdy tak do końca nie zrozumiała ani nie zaakceptowała.

Vicki zastanawiała się czasem, czy matka nie wolałaby mieć córki bardziej zainteresowanej różowy-mi falbankami, takiej, której nie przeszkadzałoby, że ktoś wścibia nos w jej życie, ale nie spędzało jej to snu z powiek - jej podejście wykluczające różowe falbanki jakoś nie sprawiło, że matka mniej się nią przejmowała. Chociaż była dumna z pracy Vic-ki, przerażały ją możliwe niebezpieczeństwa, opinia społeczna, mężczyźni w życiu Vicki, jej nawyki żywieniowe, jej oczy i to, ile ma spraw.

„Nie żebym ich miała w nadmiarze” - przyznała Vicki, wmasowując szampon we włosy. Zaczynała jej brakować pieniędzy i jeśli coś się szybko nie pojawi... „Coś się pojawi”. Spłukała szampon i zakręciła wodę. „Zawsze się pojawia”.



- No nie! Co za bzdura! Nie zgadzam się! - Doktor Rax z impetem opadł na krzesło, uderzając jego oparciem o ścianę. - Jakim prawem nie pozwalają nam wejść?!

- Elias, uspokój się, bo nabawisz się wrzodów. -Doktor Shane ze skrzyżowanymi ramionami stała w drzwiach do gabinetu. - To potrwa tylko do czasu, aż będą wyniki autopsji i będzie wiadomo, czy na pewno atak serca zabił tego biednego woźnego.

- Oczywiście, że to był atak serca. - Rax potarł powieki. Męczył go przerażająco realistyczny sen, że został pogrzebany żywcem, toteż telefon, który go wczesnym rankiem z niego wyrwał, był wybawie-niem. - Policjant, z którym rozmawiałem, powiedział, że to widać na pierwszy rzut oka. Mówił, że pewnie mumia wystraszyła go na śmieć - prychnął, dając wyraz swojej opinii o każdym, kogo w śmiertelne przerażenie wprawia przedmiot o znaczeniu historycznym.

Doktor Shane zmarszczyła brwi

- Mumia?

- Litości, Rachel. Nie zapomniałaś chyba o pa-miąteczce barona.

- Nie, oczywiście, że nie... - zapewniła szybko, aczkolwiek na chwilę istotnie zapomniała.

Rax znowu potarł oczy. Czuł się, jakby miał piasek pod powiekami.

- Zabawne, znałem tego Ellisa. Rozmawiałem z nim kilka razy, kiedy zostałem do późna. Miał całkiem bystry umysł, ale niezbyt wiele wyobraźni. Nie spodziewałbym się po nim, że tak zareaguje na cokolwiek, co mógłby tu zastać... - Ku swojemu zaskoczeniu zachichotał pod nosem. - Co innego pani Taggart.

Chociaż pani Taggart nadal sprzątała biura, odmawiała zachodzenia do pracowni samotnie od zeszłego lata i incydentu ze zmumifikowaną głową. Nikt się nigdy nie przyznał do założenia na nią czapeczki Blue Jaysów, ale jako że doktor Rax nawet nie starał się znaleźć winnego, za to rozwodził się nad nędzą tego żartu, reszta działu powzięła swoje podejrzenia.

- Zdajesz sobie sprawę, że to woda na jej młyn? -westchnęła Rachel. - Pewnie

przeniesie się na geologię albo gdzie indziej, gdzie nie ma kości, i stracimy najlepszą sprzątaczkę. Już nigdy nie będę mogła zostawić na noc papierów na biurku... - Towarzyszenie pani Taggart do pracowni było niewielką ceną za to, że ona jedna spośród sprzątarek nigdy nie tykała rozgrzebanych dokumentów. - A skoro o papierach mowa... - Wskazała na zawalone nimi biurko kustosza. - Może skorzystasz z tej nadprogramowej przerwy i nadgonisz robotę? - jak tylko będziemy mogli wrócić do pracy... - Dam ci znać. - Zamknęła za sobą drzwi i wolnym krokiem skierowała się do swojego biura. Zmarszczyła czoło. Wspomnienia o mumii umykały jednoza drugim, zupełnie jakby ktoś je wrzucił do miksera, aż nie mogła uwierzyć, że na chwilę zupełnie o niej zapomniała. Widać śmierć tego młodego człowieka wpłynęła na nią bardziej, niż jej się wydawało.



*Ka wchłonięte tej nocy opowiedziało mu o cudach wspanialszych niż te, które spotykano u szczytu chwały Egiptu. Olbrzymie piramidy nie były już pomnikami ku chwale królów, ale lśniącymi konstrukcjami z metalu i szkła budowanymi dla tłustych yuppies. Rydwany zostały zastąpione czterocyndrowymi skrzyniami, równie majestatycznymi jak cherlawe kaczkę. Chociaż wielu z nowych idei nie rozumiał, wydawało się, że przynajmniej piwo i biurokracja dotrwały do tych czasów. Był na drugim końcu świata, z dala od Matki Nilu, wkraju, w którym walczone kijami na zamrożonej wodzie. Tutejsza królowa żyła daleko i nie była już inkarnacją Ozyrysa, chociaż ten, kto ją tu zastępował w rządzeniu, uważał siebie, jak się wydawało, za jakiś rodzaj bożka*

*O wielu podbródkach.*

*Co najważniejsze, bogowie, których znał i którzy jego znali, byli w tym świecie nieobecni. Nie musiał się już bać wszędobylskiego spojrzenia Thota z nocnego nieba i co istotniejsze, nie było nikogo, kto mógłby zastąpić kapłanów-czarowników, którzy go uwięzili. Bogowie tego nowego świata byli słabi i mieli niewiele dusz. Będzie kroczył pośród nich jak lew przez stado owiec i będzie mógł się pożywiać, gdzie tytko zechce.*

*Dusza znana jako Reid Ellis należała do klasy niższej, była zwykłym robotnikiem i informację od niej*

*uzyskane były skażone jej niską pozycją. To nie miało wielkiego znaczenia, bo już dawno wybrał sobie tego, który nakarmi go tym, czego potrzebował - historią czasu, jaki upłynął, i wiedzą o tym, jak żyć w czasie obecnym.*

*Życie dodało mu też siłę. Choć jego ciało nadal było spętane, jego kark mógł wędrować przez umysły tych, którzy o nim wiedzieli.*

*Żałośnie mało o nim wiedzieli.*

*Przy każdym kontakcie zabierał drobinki wiedzy. W końcu to była wiedza o nim, dlatego mógł ją kontrolować. Słabsi zapominali od razu, silniejsi tracili jedno wspomnienie po drugim. Niedługo nikt już nie będzie wiedział, jak go znowu uwięzić. Zostanie uwolniony - nie zabierał pamięci tym, od których to zależało, tylko umacniał więź pomiędzy sobą i nimi, zostawił im też kilka innych osób do pomocy. Za klęcię wiążące opadnie, a on powstanie, z odzyskaną mocą, gotowy zająć należne mu miejsce w tym dziwnym nowym świecie. Nimi zajmie się później.*



- Gdzie są wszyscy?

- Nikt nie wiedział, kiedy pozwolą nam wejść do pracowni, więc powiedziałam im, że mogą nadgonić robotę papierkową, a potem iść do domu.

Doktor Rax odwrócił się i wbił wzrok w swoją zastępczynię. Chciał wrzasnąć: „Co im powiedziałaś?! Mamy tu pierwszą mumię od dziesięcioleci, a ty zwolniłaś mój personel?!”. Ale gdzieś pomiędzy mózgiem a ustami słowa uległy zmianie.

- Rozsądnie. Nie ma sensu, żeby się tu kręcili, skoro nie ma nic do roboty... - Zmarszczył czoło, zaskoczony.

Doktor Shane podeszła do drzwi pracowni i zerwała pasmo żółto-czarnej policyjnej taśmy, którym zaklejono zamek.

- Cieszę się, że się ze mną zgadzasz. - Nie była pewna, czy tak będzie.

Właściwie kiedy o tym myślała, zastanawiała się, jak mogła... jak mogła... - Poza tym nie potrzebujemy ich do tego, co zrobimy.

- Nie...

Miał jakieś dziwne uczucie, że idą na wprost śmiertelnego niebezpieczeństwa, i niemal oczeki-

wał, że drzwi zaskrzypią jak w kiepskim horrorze. „Powinniśmy stąd iść, póki jest jeszcze czas” przemknęło mu przez głowę. A potem byli już w pracowni z mumią i nic innego nie miało znaczenia.

Razem ściągnęli plastikową płachtę i odrzucili ją na bok.

- Czuję się trochę winna z powodu Ellisa.- westchnęła Rachel, wyciągając parę bawełnianych rękawiczek z pudła z napisem: „Nałóż albo zgiń!”. -Powodem mógł być zawał, ale z pewnością nasza mumia się do tego przyczyniła.



- Bzdury...! - Elias Rax wciągnął rękawiczki. -Chociaż to, co się stało, jest straszne i smutne, nie jesteśmy w żaden sposób odpowiedzialni za lęki tego człowieka. - Wziął szeroką pęsetę i pochylił się nad trumną, oddychając przez usta, żeby jak najmniej czuć obezwładniający wręcz zapach cedru. Bardzo, bardzo ostrożnie złapał za koniec paska z hieroglifami leżący na piersiach mumii. - Będziemy potrzebować jakiegoś rozpuszczalnika. Chyba jest przyklejony do bandażu.

- Żywica cedrowa?

- Tak sądzę.

Delikatnie ciągnął za starożytną tkaninę, podczas gdy doktor Shane ostrożnie zwilżała klej umoczoną w rozpuszczalniku wacikiem.

- Zdziwiająca, jak dobrze materiał się zachował mimo tylu wieków - zauważyła. - Dwa razy bluzkę do pralni oddam i już się rozpada, a tu... - Cofnęła gwałtownie dłoń, w której trzymała wacik.

- Co się stało?

- Klatka piersiowa w miejscu, w którym jej dotknęłam, była ciepła. - Zaśmiała się nerwowo, zdając sobie sprawę, jak głupio to zabrzmiało. - Czułam to nawet przez rękawiczkę. Doktor Rax prychnął.

- Pewnie nagrzała się od lamp.

- Są fluorescencyjne.

- W takim razie to skutek uboczny procesu rozkładu.

- Odczuwalny przez materiał i rękawiczkę?

- A co powiesz na efekt wyobraźni nakarmionej poczuciem winy za śmierć sprzątacza?

Udało jej się zdobyć na powątpiewający uśmiech.

- Chyba to wyjaśnienie mnie zadowala.

- Dobrze. Możemy wracać do pracy? Świadomie unikając dotyknięcia ciała, Rachel

wtarła jeszcze trochę rozpuszczalnika.

- To najbardziej porąbany sposób pochówku, jaki widziałam - mruknęła. - Żadnych symboli Ozyrysa, żadnych bóstw opiekuńczych, ani Deda, ani Theta, ani żadnych hieroglifów poza tymi na tym pasku. - Ściągnęła brwi. - Nie powinniśmy... nie powinniśmy ich przestudiować, zanim zdejmemy pasek?

- Łatwiej będzie to zrobić, jak go zdejmujemy. - Tak, ale... - „Ale co?”. Nie zdołała utrzymać

tej myśli.

Doktor Rax uśmiechnął się nagle.

- Da się podnieść. Odsuń się.



*Czuł, jak końcówka bandaża się unosi, każdy hieroglif, ciężki niczym kamienny blok, był podnoszony z jego ciała. Zakłęcie rozciągało się i pękało, w miarę jak je odrywano. Wreszcie, z cichym jękiem przesywającym aż do szpiku kości, rozpadło się.*

*Przyjął ból. To było jego pierwsze cielesne doznanie od tysiącleci i radosna agonია. Wszystko ma swoją cenę, a żadna nie jest zbyt wysoka za jego wolność. Gdyby jego kończyny mogły się ruszać, trząsłby się, ale zdolność ruchu miała przyjść powoli, z czasem, mógł więc tylko znosić kolejne fale czerwieni przesywające jego ciało, rozpychające wszystko na swojej drodze, miażdżące wszystko pod sobą. Żałował, że nie może krzyknąć.*

*Wreszcie ostatnia fala znikła, zostawiając po sobie kłujące żądła w jego ciele i czerwony blask dwojga oczu w ciemności.*

*Mój panie? Powinien wiedzieć, że jeśli on przeżyje, jego bóg także.*

*Oczy stawały się coraz jaśniejsze, aż jego ka dojrzało ptasią głowę boga.*

*Inni nie żyją, powiedziało.*

*Potwierdziło to, co powiedział mu smak ka robotnika.*

*Są bogowie, ale nie ci, których znamy. Dziób boga nie został stworzony, by się uśmiechać, lecz ptasia głowa przechyliła się na bok, a on przypomniał sobie, że to oznacza zadowolenie. Mądrze zrobiłem, że cię stworzyłem. Za twoją sprawą przetrwałem. Nowi bogowie kiedyś byli silni, ale już nie są. Mają mało dusz. Zbuduj mi świątynię, zbierz akolitów, aż będę dość mocny, by stworzyć innych takich jak ty. Z tym światem możemy zrobić, co chcemy.*

*A potem znowu był sam w ciemności.*

*Nie trzymało go już nic poza tysiącletnim materiałem, który rozpadał się ze starości, mimo to jeszcze trochę miał zamiar zostać tu, gdzie był. Jego ka musiało wykonać jeszcze jedną krótką podróż, a potem będzie mógł zebrać siły, by stanąć naprzeciw swojego... zbawcy.*

*Zbuduj świątynię. Zbierz akolitów. Z tym światem możemy zrobić, co chcemy.*

*Właśnie...*

*Dotąd nie planował niczego poza odzyskaniem wolności, zanosilo się jednak na to, że będzie miał dużo do zrobienia.*



Rachel Shane wyszła z windy na parterze. Wytar-podeszwy jej butów nie wydawały niemal żadnego dźwięku w zetknięciu z podłogą. Martwiła się o Eliasa. Zawsze był pełen pasji i zdeterminowany, by zmienić Dział Egiptologii Royal Ontario Museum w jeden z najlepszych na świecie mimo ograniczeń budżetowych i biurokratycznych, ale przez wszystkie lata ich znajomości - „a to było naprawdę wiele dobrych lat”, przyznała w duchu - nie widziała go nigdy tak czymś opętanego.

Zatrzymała się przed drzwiami zabezpieczającymi, żeby zapiąć płaszcz. Chociaż bryła planetarium I zasłaniała widok z wyjścia dla personelu, dawało się dostrzec wodę na chodniku między dwoma bu-dynkami. Nawet jeśli teraz nie padało, to kropiło chwilę temu.

Chwilę temu... Pomyślała o tym, jak w pracowni niemal w transie odwinęła pasek materiału z mumii. Bez dokumentacji. Bez zdjęć. Nawet nie zapisując hieroglifów. To było bardzo dziw...

Nagły ból szarpnął jej głowę. Za oczami coś eksplodowało czerwienią. Oparła się o drzwi, ocierając się wilgotnym policzkiem o gładkie szkło, gdy walczyła, by utrzymać się na nogach. Czy to udar? Z tą myślą przyszła przerażająca wizja całkowitej i ostatecznej bezradności, gorszej niż śmierć. „Boże, jestem za młoda”. Nie mogła złapać oddechu, nie mogła sobie przypomnieć, jak działają jej płuca, nie mogła sobie przypomnieć niczego poza bólem.

Jak z oddali zobaczyła strażnika, który podbiegł do drzwi od drugiej strony i otworzył je, nie przewracając przy tym Rachel na podłogę. Objął ją w pasie i na wpół zaprowadził, na wpół zaniósł na krzesło.

- Pani doktor...? Doktor Shane, wszystko w porządku?

Desperacko uchwyciła się brzmienia swojego nazwiska. Ból zaczął ustępować, zostawiając ją z uczuciem, jakby ktoś wyszorował ją od środka drucianą szczotką. Zakończenia nerwowe pulsowały i na chwilę wielkie złociste słońce przyćmiło hol, strażnika, wszystko.

- Pani doktor...?

Zniknęło słońce, znikł też ból, jakby go nigdy nie było. Potarła palcami skronie, próbując sobie przypomnieć, co odczuwała, ale nie mogła.

- Pani doktor...? Może wezwać karetkę? Karetkę?... To przedarło się do jej głowy.

- Nie, Andrew, dziękuję. Nic mi nie jest. Naprawdę... Zrobiło mi się tylko słabo.

- Jest pani pewna? - Przyjrzał jej się uważnie.  
- Tak. - Wzięła głęboki oddech i wstała. Świat został tam, gdzie zawsze był. Napięcie opadło z barków.  
- Skoro jest pani pewna... - Wciąż nie wyglądał na przekonanego. - Chyba się pani przepracowała, no i ci gliniarze trzymają was z dala od waszych gratów... - Wrócił za swoje biurko, nie spuszczać z niej oczu. - To jak, zabiorą tę mumię?  
- Mumię?  
- No. Powiedzieli, że Reid Ellis wpadł w ciemno-ściach na mumię i to wystraszyło go na śmierć.  
- Och, mumia... - „Zadziwiające, jak rozprzestrzeniają się plotki”. Uśmiechnęła się i pokręciła głową. Jako że policja kręciła się po dziale, nie ma sensu dłużej udawać. Będą po prostu musieli wszystkich przekonać, że celowo kupili pusty sarkofag”. - Andrew, nigdy nie było żadnej mumii. Tylko pusta trumna. Która, jak podejrzewam, w środku nocy może być równie przerażająca. Andrew wyglądał na trochę rozczarowanego.  
- Nie ma mumii?  
- Nie.  
Westchnął.  
- No cóż, to czyni historię o wiele mniej intere-sującą.  
- Przykro mi. - Rachel zatrzymała się z ręką na drzwiach prowadzących na zewnątrz i rzuciła strażnikowi surowe spojrzenie. - Byłabym wdzięczna, gdybyś rozpowszechnił prawdziwą wersję tej historii. Znowu westchnął.  
- Oczywiście, pani doktor. Nigdy nie było żadnej mumii...



Jego palce rozdarły prześcieradło, a bicie serca odbijało się od ścian sypialni. Znowu obudził się ze wspomnieniem oszałamiającego biało-złotego słońca na lazurowym niebie.

- Nie chcę umierać! Ale dlaczego słońce?

Jednej nocy mógł się zmusić, by to zignorować, zmyć łowami i krwią. Dwie noce sprawiły, że to zaczynało być rzeczywiste.

Wyplątał się z pościeli i usiadł na skraju łóżka. Wierzch dłoni oparł na udach. Były wilgotne. Przez chwilę patrzył na nie, a potem gwałtownie wytarł je do sucha, próbując sobie przypomnieć, czy w ciągu ostatnich czterystu pięćdziesięciu lat kiedykolwiek się poccił.

Zapach jego strachu wypełnił pokój. Musiał od niego uciec. Nagi wyszedł z sypialni i przez wielkie okno apartamentu wyjrzał na Toronto. Oparłszy dłonie i czoło o chłodne szkło, zmusił się, by powoli nabierać i wypuszczać powietrze, póki się nie uspokoił. Patrzył na ruch na Jarvis Street, na poświatę nad dzielnicą Yonge. Przebiegł wzrokiem po pobliskich biurowcach, na których światła znaczyły miejsca, gdzie pracownicy wyrabiali nadgodziny. Wiedział, że wraz z nadejściem ciemności inne, wciąż ludzkie dzieci nocy wyjdą ze swoich nor. To było jego miasto.

Nagle zorientował się, że myśli o tym, jak by wyglądało w żółto-różowym blasku wschodzącego słońca odbijającego się w szklanych wieżowcach, gdy przecinające je nitki asfaltu stałyby się perłowszare, a nie czarne, pokolorowane zaś przez jesień drzewa ozdabiałyby miasto pod łukiem wspaniałego błękitnego nieba... I o tym, jak długo on by przetrwał, ile by zobaczył, nim złocisty krąg słońca spaliłby jego ciało, a on umarłby po raz drugi i ostatni.

-Jezu, Panie Zastępów, chroń mnie. - Odskoczył od szyby i drżącymi palcami wykonał znak krzyża. -Nie chcę umierać... - Nie mógł jednak wygnąć ze swoich myśli obrazu słońca.

Sięgnął po telefon.

- Nelson.

- Vicki, ja... - „On co? Ma halucynacje? Traci zmysły?”.

- Henry? Wszystko w porządku?

„Muszę z tobą porozmawiać”. Okazało się naraz, że nie może wydobyć z siebie tych słów.

Ale wyglądało na to, że ona i tak je usłyszała.

-Jadę do ciebie. - Ton jej głosu nie zostawiał miejsca na dyskusję. - Jesteś w domu?

- Tak.

- To zostań tam. Złapię taksówkę i zaraz będę. Cokolwiek się stało, poradzimy sobie z tym.

Jej pewność sprawiła, że opuściła go część napięcia. Zaciśnięte na telefonie palce rozluźniły się, a usta wykrzywiły w parodii uśmiechu.

- Nie ma pośpiechu - powiedział, starając się odzyskać panowanie. - Mamy czas do świtu.



Chociaż głównie z poczucia winy doktor Rax siedział przy biurku nad

papierami długo po tym, jak Rachel Shane poszła do domu - stos zaległych dokumentów zaczął rozmiarami przypominać małe mamuciątko - o wiele większy wpływ na tę decyzję miało to, że mgliście czuł, iż coś nie zostało zakończone, czekał zatem niecierpliwie, aż nastąpi finał, Nabazgrał swoje inicjały na końcu raportu budżetowego, zamknął teczkę i wrzucił ją do koszyka na sprawy załatwione. Potem westchnął i zaczął bezmyślnie mazać po kalendarzu. Gdyby tylko nie miał takich strasznych problemów z koncentracją...

Nagle zamarł, uświadamiając sobie, że wcale nie bazgrał tak bezmyślnie. Pod datą „19 października, poniedziałek” narysował przypominające gryfa stworzenie z ciałem antylopy, ptasią głową z trzema ureuszami i trzema parami skrzydeł. Narysował istotę, którą widział w snach.

„A teraz, kiedy tak o tym myślę” - odsunął krzesło, żeby sięgnąć do regału z książkami stojącego za biurkiem - „wyglądasz bardzo znajomo. Tak... tu cię mamy...”. Jego rysunek był niemal identyczny z ilustracją. „Niewiarygodne, co może człowiekowi utkwic w podświadomości”. Ignorując lodowate poczucie wzrastającej grozy, zerknął na tekst. „Achech, predynastyczny bóg Górnego Egiptu, który po wchłonięciu przez religię najeźdźców stał się formą złego boga Seta...” - Książka wyslizgnęła mu się z nagle bezwładnych rąk i upadła na podłogę. Oczy Achecha, wydrukowane czarnym tuszem na białym papierze, przez krótką chwilę żarzyły się czerwienią.

Serce podeszło Raxowi do gardła. Pochylił się i ostrożnie podniósł książkę. Upadając, zamknęła się, a on nie miał zamiaru jej otwierać.

Elias, chodź, już czas.

— Czas na co? — zawołał, nim sobie uświadomił, że odpowiada głosowi który dźwięczał mu w głowie.

Starannie odłożył książkę na biurko i drżącymi palcami rozmasował skronie. „Dobra. Najpierw mam zwidy. Teraz omamy słuchowe. Chyba czas zbierać się do domu, napić się szkockiej i iść spać”.

Kiedy wstał, zaskoczyła go słabość w nogach. Trzymał się oparcia krzesła, póki nie upewnił się, że da radę iść i nie ugną się pod nim kolana. Wtedy powoli przeszedł przez pokój. Przy drzwiach sięgnął po kurtkę i zgasił światło, starając się nie myśleć o parze oczu świecących czerwono w ciemności za jego plecami, a potem ruszył ku wyjściu z biura.

„To głupota”. Idąc w stronę wind, wyprostował się i wziął głęboki oddech.

„Jestem naukowcem, nie starym przesadnym durniem bojącym się ciemności. Za dużo pracuję”.

Cisza panująca w korytarzu była niczym balsam dla jego skołatanych nerwów, tak że nim dotarł do drzwi pracowni, oddech prawie wrócił mu do normy.

Elias, chodź...

Zatrzymał się przed drzwiami, nie mogąc się powstrzymać. Jak z oddali czuł, że jego dłoń sięga do kieszeni po klucze, przekręca je w zamku, słyszał lekki

świsł powietrza, gdy drzwi się otwierały, czuł zapach cedru, który wypełniał pomieszczenie, odkąd otworzyli trumnę, i smak strachu. Nogi poniosły go do przodu.

Plastikowa płachta zakrywająca trumnę leżała odrzucona z boku.

Trumna była pusta, nie licząc kupki rozsypujących się lnianych bandaży.

Przymus fizyczny opuścił go i Rax oparł się o stare drewno. Z cienia wyszedł mężczyzna przygarbiony ze starości, z oczami głęboko osadzonymi nad ostrymi kośćmi policzkowymi i ściągniętą skórą. Naukowiec w jakiś sposób oczekiwał, że do tego właśnie dojdzie, i tylko ta świadomość powstrzymała ogarniające go historyczne przerażenie. Od chwili, gdy pierwszy raz zobaczył pieczęć, czuł, że do tego dojdzie.

- Z...niszcz to. - Głos był skrzekliwy, brzmiał, jakby ktoś tarł o siebie dwoma kawałkami drewna.

Elias spojrział na lniane bandaże, a potem na człowieka, który miał je na sobie tak niedawno, że na jego skórze wciąż były po nich ślady.

- Co?

- Nie mogą zo...stać żadne do...wo...dy.

- Dowody? Czego?

- Mojego istnie...nia.

- Ale ty jesteś na to dowodem.

- Z...niszcz to.

- Nie. - Rax pokręcił głową. - Możesz być... -I wtedy do niego dotarło, przebiło się przez zasłonę losu, przeznaczenia czy co go tam chroniło przed uświadomieniem sobie, co właściwie się dzieje: ten człowiek, to coś, został pochowany za czasów osiemnastej dynastii, ponad trzy tysiące lat temu! Nie upadł tylko dzięki temu, że opierał się o trumnę, zaciskając na niej ręce. - Jak...?

Coś, co musiało być uśmiechem, wykrzywiło starożytne usta.

- Magia.

- Nie ma czegoś ta... - Najwidoczniej jednak było, protest więc zamarł mu na ustach.

Uśmiech zniknął, ustępując miejsca czemuś o wiele mniej przyjaznemu.

- Z...niszcz to.

Tak jak wtedy, gdy otwierał drzwi pracowni, umysł doktora Raxa został odepchnięty w najdalszy zakątek, a jego ciało poddało się innej woli. Tyle że tym razem był tego świadomy. Mgła zniknęła.

Patrzył na siebie, jak zbiera bandaże i niesie je do zlewu.

- To... też.

Walcząc ze sobą, podniósł ze stołu pasek z hieroglifami i dorzucił go do bandaży. Kiedy szedł do ciemni, wiedział już, że ta istota czerpie z jego umysłu. Ogień istniał w czasach osiemnastej dynastii, ale chemikalia nie. Butla skoncentrowanego kwasu askorbinowego wystarczyła, by rozpuścić zbutwiały materiał tak, że dało się wszystkie pozostałości spłukać. Chociaż drżały mu

dłonie, nie mógł ich powstrzymać przed wylaniem kwasu na materiał. Serce go bolało, gdy patrzył na rozpad artefaktów, i gniew dodał mu sił.

Powoli obrócił swoje ciało i napotkał spojrzenie oczu tak ciemnych, że nie dało się odróżnić źrenicy od tęczówki.

- To było niepotrzebne - zdołał wydyszeć. Oczy zwały się, a potem rozszerzyły. - Twój bóg nie poznał... swojej siły... dobrze dla mnie...

- O czym ty, do diabła... - Musiał przerwać, żeby wziąć oddech. "Brzmimy jak dwa fatalnie wyregulowane odbiorniki radiowe". - O czym ty mówisz? Mój bóg?

- Nauka - starożytny głos brzmiał coraz mocniej. - Wciąż jest tyłko przejawem. Nie dość silnym... by ocalić twój tyłek.

Rax zmarszczył brwi. Jego myśli plątały się, próbując wydobyć jakiś sens z niemożliwego - to nie była fraza, jakiej użyłby Egipcjanin z czasów osiemnastej dynastii.

- Mówisz po angielsku. Ale angielski nie istniał, kiedy...

- Kiedy żyłem?

- Skoro tak chcesz to nazwać... „Ten sukinsyn się świetnie bawi. Pozwala mi do siebie mówić”.

- Uczę się od ka, które zabieram.

- Od ka?!

- Tyle pytań, doktorze Rax.

- Tak... - Setki, tysiące pytań walczących ze sobą o pierwszeństwo. Być może stratę artefaktów da się jakoś zrekompensować. Aż zadrżał od ledwie wstrzymywanego podniecenia. Może da się zapełnić dziury w historii... - Tyle mógłbyś mi powiedzieć.

- Owszem. - Przez jedną chwilę na starożytnej twarzy pojawiło się coś na kształt żalu. - Całkiem przyjemnie byłoby uciąć sobie z tobą... pogawędkę. Nie...stety, potrzebuję tego, co ty możesz mi powiedzieć.

Doktor Rax patrzył, jak stara dłoń zaciska się boleśnie mocno na jego nadgarstku. „Uczę się od ka, które zabieram”. A ka to dusza... młody człowiek zmarł dziś rano... angielski nie istniał...

- Nie! - Zaczął się zapadać w otchłań hebanowych oczu. - Uwolniłem cię! „Tylu rzeczy jeszcze nie wiem!” - pomyślał. I to właśnie dało mu siłę, by walczyć.

Uścisk stał się mocniejszy.

Rax wolnym ramieniem wymachiwał w powietrzu, uderzał łokciem o szafki, zrzucił z półki pustą butelkę - nadaremnie.

Ale walczył do upadłego.

I przegrywał, pytanie po pytaniu. Jak, i dlaczego, i gdzie. I co? I wreszcie: kto?





- Nie sędę, żebyś zwariował.

- Skąd wiesz?

Vicki wzruszyła ramionami.

- Bo znam wariatów i znam ciebie. Henry opadł na kanapę obok niej i chwycił jej

obie dłonie w swoje.

- Więc czemu wciąż śnię o słońcu?

- Nie wiem, Henry. - Rozpaczliwie potrzebował ukojenia, lecz nie wiedziała, jak mu je dać. Tu trzeba było czegoś więcej niż stwierdzenia: „Moje biedactwo” i buziaka w nos. Wyglądał na tylko troszkę przestraszonego, za to kruchego, a wyraz jego twarzy sprawiał, że w jej gardle pojawiała się gęła uniemożliwiająca przełykanie i oddychanie. Jedyne zapewnienie, jakie mogła mu dać, to że z czymkolwiek będzie musiał się zmierzyć, nie będzie tego robił sam. - Ale wiem, że nie poddamy się bez walki. - My?

- Prosiłeś mnie o pomoc, pamiętasz? Skinął głową.

- No właśnie. - Kciukiem powiodła po jego dłoni. - Mówiłeś, że coś takiego przytrafiło się innym twojego rodzaju...?

- Znam takie opowieści. - Opowieści?

- Vicki, polujemy sami. Poza czasem przemiany niemal nigdy nie zadajemy się z innymi wampirami. Ale słyszy się opowieści...

- Wampirze plotki?

Wzruszył ramionami odrobinę skrępowany. - Jeśli tak chcesz to nazwać... - I te opowieści mówią, że...?

- Że czasem, kiedy stajemy się zbyt starzy, kiedy ciężar wszystkich przeżytych lat staje się zbyt wielki, nie możemy już znieść nocy i oddajemy się słońcu.

- A zanim to się stanie, przychodzą sny?

- Nie wiem.

Zamknęła jego dłoń w swojej.

- W porządku. Weźmy się do tego powoli, krok po kroczku. Zmęczyło cię życie?

- Nie. - Przynajmniej tego był pewien. Powód tego, że jak najbardziej chciał dalej żyć, siedział od

niego na wyciągnięcie ręki. - Ale, Vicki, chociaż bardzo się odmieniłem, ciało, umysł wciąż są w zasadzie ludzkie. Może...

- Może wystąpiło zmęczenie materiału? - wpadła mu w słowo, zaciskając mocniej rękę. - Planowy czas wyjścia z użycia? Zbliżasz się do piątego stulecia

i system się wali? - Zmarszczyła brwi i okulary zsunęły jej się na czubek nosa.

- Nie wierzę.

Henry wyciągnął rękę i poprawił jej okulary. - Nie można nie wierzyć snom - powiedział miękko.

- Fakt - przyznała. - Nie mogę. - Westchnęła głęboko i jeden kącik jej ust powędrował w górę. - Nie zaszkodziłoby, gdyby twój rodzaj był trochę bardziej komunikatywny, nie musielibyśmy wtedy poruszać się na oślep. Może zacznijcie wydawać jakieś

pismo, albo coś w tym rodzaju? - Uśmiechnął się na te słowa, tak jak się spodziewała, i trochę odprężył. - Henry, niecały rok temu nie wierzyłam w wampiry ani w demony, ani w wilkołaki, ani w siebie. Teraz już jestem mądrzejsza. Nie zwariowałeś. Nie chcesz umrzeć. W związku z tym nie oddasz się słońcu. Logiczne.

Musiał uwierzyć. Jej podejście śmiertelniczek w stylu „głupie gadanie” kazało mu odrzucić opcję szaleństwa.

- Zostaniesz do rana? - zapytał.

Przez chwilę nie mógł uwierzyć, że to powiedział. Równie dobrze mógłby rzec: „Zostań ze mną, póki jestem bezradny”. Na jedno wychodziło. Czy aż tak jej ufał? Zauważył, że rozumiała, o co mu

chodzi, a jej wahanie dało mu szansę na wycofanie się z prośby. Ale uświadomił sobie, że nie chce tego robić. Naprawdę aż tak jej ufał.

Czteryście pięćdziesiąt lat temu zapytałby: „Czy możemy się kochać?”

„A wątpisz w to?” - padłaby odpowiedź.

Cisza zaczynała się robić niewygodna. Musiał ją przerwać, nim ich od siebie oddzieli. Nim Vicki od niego oddzieli zmuszając ją do usłyszenia tego, czego usłyszeć - wiedział o tym - nie jest gotowa.

- Jeśli zacznę robić głupstwa, możesz mnie przywiązać do łóżka.

- Głupstwa wedle twojej definicji czy mojej? - pytała rzeczowo.

Jeśli się powiedziało A, trzeba powiedzieć B.

- Twojej. - Uśmiechnął się, złożył pocałunek na jej dłoni i odwrócił się twarzą do okna. Jeśli Vicki uważa, że jest zdrowy na umyśle, to i on musi tak uważać.

Może to, dlaczego śni o słońcu, jest mniej ważne od tego, jak sobie z tym poradzi. - Są na tej ziemi rzeczy... - mruknął.

Vicki oparła się plecami o poduszki.

- Boże, zacznam mieć dość tego cytatu.

# ROZDZIAŁ 4

Vicki widziała tysiące wschodów słońca, ale żadnego w ten sposób.

- Czujesz to?

- Co? - Półprzyciomna podniosła głowę z kolan Henry'ego.

- Słońce.

Nagły zastrzyk adrenaliny sprawił, że natychmiast oprzytomniała i rzuciła się do przodu, spoglądając mu w twarz. Wydawał się bardzo skupiony, brwi miał ściągnięte, oczy zwężone. Zerknęła za okno. Chociaż wychodziło na południe, nie na wschód, niebo z pewnością zaczęło jaśnieć.

- Henry?

Zamrugnął skoncentrowany, a kiedy zobaczył wyraz jej twarzy, pokręcił głową, uśmiechając się jednocześnie uspokajająco i z lekkim zażenowaniem.

- W porządku, tak jest co rano. To takie ostrzeżenie... - Zaczął mówić mechanicznym tonem, jak komputer z filmu science fiction: - Masz piętnaście minut na dotarcie do minimalnie bezpiecznej ciemności.

- Dobra. - Vicki wstała, wciąż trzymając go za nadgarstek. - Piętnaście minut. Idziemy.

- Żartowałem - zaprotestował, kiedy pociągnęła go na nogi. - To nie jest takie konkretne ostrzeżenie. Bardziej przecucie.

Vicki westchnęła i zerknęła nerwowo za okno na różowe promienie, które - była pewna - już dotykały krawędzi miasta.

- Niech będzie, że to tylko przecucie. Co zwykle robisz, gdy je masz?

- Idę do łóżka.

- No więc?

Przez chwilę w skupieniu wpatrywał się w jej twarz, potem westchnął i skinął głową.

- Masz rację. - Uwolnił dłoń, odwrócił się na pięcie i przeszedł przez salon.

- Henry?

Zatrzymał się, ale nie odwrócił, spojrzał tylko na nią przez ramię.

„Nie muszę zostawać, jeśli jesteś pewny, że wszystko w porządku”. Tyle że nie był pewny. Dlatego właśnie Vicki tu była. I choć mógł żałować, że jej to zaproponował - od razu zauważyła, że zaczął się natychmiast wahać - powód tego wszystkiego nadal istniał. Wyglądało na to, że oboje będą musieli poradzić sobie ze wschodem słońca, a ona powinna to potraktować jak każde

inne zlecenie. „Klient obawia się, że w pewnej sytuacji może popełnić samobójstwo. Ja mam go powstrzymać”. Uświadomiła sobie, że Henry wciąż czeka, aż ona coś powie.

- Eee... Jak się czujesz?

Henry obserwował paradę emocji na twarzy Vic-ki. „Dla ciebie to też nie jest łatwe, prawda?” - pomyślał.

- Czuję słońce - powiedział miękko i wyciągnął rękę.

Ujęła ją z wyrazem twarzy, który nauczył się już rozpoznawać jako „pracuję”, i razem weszli do sypialni.

Kiedy Vicki pierwszy raz zobaczyła łóżko Henry'ego, była w jakiś irracjonalny sposób zawiedziona. Wiedziała już wtedy, że nie spędza on dni w trumnie, leżąc na kupce ziemi ze swojej ojczyzny, ale w duchu liczyła na coś bardziej egzotycznego. Ogromne łożo -

„Założę się, że twój stary chciałby mieć takie...” -z białą bawełnianą pościelą i ciemnoniebieską narzutą wyglądało zdecydowanie zbyt normalnie.

Tego ranka wysunęła swoją dłoń z jego i zatrzymała się tuż za progiem.

Miękki krąg światła padającego z lampy przy łóżku całkowicie ją oślepił, lecz wiedziała - powiedział jej to, gdy weszła tu po raz pierwszy - że ciężkie, błękitne aksamitne kotary zasłaniają nie tylko okno, ale także płytę ze sklejki pomalowaną na czarno i uszczelnioną przy krawędziach. Po drugiej stronie płyty inna kotara skrywała drewno przed wścibskimi oczami świata. To była bariera mająca trzymać słońce na bezpieczną odległość. Bariera, którą - Vicki o tym wiedziała -

Henry mógł zwalić w ciągu jednej sekundy, gdyby przyszło mu to do głowy. A ona miała go przed tym powstrzymać.

Zatrzymawszy się przy łóżku, Henry zawahał się z palcami już na guzikach koszuli. Ku swemu zaskoczeniu odkrył, że czuje się nieswojo, rozbierając się przed kobietą, z którą się kochał - i z której pił -od miesiący. „Bzdura!...

Pewnie nawet cię nie widzi przy tym świetle”.

Pokręcił głową i szybko się rozebrał, myśląc o tym, że bezradność niesie o wiele większą intymność niż seks.

Coraz mocniej czuł słońce, mocniej niż kiedykolwiek. „Jesteś dzisiaj po prostu przewrażliwiony”. Boże, miał nadzieję, że to tylko to.

Dla Vicki patrzącej na bladą plamę, która pojawiała się i znikwała, kiedy Henry wchodził w krąg światła lampki i wychodził z niego, tkwienie przy drzwiach na straży nagle przestało mieć sens.

- Henry, co ja tu u diabła robię? - Podeszła na tyle blisko, by widzieć wyraźnie jego twarz, i delikatnie oparła mu dłoń na piersi, zatrzymując go w pół ruchu.

- Nie przeszkodzę ci... - Skrzywiła się, stwierdzając, że te słowa są niewłaściwe, - Nie dam nawet rady cię przytrzymać.

- Wiem. - Przykrył jej dłoń swoją, jak zawsze podziwiając jej ciepło i krew pulsującą tuż pod skórą.

- Świetnie. - Wywróciła oczami. - Więc niby co mam robić, jeśli rzucisz się ku słońcu?

- Bądź przy mnie.

- I mam patrzeć, jak umierasz?

- Nikt. nawet wampir, nie chce umierać samotnie.

Mogło to zabrzmieć żartobliwie, lecz nie zabrzmiało. Czy już kilka godzin wcześniej nie uświadomiła sobie, że tylko to może mu dać? Wtedy jednak nie zdawała sobie sprawy, że może do tego dojść.

Oddychając ciężiej niż zwykle i żałując, że światło nie jest na tyle mocne, by mogła dostrzec wyraz jego twarzy, Vicki zdołała powstrzymać się przed wyrwaniem mu swojej dłoni. „Bądź przy mnie”. W zasadzie to nie było nic więcej od tego, czego kiedykolwiek chciał od niej Celluci. Tylko okoliczności były inne.

-Jezu Chryste, Henry... - Nie bez wysiłku zdołała zapanować nad głosem tak, że zabrzmiał spokojnie. - Nie będziesz mi tu, kurwa, umierał, jasne?

Wkładaj piżamkę, smoking czy w czym tam śpią nieumarli, i do łóżka.

Puścił ją i rozłożył szeroko ramiona, jasno dając do zrozumienia, w czym śpi.

- Dobra. - Wskazała na łóżko i patrzyła, gdy posłusznie się kładł, po czym, poprawiając okulary, usiadła na skraju materaca. Kiedy zmrużyła oczy, widziała rysy jego twarzy. - Wszystko w porządku?

- A ma nie być?

- Henry!

- Czuję słońce wynurzające się zza horyzontu, ale myślę tylko o tobie.

- Dziś jesteś jednym wielkimi kłębkim stereotypów. - Ulga w jej głosie sprawiła, że zabrzmiało to jak prawda. - Co się stanie? Z tobą, teraz?

Wzruszył ramionami, poruszając przy tym pościel.

- Z twojego punktu widzenia, nie mam pojęcia. Z mojego, znikam do zachodu słońca. Żadnych słów, żadnych bodźców fizycznych - mówił coraz wolniej za sprawą rosnącego ciężaru świtu. - Pustka.

- Co mam robić? Uśmiechnął się.

- Pocałuj mnie... na dobranoc.

Jej wargi były na jego ustach, kiedy słońce wstało. Czują, jak dzień bierze go w posiadanie. Powoli podniosła się z powrotem do pozycji siedzącej.

- Henry?

Wyglądał przerażająco młodo. Przerażająco krucho.

Złapała go za ramiona i mocno nim potrząsnęła.

- Henry!

Serce zawsze mu biło wolno, ale teraz, kiedy przycisnęła ucho do jego klatki piersiowej, wcale go nie słyszała.

W tym stanie mogła z nim zrobić, cokolwiek by chciała. Całkowicie i absolutnie oddał się w jej ręce.

„Bądź przy mnie”. Tylko o to prosił ją zawsze Celluci. Tylko o to ona zawsze jego prosiła w zamian.

„Bądź przy mnie”. To oznaczało wiele więcej niż to, o co Henry prosił.

- Henry, ty draniu jeden... - Zdjęła okulary i potarła oczy. - Co niby ja mogę ci dać w zamian, żeby równało się z tym?

Kilka chwil później wzięła się w garść i stanęła przed bardziej prozaicznym problemem.

- Co teraz? Wyjść? Czy zostać i pilnować cię przez cały dzień? - Potężne ziewnięcie niemal wywichnęło jej szczękę. Podczas długiego oczekiwania na świt niewiele spała. - Albo położyć się obok ciebie?

Pogładziła delikatnie palcem jego policzek. Skóra była chłodna. I sucha. Zawsze taka była, ale w nocy, ruchoma, nigdy nie zdawała się taka... pozbawiona życia.

- No dobra, z ostatniego pomysłu rezygnujemy. Nawet gdyby spróbowała, nie dałaby rady zasnąć

obok ciała - podczas nieobecności w nim ducha Henry'ego - kiedy władał dzień. Podniosła z pod-

łogi jego porzucone spodnie i zaczęła obmacywać kieszenie w poszukiwaniu kluczy.

- Idę do domu - powiedziała tylko po to, żeby usłyszeć swój głos i zrównoważyć absolutny bezruch Henry'ego. - Prześpię się i wrócę przed zmrokiem. Nie bój się, zamknę za sobą drzwi. Będziesz bezpieczny.

Lampka stojąca przy łóżku miała wyłącznik przy drzwiach. Vicki spojrzała jeszcze na rozmazaną plamę światła, a potem jednym ruchem pograżyła pokój w absolutnej ciemności.

Już trzymała dłoń na klamce, gdy naraz zamarła przerażona.

- Jak mam, do diabła, stąd wyjść? - Pod palcami wyczuwała uszczelki na krawędzi drzwi, uniemożliwiające dostęp światłu. Czy może wyjść, nie niszcząc przy tym Henry'ego? Świetnie. Drzwi głucho przyznały jej rację, kiedy lekko uderzyła w nie czołem. - Zostaję, żeby go ocalić od samobójstwa, i w rezultacie popełniam morderstwo. Iść czy zostać?

W korytarzu będzie jasno, światło będzie wpadać przez otwarte drzwi do gabinetu i jeśli ona otworzy te drzwi... Czy zagrożenie stanowi tylko światło słońca padające bezpośrednio? Czy rozproszone też jest groźne?

„Powinniśmy byli o tym wcześniej porozmawiać, Henry”. Nie mogła uwierzyć, że żadne z nich nie przejmowało się niczym poza światem.

Oczywiście, mieli inne rzeczy do roboty.

Nie mogła ryzykować. Drzwi wejściowe były zamknięte, łańcuch założony. Henry był tu bezpiecz-

ny tak jak zawsze. Po prostu tego dnia miał towarzystwo.

Z zamkniętymi oczami - dobrowolne pozbawienie się możliwości widzenia pomogło - dotarła z powrotem do łóżka i położyła się na przykryciu tak daleko od nieruchomego ciała Henry'ego, jak tylko się dało.

Wszystkie zmysły mówiły jej, że jest sama, ona jednak wiedziała, że to nieprawda. Cały pokój zaczął jej przypominać trumnę. Czuła, jak ciemność na nią napiera, stając się skrzynią o wymiarach dwa metry na pół metra na sześćdziesiąt centymetrów, i starała się nie myśleć o Edgarze Allanie Poe i przedwczesnych pochówkach.



- Jak zmarł?

- Jego serce stanęło. - Zastępca koronera, doktor Singh, ściągnął rękawiczki. - A to, jakkolwiek patrzeć, może zabić każdego. Jeśli chce pan wiedzieć, jdlaczego zmarł, proszę mi zadać to pytanie za kilka godzin, jak już odleży swoje na moim stole.

- Dziękuję, doktorze.

Odpowiedział mu uśmiechem, nie zważając na sarkazm.

- Żyję, by służyć. Nie trzymajcie go tu zbyt długo. - Idąc do drzwi, zatrzymał się i rzucił jeszcze: - Tak na marginesie, biorąc pod uwagę pozycję, powiedziałbym, że był martwy, zanim dotknął podłogi.

Mike Celluci machnął ręką, dając znak, że usłyszał, i ze zmarszczonym czołem przykląkł przy ciele.

Jego partner, Dave Graham, zajrzał mu przez ramię i gwizdnął przez zęby.

- Ktoś ma niezły uścisk.

Celluci burknął coś, zgadzając się. Fioletowe i zielone siniaki na lewym nadgarstku wyraźnie tworzyły ślady czterech palców i kciuka. Lewe ramię było odrzucone na bok.

- Upuszczono go, kiedy już nie żył - powiedział cicho Dave.

- Też tak myślę. Spójrz na twarz. -Nic

- Zgadłeś za pierwszym razem. Żadnego strachu, zaskoczenia, nic. Żadnych śladów po ostatnich chwilach jego życia.

- Prochy?

- Możliwe. Ładna kurtka. - Celluci wstał. - Ciekawe, czemu nie zabrano jej razem z butami...

Schodząc mu z drogi, Dave wzruszył ramionami.

- A kto to wie? Zabrali gotówkę, ale nie karty kredytowe. Bilet miesięczny też mu zostawili.

Ostrożnie omijając wyrysowane kredą na podłodze linie i leżące wokół odłamki szkła, obaj mężczyźni podeszli do zlewu. Tam gdzie już wcześniej stał była zadrapaną, wżarł się w nią kwas. Z odpływu wciąż czuć było

amoniak.

- Ani śladu tego, czego się pozbył..

- Albo kogo się pobyl - prychnął Celluci. - Kevin! - Technik, który klękał przy ciele, spojrzał w górę. - Chcę mieć odciski palców z tego szkła.

- Ze szkła? - Tylko podstawa i chroniona przez nakrętkę szyjka były na tyle duże, że można by je nazwać kawałkami. - A jak już to będę robił, może przy okazji wynajdę lekarstwo na raka?

- Proszę bardzo, ale najpierw odciski. Harper! Policjant, który gapił się na trumnę, wyprostował się gwałtownie i obejrzał.

- Tak, sierżancie?

- Niech ktoś oczyści kolanko... tę zakrzywioną rurę pod zlewem - dodał, widząc niezrozumienie na twarzy Harpera. - Jest w nim woda, może dość, żeby rozcieńczyć kwas i dać nam jakieś pojęcie o tym, co tu splukali. Gdzie ten facet, co znalazł ciało?

- W biurze... Nazywa się... - Harper zmarszczył brwi i zerknął do swoich notatek. - Raymond Thompson. To badacz, pracuje tu od półtora roku. Część personelu już przyjechała i też tam są. Mój partner jest z nimi.

- A biura są...?

- Na końcu korytarza po prawej. Celluci skinął głową i ruszył do drzwi.

- Skończyliśmy z dałem. Jak tylko reszta zeżre swoje ochłapy, możecie go zabrać.

-Jak zawsze czarujący - mruknął Dave, uśmiechając się. Wyszedł za swoim partnerem na korytarz. - Skąd tyle wiesz o hydraulice?

- Mój ojciec był hydraulikiem.

- Tak?... Ty sukinsynu, nigdy mi nie powiedziałeś, że z urodzenia jesteś nadziany.

- Nie chciałem, żebyś zaczął ode mnie pożyczać forszę. - Celluci skinął głową w stronę pracowni. -Co o tym myślisz?

- Dobry doktor przeszkodził intruzowi?

- A woźny, którego stąd wczoraj zabrali?

- Mówiłeś, że zobaczył mumię i dostał ataku serca.

- Więc gdzie jest mumia?

Na czole Dave'a pojawiła się zmarszczka. Trumna z pewnością była pusta, a w pracowni, choć pełnej wszelkiego rodzaju starożytnych gratów, nie zauważył żadnego ciała schowanego w kącie.

- Intruz ją zabrał?... Doktor Rax porąbał ją na kawałki, oblał kwasem i splukał w zlewie?... Ożyła i poszła straszyć na mieście?... - Zobaczył wyraz twarzy Celluciego i roześmiał się. - Stary, za dużo pracujesz.

- Może. - Celluci pchnął drzwi z tabliczką „Dział Egiptologii” odrobinę mocniej, niż było trzeba. „A może nie?”

Nie licząc umundurowanego policjanta, w dużym pomieszczeniu siedziało pół tuzina ludzi, wszyscy z wyrazami szoku albo niedowierzania na twarzy.



Dwie osoby płakały cicho, na biurku pomiędzy nimi stało opróżnione do połowy opakowanie chusteczek. Dwie inne kłóciły się, a ich głosy nieustannie szumiały w tle. Jedna siedziała z głową ukrytą w dłoniach. Doktor Shane, jednocześnie smutna i rozgniewana, wstała i podeszła do wchodzących detektywów.

- Jestem doktor Rachel Shane, zastępca kustosza. Co się stało? Nie, chwileczkę... - Nim którykolwiek z nich zdążył się odezwać, podniosła rękę. - To głupie pytanie. Wiem, co się stało. - Wzięła głęboki oddech. - Co teraz będzie?

Celluci pokazał swoją odznakę - kątem oka zobaczył, że Dave robi to samo - i trzymał ją, podczas gdy doktor Shane najpierw skupiła się na odznace, a potem znowu na nim.

- Jestem detektyw sierżant Celluci. Mój partner, detektyw sierżant Graham. Chcielibyśmy porozmawiać z Raymondem Thompsonem.

Młody mężczyzna siedzący z twarzą w dłoniach wyprostował się natychmiast. Był blady i miał szeroko otwarte oczy.

- Chcielibyśmy, żeby na razie w biurze doktora Raksa niczego nie ruszać - ciągnął Celluci, starannie używając tonu, jakim stwierdza się proste fakty, taki ton bowiem większość ludzi uważa za uspokajający. - Pani doktor...? - zwrócił się do Rachel.

- Tak, tak, oczywiście. Skorzystajcie z mojego biura. - Wskazała na drzwi, a potem złożyła dłonie tak mocno, że opuszki palców pociemniały pod wpływem nacisku.

- Dziękujemy.

Zaskoczył ją ciepły ton jego głosu i w widoczny sposób odprężyła się. Nie po raz pierwszy Dave podziwiał, jak Celluci potrafi w dwóch słowach zawrzeć komunikat: „Wiem, że cierpisz, ale liczymy na ciebie. Jeśli ty się załamiesz, reszta też”.

Raymond Thompson był wysoki, szczupły i wydawało się, że nie jest w stanie stać bez ruchu. Jego stopa, dłoń czy głowa nieustannie się poruszały.

Przyszedł wcześniej, żeby nadrobić zaległości spowodowane zamieszaniem wokół sarkofagu, i znalazł doktora Raksa na podłodze w pracowni.

- Nie dotykałem ani jego, ani niczego innego poza telefonem. Zadzwoiłem na 911, powiedziałem, że znalazłem ciało, i wyszedłem na korytarz. Chryste, to jest takie... takie... chodzi mi o to... ktoś go zabił?

- Jeszcze nie wiem, panie Thompson. - Dave Graham przysiadł na skraju biurka, jedną nogą poruszając leniwie w powietrzu. - Bardzo by nam pomogło, gdyby zdołał pan sobie przypomnieć, jak wyglądała pracownia. Czy tak samo, jak wtedy, gdy ją pan poprzednio widział?

- Nie przyjrzałem się. Boże, mój szef tam przecież leżał martwy na podłodze!  
- Ale jak zobaczył pan ciało, musiał się pan rozejrzeć. Po to, żeby się upewnić, czy nikogo innego tam nie ma.

- No tak...

- A pracownia...

Młody mężczyzna przygryzł górną wargę, próbując sobie przypomnieć, zobaczyć coś więcej niż tylko leżące ciało mężczyzny, którego lubił i szanował.

- Na podłodze było szkło - powiedział powoli. -I plastikowa płachta była ściągnięta z trumny... ta trumna wygląda jak z osiemnastej dynastii, a sarkofag jest z czasów szesnastej, naprawdę dziwne... No, ale niczego nie brakowało. Mamy tam dość cenne fajanse i zrekonstruowany złoty napierśnik, wszystko było na miejscu. Dave uniósł brew.

- Fajanse? Napierśnik?

- Fajans to taki rodzaj ceramiki, a napierśnik... -Długie palce zakreśliły jakieś wzory w powietrzu. -Chyba można powiedzieć, że to taki grubszy naszyjnik.

- Wartościowy nie tylko historycznie? Ray Thompson wzruszył ramionami.

- Więcej niż jego połowa jest z osiemnastokara-towego złota.

Celluci odwrócił się od okna, przez które spoglądał na samochody na Queen's Park Road, pozwalając partnerowi zadawać pytania. Jakikolwiek był powód śmierci doktora Raksa, był gotów się założyć, że nie chodziło o rabunek.

- A co z mumią?

- Nie było żadnej mumii.

- Tak? - Zrobił krok w przód. - Wczoraj rano, kiedy wynoszono stąd sprzątacza, rozmawiałem z policjantką, która przyjechała na miejsce. Powiedziała mi, że facet zobaczył mumię i dostał ataku serca. Krótko mówiąc, umarł ze strachu.

- Myślał, że zobaczył mumię. Ktoś wsadził do sarkofagu pustą trumnę i zapieczętował go. Cieszyliśmy się, że wpadł nam w ręce kawałek historii, a dostaliśmy tylko powietrze. - Ray zaśmiał się krótko

i gorzko. - Może właśnie to zabiło doktora Raksa: naukowe rozczarowanie.

- Więc nie było mumii? - Nie.

- Jest pan pewien?

- Proszę mi wierzyć, detektywie, zauważyłbym ją na pewno.

Celluci dostrzegł pytające spojrzenie swojego partnera i niechętnie przełknął to, co właśnie miał powiedzieć. Przez chwilę bardzo chciał uwierzyć, że źle zrozumiał funkcjonariuszkę Trembley...

Reszta pracowników nie wniosła nic nowego do sprawy. Wszyscy lubili doktora Raksa. Jasne, czasem się z nim nie zgadzali, ale dwunastu egiptologów w jednym pomieszczeniu oznacza, że jest tam też tuzin różnych opinii na jeden temat. Nie, nigdy nie było żadnej mumii. Profesjonalna zazdrość?

Doktor Shane westchnęła i odgarnęła włosy z czoła.

- Był kustoszem niedofinansowanego działu prowincjonalnego muzeum. To dobra posada, może nawet prestiżowa w porównaniu z innymi, ale nie warta, by z jej powodu zabijać.

- Przypuszczam, że jako zastępca kustosza jest pani następna w kolejce do tego stanowiska. - To była tylko obserwacja, bardzo wyważona.

- Pewnie tak. Szlag by to trafił, jestem chyba jedyną osobą, która nienawidzi papierkowej roboty bardziej niż on... - Przycisnęła dłonie do ust i zacisnęła powieki. - O Boże... - Chwilę później podniosła wzrok. Jej rzęsy były mokre. - Przepraszam. Zwykle nie jestem płaczliwa.

- No cóż, to nie jest zwykły dzień - powiedział łagodnie Celluci, podając jej chusteczkę. - Dave, powiedz pozostałym, że kto chce, może iść do domu. Ale wspomnij, że jak technicy skończą, trzeba będzie zrobić całkowitą inwentaryzację pracowni. Może niektórzy zostaną. Im szybciej się dowiemy, czy coś zginęło, tym lepiej.

Kiedy Dave wyszedł, Rachel Shane wydmuchała nos.

- Nieźle się pan tu rządzi, detektywie.

- Przepraszam. Jeśli woli im pani sama powiedzieć...

- Nie. Dobrze pan sobie radzi. „Założę się”, pomyślała, „że kiedy miał osiemnaście lat, wyglądał jak Dawid Michała Anioła”. Znowu zamknęła oczy. „Boże, nie wierzę w to. Elias nie żyje, a ja tu siedzę i rozmyślam o tym, jaki ten gliniarz jest przystojny”.

- Pani doktor...? Wszystko w porządku? - Tak. - Otworzyła oczy i zdobyła się na uśmiech. - Naprawdę.

Celluci skinął głową. Nie mógł nie zauważyć, że doktor Rachel Shane ma bardzo atrakcyjny uśmiech, nawet teraz, gdy przepełniał ją smutek. Zastanawiał się, jak by się uśmiechała, gdyby miała jakieś weselsze powody.

- No dobrze. - Rachel wyrzuciła chusteczkę do kosza. - Zajął się pan moim personelem, a jakie plany ma pan wobec mnie?

Celluci poczuł, że uszy mu czerwienieją, i to nie bez powodu. Odchrząknął i westchnął w myślach z ulgą, że nie był ostatnio u fryzjera.

- Mogłaby pani sprawdzić biuro doktora Raksa? Pani najszybciej z nas wszystkich zorientuje się, czy coś tam się zmieniło.

Biuro kustosza znajdowało się po drugiej stronie pokoju socjalnego. Kiedy funkcjonariusz Harper dał mu znak, żeby podszedł do drzwi na korytarz, Celluci zostawił doktor Shane, by poszła do biura sama.

- Co jest? -Prasa. - No i?

- Czy ktoś nie powinien wygłosić oświadczenia, choćby po to, żeby przestali próbować wyłamywać drzwi?

Celluci prychnął.

- Już ja im dam oświadczenie!...

Patrząc, jak detektyw przemierza korytarz z uniesionymi ramionami i podwiniętymi palcami, funkcjonariusz Harper zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej było poczekać, aż sierżant Graham skończy z egiptologami, których zabrał do pracowni. Czuł, że prasa dostanie oświadczenie, którego nie będzie mogła wydrukować.

Grupa dziennikarzy zebrana w lobby rozpoznała detektywa, jak tylko strażnik muzeum otworzył mu drzwi.

- Świetnie - mruknął ktoś. - Mister Koleżeństwa z wydziału zabójstw.

Pytania zaczęły fruwać w powietrzu z prędkością kul z karabinu maszynowego. Celluci czekał,

patrzając na dziennikarzy w milczeniu. Kiedy hałas nieco przycichł, odchrząknął i zaczął mówić tonem, który jasno dawał do zrozumienia, co policjant myśli o swojej publiczności.

- Dziś we wczesnych godzinach porannych znaleziono w pracowni Działu Egiptologii białego mężczyznę, który zmarł z niewyjaśnionych przyczyn. Oczywiście podejrzewamy, że nie z naturalnych, inaczej mnie by tu nie było. Jeśli chcecie coś więcej, będziecie musieli poczekać.

- A co z mumią? - Reporter stojący z przodu wysunął rękę z mikrofonem. - Słyszeliśmy, że mumia jest elementem tej sprawy.

Tak, co z mumią? Chociaż wciąż niepewny, czy to prawda, Celluci powtórzył oficjalną wersję.

- Nigdy nie było żadnej mumii, tylko pusta trumna badana przez Dział Egiptologii.

- Czy to możliwe, że trumna spowodowała oba zgony w muzeum?

- A niby jak? - zapytał sucho Celluci. - Spadła na nich?

- A co ze starożytną klątwą?

„Starożytna klątwa pochłonęła dwie ofiary”. Już widział te nagłówki.

- Nie bądź pan dupkiem.

Reporter w ostatnich chwili cofnął mikrofon i uśmiechając się miło, zapytał:

- Detektywie, mogę pana zacytować? Uśmiech Celluciego był równie szczery.

- Możesz pan sobie wytatuować to na klatce.

Kiedy wrócił na górę, zastał doktora. Jego partnera stojących pod drzwiami biura doktora Raxa.

Gdy podszedł bliżej, Dave odwrócił się do niego.

- Mike, pani doktor coś dla nas ma. Doktor Shane odgarnęła włosy z twarzy i potarła czoło.

- To może nic nie znaczyć... - Spojrzała na Celluciego, a kiedy ten skinął zachęcająco głową, kontynuowała: - Chodzi o to, że Elias zawsze trzymał w biurze garnitur na wypadek zebrania z zarządem albo jakiegoś oficjalnego spotkania. Nie lubi nosić... - urwała, zamknęła na chwilę oczy, po czym podjęła: - Nie lubił nosić garniturów dłużej, niż musiał. Kiedy wychodziłam wczoraj, jego szary garnitur, biała koszula i bordowy jedwabny krawat wisiały przy drzwiach. Teraz ich nie ma.

Dwaj detektywi wymienili spojrzenia. Celluci pierwszy się odezwał.

- Zapasowe buty też tu miał?

- Nie. Zawsze mówił, że gdzie nie można wejść w mokasynach, nie warto w ogóle wchodzić... - Dolna warga zaczęła jej drżeć, lecz Rachel z widocznym

wysiłkiem zapanowała nad sobą. - Cholera, naprawdę będę za nim tęsknić.

- Doktor Shane, jeśli chce pani teraz wrócić do domu...

- Dziękuję, ale wolałabym zrobić coś pożytecznego. Jeśli nie jestem już panom potrzebna, pomogę przy inwentaryzacji. - Z wysoko uniesioną głową przeszła przez pomieszczenie i zatrzymała się przy drzwiach. - Mam nadzieję, że kiedy złapiecie sukinsyna, który to zrobił, wyrwiecie mu żywcem serce i rzucicie krokodylom.

- Eee... już tego nie praktykujemy, pani doktor.

- Szkoda.

Kiedy zostali sami, Dave westchnął ciężko i przysiadł na rogu biurka,

- Technicy przeszukali całe biuro. Ta sprawa robi się coraz dziwniejsza... -

Pogłodził się po brodzie. -Wygląda na to, że doktor Rax przeszkodził nagiemu intruzowi. Jaki psychol włóczyłby się po zapleczu muzeum?

Głęboko pogrążony we własnych myślach Celluci zignorował go. Wspomnił pentagram i huma-

noidalną kreaturę w jego wnętrzu, mężczyznę, który rozebrał się, przemienił i rzucił mu się do gardła z wyszczerzonymi wilczymi zębami, Henry'ego Fitzroya, który nie był człowiekiem, nawet jeśli był nim kiedyś. Przypomnił sobie, że rzeczy nie zawsze są takie, jakie się wydają.

Zastanawiał się, jaka istota wyszłaby z trumny po wiekach spędzonych nieruchomo w zamknięciu w mrocznym pudle.

Tyle że tutaj nie było przecież żadnej mumii.



Otumaniał umysł strażniczki tak, że otworzyła mu drzwi i życzyła dobrego dnia, nie zastanawiając się nawet, czemu starszy mężczyzna w źle dopasowanym garniturze wychodzi z muzeum, nim zostało otwarte. Kiedy był już na zewnątrz, odwrócił się, uśmiechnął i wymazał z jej pamięci wspomnienie o tym zdarzeniu. Potem przeszedł przez ulicę i usiadł na ławce, odpoczywając i rozkoszując się przestrzenią wokół siebie oraz tym, że może się ruszać, czekając, aż wspomnienia, które przejął, powiedzą mu, że nadszedł czas. Pierwsze ka, które wchłonął, posłużyło mu do reanimowania siebie i zatarcia śladów. Drugie zapewniło istotną wiedzę, ale mało energii życiowej, bo doktorowi Raxowi pozostała zaledwie jedna trzecia lat, które już przeżył. Żeby odzyskać młodość i moc, potrzebował młodego ka z niemal

nienaruszonym potencjałem.

Poruszając się ostrożnie, bo ten nowy kraj był straszliwie zimny i większość swojej energii zużył na utrzymanie ciepła, kiedy czekał, zszedł pod ziemię w chwili, którą oba zestawy ukradzionych wspomnień określały jako godziny szczytu. Zapłacił, bardziej z chęci wypróbowania nowości niż z potrzeby, i wyszedł na peron metra. W tej samej chwili ściany zaczęły się do siebie zbliżać. Serce zaczęło bić mu tak mocno, że aż obijało się o żebra, dłoń powędrowała w górę, chcąc zatrzymać spadający sufit. Uciekłby, gdyby mógł, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa i mógł tylko starać się wytrzymać. Trzy pociągi przejechały, nim się uspokoił, uświadomiwszy sobie, że przestrzeń nie jest tak mała, jak myślał, i że jeśli tak ogromne metalowe potwory mogą się w niej poruszać, to on też.

Przejechał jeszcze jeden pociąg, któremu przyglądał się zadziwiony - wspomnienia obu mężczyzn nie oddawały w pełni jego wielkości, szybkości, hałasu, jaki czynił, ani wrażenia, jakie robiła sama obecność maszyny - i drugi, nim znalazł to, czego szukał. Prawie zrezygnował, gdy zobaczył, jak mało miejsca zostało, ale potrzeba zdobycia mocy była silniejsza niż strach, toteż w ostatniej chwili wcisnął się do środka.

Uczniowie w identycznych mundurkach pod jesiennymi kurtkami byli tak mocno ściśnięci przez otaczający ich tłum, że szarpnięcia pociągu nie mogły ruszyć ich z miejsca. Śmiali się i rozmawiali, nawet ci, którzy mogli się czegoś przytrzymać, nie robili tego, pewni, że nie upadną.

Podszedł tak blisko, jak mógł, i nerwowo zaczął szukać najmłodszego. Nie wiedział, jak długo jeszcze zniesie przebywanie w tłoku.

Ku jego zaskoczeniu jeden z chłopców nosił ochronę, która odegnała jego ka i sprawiła, że jęknął z bólu. Mamrocząc pod nosem zakłęcie, z niechęcią patrzył na aureolę złotego światła. Bogowie tej nowej ery może i są słabi, lecz jeden z nich dotknął tego dziecka - nawet jeśli ono samo nie było jeszcze świadome powołania - i nim nie wolno mu będzie się pożywić.

Nieważne. Było wielu takich, co żyli bez żadnej ochrony.

Długą chwilę trwało, nim napotkał spojrzenie szaroniebieskich oczu chłopca, którego wybrał, bo

jego wzrok wędrował wokół, szukając drogi ucieczki. Chłopiec, widząc nieszkodliwego staruszka, który wyglądał na zaniepokojonego, uśmiechnął się odrobinę niepewnie, ale życzliwie. Uśmiech został aż do końca i był ostatnim okruszkiem straconego życia.

Otoczający chłopca tłum ludzi utrzyma ciało w pionie do chwili, kiedy on będzie już daleko.

Na następnej stacji pozwolił, by ludzie unieśli go ze sobą z pociągu. Kiedy szedł przez peron, moc nowego ka spalała jego strach i starość. Ci, którzy widzieli zewnętrzne zmiany - prostujące się plecy, ciemniejące włosy - odrzucali to, a on podziwiał, jak wszystko wykraczające poza wąską percepcję „możliwego” po prostu umyka z ich umysłów. Z tych ludzi, z tych

żałosnych kawałków oddychającej gliny zbuduje imperium, które przyćmi wszystkie imperia z przeszłości.



Tak jak podczas dwóch poprzednich nocy Henry obudził się z obrazem złocistego słońca odcisniętym w myślach. Jednakże po raz pierwszy nie towarzyszył mu strach przed szaleństwem. Zapach krwi w jego sanktuarium był tak silny, że szaleństwo w obliczu Głodu stało się drobiazgiem.

- Dzięki Bogu, wreszcie się obudziłeś.

Potrwało chwilę, zanim był w stanie sformułować myśl.

- Vicki...?

Jej głos był piskliwy i napięty, co sprawiało, że ciężko go było rozpoznać. Usiadł, przez chwilę ją widział, jak stoi z plecami przyciśniętymi do drzwi, a potem musiał zasłonić oczy przed nagłym blaskiem, gdy włączyła światło.

Kiedy odzyskał zdolność widzenia, drzwi były otwarte, a jej nie było. Podążył za wonią krwi do salonu. Znalazł Vicki siedzącą na kanapie, z palcami zaciśniętymi na tapicerce. Wszystkie światła, których włączniki mijala, były zapalone. Głód pulsował równo z jej sercem.

Spojrzała niego, kiedy ruszył w jej stronę.

- Henry, nie.

Gdyby był młodszy, może nie zdołałby się powstrzymać, ale czterysta pięćdziesiąt lat nauczyło go przynajmniej samokontroli.

- Co się stało?

- Spędziłam dzień zamknięta z tobą w pokoju, to się stało!

- Co?

- Jak mogłam wyjść? Nie mogłam otworzyć drzwi tak, żeby nie wpuścić przy tym odrobiny słońca, a że miałam cię powstrzymać od popełnienia samobójstwa, to raczej nie mogłam cię sama usmażyć, - Zaśmiała się chrapliwie. - Dobrze, że przynajmniej masz tam łazienkę.

- Vicki, przepraszam... - Zrobił krok w przód, lecz uniosła obie dłonie.

Zatrzymał się, chociaż krew pulsująca pod cienką skórą nadgarstka wzywała go do siebie.

- Słuchaj, to nie twoja wina. Oboje powinniśmy byli o tym pomyśleć. - Wzięła głęboki oddech i poprawiła okulary. - Nie mogę z tobą dziś zostać. Muszę stąd wyjść.

Musiał się posilić i wiedział, że zdołałby ją przekonać, by została, przekonać

ją tak, by myślała, że to jej pomysł. Choć jednak sam tego nie rozumiał, opanował Głód i skinął głową.

- Idź.

Vicki chwyciła swoją kurtkę i torebkę i niemal biegiem rzuciła się do drzwi. Zatrzymała się z ręką na klamce i odwróciła do niego z drżącym uśmiechem.

- Fitzroy, jako współspacz masz dwie zalety: nie chrapiesz i nie zabierasz kołdry. - I już jej nie było.

Kiedy nadchodził dzień i Henry czuł na swoich wargach jej usta i życie pulsujące za nimi, miał

wizję tego, jak ta nowa bliskość wszystko między nimi zmieni.

Rzeczywistość była zupełnie inna.



Vicki oparła się o stalową ścianę windy i zamknęła oczy. Czuła się jak smarkacz. Ucieczka nie pomoże Henry'emu, prawda? Ale po prostu nie mogła zostać.

Zmęczenie sprawiło, że przespała przedpołudnie, lecz godziny pomiędzy przebudzeniem a zachodem słońca były najdłuższymi w jej życiu. Leżący obok Henry, zupełnie bez ducha, był jej bardziej obcy niż kiedykolwiek, gdy pił jej krew. Ze sto razy ruszała ku drzwiom i ze sto razy zmieniała zdanie. To sypialnia na Bloor Street, powtarzała sobie. Jednakże drżący kącik w jej wyobraźni, o którego posiadanie się nie podejrzewała, odpowiadał: to grobowa krypta.

Kiedy winda zatrzymała się na parterze, Vicki wyprostowała się i przeszła przez lobby tak, jakby napięte nerwy nie dzwoniły jej przy każdym ruchu. Skinęła głową strażnikowi, gdy go mijała, i po raz pierwszy od ponad roku radośnie wkroczyła w noc, której nie widziała.

- Ja cię... Wiktoria!

Niektórych rzeczy nie musiała widzieć.

- Cześć, Tony. Dobranoc, Tony

Poczuła, że dotyka jej ramienia i zatrzymała się. Zmrużywszy oczy, była w stanie w świetle latarni zobaczyć owal jego twarzy.

Mlasnął językiem.

- Łał, wyglądasz jak kupa gówna. Co się stało? - To był długi dzień - westchnęła. - Co tu robisz?

-No... - chrząknął z zażenowaniem. - Jakoś nagle poczułem, że Henry mnie potrzebuje, więc...



Żeby tu dotrzeć, musiał mieć to przecucie, zanim Henry rzeczywiście zaczął go potrzebować. Cudnie. Były ulicznik przewidujący przyszłość. Tylko tego jej brakowało.

- A więc jeśli Henry cię potrzebuje, przybiegasz do niego? - Nawet w jej uszach te słowa zabrzmiały ostro, toteż zawstydzila się, kiedy uświadomiła sobie, że powiedziała to, jakby była zazdrosna. Henry jej potrzebował, a ona wyszła.

- Hej, Wiktoria, nie rzucaj się tak. - Głos To-ny'ego złagodniał, zupełnie jakby chłopak czytał w jej myślach. - Tak jest mi łatwiej. Zanim on się pojawił, nie miałem właściwie życia. Może ze mną robić, co chce. Ty przez długi czas byłaś sobą. To sprawia, że wam dwojgu trudniej się dopasować.

„Ty przez długi czas byłaś sobą”. Poczula, jak napięcie opada z jej barków. Zrozumieć to potrafił chyba tylko Henry Fitzroy.

- Dzięki, Tony.

- Nie ma sprawy. - Zarozumiałość powróciła. - Złapać ci taksówkę?

- Nie.

- To lepiej pójdę już na górę.

- Zanim się spuścisz w spodnie?

- Bożże, Wiktoria...! - Słyszała uśmiech w jego głosie. - A myślałem, że nie widzisz w ciemności.

Słuchała jego kroków, gdy odchodził, słuchała, jak otwierają się i zamykają drzwi budynku, po czym ostrożnie wyszła na chodnik. - W oddali widziała światła Yonge i Bloor i postanowiła, że pójdzie pieszo. Ulice były wystarczająco jasno oświetlone. Mimo że w tej chwili prawie nic nie widziała, wątpiła, czy zniesie zamknięcie w kolejnej ciemnej przestrzeni.

Kilkaście kroków od budynku zatrzymała się. Tak była pochłonięta potrzebą wydostania się z mieszkania Henry'ego, że nawet nie zapytała go o sen. Przez chwilę rozważała powrót, w końcu tylko się uśmiechnęła i pokręciła głową. Gotowa była się założyć, że Henry nie jest już w stanie jasno myśleć, nie mówiąc o zamartwianiu się. Podczas lat spędzonych na ulicy Tony nauczył się ciekawych sztuczek, a przecież nie tylko one będą rozpraszały Henry'ego.

## ROZDZIAŁ 5

Spojrzał na stół zastawiony do śniadania - miseczka z truskawkami i melonem, trzy podsmażone z obu stron jajka sadzone, sześć plasterków czerwonej pieczonej wołowiny, kukurydziane bułeczki, szklanka schłodzonego nektaru morelowe-go i dzbanek świeżo zaparzonej kawy - zadowolony skinął głową młodej kobiecie, która mu to wszystko przyniosła, i otworzył poranną gazetę. Kazał sobie dostarczyć wydania wszystkich trzech dzienników z Toronto, ale nie miał problemu z wyborem, od czego zacząć. Tylko w jednej było więcej tekstu niż obrazków.

Pochłonawszy ka dziecka, spędził resztę dnia na zdobywaniu potrzebnych rzeczy i szukaniu miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać. Sprzedawcy w małych, bardzo ekskluzywnych butikach z modą męską przy Bloor Street West byli tak zaabsorbowani statusem społecznym potencjalnego klienta, że zauroczenie ich okazało się wręcz żenująco łatwe, a menedżer hotelu Park Plaża tak dobrze zareagował na jego wygląd i arogancję, że prawie obeszło się bez używania mocy.

Zameldował się jako Anwar Tawfik, używając nazwiska, które wy dobył z ka Eliasa Raksa. Od czasów Merinara, pierwszego faraona, nie używał swojego prawdziwego imienia, a do chwili gdy kapłani Thota schwytali go i uwięzili, był znany pod tyloma imionami, że w zakłęciu wiążącym mogli zawrzeć tylko to, czym jest, a nie to, kim jest. Gdyby znali jego prawdziwe miano, nie uwolniby się tak łatwo.

Wybrał hotel Park Plaża, bo miał z niego widok na muzeum i trochę dalej na południe, na siedzibę władz prowincji. Oba budynki widać było z okien jego narożnego apartamentu. Z muzeum wiązały się pewne sentymenty. A Queen's Park miał zamiar przejąć.

W dawnych czasach ci, którzy mieli władzę świecką, dzierżyli też sakralną, obydwie były nie-rozdzielne. Faraon był żyjącym Horusem, a on musiał swoją potęgę budować od podstaw, zaczynając od wyrzutków społecznych. W tych czasach Kościół i państwo zostały siłą rozdzielone, a to sprawiało, że państwo było zdane na jego łaskę i niełaskę.

Dawniej znajdował tylko tyle nieprzynależnych ka, by przedłużyć własne życie, i starannie magazynował nieużyta energię, aby zapewnić sobie i swojemu bogu przetrwanie. Teraz, przy tak niewielu przynależnych ka, nie musiał

oszczędzać mocy. Mógł dowolnie korzystać z magii, naginać rządzących tym światem do swojej woli, wiedząc, że masy czekają, by się na nich pożywił. Wiedział, że Achech nie do końca docenia obecne okoliczności. Jego pan miał... proste upodobania. Świątynia, akolici, trochę nieszczęścia wokoło - i już był rad.

Złożył gazetę na czworo i nalał sobie kawy do filiżanki. Usiadł wygodniej, pozwalając, by październikowe słońce muskało ciepłem jego twarz. Ocknął się w zimnym, szarym kraju, gdzie drogi usłane były wilgotnymi liśćmi w kolorze krwi. Tęsknił za czystymi złotymi liniami pustyni, za obecnością Nilu, zapachami przypraw i potu, ale jako że świat, za którym tęsknił, już nie istniał, miał zamiar sprawić, by ten świat stał się jego światem.

I szczerze mówiąc, nie sądził, by ktokolwiek był w stanie go powstrzymać.



- Wydział zabójstw. Detektyw sierżant Celluci... Jesteście pewni...? A przyczyna?

Dave Graham patrzył na zmieniający się wyraz twarzy swojego partnera i w duchu zakładał się sam ze sobą, z kim Celluci rozmawia. Wciąż brakowało części raportów, ale już dotarły do nich zdjęcia i analiza zawartości kolanka zlewu.

- I nic więcej...? - Celluci zabębnił palcami o biurko. - Tak, tak, dzięki. - Chociaż był wyraźnie zirytowany, odłożył słuchawkę przesadnie ostrożnie: wydział odmówił finansowania wymiany kolejnych telefonów. - Doktor Rax umarł, ponieważ stanęło mu serce.

A, koroner. Dave był sam sobie winny ćwiartkę.

- A czemu serce pocziwego doktora stanęło? Celluci prychnął.

- Nie wiedzą. - Sięgnął po kubek z kawą, potrząsnął nim lekko, żeby przerwać kożuch, który przez ostatnie dwie godziny uformował się na powierzchni, i wypił ją. - Wygląda na to, że po prostu stanęło.

- Prochy? Choroby?

- Nic. Są ślady walki, ale żadnych dowodów na cios w klatkę. Kilka godzin przed śmiercią zjadł kanapkę, kawałek ciasta jagodowego i popił to mlekiem. Sądząc po napięciu mięśni, był trochę zmęczony. - Celluci odgarnął z czoła zbyt długie pasmo włosów. - Doktor Rax był zdrowym pięćdziesięciu-dwulatkiem. Zastał w pracowni egiptologii nagiego intruza i stanęło mu serce.

- No cóż... - Dave wzruszył ramionami. - To się chyba zdarza.  
- Co się zdarza?  
- Serca stają.  
- Gówno prawda. - Celluci zgniótł kubek i wyrzucił go do śmietnika. Naczynie uderzyło o krawędź, opryskało kilkoma kroplami kawy ściankę biurka i wpadło do kosza. - Dwa zgony spowodowane niewytłumaczalnym zatrzymaniem serca w tym samym pomieszczeniu w ciągu dwudziestu czterech godzin to...  
- Ponury zbieg okoliczności. - Dave pokręcił głową, widząc wyraz twarzy swojego partnera. - Mike, żyjemy w świecie pełnym stresów. Wystarczy jedna kropla, by przelać czarę. Ellis zobaczył coś, co go przestraszyło, jego serce tego nie wytrzymało, zmarł. Doktor Rax zaskoczył intruza, walczyli, jego serce tego nie wytrzymało, zmarł. Jak mówiłem, zdarza się. Niewydolność serca, niebędąca bezpośrednim skutkiem użycia przemocy, nie podpada pod naszą jurysdykcję.  
- Wielkie słowa - burknął Celluci.  
- Ja tam jestem gotowy uznać, że to nie było zabójstwo, i przekazać sprawę chłopcom z dochodzeniówki.  
Celluci zdjął nogi z biurka.  
- A ja nie.  
- Czemu nie?  
Zastanawiał się chwilę, potem wzruszył ramionami. Nie mógł wymyślić żadnego powodu, nawet na własny użytek.  
- Nazwij to przecuciem.  
Dave westchnął. Nienawidził policyjnej pracy opartej wyłącznie na intuicji, ale rejestr aresztowań Celluciego był na tyle bogaty, że mógł sobie pozwolić na przecucia od czasu do czasu. Dave się poddał.  
- To gdzie idziesz?  
- Do laboratorium.  
Patrząc, jak jego partner odchodzi, Dave rozważał, czy nie zadzwonić do laboratorium z ostrzeżeniem. Już kładł rękę na słuchawce, kiedy zmienił zdanie.  
„Nie”. Rozsiadł się wygodniej i uśmiechnął szeroko. „Egoistycznie byłoby pozbawiać innych rozrywki”.



- To lniana tkanina? - Celluci zajrzał do plastikowej torebki i uznał, że uwierzy

Doreen na słowo. -Czego to kawałek?

- Starożytnej egipskiej szaty ceremonialnej, rozmiar kołnierzyka prawdopodobnie czterdzieści jeden. Miała talię empire, bufiaste rękawy i... skąd, do cholery, mam wiedzieć? - Doreen Chui skrzyżowała dłonie na piersi i spojrzała na detektywa. - Przynosisz dwudziestodwumilimetrowy strzępek, który właśnie wykąpał się w kwasie, a ja z tego wydobywam milimetr kwadratowy lnu. To więcej cudów, niż mógłbyś sobie wymarzyć. Celluci zrobił krok w tył. Niewielkie kobiety zawsze działały na niego onieśmielająco.

- Przepraszam. Co możesz mi o nim powie-dzieć?

- Dwie rzeczy. Po pierwsze, jest stary. - Uniosła dłoń w górę. - Nie wiem, jak stary. Dwa, na jednym z włókien jest jakiś pigment, pół na pół krew z ro-dzajem roślinnej farby. Też starej. Nic, co miałoby coś wspólnego z trupem z tej nocy. W każdym razie nie w zakresie cennych płynów organicznych. Przyjrzał się bliżej szaroburemu skrawkowi. Raymond Thompson powiedział, że trumna była z czasów osiemnastej dynastii. Nie był pewien, kiedy to było, ale jeśli ten kawałek da się określić jako pochodzący z tego samego okresu... Hm, najwyraźniej zaczynał prowadzić sprawę przeciw mumii, o której wszyscy mówili, że nie istnieje. To powinno przejść tak samo bezboleśnie jak jedna z wizyt tych gości od praw człowieka.

- Mogłabyś określić, jak jest stary, prawda?

- Chcesz, żebym to datowała węglem? - Tak.

- Spadaj, Celluci. Jeśli chcesz mieć taką analizę... zakładając, że miałabym w ogóle wystarczająco dużą próbkę do jej przeprowadzenia, a nie mam... Więc jeśli chcesz mieć taką analizę, spraw, żeby miasto przestało mi obcinać budżet i żebym mogła postarać się o sprzęt i personel. - Uderzyła otwartą dłonią o biurko. - A póki tego nie zrobisz, masz tylko kawałek lnu z plamą z krwawej farby. Kapujesz?

- Więc skończyłaś z tym już? Doreen westchnęła.

- Nie każ mi tego sobie znowu tłumaczyć, detek-tywie. Miałam ciężki ranek.

- Jasne. - Ostrożnie schował torebkę z dowodem do kieszeni i spróbował uśmiechnąć się przepraszająco. - Dziękuję.

Uśmiech nie zadziałał.

- Jeśli naprawdę chcesz mi podziękować - mruknęła, wracając do pracy - to zabroń mordowania się, póki nie nadrobię zaległości.



Doktor Shane podniosła plastikową torebkę do światła, pokręciła głową i odłożyła ją na biurko.

- Detektywie, jeśli mówi pan, że to kawałek lnianej tkaniny, to wierzę panu, ale obawiam się, że nie jestem w stanie panu powiedzieć, ile to ma lat. Kiedy skończymy inwentaryzację i sprawdzimy, co zginęło, może dowiemy się, co spłynęło do kanalizacji.

- To musiało być coś, co zdaniem intruza mogło go wydać - naciskał Celluci.

- Dlaczego? - Kiedy detektyw się do niej odwrócił, Rachel uświadomiła sobie, że ma bardzo badawcze spojrzenie. I bardzo ładne piwne oczy z długimi gęstymi rzęsami, za które większość kobiet gotowa by zabić. Z wysiłkiem skupiła się z powrotem na temacie rozmowy. - Nie mógł to być po prostu akt bezmyślnego wandalizmu?

- Nie, zbyt to specyficzne i zbyt schludne. Wandal mógłby polać kwasem jakieś eksponaty, ale nie spuściłby ich potem rurami. A poza tym - westchnął i odgarnął włosy z czoła - nie zacząłby od tego. Najpierw by coś przewrócił... A co z krwawą farbą?

- No cóż, to jest niezwykle. - Rachel wpatrywała się w skrawek materiału. - Jest pan pewien, że krew była wymieszana z farbą, a nie kapnęła po prostu na to miejsce później?

- Jestem. - Usiadł na krześle i oparł przedramiona o kolana. Szybko musiał zmienić pozycję, bo poczuł ukłucie w kręgosłupie. - Nasze laboratorium zna się na krwi. Mają z nią bardzo dużo do czynienia. - Zapewne - westchnęła i przesunęła torebkę w jego stronę. - W takim razie do głowy przychodzi mi tylko jedno możliwe historyczne wyjaśnienie: to część zaklęcia. - Wprostowała się, złączyła palce i zaczęła wykład. - Większość egipskich kapłanów była też czarownikami, a ich zaklęcia były nie tylko wygłaszane, ale też spisywane na kawałkach tkaniny albo na papirusach, jeśli chodziło o sprawy na tyle poważne, że wymagały fizycznej reprezentacji zaklęcia. Czasem, kiedy potrzebne było wyjątkowo potężne zaklęcie, czarownik mieszał swoją krew z farbą, żeby powiązać swoją siłę życiową i magię.

Celluci przykrył dłonią torebkę.

- Wiec to fragment bardzo potężnego zaklęcia.

- Na to wygląda.

Zaczął się zastanawiać, czy wystarczająco potężnego, by uwięzić mumię w trumnie. Uznał, że nie będzie o to pytał. Nie chciał, by doktor Shane zaczęła o nim myśleć jak o wariacie, który czerpie swoją wiedzę w filmów z Borisem Karloffem. Schował torebkę z powrotem do kieszeni.

- W laboratorium wspomnieli coś o datowaniu węglem?

Doktor Shane pokręciła głową.

- Próbką jest za mała, potrzebowaliby co najmniej pięciu centymetrów kwadratowych. Dlatego właśnie Kościół tak długo sprzeciwiał się datowaniu

całunu turyńskiego... - Przez chwilę skupiała się na jakimś wspomnieniu, a potem pokręciła głową i uśmiechnęła się. - Między innymi dlatego.

- Doktor Shane? - Jednocześnie rozległo się pukanie i otworzyły się drzwi. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciała pani dostać wyniki inwentaryzacji, jak tylko skończymy. - Kiedy wicekustosz skinęła głową, Doris weszła do biura i położyła na biurku plik kartek. - Nic nie zginęło, nic nie wygląda na ruszane, ale w ciemni znaleźliśmy cały stos uszkodzonych filmów. Każda klatka na trzydziestu rolkach została prześwietlona. Mamy też cały rząd kaset wideo, na których nie widać nic poza ciemnością.

- Wiecie, co na nich było? - zapytał Celluci, wstając.

Doris wyglądała na zmartwioną.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Mam wszystko, cośmy kręcili i fotografowali ostatnio.

- Mogłaby je pani odłożyć na bok? Przyślę po nie kogoś.

- Zostawię je tam, gdzie są. - Doris przystanęła w drodze do drzwi i spojrzała na policjanta. - Da się je jeszcze wykorzystać. Chciałabym je z powrotem.

Taśmy nie rosną na drzewach.

- Zrobię co w mojej mocy - zapewnił ją. Kiedy drzwi zamknęły się za Doris, odwrócił się do doktor Shane. - Cięcia budżetowe? Uśmiechnęła się niewesoło. - A kiedy ich nie ma? Chciałabym mieć dla pana coś więcej. Jak poszłicie stąd, jeszcze raz przejrzałam rzeczy doktora Raksa. Poza garniturem wszystko jest na miejscu.

To przynajmniej dawało im pojęcie o wymiarach intruza - jeśli w ogóle był jakiś intruz. Muzeum miało świetną ochronę i nie było żadnych śladów po tym, żeby ktoś wchodził czy wychodził. Mógł to być ktoś z wewnątrz. Może myszkujący po biurach przyjaciel martwego sprzętacza, który spanikował, gdy doktor Rax dostał ataku serca? Nazwisko doktora Van Thorne'a padło kilka razy podczas przesłuchań - on i Rax nie byli przyjaciółmi. Może to on szperał u rywala i spanikował? Tyle że już przesłuchali doktora Van Thorne'a, który miał alibi nie do podważenia, nie wspominając o nadopiekuńczej żonie. Wciąż jednak pozostawało wiele możliwości, które nie miały nic wspólnego z najwidoczniej nieistniejącą mumią.

Podczas gdy w głowie Celluciego kłębiły się różne teorie, on sam spoglądał z zainteresowaniem, jak doktor Shane wychodzi z za biurka.

- Przez telefon wspomniał pan, że chce zobaczyć sarkofag - powiedziała, idąc w stronę drzwi.

Wyszedł za nią z biura. - Tak.

- Nie ma go już w pracowni. Przenieśliśmy go na drugą stronę korytarza. Do magazynu.

Kiedy przechodzili przez korytarz, czuł na sobie spojrzenie sekretarki. „Co tu robisz?“, mówiło. „Czemu nie ścigasza tego, kto to zrobił?“. Przez lata nauczył się takie spojrzenia ignorować. Prawie zupełnie.

- Jest trochę za duży, żeby go cały czas obchodzić wokół. - Rachel zatrzymała się przy drzwiach naprzeciw pracowni i wyciągnęła klucze. - Dlatego przenieśliśmy go tutaj. Drzwi pracowni były jaskrawożółte, a magazynu soczyście pomarańczowe.

- Skąd takie kolory? - zapytał Celluci.

Doktor Shane spojrzała to na jedno, to na drugie drzwi.

- Nie mam pojęcia - powiedziała wreszcie, marszcząc lekko czoło. Celluciemu sarkofag przypominał prostopadłościan z czarnej skały. Dopiero kiedy przesunął palcami po jednej ze ścian, odkrył punkt, w którym pokrywę dopasowano do boków.

- Skąd wiadomo, że coś wygląda na szesnastą dynastię? - zapytał, przyklękając i zaglądając przez otwarty koniec do środka.

- Głównie dlatego, że znaleziono tylko jeszcze jeden sarkofag wykonany w podobnym stylu i został on bez żadnych wątpliwości datowany na szesnastą dynastię.

- Ale trumna była z czasów osiemnastej? - Widział ślady w miejscu, gdzie spoczywała.

- Z pewnością.

- Czy to niezwykle? Takie mieszanie okresów? Doktor Shane oparła się o sarkofag i skrzyżowała ramiona.

- Nigdy wcześniej się z czymś takim nie zetknęliśmy, ale może to dlatego, że rzadko trafiamy na nietknięte miejsca pochówku. Zwykle gdy znajdujemy sarkofag, po trumnie nie ma już śladu.

- Ciężko uciec z czymś takim - mruknął Celluci, prostując się i zerkając na pokrywę. - Ma pani jakiś pomysł?

- Czemu okresy były wymieszane? - Rachel wzruszyła ramionami. - Może rodzina zmarłego musiała oszczędzać.

Celluci uśmiechnął się.

- Da się to z zyskiem sprzedać?

Doktor Shane mimowolnie też się uśmiechnęła.

- Możliwe.

Celluci wsunął ruchomy panel na miejsce, a potem równie delikatnie uniósł go w górę. Po zewnętrznej stronie była piętnastocentymetrowa wypustka, która blokowała dolną krawędź. Zmarszczył brwi.

- Co się stało? - zapytała doktor Shane, pochylając się nad nim odrobinę nerwowo. Może i prawie niezniszczalny, ale jednak był to Liczący sobie trzy tysiące lat zabytek.

- Może wybrali właśnie ten styl, bo jak się coś tu zamknie, od środka nie da się tego otworzyć. Panelu się nie złapie, ponieważ jest wsuwany z zewnątrz. Siła nic tu się nie poradzi.

- Tak. Ale zwykle nie brano tego po d...

- Nie, jasne, że nie. - Odłożył panel i odsunął się. Może Dave miał rację? Może odbija mu na punkcie nieistniejącej mumii? - Tak tylko zauważyłem. W moim



zawodzie człowiek zwraca uwagę na takie różne dziwne duperele.

- W moim też.

Naprawdę miała powalający uśmiech. I pięknie pachniała. Rozpoznał Chanel numer 5, te same perfumy, których używała Vicki.

-Jest... - spojrzął na zegarek - za piętnaście dwunasta. Co pani powie na lunch?

- Lunch?

- Jada pani czasami, prawda? Przez chwilę rozmyślała nad jego słowami, potem się roześmiała.

- Tak, jadam.

- Więc lunch?

- Chyba tak, detektywie.

- Mike.

- Rachel.

Jego babka zawsze mawiała, że jedzenie jest najszybszą drogą do nawiązania przyjaźni. Oczywiście jego babka była rodowitą Włoszką i uważała, że śniadanie z mniej niż czterech dań to nie śniadanie, podczas gdy on skłaniał się raczej ku hamburgerowi i frytkom. Poza tym podczas posiłku mógł zapytać doktor Shane... Rachel, co sądzi o nieumarłych.



Kiedy drugi raz tego dnia wychodził z muzeum, skręcił w stronę budki telefonicznej. Lunch był... interesujący. Doktor Rachel Shane okazała się fascynującą kobietą: inteligentną, pewną siebie, subtelną z zewnątrz, twardą w środku. „Co”, jak sucho zauważył w duchu, „stanowiło miłą odmianę, bo Vicki była zawsze tylko twarda”. Polubił jej zgryźliwe poczucie humoru i wymachiwanie rękoma w powietrzu, kiedy o czymś opowiadała.

Opowiedziała mu o Eliasie Raksie, o jego zdecydowaniu i oddaniu muzeum.

Wspomniała też o rywalizacji z doktorem Van Thorne'em i Celluci zanotował sobie w pamięci, że ma przyjrzeć się temu bliżej. O mumię jej nie pytał.

O nieumarłych rozmawiali tylko, gawędząc o starych filmach grozy. Jej opinia o nich sprawiła, że po-

stanowił nie wspominać, nawet teoretyzując, o pomysle, który jakby go opętał.

Opętał... Wsadził ręce głębiej do kieszeni i skulił się, chroniąc się przed zimnym wiatrem. Lepiej wymyślić jakieś inne słowo...

A skoro już o tym mowa: tylko jednej osobie mógł wszystko powiedzieć, a ona była skłonna najpierw go wysłuchać, a dopiero potem powiedzieć mu, że

zwariował.



- Nelson, prywatny detektyw. - Jezu, Vicki, jest pierwsza. Nie mów mi, że spałaś.

- Celluci, wiesz... - ziewnęła głośno i usiadła wygodniej - ...zaczynasz przypominać moją matkę.

Usłyszała w słuchawce jego prychnięcie.

- Spędziłaś noc z Fitzroyem?

- Niezupełnie.

Przespała większość poprzedniego dnia, a kiedy wreszcie poszła do łóżka, musiała zostawić zapalone światło w sypialni. Leżąc w ciemności, nie mogła pozbyć się uczucia, że on wciąż obok niej leży, bez ducha i bez życia. Spała niespokojnie i męczyły ją koszmary. Tuż przed świtem zadzwoniła do Henry'ego. Chociaż przekonał ją - i jednocześnie, jak podejrzewała, samego siebie - że przynajmniej tego ranka nie ma zamiaru popełniać samobójstwa, poczucie winy, iż nie ma jej przy nim, sprawiło, że długo nie mogła spać. Przez cały dzień to drzemała, to się budziła.

- Vicki, słuchaj... - Celluci wziął głęboki oddech, słyszalny po drugiej stronie linii. - Co wiesz o mumiach?

- O mamuniach? Moja jest upierdliwa jak cholera. - Śmiechu nie usłyszała, mówiła zatem dalej. - A,

o mumiach...! Tych ze starożytnych sarkofagów czy z kiepskich filmów?

- I o tych, i o tych.

Vicki zmarszczyła brwi. W każdym słowie brakowało tej aroganckiej pewności siebie, która zwykle charakteryzowała wszystko, co Mike Celluci mówił i robił.

- Pracujesz nad sprawą muzeum... - Wiedziała, że tak właśnie jest. Wszystkie trzy gazety wymieniały jego nazwisko. - Tak.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? - Nawet kiedy konkurowali ze sobą na całego, wymieniali się pomysłami, kłócili o nie, a potem zaczynali od nowa.

- Chyba... - westchnął, a zmarszczka na czole Vicki pogłębiła się. - Chyba będzie ci to musiał powiedzieć twarzą w twarz.

- Teraz?

- Nie, jestem w pracy. Co powiesz na kolację? Ja stawiam.

Cholera, robi się poważnie. Poprawiła okulary.

- W Champion House o szóstej?

- O wpół. Spotkamy się na miejscu.

Vicki siedziała przez chwilę nieruchomo, wpatrując się w słuchawkę. Celluci nigdy nie mówił tak nieswoim głosem.

- Mumie... - mruknęła i poszła po przygotowane do wyrzucenia gazety.

Rozłożyła je na ławce do ćwiczeń i przejrzała artykuły dotyczące zgonów w muzeum. Czterdzieści minut później podniosła ciężarek i pogrążona w myślach zaczęła ćwiczyć. Pamięć jej nie zawodziła - zgodnie z tym co powiedział detektyw sierżant Michael Celluci, nie było żadnej mumii.



Kiedy szedł Queen's Park z powrotem do hotelu, było zimno i padało, ale to był pzdziernik w Toron-to. Według ka doktora Raksa, jedno jest powiązane z drugim. Uznał, że na razie będzie to traktował jako nowe doświadczenie, które trzeba zbadać i przeżyć, a kiedy już jego bóg zdobędzie więcej mocy, może da się coś zdziałać w sprawie pogody.

To był bardzo owocny dzień i jeszcze się nie skończył.

Ranek spędził, poznając meandry współczesnej władzy w wielkiej sali pełnej krzyczących kobiet i mężczyzn. Nazywali to „czasem zadawania pytań”.

Nazwa wydawała się adekwatna, bo chociaż pytań było bardzo dużo, odpowiedzi niewiele. Ucieszyło go, że rząd - i ci, którzy szukali w nim dla siebie miejsca - nie zmienili się wiele w ciągu tysiącleci.

Prowincje Egiptu bardzo przypominały prowincje tego nowego kraju, autonomiczne i tylko nominalnie pozostające pod kontrolą rządu centralnego. Ten system znał i umiał się w nim odnaleźć.

Zadziwiło go, jak mało oba dorosłe ka, które wchłonał, wiedzą o polityce, przekonał zatem skrybę - doradcę do spraw mediów, tak go teraz nazywali - żeby zjadł z nim posiłek. Użył wystarczająco dużo mocy, by otworzyć umysł tego człowieka, i siedział, słuchając strumienia informacji, zarówno służbowych, jak i prywatnych, o członkach parlamentu prowincji. Trwało to prawie dwie i pół godziny. Przejęcie ka mężczyzny byłoby szybsze, lecz nie chciał zostawiać za sobą tropu złożonego z martwych ciał, póki nie zwiększy swojej mocy. Nie można go było powstrzymać, nie chciał jednak, aby go spowalniano.

Tego popołudnia miał się spotkać z prokuratorem generalnym. Prokurator generalny kontrolował policję. Policja była czymś na kształt stałej armii. Miał

zamiar przygotować niezbędne zakłęcia i rozpocząć budowanie swojego imperium z pozycji siły.

A gdy już rozpędzi machinę, zajmie się niedokończonymi sprawami. Dwa ka wciąż miały o nim wspomnienia, które muszą zostać wymazane.



Vicki dziabnęła pałeczką uciekającego po talerzu grzybka i zmrużonymi oczami spojrzała na Celluciego. Światło w restauracji było zbyt słabe, ledwie widziała jego twarz i nie miała szans na dostrzeżenie zmian jej wyrazu. Powinna była o tym pomyśleć, kiedy wybierała miejsce. „Następnym razem to będzie stolik w McDonalddie pod największą świetlówką, jaką tam mają”.

Kiedy jedli, opowiedział jej o sprawie, wymieniając suche fakty, żadnych opinii o nich. Podstawy już mieli, teraz czas było zacząć coś na nich budować. Patrzyła, jak bawi się filizanką. W jego dłoniach ceramiczne naczynie wyglądało na absurdalnie małe. Vicki sięgnęła przez stół i jedną z pałeczek uderzyła go w rękę.

- Pij albo gadaj - zasugerowała.

Celluci próbował złapać pałeczkę, nie udało mu się jednak.

- A mówią, że tradycja rozmów przy kolacji umiera - mruknął, ścierając z dłoni sos cytrynowo--sezamowy. Spojrzał na ubrudzoną serwetkę, a potem na Vicki.

Może to była wina marnego światła, ale Vicki mogłaby przysiąc, że Mike wygląda na niepewnego, o ile zaś wiedziała, Michael Celluci nigdy w życiu nie wyglądał na niepewnego siebie. Kiedy zaczął mówić, jego głos też brzmiał niepewnie, a Vicki coś zmroziło od środka.

- Mówiłem ci, że kiedy tamtego ranka rozmawiałem z posterunkową Trembley, powiedziała mi o mumii?

- Tak. - Vicki nie była pewna, czy podoba jej się kierunek, w jakim zmierza ta rozmowa. - Ale wszyscy inni mówią że mumii nie było. Musiała się pomylić.

— Nie sądzę. — Wyprostował się i położył obie dłonie na stole. - Myślę, że widziała mumię, i my-ślę, że właśnie ta mumia jest odpowiedzialna za oba zgony w muzeum

Mumia...? Włócząca się po ulicach Toronto, wlokąca za sobą przegniłe bandażę i powodująca ataki serca...? W obecnych czasach sam pomysł był komiczny. Oczywiście równie komiczny był kujon rysujący pentagram w swoim pokoju, rodzina wilkołaków hodująca owce pod London i skoro już o tym

mowa, istnienie kogoś takiego jak Henry Fitzroy, bękart Henryka VIII, wampir i autor romansów. Vicki poprawiła okulary i pochyliła się do przodu, kładąc

łokcie na stole i opierając podbródek na dłoniach. Kiedyś życie było prostsze. Westchnęła.

- Opowiadaj.

Cel luci zaczął odliczać na palcach.

- Wszyscy, z którymi rozmawiałem, dosłownie wszyscy byli zaskoczeni, że ktoś zamknął i zapieczętował pusty sarkofag. Jedyne przedmiot, jaki intruz zniszczył, został zidentyfikowany jako fragment potężnego zaklęcia.

Ukradziono tylko garnitur i parę butów. - Wziął głęboki oddech. - Myślę, że sarkofag nie był pusty. Myślę, że Reid Ellis zajrzał tam, gdzie nie powinien, obudził coś i z tego powodu zginął. Myślę, że ta istota potrzebowała czasu, by odzyskać siły, a kiedy to się stało, wyszła z trumny i zniszczyła wiążące ją zaklęcie. Myślę, że doktor Rax ją przy

tym zastał, został pokonany i zabity, a naga mumia ubrała się w jego garnitur i buty, i wyszła z budynku. Myślę, że mi odbija i chciałbym, żebyś mi powiedziała, że tak nie jest.

Vicki wyprostowała się, pochwyciła spojrzenie kelnera i dała znak, że chce rachunek. Potem znowu poprawiła okulary, chociaż wcale tego nie potrzebowała.

- A ja myślę... - powiedziała powoli, walcząc z poczuciem déjà vu: to, że obaj mężczyźni jej życia równocześnie byli zdania, że tracą zmysły, musiało być zbiegiem okoliczności. - Myślę, że jesteś jednym z najrozsądniejszych ludzi, jakich znam. Ale jesteś pewien, że twoje ostatnie... nadnaturalne doświadczenia nie wpłynęły na to, że dochodzisz do takich wniosków?

- Nie wiem.

- Dlaczego nikt w muzeum nie pamięta mumii?

- Nie wiem.

- A jeśli mumia istnieje, to jak i dlaczego zabija ludzi?

- Do cholery, Vicki, skąd u diabła mam wiedzieć? - Spróbował spopielić wzrokiem rachunek, a kiedy to się nie udało, rzucił na stół dwie dwudziestki i wstał. Kelner umknął pośpiesznie. - Pracuję na podstawie przeczucia, bazując na zbiegu okoliczności, i nie wiem, do cholery, co mam robić.

Przynajmniej nie wydawał się już niepewny.

- Porozmawiaj z Trembley. Zamrugaj.

- Co?

Vicki uśmiechnęła się szeroko, wstając.

- Porozmawiaj z Trembley - powtórzyła. - Idź na pięćdziesiąty drugi posterunek i sprawdź, czy rzeczywiście widziała mumię. Jeśli tak, to masz sprawę. Chociaż - dodała po chwili zastanowienia - nie mam pojęcia, jak ją będziesz prowadził. - Wsunęła mu dłoń pod ramię, bardziej dla podkreślenia wspólnoty niż dlatego, że nie widziała drogi w marnie oświetlonej restauracji.

- Porozmawiaj z Trembley... - Pokręcił głową i poprowadził ją przez Peking Duck do drzwi. - Nie do wiary, że sam na to nie wpadłem.
- A jeśli powie, że nie widziała mumii, sprawdź jej raport. Nawet jeśli to coś gra w bilard z ludzką pamięcią, pewnie gównu wie o policyjnych procedurach.
- A jeśli w raporcie nic o mumii nie będzie? - zapytał, kiedy wyszli na Dundas Street.
- Mike... - Vicki zmusiła go, aby się zatrzymał. Tłum nieustająco przelewający się przez Chinatown rozstępował się, by ich ominąć. - Brzmi to tak, jakbyś chciał, żeby po mieście ganiała mumia. - Wolną ręką delikatnie uderzyła go w policzek. - Oboje wiemy, że nie należy wykluczać czegoś, co wydaje się nierealne, ale czasem, panie Freud, cygaro to tylko cygaro.
- O czym ty mówisz, do cholery?
- Może to mumia, a może lekki kompleks Edypa. Złapał ją za rękę i ruszył przed siebie.
- Nie wiem, czemu o tym w ogóle wspomniałem...
- Ja nie wiem, czemu nie wpadłeś na to, żeby porozmawiać z Trembley.
- Będziesz mi to długo wypominać, prawda? Uśmiechnęła się do niego.
- Możesz dać sobie za to rękę uciąć.

## ROZDZIAŁ 6

Miałeś ten sen? Henry ponuro skinął głową.

- Żółte słońce na jasnoniebieskim niebie. Nic się nie zmieniło. - Oparł się o okno, dłonie miał schowane głęboko w kieszeniach dżinsów.

- Nie było żadnego lektora?

- Kogo?

- Lektora. - Vicki położyła swoją torebkę i wypchaną torbę z zakupami na podłodze i opadła na kanapę. - No wiesz, jakiegoś narratora, który wyjaśnia, co się dzieje.

- To chyba tak nie działa.

Vicki prychnęła

- Nie wiem, czemu nie miałyby tak działać. - Z wyrazu twarzy wyczytała, że nie jest rozbawiony, i westchnęła. - No cóż, na razie, w sumie, to nieszkodliwe. Nie skłania cię do zrobienia czegoś.

Nie widziała, jak się poruszył. W jednej chwili stał przy oknie, w drugiej przechylał się przez ramię

kanapy, a jego twarz znajdowała się w odległości kilku centymetrów od jej twarzy.

- Przez czterysta pięćdziesiąt lat nie widziałem słońca. Teraz w myślach widzę je każdej nocy, gdy się budzę.

Nie spojrzała mu w oczy. Dobrze wiedziała, że nie ma co mu się podstawiać, kiedy jest w takim humorze, że mógłby użyć swojej mocy.

- Henry, współczuję ci. To jakby niepijący alkoholik budził się co rano ze świadomością, że wieczorem na jego progu pojawi się pełna butelka, i przez cały dzień musiał się zastanawiać, czy jest dość silny, by się z niej nie napić.

Myślę, że ty jesteś dość silny.

- A jeśli nie?

- Na początek mógłbyś skończyć z tym pieprzonym defetystycznym nastawieniem. - Usłyszała, jak poręcz kanapy pęka w rękach Henry'ego, i szybko, nim zdążył wpaść jej w słowo, zaczęła mówić: - Powiedziałeś mi, że nie chcesz umierać. No to super, nie umrzesz.

Wyprostował się powoli. - Przykro mi, że nie było mnie tu dziś rano, ale przez większość dnia myślałam o tym wszystkim. - Telefon Celluciego dodał

jej pewności siebie w chwili, gdy potrzebowała jej najbardziej. Zawsze udawało jej się wypełnić swoją część układu i nie miała zamiaru zmieniać podejścia. „W zamian za zaufanie, Henry, ofiaruję ci twoje życie”. Sięgnęła do torebki i wyciągnęła młotek i garść gwoździ w kształcie litery u. - Mam tu czarną zasłonę. - Wskazała czubkiem buta na torbę z zakupami. - Kupiłam ją w sklepie

z rekwizytami teatralnymi. Powiesimy ją nad drzwiami sypialni. Jak odpłyniesz, wyjdę. Zasłona zatrzyma padające z korytarza światło. Odtąd, póki twoje prywatne słońce nie zajdzie, będę cię co wieczór kładła do łóżeczka, a jeśli przyjdzie ci do głowy rzucić się słońcu na pożarcie, zatrzymam cię. - Jak?

Vicki sięgnęła do torby z zakupami.

- Jeśli ruszysz w stronę okna - powiedziała - mam minutę, może dwie, zanim zerwiesz deski. Wydarzenia zeszłego lata udowodniły, że chociaż szybko się wszystko na tobie goi, zranić cię można.

- A jeśli ruszę do drzwi?

Uderzyła aluminiowym kijem bejsbolowy w otwartą dłoń.

- Wtedy obawiam się, że będziemy mieli do czynienia z napaścią na funkcjonariusza.

Henry przez chwilę ze ściągniętymi brwiami spoglądał na kij, a potem wbił badawcze spojrzenie w Vicki.

- Mówisz poważnie - stwierdził wreszcie. Popatrzyła mu w oczy.

- Nigdy nie byłam poważniejsza.

Na jego szczęce poruszył się mięsień, linia brwi się wygładziła. Drgnęły kąciki ust.

- Myślę - rzekł - że rozwiązanie jest równie niebezpieczne jak sam problem.

- I o to chodzi.

Uśmiechnął się miękko jak nigdy. Ten uśmiech sprawił, że wyglądał tak absurdalnie młodo, aż Vicki poczuła się niczym silna, potrzebna mu obrończyni.

- Dziękuję.

Ona także się uśmiechnęła i równocześnie z jej ramion spłynęło napięcie.

- Nie ma za co.



Henry oparł ostatni gwóźdź o ścianę i wbił go, nie korzystając z młotka. Za jego plecami Vic-ki mruknęła: „Popisujesz się”. Zasłona była dobrym



pomysłem, co do kija nie miał takiej pewności, chociaż pobicie miało w sobie pewną brutalną prostotę i sama idea była zajmująca. Ale czuł, że na razie do powstrzymania go od samobójstwa wystarczy mu sama świadomość, że nie chce umierać.

Zszedł z krzesła i zaciągnął zasłonę. Zachodziła na jakiś metr na ścianę wokół drzwi i przypominała mu zasłony, które wisiały w jego sypialni w Sheriffhuton i miały powstrzymać robactwo przed dostawaniem się do wnętrza. Miał nadzieję, że będzie jednak skuteczniejsza od tamtych.

Vicki położyła kij bejsbolowy na biurku. Odcinał się od ciemnego drewna niczym nowoczesny buzdygan czekający, aż schwyci go dłoń współczesnego wojownika. Na dworze jego ojca był pewien lord, o ile dobrze pamiętał, Szkot, którego ulubioną bronią był buzdygan. Henry tuż po tym, jak został księciem Richmondu, z otwartymi z podziwu ustami patrzył, jak ten człowiek - to musiał być Szkot - zmiotł buzdyganem drewniane drzwi i trzech ludzi, którzy za nimi stali. Nawet jego wysokość był pod wrażeniem. Oparł pulchną dłoń na szczupłym ramieniu swojego bękarta i rzekł: „Chłopcze, mieczem tego nie dokonasz!”.

Jego królewski ojciec i na poły zapomniany lord już dawno obrócili się w proch, a buzdygan, choć pewnie wisiał nad kominkiem w wiejskiej posiadłości, pomiędzy wypchanymi głowami zwierząt i herbami, od wieków nie był używany w walce. Henry jednym palcem przejechał po gładkim, chłodnym aluminium.

- Co ci łązi po głowie?

Chociaż głos Vicki brzmiał zwyczajnie, wyczuwał jej zaniepokojenie. Niemal słyszał, jak myśli: „Co zrobię, jeśli postanowi pozbyć się kija?”. Chociaż na ile znał Vicki, zastanawiała się raczej, czy cios w nerki skłoni go do wypuszczenia kija, jeśli postanowi go zatrzymać.

- Rozmyślałem sobie - powiedział, odwracając się powoli - jak bitwa zmieniała się w wystylizowany rytuał, którego formy zmieniają się tak, by odpowiadać porze roku.

Jej brwi powędrowały w górę.

- Wciąż toczy się wiele bitew - zauważyła.

- Wiem - Henry rozłożył ręce, szukając słów, które pozwolą jej zrozumieć różnicę. - Ale honor i chwała straciły swoją rolę w prawdziwych bitwach.

Teraz przynależą do gier.

- Fakt, niewiele jest honoru i jeszcze mniej chwały w oberwaniu łańcuchem po łbie od jakiegoś motocyklisty albo w tym, że w ciemnej uliczce ćpun rzuci się na ciebie z nożem, a nawet w wyciągnięciu palki, gdy jakiś pijak chce się z tobą bić, ale długo byś mnie musiał przekonywać, że honor i chwała mają cokołwiek wspólnego z jakimkolwiek rodzajem przemocy.

- To nie była przemoc - zaprotestował. - Tylko...

- Zwycięstwo?

- Niezupełnie, ale przynajmniej wiedziało się, kiedy człowiek wygrywał.

- Może dlatego teraz honor i chwała przeniosły się do sportu: możesz walczyć o zwycięstwo, nie zostawiając za sobą stosu trupów.

Zmarszczył czoło.

- Nie myślałem o tym w ten sposób.

- Wiem. - Przeszła między zasłonami i na korytarz. - Honor i chwała są głównie warte dla przegranych. Czy jako księżę, czy jako wampir, ty zawsze byłeś po stronie zwycięzców.

- A po której ty byłaś? - zapytał odrobinę prowokująco, idąc za nią. Nie tyle nie zrozumiała tego, co chciał jej powiedzieć, ile zupełnie zmieniła kierunek rozmowy.

- Po stronie prawdy, sprawiedliwości i metod kanadyjskich.

- A te metody to...?

- Przede wszystkim kompromis. - Zabawne, nigdy nie myślałem o tobie jak o kimś, kto idzie na kompromis.

- Bo nie idę.

Złapał ją za nadgarstek i zmusił, by się zatrzymała, a potem odwrócił twarzą do siebie.

- Vicki, gdybym powiedział, że jestem zmęczony, że żyłem sześć razy dłużej niż normalny człowiek i mam dość, pozwoliłabyś mi wyjść na słońce?

„Jasne, kurde, że nie” Ugryzła się w język i nie powiedziała tego, co w pierwszej chwili chciała. Pytał poważnie, słyszała to w jego głosie i widziała w twarzy, a to zasługiwało na coś więcej niż pierwszą emocjonalną reakcję. Zawsze wierzyła, że życie każdego człowieka należy tylko do niego i co z nim robi, to wyłącznie jego sprawa. W zasadzie się tego trzymała, czy jednak na tyle, by pozwolić Henry'emu wyjść na słońce? Przyjaźń oznaczała odpowiedzialność albo nie była przyjaźnią. Poza tym tę sprawę już sobie chyba dziś wyjaśnili.

- Jeśli chcesz, żebym pozwoliła ci się zabić, to lepiej żebyś był w stanie mnie przekonać, że śmierć jest dla ciebie lepsza niż życie.

Wkurzyła się na samą myśl o tym. Słyszał, jak jej serce przyśpiesza, widział, jak napinają się mięśnie.

- Byłbym w stanie cię przekonać? - Wątpię.

Podniósł jej dłoń i delikatnie ucałował.

- Czy ktoś ci powiedział, że jesteś strasznie dominująca? - mruknął, wtulając twarz w jej miękką skórę, wdychając jej krwisty zapach.

- I to nieraz. - Vicki wyrwała mu rękę i wytarła jej wierzch o bluzę. Jasne, tylko tego jej było trzeba, dodatkowych podniet - Nie ma sensu zaczynać czegoś, czego nie skończysz - mruknęła odrobinę drżącym głosem. - Piłeś wczoraj z Tony'ego.

- Fakt.

- Dziś nie musisz pić. - Fakt.

Zawsze ją irytowało, że tak łatwo odczytuje reakcje jej ciała, zawsze wiedział, podczas gdy ona mogła tylko zgadywać. Czasami jednak pytanie, na które

oboje sobie w ten sposób odpowiadali, było kwestią sporna.

- Jestem za stara na dziki seks w przedpokoju - poinformowała go chwilę później. - Przestań - odsunęła się, ciągnąc go za sobą w stronę sypialni. Oczy Henry'ego rozszerzyły się.

- Vicki, ostrożnie...

Zacisnęła mocniej dłoń i uśmiechnęła się.

- Po czterystu pięćdziesięciu latach doświadczeń powinieneś już wiedzieć, że nie tak łatwo komuś urwać...



- Jadłam dziś kolację z Mikiem Cellucim. Henry westchnął i delikatnie obrysował palcem

żyłkę pulsującą w zagłębieniu pod jej uchem. Chociaż wypił tylko kilka łyków krwi, czuł się syty i rozleniwiony.

- Musimy o nim teraz rozmawiać? - Jego zdaniem po Toronto chodzi mumia.

- I to niejedna. Z urazówki w szpitalu pełno ich wychodzi - mruknął, wtulając twarz w jej szyję.

- Henry. - Dźgnęła go łokciem tuż pod splotem słonecznym. Uznał, że lepiej jej wsłuchać. - Cellu-

ci naprawdę wierzy, że starożytny Egipcjanin wstał z trumny i zabił dwie osoby w muzeum.

- Mówisz o tych, co zmarli na atak serca? - Tak.

- A ty mu wierzysz?

- Słuchaj, gdyby Mike Celluci zadzwonił do mnie i powiedział, że kosmici uwięzili go w domu, może bym mu nie uwierzyła, ale na wszelki wypadek pojechałabym do niego z miotaczem płomieni. A że jesteś jedyną osobą, jaką znam, którą można uznać od biedy za eksperta od wstawiania z martwych, pytam ciebie. Czy to możliwe?

- Chwila. - Henry przetoczył się na plecy i założył ręce pod głowę. - Detektyw sierżant Celluci przyszedł do ciebie i powiedział, że po Toronto szaleje mumia, mordując sprzątaczy i egiptologów. I jak się domyślam, nie może o tym powiedzieć nikomu innemu, bo nikt mu nie uwierzy.

- Tak to można ująć.

- Jesteś pewna, że to nie jest rozbudowany żart primaaprilisowy?

- Za skomplikowane. Celluci jest raczej typem „sól w cukiernicy”. Poza tym mamy październik.

- Słuszna uwaga. Przypuszczam, że jakoś uzasadnił ten głu... auć!... niezwykły

pomysł?

- Tak! - Podkreślając każdy punkt wyliczanki dźgnięciem palcem w pierś Henry'ego, Vicki powtórzyła wszystko, co powiedział jej Celluci.

- A jeśli posterunkowa Trembley potwierdzi, że była mumia?

Owinęła krótki czerwonozłoty lok wokół palca.

- Miałam nadzieję, że ty mi powiesz.

- Pomożemy mu ją powstrzymać? - Jak?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. - Usłyszał jej westchnienie, poczuł powiew jej oddechu na piersi i lekko pocałował ją w czubek głowy. - Prosił cię, żebyś o tym ze mną porozmawiała?

- Nie. Ale powiedział, że nie ma nic przeciwko. -Właściwie powiedział: „Prosić zombie, żeby złapać zombie? Czemu nie?”, ale pod tym prychnięciem czaiło się westchnienie ulgi i Vicki miała wrażenie, że przez cały wieczór czekał, aż ona to zaproponuje, nie chcąc samemu poruszać tego tematu. - Gdyby nie to, że musiał iść na trening hokeja, zaproponowałabym, żeby sam ci to opowiedział. - To byłby ciekawy wieczór. Vicki uśmiechnęła się. Reakcja Celluciego byłaby głośniejsza i mniej grzeczna, lecz w gruncie rzeczy identyczna.



Henry usiadł przy biurku i włączył komputer. Poprzez szum wentylatora docierały do niego z salonu głębokie, powolne oddechy i wolne bicie serca.

- Nie oczekuj, że za każdym razem zostanę na noc - ostrzegła go Vicki, ziewając. - Przez większość czasu będę wpadała tuż przed świtem, żeby cię ułożyć do snu. Ale póki tu jestem, możesz sobie popisać, a ja się prześpię. - Wzięła pod jedną pachę poduszkę, pod drugą koc i wyszła z sypialni. - Położę się na kanapie. Wentylacja jest tam lepsza, a ty nie będziesz musiał spać otoczony zapachem krwi.

To był logiczny, może nawet wynikający z troski powód, Henry jednak w niego nie uwierzył. Widział napięcie po jej plecach, gdy wychodziła. Jeszcze przez chwilę słuchał, jak śpi, potem pokręcił głową i przeniósł uwagę na monitor. Książkę miał oddać pierwszego grudnia, a od „żyli długo i szczęśliwie” wciąż dzielił go jeden rozdział.

*W posiadłości gubernatora Veronica przemierzała w tę i z powrotem swój pokój. Jedwabne spódnice wirowały wokół jej kształtnych kostek. Kapitan Roxborough zawisnie o świecie, chyba że uda jej się znaleźć jakiś sposób, by temu zapobiec.*

*Wiedziała, że nie jest piratem, ale mimo że gubernator był dla niej więcej niż uprzejmy, ileż będzie znaczyło jej słowo, kiedy odkryją, że przybyła na wyspy w przebraniu stewarda? Ze kapitan Roxborough odkrył jej tajemnicę i...*

*Zatrzymała się i uniosła smukłe palce do rozpalonych policzków. Teraz to już nie miało znaczenia.*

*- Nie umrze - przysięgła sobie.*

- Wygląda na to, że nie mam jak uciec od porannego umierania - mruknął Henry, odsuwając się od biurka.

Zeszłej wiosny świt zastał go z dala od kryjówki i musiał uciekać przed słońcem, by ratować życie. Na dłoni wciąż miał pofałdowaną bliznę w miejscu, gdzie naznaczył go dzień.

Zaczął się zastanawiać, czy stałoby się to szybko czy wolno? Czy jego ciało w jednej chwili obróciłoby się w proch czy płonąłby powoli, wrzeszcząc z bólu? Zmusił się, żeby porzucić te myśli. Nasłuchiwał oddechu Vicki, póki się nie uspokoił. Musi znaleźć coś, czym zajmie umysł.

„Celluci naprawdę wierzy, że starożytny Egipcjanin wstał z trumny i zabił dwie osoby w muzeum”.

Był raz w Egipcie, na przełomie wieków, tuż po śmierci doktora O'Mary, kiedy cała Anglia wydawała mu się skażona i musiał z niej uciec. Nie został tam długo.

Na tarasie hotelu Shepheard poznał lady Wellington. Siedziała sama, piła herbatę i obserwowała, jak tłumy Egipcjan przemierzają Ibrahim Pasha Street, kiedy poczuła na sobie jego spojrzenie i przywołała go. Świeżo owdowiała, tuż po czterdziestce, nie miała nic przeciwko temu, żeby dotrzymał jej towarzystwa atrakcyjny, dobrze urodzony młodzieniec. Henry natomiast był oczarowany jej szczerością.

- Proszę nie gadać bzdur - powiedziała, kiedy złożył jej kondolencje. - Najlepsze, co jego lordowska mość kiedykolwiek dla mnie zrobił, to to że umarł, póki byłem dość młoda, by móc cieszyć się wolnością. - I pod obrusem pogładziła go po udzie.

Publicznie byli tak dyskretni, jak tego wymagało społeczeństwo w 1903 roku. Ale prywatnie była dokładnie tym, czego Henry potrzebował po wypadku z grymuarem. Nigdy jej nie powiedział, czym jest, a ona z niezmienną pewnością siebie przyjęła to, że

część czasu spędza samotnie, a część z nią. Podejrzewał, że ma innego kochanka, z którym spotyka się w dzień, i zaczął podziwiać jej kondycję.

Podczas tych nocy, kiedy pił z kogo innego, trzymał się z dala od angielskich i amerykańskich turystów i zapuszczał w ciemny labirynt uliczek starego Kairu. Ciemnoocy mężczyźni, których tam spotykał, nie mieli pojęcia, że za swoją przyjemność zapłacili krwią.

Potem zaczął czuć, że jest obserwowany. Chociaż nie był w stanie zidentyfikować żadnego widocznego zagrożenia - ciemne oczy śledziły

wszystkich przybyszów, a jego nie bardziej niż innych - po grzbiecie przebiegały mu ciarki. Zaczął ostrożniej wchodzić do swojego sanktuarium i wychodzić z niego.

Nocną wspinaczkę na szczyt wielkiej piramidy w tamtych czasach „należało odbyć” i Henry nie dał się długo prosić lady Wellington. Miał wrażenie, że miasto zamyka się wokół niego niczym wielka skomplikowana pułapka. Uznał, że kilka godzin poza nim pozwoli mu oczyścić myśli.

Wysiedli z powozu na skąpany w świetle księżyca piasek, który zalegał u stóp piramidy niczym świeży śnieg. Jego czystość kłały zagłębienia znaczące ograbione groby i zasypane komory. Światło zmyło z piramid patynę wieków i rzuciło ciemne cienie na sfinksa, tak że wyglądał jednocześnie na bardziej i mniej ludzkiego, gdy patrzył tajemniczo w noc. Niestety, ściany piramidy pełne były palących się pochodni i wspinających się ludzi, a odgłosy ich wspinaczki niosły się po pustyni.

- Do diabła, daleko jeszcze?

- Chociaż podziwiam naród amerykański - westchnęła lady Wellington, wsuwając Henry'emu dłoń pod ramię - to bez niektórych jego przedstawicieli świetnie bym się obyła.

Podchodząc do piramidy, byli przygotowani na to, że otoczy ich kordon samozwańczych przewodników, handlarzy i żebraków, zebranych pod piramidą i czekających na okazję, by oskubać cudzoziemców z pieniędzy.

- Dziwne... - mruknęła lady Wellington, kiedy mężczyźni zostali na swoich miejscach, zerkając na nich spod turbanów i szepcząc coś do siebie po arabsku. - Chociaż chyba świetnie sobie bez nich poradzimy. - Nie powiedziała tego wszakże zbyt pewnym głosem, ponieważ wspinanie się na stopnie o wymiarach metr na metr na piętnaście centymetrów w sukni wieczorowej, bez pomocy, nie było łatwe. Większości idących na górę kobiet towarzyszyło dwóch mężczyzn: jeden wciągał, drugi podsadzał.

Henry zmarszczył brwi. Poza zapachem brudu, potu i przypraw czuł zapach strachu. Kiedy wszedł na pierwszy stopień i wyciągnął rękę do lady Wellington, jeden z mężczyzn uczynił znak odpędzający urok.

Lady Wellington podążyła wzrokiem za spojrzeniem Henry'ego i roześmiała się.

- Nie przejmuj się - powiedziała, kiedy bez wysiłku podciągnął ją na stopień. - W świetle pochodni twoje włosy wyglądają na bardziej rude niż zwykle, a rude włosy są znakiem Seta, egipskiej wersji diabła.

- Nie będę się przejmował - zapewnił ją z uśmiechem. Ale uśmiech byłby szczerzy, gdyby nie widział, jak grupa mężczyzn znika w chwili, gdy wspiął się poza zasięg wzroku zwykłego człowieka.

W ciągu wieków od zbudowania piramidy jej czubek ścięto i na szczycie powstała płaszczyna o powierzchni około dziesięciu metrów kwadratowych. Kiedy zadyszana lady Wellington opadła na jeden z wystających kamiennych bloków, w jednej chwili otoczyli ją miejscowi, którzy próbowali sprzedać jej

wszystko - od zwojów papirusu, „absolutnie autentycznych”, po palec mumii, bez wątpienia autentyczny. Henry'ego ignorowali. Zostawił ją przy zakupach i podszedł bliżej do zachodniej krawędzi, gdzie za ob-sydianową wstążką Nilu widać było światła Kairu.

Przyszli od zawietrzną, poruszając się tak cicho że śmiertelnik by ich nie dosłyszał. Henry usłyszał pół nizina bijących serc i odwrócił się wcześniej, niż się spodziewali.

Jeden z nich jęknął i natychmiast brudna dłoń zatkała mu usta. Inny cofnął się, błyskając białka-mi oczu. Pozostali czterej zamarli tam, gdzie stali, a Henry poza coraz mocniejszym zapachem strachu poczuł też zapach stali i zobaczył, jak księżyc odbija się od ostrzy.

- Zbyt otwarte miejsce jak na złodziei - zauważył spokojnie, mając nadzieję, że nie będzie musiał ich zabijać.

- Nie przyszliśmy kraść, ifrycie - powiedział miękko ich przywódca, tak cicho, by nikt z obcych na szczycie piramidy nie usłyszał. - Ale żeby cię ostrzec. Wiemy, czym jesteś. Wiemy, co robisz w nocy.

- Nie wiem, o czym mówicie... - instynktownie zaprzeczył Henry, choć nie spodziewał się, że mu uwierzą. Po ich zachowaniu poznał, że rzeczywiście wiedzą, toteż pozostało mu tylko jedno: dowiedzieć się, jak zamierzają to wykorzystać.

- Ifrycie, proszę... - Przywódca rozłożył szeroko ręce, jasno dając do zrozumienia, o co mu chodzi.

Henry skinął głową i pozwolił, by maska nudna-ego Anglika opadła.

- Czego chcecie? - W jego głosie słyhać było cię-żar przeżytych wieków. Przywódca pogładził brodę lekko drżącymi palcami. Cała szóstka unikała spojrzenia Henry'ego.

- Chcemy cię tylko ostrzec. Odejdź. Teraz.

- A jeśli nie odejdę? - Głos mu stwardniał. - Wtedy znajdziemy miejsce, gdzie kryjesz się przed dniem, i zabijemy cię.

Mówił poważnie. Mimo jego strachu i jeszcze większego strachu pozostałych Henry nie miał wątpliwości, że właśnie to zrobią.

- Czemu mnie ostrzegacie?

- Udowodniłeś, że jesteś neutralnym ifrytem - powiedział jeden z pozostałych.

- Nie chcemy cię rozgniewać, więc próbujemy odegnąć cię w neutralny sposób.

-Poza tym - dodał sucho przywódca - nasi młodzi nalegali.

Henry zasępił się.

- Dałem im sny...

- Nasi ludzie stworzyli cywilizację, gdy tamci byli dzikusami. - Wskazał dłonią na turystów, na lady Wellington otoczoną przez sprzedawców. - Zapomnieliśmy więcej, niż oni zdążyli się nauczyć. Sny nie ukryją twojej prawdziwej natury, ifrycie. Posłuchasz naszego ostrzeżenia i odejdiesz?

Henry przyglądał się przez chwilę ich twarzom. Pod brudem i głodem zobaczył wspomnienie ludu, który zbudował piramidy oraz imperium obejmujące większość północnej Afryki. Temu wspomnieniu skłonił się tak, jak księżę winien się kłaniać ambasadorowi dalekiego, potężnego kraju.

- Odejdę - powiedział.

„Zapomnieliśmy więcej, niż oni zdążyli się na-

Henry zabębnił palcami o biurko. Jakoś wątpił, żeby w ciągu dziewięćdziesięciu lat, jakie upłynęły od tamtej chwili, ludzie Zachodu nauczyli się czegoś więcej. Jeśli Celluci ma rację i po ulicach Toronto chodzi mumia, mumia, która przyniosła ze sobą moc starożytnego Egiptu, to wszyscy są w wielkim niebezpieczeństwie.



- Deklasujemy się, detektywie?

- Sprawdzamy, jak żyją inni. - Celluci oparł się o barierkę na 52 posterunku i spojrzał spode łba na siedzącą po drugiej stronie biurka kobietę. - Trembley

i jej partner już są? Muszę z nimi porozmawiać.

- Dobry Boże, proszę mi nie mówić, że wy, chłopcy z wydziału zabójstw, pracujecie o szóstej trzydzieści rano? Niech ja zaznaczę tę datę...

- Burton... - to niezupełnie było ostrzeżenie. - Jest Trembley?

- Boooóóó... wystarczy zdjąć takiemu mundur, a już traci poczucie humoru.

Nie, żebyś kiedykolwiek je miał - zreflektowała się. - Zawsze o poranku był z

ciebie kawał sukinsyna. Właściwie wieczorem też. - Sierżant sztabowy

Heather Burton przez pół roku, kiedy oboje byli jeszcze zwykłymi poli-

cjantami, jeździła jednym radiowozem z Cellucim, ale wydział rozsądnie

rozdzielił ich, zanim zdążyli się pozabijać. - Trembley jeszcze nie ma. Będziesz

czekał, czy chcesz, żebym jej kazała się do ciebie odezwać?

- Poczekam.

- Niech mi serce stanie...! - Posłała mu złośliwego całusa i wróciła do pracy.

Celluci westchnął i zaczął się zastanawiać, czy kiedy Vicki poradziła mu, żeby porozmawiał z Trem-bley, wiedziała, kto będzie miał służbę. Taką sytuację z pewnością oceniłaby jako zabawną...





- ...a ona wtedy mówi: „Mamusiu, nie zaaresztujesz go?”.

Partner Trembley wybuchnął śmiechem.

- Ile Katie już ma?

- Prawie trzy lata. Ma urodziny w listopadzie. -Skręciła z Harbord Street w Queen's Park Circle -Nie uwierzysz, na Halloween chce... Kurwa!

- Co jest?

-Pedał gazu się zaciął!

Radiowóz przyspieszył, jadąc przez most i na zakręt, Trembley skręciła gwałtownie, próbując odzyskać kontrolę nad autem. Raz i drugi wdepnęła pedał hamulców, który w ogóle nie stawiał oporu.

- Kurde!...

Szarpnęła za hamulec ręczny. W podwoziu zazgrzytało.

Partner Trembley, jedną ręką przytrzymując się deski rozdzielczej, chwycił radio. - Tu 5239! Auto... Jezu, Trembley!

- Widzę! Widzę!

Skręciła kierownicą mocno w lewo. Opony zapiszczały na asfalcie. Minęli autobus o milimetr. - Wrzuć wsteczny! - To rozwali silnik! - To co?

Świat zwolnił, kiedy posterunkowa Trembley nagle uświadomiła sobie, że samochód nie jedzie tam, gdzie ona go prowadzi. Koła skręciły, zostawiając za sobą ślad spalonej gumy, w stronę betonowego pomnika na rogu szpitala Toronto General.

Wszystko odzyskało swoją zwykłą prędkość tuż przed tym, jak w niego uderzyli. Ostatnim uczuciem Trembley była ulga. Wątpiła, by była w stanie znieść śmierć w zwolnionym tempie.



Stojąc po zawietrznej w stosunku do oleistego, czarnego dymu, Celluci spoglądał na wrak radiowozu. Czuł na twarzy żar płomienia. Jeśli jakimś cudem któreś z policjantów przeżyło uderzenie, wybuch silnika i tak ich zabił. Ogień był tak intensywny, że straż pożarna mogła tylko czekać, aż sam zgaśnie, pilnując, by się nie rozprzestrzenił.

Mimo wczesnych godzin zebrał się mały tłum, a kwiaciarka, która w chwili wypadku dochodziła akurat do rogu, była w takim szoku, że zajmowało się nią dwóch ratowników.

- Zabawne - odezwał się chrapliwy głos za plecami Celluciego.

Odwrócił się i spojrział w dół na obszarpanego mężczyznę, który chwiał się, stając obok. Nawet mimo odoru spalenizny czuć było jego smród.

- Widziałem wszystko - mówił. - Powiedziałem glinom. Nie uwierzyli.

- Co im powiedziałaś? - warknął Celluci.

- Nie jestem pijany! - Zatoczył się i złapał Celluciego za kurtkę. - Ale gdyby miał łaskawy pan jakieś drobne...

- Co im powiedziałaś? - powtórzył Celluci tonem, który ćwiczył przez lata tak, by przebijał się przez alkoholowe zamroczenie.

- To co widziałem. - Wciąż trzymając się jego kurtki, bezdomny wskazał brudnym palcem na samochód. - Koła jechały w jedną stronę. Samochód jechał w drugą.

- Ledwie świta, jak mogłeś to widzieć?

- Leżałem w parku. Miałem widok dokładnie na koła.

Trudno było to nazwać parkiem, raczej ogrodem posadzonym na pasie zieleni, ale ślady gumy wskazywały, że samochód przejeżdżał tuż obok.

Celluci poszedł wzdłuż nich do wraku, a potem spojrział w ślad za dymem, póki ten nie rozpułynał się na zachmurzonym niebie nad miastem.

Koła jechały w jedną stronę.

Samochód jechał w drugą.

Czując, jak zimna obręcz zaciska mu się wokół serca, Celluci pobiegł do samochodu. Nagle przeczytanie raportu Trembley z poniedziałku stało się niezwykle ważne.



- Chryste, Celluci - warknęła sierżant Burton. Podbródkiem przytrzymywała słuchawkę telefonu, a trzy stojące wokół osoby starały się zwrócić na siebie jej uwagę. - To nie czas, żeby mi zawracać głowę pieprzonym raportem, ty... Co? - zajęła się na powrót rozmową telefoniczną. - Nie. Nie chcę, żeby pan do mnie oddzwaniał. Chcę, żebyś mi go pan znalazł! Proszę mnie nie przełącza... cholera! - Nabazgrała swój podpis na podsuwanej jej kartce, rozejrzała się wokoło i wrzasnęła: - Takahashi! Na drugą linię! A ty- wskazała palcem Celluciego - jeśli potrzebujesz tego raportu do sprawy, to zadzwo-nisz

później. Słyszałeś? Później

- Sierzancie? - Takahashi podała jej słuchawkę, zaciskając dłoń na mikrofonie.

- To mąż Trembley.



Hieroglify wyskrobane na radiowozie zabawce były zupełnie stopione, a kawałeczek papieru złożony trzy razy w stronę serca i umieszczony na przednim siedzeniu był już tylko kupką popiołu. Wsunął gazetę pod dymiące szczątki i drżącą ręką wyjął je z wanny. Od dawna nie stosował tego zaklęcia, dlatego teraz, jako że spalenie hotelu nie było częścią jego planu, musiał obchodzić się z nim ostrożnie, żeby nie wyzwolić przypadkowo mocy. Zapomniał, że paliwo do tych samochodów jest łatwo palne, toteż przezorność wyszła mu na dobre. Zastłonka od prysznicza wydawała się nadpalona. Będzie musiał kazać ją wymienić.

Wyrzucił niekształtny kawałek metalu do kryształowej popielniczki w salonie apartamentu, a sam wyczerpany opadł na krzesło. Choć istniały prostsze i mniej męczące sposoby osiągnięcia tego samego celu, praca, jaką wykonał tego ranka, nie tylko usunęła ostatnie dwa wspomnienia o jego zmumifikowanej formie, ale też pokazała, że wciąż ma moc. Zajrzał na posterunek i po krótkiej rozmowie z młodzieńcem za biurkiem nie było żadnych pisemnych raportów z zeszłej nocy.

W dawnych czasach nie ośmielałby się wykorzystywać swojej mocy dla tak marnych celów jak dziś rano. Wtedy jednak bogowie zabierali sobie dusze, jak tylko się narodziły, a on nie mógł karmić się nimi tak łatwo jak teraz. Później, może po lunchu, przejdzie się. Według ka doktora Raxa w pobliżu był rodzaj szkoły dla bardzo małych dzieci.



- Spóźniłeś się.

- Byłem na pięćdziesiątym drugim, kiedy zadzwonili, że był wypadek. -

Celluci zdjął kurtkę i opadł na krzesło. Wypadek miał miejsce na rogu College

i University, trzy przecznice od Komendy Głównej, i wszyscy w budynku już o nim wiedzieli. Połowa porannej zmiany tam była.

- Było tak źle, jak mówisz?

- Gorzej.

- Jezu... Co tam się stało?

Celluci spojrzął ponad biurkiem na swojego partnera.

- Zespół, który zginął, to ci mundurowi, którzy w poniedziałek rano byli w muzeum.

- Chryste, Mike... - Dave pochylił się i zniżył głos. - To nie jest kiepski horror. Nie było żadnej mumii, a nawet gdyby była, nie wstawałaby, żeby mordować ludzi, a już na pewno nie powodowałaby wypadków samochodowych. Nie wiem, skąd ci się to wzięło, ale może byś już wyrzucił z głowy to gówno, żebyśmy mogli normalnie pracować?

- Słuchaj, nie wiesz...

- Czego nie wiem? Że kupa dziwaków łązi po mieście? Jasne, że wiem.

Aresztowałem niektórych. Ale mamy tu masę normalnego, ludzkiego gnoju, więc nie dorabiaj nam jeszcze mumii - Przyjrzał się twarzy Celluciego i pokręcił głową. - Jak kasa w rękach dziwki... Nie słyszałeś ani jednego słowa.

- Słyszałem - warknął Celluci. Uświadomił sobie, że cokolwiek by powiedział, nie przekona partnera, że poza granicami, w których spędził całe życie - a nawet, co gorsza, w ich wnętrzu - istnieje inny świat.

- Hej, wy dwaj, Cantree chce was widzieć u siebie.

- Po co? - Celluci spojrzął spode łba na posłańca, a Dave wstał.

Kobieta wzruszyła ramionami. - Skąd mam wiedzieć, do cholery? To inspektor, a ja jestem tylko detektywem. - Usunęła się z drogi, kiedy Celluci wstał. - Może chce spojrzeć na wasz ostatni raport o wydatkach. Mówiłam, żebyście zachowywali paragony.



Inspektor Cantree podniósł wzrok, kiedy dwaj detektywi weszli, i skinieniem głowy nakazał im zamknąć drzwi

- Chodzi o te zgony w muzeum - powiedział bez owijania w bawełnę. -

Przejrzałem raporty. Rozmawiałem z szefem. Zostawcie to.

- Zostawić? - Celluci zrobił krok w przód.

- Słyszałeś. Zawał serca to nie zabójstwo. Zostawcie to dochodzeniówce.

Chcę, żebyście pomogli Lackey i Dixonowi w sprawie Griffina.

Celluci poczuł, jak dłonie zaciskają mu się w pięści, ale ponieważ to był

Cantree, prawdopodobnie jedyny glina szanowany przez wszystkich bez wyjątku - co znaczyło o wiele więcej niż to, jaką ma rangę i że jest ich przełożonym - opanował się.

- Mam przeczucie... - zaczął, lecz inspektor mu przerwał.

- Nie obchodzi mnie to. To nie zabójstwo, więc nie wasza sprawa. Ani waszych przeczuc.

- Myślę, że to jest zabójstwo. Cantree westchnął.

- No dobra. Czemu? Masz jakieś dowody?

Celluci zacisnął usta.

- Nie mam żadnych dowodów - mruknął, podczas gdy Dave, zachowując neutralny wyraz twarzy, wbijał wzrok w sufit. - Tylko przeczucie.

- Dobra. - Cantree rozłożył na swoim biurku stos teczek. - To ja wam podam fakty. W tym roku mieliśmy już siedemdziesiąt siedem zabójstw. Poćwiartowana nastolatka w jeziorze. Mężczyzna przebity nożem za barem. Lekarka zabita na klatce schodowej swojego bloku. Dwie kobiety skatowane pałkami na parkingu w samym środku pieprzonego popołudnia... - mówił coraz głośniej. Podniósł się z krzesła

i uderzył otwartą dłońią w teczek. - Nie potrzebuję, żeby mi ktoś wymyślał morderstwa tam, gdzie ich

nie ma. Jeśli o was chodzi, sprawa jest zamknięta. Jasne?

- Absolutnie - odparł przez zaciśnięte zęby Celluci.

- Jak słońce - dodał Dave, ciągnąc partnera w stronę drzwi i trzymając go za łokieć, póki nie wyszli z biura inspektora. - No i to chyba tyle... -Zauważył wyraz twarzy Celluciego, westchnął i wywrócił oczyma. - Albo i nie...



- Nelson, prywatny detektyw.

- Cantree odebrał mi sprawę.

Vicki opuściła torbę na podłogę i przytrzymując słuchawkę podbródkiem, ściągnęła kurtkę. Ledwie weszła do mieszkania, już zadzwonił telefon.

- Powiedział, dlaczego?

- Powiedział, cytując: „Przejrzałem raporty. Rozmawiałem z szefem. Zawał to nie zabójstwo”.

- A co ty mu powiedziałaś?

- A co niby miałem powiedzieć? Gdybym mu powiedział, że moim zdaniem w to wszystko jest zamieszana mumia, wziąłby mnie za wariata. Mój partner już myśli, że zwariowałem.

W myślach widziała go, jak odgarnia z czoła kosmyk włosów i przeczesuje je palcami.

- Dalej uważasz, że jest jakaś mumia?

- Raport Trembley z poniedziałku rano zaginął.

- A Trembley?

- Nie żyje. Vicki usiadła. - Jak?...

- Dziś rano mieli wypadek w drodze powrotnej na posterunek.

- Minęłam to miejsce, wracając do domu, ale nie miałam pojęcia, że Trembley... tam była. - Zespołom ratunkowym dopiero co udało się dostać bliżej wraku. Ciała były spalone tak, że nie było szans na zebranie jakichkolwiek śladów. - Rozmawiałam z mundurowymi. Powiedzieli, że kierowca stracił panowanie nad samochodem.

- Mam świadka, który widział, jak koła skręcały w jedną stronę, a samochód jechał w drugą. - Cel-luci wziął głęboki oddech. Nawet mimo dzielących ich kabli słyszała, jaki jest napięty. - Chcę cię zatrudnić. - Co?

- Cantree związał mi ręce. Ty dla niego już nie pracujesz. Znajdź tę mumię. W jego głosie usłyszała obsesję. Słyszała ją już w nim wcześniej, tak samo często jak we własnym. Obsesja sprawia, że jest się dobrym gliną. Czasami jednak potrafi złamać policjanta.

- Dobra. Znajdę ją.

- Informuj mnie o każdym kroku. - Będę.

- Bądź ostrożna.

Stały jej przed oczami stopione szczątki samochodu Trembley. - Ty też. Odkładając słuchawkę, zmarszczyła czoło. Przypomniała sobie coś.

„Przejrzałem raporty. Rozmawiałem z szefem”.

- Czemu inspektor Cantree miałby rozmawiać z szefem policji o sprawie istotnej tylko na poziomie wydziału? - zapytała pustego mieszkania.

## ROZDZIAŁ 7

W tej chwili nikt nie może podnieść słuchawki. Jeśli zostawisz wiadomość po usłyszaniu sygnału, odezwę się, jak tylko będę mógł. Proszę, nie zakładaj, że pamiętam, gdzie mam twój numer telefonu.

- Henry? Tu Vicki. Chciałabym dziś w nocy sprawdzić tę pracownię. Dział Egiptologii jest na piątym piętrze po południowej stronie muzeum. Spotkajmy się tam, jak tylko będziesz mógł... - Zastanowiła się i dodała: - Przy wejściu jest jeden strażnik, myślę, że uda ci się bez problemu dostać do środka.

Ze zmarszczonymi brwiami odłożyła słuchawkę. Do zachodu słońca było jeszcze kilka godzin i nie spodziewała się, że Henry podniesie słuchawkę, lecz nagle zaczęła wątpić, czy zrobiła rozsądnie, zostawiając wiadomość na sekretarce.

- Nie bądź głupia - prychnęła. - Szanse na to, że mumia Celluciego podsłuchuje wybiórczo linie telefoniczne albo dostanie się do sekretarki Henry'ego, są takie same jak szanse na to... - westchnęła i po-nownie wybrała numer Henry'ego - ...że w ogóle istnieje jakaś mumia... Henry? Tu Vicki. Jak odsłuchasz wiadomości, wykasuj je.

- Pewnie popadam w paranoję - powiedziała chwilę później kawałkowi zimnej pizzy, odrywając od zeschniętego sera plasterki salami. Ponieważ jednak cztery osoby już nie żyły i nikt nie był w stanie ocenić siły i możliwości potencjalnego przeciwnika, nie miała zamiaru zostać ciałem numer pięć albo zrobić Henry'ego, że zostanie numerem szóstym.

Spacer z mieszkania Vicki do Royal Ontario Mu-seum nie trwał dłużej niż piętnaście minut, ale skręcając w uliczkę między Planetarium McLaughina i głównym budynkiem muzeum Vicki pożałowała, że nie wzięła taksówki. Wszystko, czego nie osłaniała jej parasolka, przemokło doszczętnie, a wiatr przy każdej okazji zawiewał jej zimnym deszczem w twarz.

- Nienawidzę paździenika - mruknęła, chroniąc się pod wąską kładką i strząsając wodę z płaszcza. Kiedy się wyprostowała, zimny strumyczek spłynął jej z podbródka pod kołnierz, wzdłuż szyi i do zagłębienia przy obojczyku, gdzie wreszcie poddał się i pozwolił wchłonąć jej koszulce. -

Poprawka: październik może być, nienawidzę deszczu.

Przed wejściem dla personelu zatrzymała się i zajrzała przez zewnętrzne szklane drzwi do środka. Olbrzymi znak informował, że identyfikatory trzeba zawsze nosić, a odwiedzający muszą się zameldować u strażnika.

Vicki uśmiechnęła się, ściągnęła skórzane rękawiczki i wsadziła je do kieszeni, a potem otworzyła drzwi.

- Dzień dobry. - Uśmiechnęła się do strażnika szczerze i szeroko, a on odpowiedział uśmiechem. Jej ubranie mówiło mu, że ma do czynienia z kimś porządnym, a jej zachowanie, że jest miłą osobą, taką, z jakimi strażnicy lubili mieć do czynienia. - Nazywam się Celluci. Przyszłam do doktor Rachel Shane z egiptologii. - Uznała, że to nazwisko otworzy jej drzwi na górę, a jeśli strażnik jej nie wpuści, tę samą bajeczkę sprzeda doktor Shane.

- Czy ona pani oczekuje?

- Nie, w tej akurat chwili nie.

- Będę musiał zadzwonić.

- Oczywiście.

Chwilę później była już w windzie, a przy płaszczu miała przypięty różowy identyfikator z wypisanym nazwiskiem Celluci i numerem czterdzieści dwa. Ku jej zaskoczeniu przy wyjściu z windy na piątym piętrze czekała na nią atrakcyjna ciemnowłosa kobieta.

- Mike, czy... - zaczęła, robiąc krok naprzód, kiedy drzwi windy się rozsunęły. Zatrzymała się, zarumieniła i cofnęła, gdy Vicki wyszła na korytarz. -

Przepraszam, myślałam, że jest pani kimś innym.

- Detektywem sierżantem Cellucim? - domyśliła się Vicki. Po opisie Celluciego domyśliła się, z kim ma do czynienia, lecz zaczęła się zastanawiać, czego to rzeczony detektyw zapomniał jej powiedzieć o pani doktor. Czemu wyszła go przywitać przy windzie.

- Tak, ale...

- Pani jest zapewne doktor Shane.

- Tak, ale... - Zdołała odczytać nazwisko na identyfikatorze i jej policzki pociemniały. - Nie jest pani chyba jego żoną?

Vicki poczuła, że teraz ona się rumieni.

- W żadnym razie. - Wyglądało na to, że doktor Shane ulżyło, choć jednocześnie była zażenowana. Vicki znów zaczęła się zastanawiać, czego Mike jej nie powiedział. I czy w ogóle chciałaby to wiedzieć. - Jestem jego kuzynką - powiedziała. - Wydawało mu się, że zostawił tu jakieś papiery, a ponieważ pracuję tuż za rogiem, na Bloor Street, poprosił mnie, żebym po nie wpadła.

- Papiery? - Doktor Shane oawróciła się i ruszyła przed siebie. - Jeśli coś zostawił, to pani Gilbert, sekretarka działu, będzie o tym wiedzieć. Chyba jeszcze nie wyszła.

Kiedy szły w stronę biura, Vicki obserwowała drzwi, zamki, pola widzenia i doktor Rachel Shane. Celluci mógł rzecz jasna jadać lunch z kim mu się



podobało - ich związek nie opierał się na zasadzie wyłączności - ale Vicki musiała przyznać, że gryzie ją ciekawość. Kiedy mówił o wicekustosz, był tak całkowicie neutralny, że od razu poznała, iż jest nią zainteresowany. Celluci nigdy nie pozostawał neutralny w żadnej sprawie. Obejrzenie doktor Shane na własne oczy wykazało, że jest średniego wzrostu, atrakcyjna, pewna siebie, przyjemna w obyciu, uprzejma... I z pewnością inteligentna, inaczej nie dostałaby tej pracy. Chryste, idealna kobieta lat dziewięćdziesiątych. Można było sobie dać rękę uciąć, że umie też gotować, segreguje śmieci i czytuje literaturę faktu. Vicki drgnął mięsień twarzy. Zaskoczona rozluźniła zaciśnięte zęby.

- Dlaczego detektyw Celluci sam nie przyszedł?

- Nie mam pojęcia.

Doktor Shane zadała pytanie najbardziej agresywnie niezobowiązującym tonem, jaki Vicki zdarzyło się słyszeć. Celluci, to dopiero musiał być lunch, pomyślała.

Oczywiście nie było żadnych papierów, ale pani Gilbert, zawiązująca pod brodą plastikowy przeciwdeszczowy kapelusz, zapewniła, że jeszcze ich poszuka.

- Dziękuję, że pani spróbowała. - Kiedy starsza kobieta wyszła pośpiesznie z biura, Vicki spojrzała na zegarek. Pora już iść. Kolejny kawałek należało dobrze rozegrać w czasie. Wyciągnęła rękę. - Dziękuję za poświęcony mi czas, doktor Shane.

- Przykro mi, że nie znaleźliśmy papierów detektywa.

Miała mocny uścisk i suchą dłoń. Kolejne dwa punkty na plusie.

- Czas, żeby zaczął pamiętać, gdzie co gubi. Jeśli się znajdą, zadzwoni pani do niego?

- Oczywiście.

No jasne. Nagle nie tak łatwo było zdobyć się na uprzejmy ton głosu.

- Dał pani swój domowy numer?

- Tak.

A cóż oznacza ten tajemniczy uśmieszek godny Mony Lizy?

- Jeszcze raz dziękuję. Trafię do windy. To prosto korytarzem, nie ma jak się zgubić.

Kiedy była z powrotem na parterze, przez przejście obok stanowiska ochrony przesuwiał się równy strumień pracowników. Jednym okiem zerkając na zegarek, Vicki upewniła się, że strażnik widzi jej wyjście i dostaje z powrotem identyfikator. Jego zmiana kończyła się za dwie minuty.

- O kurczę, zostawiłam na górze parasolkę. - Rzuciła spanikowane spojrzenie na zewnątrz, gdzie gęste krople deszczu uderzały o szybę, i odwróciła się do strażnika. - Mogę po nią wrócić?

- Jasne, proszę. - Też rzucił niechętnie: spojrzenie na pogodę za oknem.

Najlepsze kłamstwo to takie, które kłamstwem wcale nie jest, uznała Vicki, wyciągając parasolkę zza jednego z posągów przy drzwiach do Działu

Dalekiego Wschodu. Przemknęła przez korytarz do małego pomieszczenia gospodarczego, tuż obok kopiarki. Wcześniej drzwi były otwarte i wydawało się, że będzie tam świetna kryjówka. Niestety, teraz były zamknięte, a gdyby próbowała je otworzyć, ktoś nadchodzący z którejkolwiek strony na pewno by ją zauważył.

- Cholera.

Otwarte pomarańczowe drzwi prowadziły do pracowni. Vicki słyszała, jak doktor Shane omawia restaurację fresku. Podwójne żółte drzwi naprzeciw pracowni były uchylone. Vicki wślizgnęła się do środka. Głosy z pracowni stały się głośniejsze.

- ...jutro przyjrzymy się temu gipsowemu uzupełnieniu.

Byli już w korytarzu.

Vicki odwróciła się. Była w magazynie, to oczywiste. Tuż za nią stał czarny kamienny sarkofag, o którym mówił Celluci. Oczywiście było również, że zaraz ktoś tu przyjdzie, żeby zgasić światło i zamknąć drzwi. Zerknęła szybko na zamek - spędzenie nocy w zamknięciu jakoś jej się nie uśmiechało - a potem rozejrzała się w poszukiwaniu kryjówki. Niestety, nagromadzenie przedmiotów sprawiało, że przejście między nimi bezszelestnie było niemożliwe. A sarkofag stał zbyt blisko drzwi, by schowanie się za nim miało sens.

Może więc w nim?

Wczołgała się do środka na chwilę przed tym, jak drzwi się otworzyły.

- Ray, słyszałeś coś?

- Nie, pani doktor.

- Pewnie mi się przywidziało... - rzekła bez przekonania, a Vicki wstrzymała oddech.

Chwilę później rozległo się delikatne kliknięcie, światła zgasty, potem drzwi się zamknęły i dało się słyszeć odgłos przekręcanego w zamku klucza.

Wnętrze sarkofagu było całkiem przestronne, zbudowano je w końcu po to, by pomieścić dużą trumnę, lecz Vicki nie miała zamiaru tam zostać.

Wyczołgała się na zewnątrz i ułożyła swoją torbę i parasolkę na kamiennym bloku. Nowy strażnik nie

powinien się nią interesować, oddała przecież identyfikator, w jego mniemaniu więc wyszła. A prawdopodobieństwo, że poprzednik powiedział mu, iż wróciła po parasolkę, było bliskie zeru. Skoro mumia miesza w ludziom głowach - a tak zapewne było, bo nikt jej nie pamiętał - ona może zrobić to samo.

Była dumna, że tak zręcznie wywiodła w pole ochronę. Przy paranoi, jaką spowodowały dwa zgony, zwykłe wślizgnięcie się do muzeum byłoby niemożliwe. Trochę jej przeszkadzało, że to, co robi, jest nielegalne, ponieważ jednak nie miała zamiaru nic zniszczyć ani zabrać, jej sumienie jakoś sobie musiało z tym poradzić. Właściwie nabrało elastyczności od chwili, gdy spotkała Henry'ego.

Wyciągnęła po omacku z torby latarkę i sprawdziła godzinę na zegarku. Słońce miało zejść za piętnaście minut. Uznała, że Henry będzie potrzebował z pół godziny na obudzenie się, więc na razie nie ma co zajmować się zamkiem.

- Na razie - oświetliła sarkofag - zobaczymy, co tutaj da się znaleźć.



Henry stał przez chwilę, obserwując, jak Vicki pracuje. Chociaż światła awaryjne w korytarzu sprawiały, że panował tam raczej półmrok, a nie ciemność, wiedział, że dla niej to bez różnicy. Nie mogła widzieć zamka, choć był kilka centymetrów od jej twarzy, ani jego, ale jej ruchy, gdy sprawdzała mechanizm, były pewne. Cicho przysunął się bliżej i uśmiechnął, kiedy uświadomił sobie, że ma zamknięte oczy.

- Dobra robota - powiedział miękko, kiedy z kliknięciem słyszalnym tylko dla niego zamek się otworzył.

Czując, jak serce jej się obija z rozmachem o żebra, Vicki z trudem powstrzymała pragnienie poderwania się na nogi i ucieczki gdzie pieprz rośnie - przytrzymując się dłonią drzwi, żeby nie stracić orientacji, wstała.

- A teraz może znikniemy z korytarza, zanim ktoś tu przyjdzie...

- Dziękuję, Henry - mruknęła świadoma, że nieważne, jak cicho będzie mówiła, on i tak usłyszy -

Właśnie dzięki tobie ubyło mi sześć lat życia i prawie narobiłam w gacie.

Sięgnął do klamki i pchnął jedno ze skrzydeł drzwi. Zanim zdążył podjąć rolę przewodnika, Vicki prześlizgnęła się przez wąską szparę do pomieszczenia. Zaskoczony wszedł za nią, zamykając drzwi.

- Widzisz coś? - zapytał.

- Nic a nic. - Chociaż gdy mówiła o swojej ślepcie, w jej głosie zawsze brzmiała gorycz, tym razem słyhać w nim było też dumę. - Ale czułam różnicę w powietrzu, gdy otworzyłeś drzwi. A teraz przydad się na coś i znajdź włącznik światła. Drzwi są szczelne, na korytarzu nic nie będzie widać. Albo prawie nic - poprawiła się, gdy ogromne fluorescencyjne lampy rozjaśniły pomieszczenie. Oczy jej łzawiły od tego blasku. Odwróciła się do Henry'ego, który właśnie nakładał okulary przeciwsłoneczne. Uśmiechnęła się.

- Wyglądasz jak szpieg. - Czarny skórzany płaszcz i ciemne okulary kontrastowały mocno z rudymi włosami i bladą skórą.

Uniósł brwi.

- A nie szpiegowaniem się teraz zajmujemy?

- Niezupełnie. Gdyby nas nakryli, byłoby to włamanie i wtargnięcie.

Henry westchnął.

- Cudownie. Vicki, po cośmy tu przyszli? Po dowodach nie ma już śladu.

- Może tak, może nie. Chciałam obejrzeć miejsce zbrodni.

Znowu przetarła oczy i rozejrzała się po pracowni. Pomieszczenie musiało mieć z piętnaście metrów kwadratowych, a może i więcej. Wysokie beżowe ściany wydłużały je optycznie. Jedną połowę pracowni zajmowały stojące pod ścianami drewniane gabloty, drugą sięgające do sufitu metalowe półki wypełnione kamieniami, ceramiką i rzeźbami. Vic-ki i Henry stali w części służącej do pracy biurowej - świadczyło o tym zasypane papierami biurko i kilka półek z książkami. Po ich lewej stała na trójnogu kamera, po prawej mieli małą lodówkę, stół i zlew. Jasnozielone drzwi przy stole prowadziły do ciemni. Na jedynym skrawku wolnej powierzchni, między biurkiem i gablotami, na dwóch obitych stojakach stała trumna. Jej wieko spoczywało na wierzchu najbliższych szafek.

- Chciałam też, żebyś na to spojrział.

Henry znowu westchnął. Chciał pomóc, ale szczerze mówiąc, nie widział jak ta ich... wycieczka... może przynieść jakieś rezultaty.

- Jesteś pewna, że to właściwa trumna?

Vicki skrzywiła się, patrząc na nią. Nawet bez opisu Celluciego by ją rozpoznała. Zjeżyły jej się włosy na karku. Otrząsnęła się. Zaczynała rozumieć, czemu Celluci był skłonny uwierzyć w mumię.

- Jestem pewna - odparła.

Z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie Henry podszedł do trumny.

Przez ciemne szkła okularów wyglądała nierzeczywiście, a wymalowane na niej węże miały kolor krwi. Bardzo znaczące - tyle że on nie miał pojęcia, czego ma szukać. Od wszechobecnego zapachu cedru swędziało go w nosie. Nagle zmarszczył brwi i pochylił się niżej. Poczł zapach życia, tak ulotny, że tylko ktoś z jego rodzaju mógł go poczuć.

Z zamkniętymi oczami wciągnął do płuc zapach wieków. Nie tyle ciało i krew. ile przerażenie, ból, rozpacz...

Nie było nad nim kamieni, lecz drewno obejmujące go tak dokładnie, że gdy oddychał, jego pierś ocierała się o deski. Wokół siebie czuł zapach ziemi.

Wrzeszcząc, póki starczyło mu sił w gardle, wił się i rozpychał w wąskiej przestrzeni...

Otworzył gwałtownie oczy i odsunął się od trumny, od wspomnień własnego pochówku, kreśląc w powietrzu znak krzyża. Kiedy się odwrócił, zobaczył obserwującą go Vicki. Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że widziała jego reakcję. - No i?

- Coś było tu uwięzione przez długi czas.

- Coś ludzkiego?

Wzruszył ramionami. Doświadczenie wstrząsnęło nim bardziej, niż był skłonny przyznać.

- Było ludzkie, kiedy zamknęli wieko. Skoro przez te wszystkie lata zachowało świadomość, to Bóg jeden wie, czym jest teraz.

Vicki w zamyśleniu pokiwała głową i Henry uświadomił sobie, że nie tylko widziała jego reakcję, ale spodziewała się jej.

- Po to byłem ci tu potrzebny... - Opowiedział

jej o swoim pochówku w dniu, kiedy wyznał jej, jak został wampirem.

Znowu kiwnęła głową, nie zauważając jego rosnącego gniewu.

- Powtarzasz, że masz bardziej wyostrzone zmysły, więc uznałam, że jeśli ktoś czy coś było tu przez trzy tysiące lat, zdołasz to wyczuć.

- Wykorzystałaś mnie.

Vicki, zaskoczona jego furją, mimowolnie zrobiła krok w tył.

- O czym ty mówisz? - wykrztusiła przez zaciśnięte ze strachu gardło. -

Założyłam, że będziesz mógł wyczuć... - i nagle zrozumiała.

- Wiesz, że nie bez powodu większość wampirów wywodzi się ze szlachty. Z krypty po prostu łatwiej powstać. Mnie pochowano porządnie i głęboko, tak że Christinie trzy dni zajęło znalezienie grobu i odkopanie mnie.

Oblizwała wargi i chociaż instynkt podpowiadał jej, żeby uciekała, stała w miejscu.

- Henry, nie pomyślałam o twoim pochówku. Nie chodziło mi o emocjonalną reakcję, tylko o fizyczną. Jezu, Henry. - Oparła dłonie na jego piersi, czując, że sama zaczyna się złościć. - Najgorszemu wrogowi bym tego nie zafundowała, a już na pewno nie przyjacielowi!

Słowa przebiły się przez czerwoną mgłę i Henry pojął, że musi jej uwierzyć.

Był roztrzęsiony, przeraziło go, jak blisko był uwolnienia bestii.

- Vicki... przepraszam.

- W porządku. - Jego policzek był gładki i chłodny. Wyglądał, jakby bardziej przestraszył siebie niż ją. - Wszyscy mamy drzwi, których lepiej nie otwierać.

- A jakie ty masz? - zapytał, przywdziewając na powrót maskę człowieka cywilizowanego.

- O tym nie mamy czasu teraz mówić - prychnęła Vicki. - Za jakieś dwanaście godzin wrócą tu ludzie. - Skinęła głową w stronę drzwi, przypominając sobie, w jakim ostatnio Henry był napięciu, i pragnąc, by incydent jak najszybciej poszedł w zapomnienie. - Lepiej chodźmy pomyszkować w biurach. To miejsce powiedziało nam już wszystko, co mogło.



Henry stał przy oknie jednego z biur i wyglądał na ulicę. Powinien był wiedzieć, że Vicki nigdy by go tak nie wykorzystała - wyzyskałaby jego zdolności, ale nie lęki. Przez codzienne budzenie się z obrazem słońca pod powiekami chodził mocno podenerwowany, a wspomnienie pochówku sprawiło, że niemal przekroczył granicę. Zaczął się zastanawiać, ile jeszcze będzie takich wspomnień. W ciągu czterystu pięćdziesięciu lat nazbierało się ich sporo.

Może ten obraz był wskazówką, że jego czas dobiega kresu, zaproszeniem, by skończył w czystszy sposób, zanim całkiem straci siebie. A jeśli miał wybór, wybierał ogień.

- Auć...!

Henry musiał ukryć uśmiech, gdy Vicki nadziała się udem na róg biurka doktora Raxa. Myśli o śmierci chwilowo musiały ustąpić miejsca życiowym problemom. Kiedy Vicki zapaliła stojącą na biurku lampkę, odsunął się od okna.

- Jesteś pewna, że to bezpieczne?

- Oczywiście - powiedziała, rozcierając udo i mrugając niczym sowa. - Jeśli ktoś zobaczy światło, założy, że ktoś tu pracuje do późna. Ale jeśli zobaczy promień latarki - urwała i zaczęła grzebać w torebce - założy, że to włamanie.

- Uczą tego w akademii policyjnej?

- Raczej nie. Kiedy nosiłam mundur, notoryczny przestępca zwany Łasicą kontynuował moją edukację.

- Nie wbijał sobie w ten sposób noża w plecy? - zapytał Henry, podchodząc do biurka. - Zdradzał przecież policji swoje sekrety.

- Łasica nie był taki zły. Miał po prostu płynną definicję własności prywatnej.

- Usiadła i rozejrzała się po blacie biurka. - No i co my tu mamy...

- Czego szukasz?

- Powiem ci, kiedy... no proszę! - Gruba książka wystająca z półki miała kilka stron wymiętych, zupełnie jakby ją upuszczono, a potem zatrzaśnięto, nie troszcząc się o jej stan. - „Starożytni bogowie Egiptu”, wydanie trzecie. -

Otworzyła książkę na wymiętych stronach i ustawiła tuż pod lampką, spoglądając krzywo na niemożliwe do wymówienia imiona. - Ciekawe, czy doktor Rax szukał tu czegoś tej nocy, kiedy umarł.

- Czy jest tam ilustracja, która wygląda jak to? Henry podał jej kalendarz. Na pierwszej stronie była data dziewiętnastego października. Doktor Rax nie dożył do dwudziestego.

Vicki zmrużyła oczy, by przyjrzeć się rysunkowi pod tą datą. Wyglądał na

dziwne zestawienie ciała jelenia i ptasiej głowy. Zajrzała do książki.  
- Tu jest. Całkiem podobny mu wyszedł, jeśli rysował go z pamięci. Achech?...  
Temu gościowi przydałaby się jeszcze z jedna samogłoska... - Potarła dłonią kark. Zorientowała się, że szuka wzrokiem Henry'ego, żeby się uspokoić. Poczuli się jak głupia, kiedy uświadomiła sobie, że stoi poza jej ograniczonym polem widzenia, i pochyliła głowę nad książką. - „Achech, predynastyczny bóg Górnego Egiptu, który po wchłonięciu przez religię najeźdźców stał się formą złego boga Seta...”. Kurwa! - Zatrzasnęła książkę i siedziała nieruchomo, dysząc ciężko, wpatrzona w coś, czego Henry nie widział.  
- Vicki? - Złapał ją za ramię i potrząsnął na tyle mocno, by przebić się przez stupor. - Co się stało?  
Zamrugała i sprawdziła, czy może jeszcze ruszać głową.  
- Chyba mam uszkodzenie kręgów szyjnych.  
- Vicki! - Znowu nią potrząsnął, już nie tak mocno.  
Oblizwała wargi i spojrzała na książkę. - Oczy na rysunku były czerwone. Świejące. Spojrzały wprost na mnie...



Poruszył ramionami odzianymi w jedwabną koszulę i uśmiechnął się do swojego odbicia. Dotyk materiału na skórze sprawiał mu przyjemność. To stulecie miało wiele do zaoferowania tym, którzy umieli to docenić. Kiedy skończy, będzie tu raj na ziemi.  
Tęskniąc za niewolnictwem i prostotą usług, jakie oferowało, praktycznie zniewolił kierownika hotelu i dwójkę jego asystentów. Ich ka tak całkowicie poddały się jego, że nie zostało im wiele niezależności. To był zaledwie początek, ale miał przecież dużo czasu.  
Prokurator generalny, z którym spędził bardzo produktywne popołudnie, też był pod jego kontrolą.  
Jako że mężczyzna musiał - przynajmniej przez jakiś czas - być w stanie działać niezależnie, nie wzbudzając przy tym podejrzeń, kontrola, jaką mu narzucił, działała subtelnie na wielu poziomach i opierała się na reakcji na miriady zewnętrznych bodźców. Musiał znaleźć mężczyzn i kobiety, którzy będą wierni Achechowi, a ich ka przyczyni się do wzrostu jego mocy, tak jak było w Egipcie.  
Zobaczył w lustrze czerwony blask na sekundę przed tym, jak jego odbicie zmieniło się w wizerunek jego boga.

Najwyższy kapłanie mojej nowej religii, powiedziało.  
Skrzyżował dłonie na piersiach i pokłonił się. Wieki praktyki sprawiły, że nie  
było po nim widać  
niesmaku. - Mój panie?  
*Otwórz dla mnie swoje ka. Naznaczyłem pierwszą z tych, którzy mnie pożywią.*



Vicki prześlizgnęła się pod ciemną zasłoną i zamknęła za sobą drzwi sypialni, tłumiąc przy tym dreszcz, jaki przeszedł ją na myśl o Henrym leżącym nieruchomo na łóżku. Chociaż zwykle nie przejmowała się zbyt tym, co było, popołudnie spędzone przy nim na czekaniu, aż się obudzi, mocno wryło się w jej wspomnienia i nie chciało zblaknąć. Co prawda tego ranka Henry nie wyglądał na kogoś, kto chciałby się zabić, ale wiedziała - ów nocny epizod zmusił ją, by sobie to uświadomiła - że nerwy ma napięte do granic.

- Wampiry nie powinny mieć nerwów - mruknęła, wchodząc do salonu i spoglądając na rozciągający się za oknami świt. Wkurzało ją, że nie może nic dla niego zrobić, tylko czekać i patrzeć.

Ziewnęła, zdjęła okulary i potarła oczy. Wyjście z muzeum było o wiele łatwiejsze niż wejście. Henry po prostu spojrzął strażnikowi w oczy, a potem przeszli obok niego. Vicki nie mogła się powstrzymać przed wyszeptaniem: „To nie są człekopodob-ne istoty, których szukacie”. Niestety, po powrocie do apartamentu Henry'ego nie udało jej się wypaść. Sny o bogach starożytnego Egiptu ciągle ją budziły. Obiecała sobie, że później utnie sobie długą drzemkę, opadła na fotel i sięgnęła po telefon. Jeśli Celluci jeszcze nie jest na nogach, to zaraz będzie. Odebrał po drugim sygnale.

- Celluci.

- Dzień dobry, detektywie. Jesteś na tyle przytomny, żeby usłyszeć poranne wiadomości?

Usłyszała, jak przełyka ślinę. Oczami duszy widziała go, jak wymięty i nieogolony stoi w swojej małej kuchni w domu na Downsview.

- Dobre czy złe?

- I takie, i takie. Które wolisz usłyszeć najpierw?

- Dobre, przydadzą mi się jakieś.

- Nie zwariowałeś. W trumnie była mumia, która teraz grasuje po Toronto.

- Świetnie. - Znowu przełknął ślinę. - A te złe?

- W trumnie była mumia, która teraz grasuje po Toronto.

- Bardzo śmieszne. Kiedy będę chciał sobie po-żartować, na pewno do ciebie



zadzwoń. Jak ją znajdziesz?

Vicki westchnęła.

- Nie wiem - przyznała. - Ale coś wymyślę. Może spróbuję wykombinować, dlaczego Trembley i jej partner zostali zabici, a ludziom z muzeum... hm... wyprano mózgi.

- Może powinienem znowu porozmawiać z doktor Shane?

- Czemu nie? Już wydawała się tobą irracjonalnie zachwycona. „Idiotka!” pomyślała zaraz. „Nie do wiary, że to powiedziałam” Klepnęła się wolną ręką w czoło. „Najpierw myśleć, potem mówić”.

Niemal słyszała, jak Celluci unosi brwi w górę.

- Kiedy spotkałaś doktor Shane?

- Wczoraj w muzeum. - Gdyby mu nie powiedziała, uznaliby, że go śledziła. - Kiedy badałam sprawę mumii.

-Jasne.

Poznała po jego głosie, że się uśmiecha, i zgrzytnęła zębami.

- Odwal się, Celluci. Jest zbyt wcześnie, żebyś sobie zawracała głowę pierdołami. Zadzwoń, jak będziesz miał coś konkretnego do powiedzenia. - Rozłączyła się, zanim zdążył odpowiedzieć.

- Myśli, że jestem zazdrosna - poinformowała swoje odbicie w lśniącej czarnej szafce Henry'ego. -Czemu miałabym być zazdrosna o doktor Rachel Shane, skoro nigdy nie byłam zazdrosna o te wszystkie biuściaste panienki, z którymi się widywał przez te lata?

- Bo doktor Shane jest taka jak ty? - podpowiedziało odbicie.

Pokazała mu środkowy palec i wstała.

- Naprawdę jest zbyt wcześnie na takie rzeczy.



Przestało padać, lecz ciężkie chmury wisały nisko nad miastem, a chłodny wiatr z zachodu przewiewał Vicki, gdy szła College Street do Komendy Głównej. Kiedy się przespała i posiliła puszką ravioli, uświadomiła sobie, że wciąż ją dręczy, iż inspektor Can-tree rozmawiał z szefem Celluciego o rutynowej sprawie.

„Poza tym i tak nie mam innych tropów” przypomniała sobie, czekając na Bay na zmianę świateł.

Komenda widziana z drugiej strony ulicy wyglądała jak zestaw klocków lego w stylu art déco. Niektórym się nie podobała, Vicki jednak uważała, że wygląda radośnie, i zawsze podziwiała kontrast między fasadą gmachu a

skrzeczając wewnątrz rzeczywistością.

Na schodach zatrzymała się na chwilę. Chociaż była tu kilka razy w ciągu czternastu miesięcy, jakie minęły, odkąd opuściła służbę, zawsze odwiedzała bezpieczne miejsca, kostnicę albo laboratorium, a nie wydział zabójstw. Żeby się dostać do biura Cantree'ego, będzie musiała przejść przez cały wydział. Koło biurka, którego kiedyś używała, a teraz siaduje przy nim ktoś inny. Koło dawnych kolegów, którzy stają na głowie, żeby to miasto nie zeszło na psy. „Gdzie nie ma nikogo, kto mógłby robić to co ty teraz - walczyć z realnym zagrożeniem”. To pomogło. Spojrzała na zegarek: dwunasta dwadzieścia siedem.

- Raz kozie śmierć. - Wyprostowała się. - Może wszyscy wyszli na lunch.

Nie wszyscy wyszli, lecz biuro było na tyle opustoszałe, że Vicki, z plaketką gościa wiszącą w klapie niczym stygmat, zobaczyła tylko dwie znajome osoby. Jedna z nich ledwie zdążyła się z nią przywitać, a już musiała się skupić na prowadzonej rozmo-

wie. Niestety, osoba numer dwa miała dużo wolnego czasu.

- No, no, no!... Czy to nie Wiktoria Nelson powracająca do matecznika...?

- Cześć, Sid. - Chociaż wiele policjantek uskarżało się, że detektyw Sid Austen to kawał podrywacza, Vicki prywatnie nic przeciw niemu nie miała.

Zawodowo uważała za to, że facet nie traktuje swojej pracy poważnie, i teraz zdziwiła się, że dalej pracuje w wydziale zabójstw. - Co słychać?

Usiadł na skraju biurka i uśmiechnął się do niej.

- Wiesz, jak to jest: dużo pracy, mało kasy. - Zauważyła, że spogląda na jej grube soczewki. Zastanawiał się, ile jeszcze widzi. - Jak sobie radzisz z tym, że widzisz gorzej niż niejedna kura?

- Już się zapisałam na pieczenie na rożnie.

Wybuch jego śmiechu zagłuszył zgrzytnięcie jej zębów.

- A tak poważnie, Vicki, jak ci się żyje jako prywatnemu detektywowi?

- Znośnie.

- Tak? Celluci mówił, że świetnie sobie radzisz. Na Cellucim można było polegać, był lepszy od

słupa ogłoszeniowego. - Jakoś mi idzie.

- Słyszałem, że niektórzy podrzucali ci sprawy. - Dostrzegł jej minę i szybko podniósł rękę. - Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

- Oczywiście. - Z trudem rozciągnęła usta w uśmiechu.

Sid pokręcił głową.

- Jezu...! Wydaje mi się, że tego roku z okładem w ogóle nie było. Mogłabyś teraz wrócić i byłoby tak, jakbyś nigdy nie odeszła...! A skoro o tym mowa - ściągnął przesadnie brwi - czemu nie wpadasz częściej? Wiesz, żeby się pokazać i sprawdzić, co słychać?

„Bo mam nóż w sercu, a każda wizyta tutaj to jak kręcenie nim w obie strony, ty dupku”, pomyślała, lecz nie mogła tego powiedzieć. Wzruszyła tylko ramionami.

- Jak już się człowiek wyrwał z tego gówna, to po co wracać? - Wiedziała, że Sid źle zinterpretuje napięcie w jej głosie. - Muszę iść. Inspektor na mnie czeka.

Wejście do biura inspektora Cantree'ego było jak wejście do własnej przeszłości. Ile razy przechodziła przez te drzwi? Setki? Tysiące? Setki tysięcy razy? Ostatnim razem, tuż przed jej odejściem, oboje byli koszmarnie uprzejmi. Wspomnienie tego bolało, ale nie aż tak, jak się spodziewała. Miała teraz nowe życie, a miejsce amputacji starego już się prawie zabiłiżniło.

- Witaj z powrotem, Nelson! - Cantree zakrył dłonią mikrofon słuchawki i wskazał głową na ekspres do kawy stojący na szafce. - Weź sobie coś do picia, zaraz skończę.

Kawa była gęsta, ciemna i opalizująca jak plama oleju. Vicki napełniła papierowy kubek do połowy i dodała dwie czubate łyżki sproszkowanej śmietanki. Doświadczenie nauczyło ją, że po kilku łykach kubki smakowe poddają się i da się wypić resztę, nie krztusząc się przy tym. Ktoś kiedyś powiedział, że zaproponowanie podejrzanym kawy inspektora może ich skłonić do przyznania się, lecz pomysł zarzucono ze względu na możliwe pogwałcenie praw człowieka.

Cantree odłożył słuchawkę w chwili, gdy Vicki przysunęła sobie krzesło do jego biurka i usiadła.

- Dobrze cię znowu widzieć, Nelson - rzekł chyba szczerze. - Kiedy tylko mam okazję, sprawdzam co u ciebie. Przyczyniłaś się do kilku ładnych procesów, o znajdowaniu zaginionych psów i niewiernych mężów nie wspominając. Przykro mi, że odeszłaś.

- Mnie bardziej - mówiąc to, zdołała wykrzesać z siebie gorzki uśmiech.

Inspektor skinął głową, akceptując i słowa, i to, co się za nimi kryło.

- Jak oczy?

- Wciąż tkwią w mojej głowie - odparła, lecz ponieważ był jedną z niewielu osób, które jej zdaniem zasługiwały na szczerą odpowiedź, mówiła dalej: - Gówno warte po zmroku, ale w dobrym świetle działają, jeśli pamiętam, żeby patrzeć przed siebie. W ciągu roku pole widzenia obwodowego zmniejszyło mi się o dwadzieścia pięć procent.

- Mogło być gorzej.

- No, mogły mi oczy wypaść z głowy - warknęła i gniewnie łyknęła kawy.

Kiedy wypalała jej ścieżkę w przetyku, siła spoczywającego na niej spojrzenia zmusiła ją, by dodać: - No dobra, mogło być gorzej.

Cantree uśmiechnął się.

- Wiesz, że możesz przychodzić, kiedy tylko chcesz, ale odkąd oddałaś odznakę, po raz pierwszy zapukałaś do moich drzwi, podejrzewam, że masz powód.

- Zatrudniono mnie, żebym przyjrzała się trupom w muzeum. Zastanawiałam się, czy może mi pan o nich coś powiedzieć.

- Kto cię zatrudnił?

Teraz Vicki się uśmiechnęła.

- Nie mogę powiedzieć.

- No dobrze, więc powiedz, czemu nie spytasz Celluciego.

- Spytałam. I dowiedziałam się między innymi, że zdjął go pan z tej sprawy, więc tak tylko zastanowiło mnie, dlaczego.

- Nigdy w życiu nic cię nie zastanawiało „tak tylko”, Nelson. Ale ponieważ kiedyś tu pracowałaś, a ja

jestem miłym facetem, powiem ci to, co powiedziałem jemu...

Kiedy mówił, Vicki zachowała kamienną twarz. Powiedział jej dokładnie to samo, co Celluciemu, słowo w słowo, jakby wykuł tę formułkę na pamięć. I chociaż próbowała, nie wyciągnęła z niego nic więcej. Wreszcie poddała się i wstała.

- Dziękuję za poświęcony mi czas i za kawę, ale muszę już... - Zauważyła grubą kremową kopertę z adresem zwrotnym wytłoczonym złotym tuszem. - Idzie pan na ślub? - zapytała, podnosząc ją.

- Na przyjęcie z okazji Halloween u prokuratora generalnego. - Wyrwał jej kopertę z ręki.

Vicki szeroko otworzyła oczy.

- Żartuje pan?

- Nie śmiałym. - Rzucił kopertę na stół. - Szanowny pan ma jakiegoś nowego superdoradcę i chce, żeby wszyscy szefowie wydziałów go poznali.

- Kto to?

- Skąd mam wiedzieć? Nie spotkałem go jeszcze. Na pewno jakiś nowy z głową pełną wspaniałych pomysłów.

Vicki podniosła do oczu samo zaproszenie.

- Trzydziestego pierwszego. W następną sobotę. W Halloween... O, jak miło, bal kostiumowy...! I ustalone przebranie...! - Oczami wyobraźni ujrzała inspektora, który z wyglądu przypominał Jamesa Earla Jonesa przebranego za Thulę Dooma, czarny charakter z pierwszego filmu o Conanie. Musiała

- Pewnie, miło dla ciebie, ty nie musisz tam iść. - Skrzywił się, a Vicki ledwie udało się zachować w jednym kawałku palce, gdy zabrał kopertę i zaproszenie i schował je do szuflady biurka. - Szef powiedział, że nie ma mowy o żadnych wymówkach. Podobno chłopcy z komendy prowincji też tam będą. - Grymas przeszedł w ponurą minę. - Cóż za upojny sposób na spędzenie sobotniego wieczoru: gadanie z armią polityków i drugą armią rozpolitykowanych gliniarzy.

- I bardzo wpływowych ludzi... - Zauważyła wyraz twarzy inspektora i uśmiechnęła się, kryjąc nagle zaniepokojenie. - Przynajmniej dostał pan to wystarczająco wcześnie, żeby skombinować sobie jakąś szykowną przepaskę biodrową.

- Moich bioder do tego nie mieszaj. To choler-stwo przyniósł dziś rano posłaniec.

- Poślaniec? Trochę dziwne, prawda? Prychnął.

- Nie naszą rzeczą pytać, dlaczego... - resztę cytatu zagłuszył dzwonek telefonu.

Pożegnała się szeptem i wycofała do drzwi. Kiedy była już na ulicy, obejrzała się na komendę i pokręciła głową. „Mam złe przeczucia”.

Czasem tylko określenie „typowe” pasowało do sytuacji.

## ROZDZIAŁ 8

Znalazłeś te papiery? - Jakie papiery? - zapytał Celluci, przytrzymując drzwi wejściowe do restauracji.

- No te, po które przysłała do muzeum twoja kuzynka. - Widząc jego puste spojrzenie, Rachel pokręciła głową. - Zadzwoń do niej wczoraj, prosiłeś, żeby sprawdziła, czy nie ma ich w muzeum... W jednej chwili wszystko zrozumiał.

- A, ta kuzynka... I papiery... - Zastanawiał się, czy Vicki celowo mu nic o tym nie wspomniała, czy po prostu zapomniała go uprzedzić, że od teraz są rodziną. - Znalazły się po południu w biurze. Powinienem być chyba zadzwonić i powiedzieć ci. - Uśmiechnął się czarująco i zanotował w myślach, że ma się później rozmówić z Vicki. - Zadzwoń za to, żeby zaprosić cię na kolację.

- Fakt.

Nie wyglądała na całkiem oczarowaną, ale też nie na obojętną na jego wdzięki.

Celluci miał problem ze zdezelowaniem, jak się powinien zachowywać tego wieczora. Być może Rachel Shane wiedziała coś, co pomogłoby znaleźć i złapać mumię, musiał ją więc przesłuchać. Jednakże, co komplikowało mocno sprawę, nie mógł zrobić tego wprost, bo na pewno by się dopytywała, o co chodzi. I co by jej powiedział? „Słuchaj, sprawy się mają tak: mumia, która zabiła doktora Raxa, grasuje po mieście, a to co ty wiesz, może nam pomóc ją złapać. - A skąd ta mumia się wzięła? - Z sarkofagu stojącego w waszej pracowni. - Ale mówiłam ci, że był pusty. - Mumia wyczyściła ci pamięć. - Przepraszam, muszę zadzwonić na 911 i zgłosić, że jem kolację z wariatem”. Nie. Wyjawienie jej, jak sprawy się mają, odcięłoby ich od jedyne go źródła informacji. Naukowiec wyuczony, jak znaleźć wiedzę w kawałkach kości i ceramiki, nigdy by nie uwierzył, że kilka z tych starożytnych gnatów wstało i popełniło morderstwo, tylko dlatego, że tak mówią policjant z wydziału zabójstw, wygadana prywatna detektyw i... autor romansów. Potrzebowała dowodów, a on ich nie miał.

A skoro o tym mowa: musiał potrzebne informacje z niej wydobyć,

wykorzystując, że jest nim zainteresowana - czy raczej, że w jej oczach on jest nią zainteresowany. Raz obserwował, jak Vicki wyciągnęła z faceta dosłownie wszystko, przez dwie godziny trzepocząc rzęsami i wtrącając oszołomione „Naprawdę?” ilekroć przerwał. Nie miał zamiaru aż tak się zniżyć, poza tym Rachel Shane zasługiwała na coś lepszego. Jak Bóg da, będzie miał jeszcze szansę jej to wynagrodzić.

Podczas kolacji nie miał problemu ze skłonieniem jej, by mówiła o sobie i swojej pracy. Policja już dawno nauczyła się wykorzystywać ludzką skłonność do odsłaniania się. Wiele spraw rozwiązano tylko dzięki temu, że sprawca nie mógł już wytrzymać siedzenia cicho. Nie było też trudno skierować rozmowę na temat starożytnego Egiptu.

- Mam uczucie, że teraz powinnam podać tylko swoje nazwisko, stanowisko i numer ewidencyjny - powiedziała, kiedy kelner postawił na stole kawę i desery. - Od dnia kiedy obroniłam doktorat, nikt mnie tak nie przesłuchiwał. Celluci odgarnął z czoła kosmyk włosów i z-czął szukać w głowie czegoś, co mógłby powiedzieć. Może zbyt mocno naciskał. I nie był tak subtelny, jak mógłby być. Pragnienie szczerości walczyło z potrzebą zachowania tajemnicy.

- Po prostu miło jest nie rozmawiać o policyjnej robocie - rzekł wreszcie.

Kasztanowa brew powędrowała w górę.

- No patrz, jakoś w to nie wierzę - drażniła się z nim, mieszając kawę. -

Chciałeś się czegoś dowiedzieć, czegoś, co jest dla ciebie ważne. - Podniosła podbródek i spojrzała mu prosto w oczy. - Szybciej byś się tego dowiedział, gdybyś mnie po prostu zapytał. I nie zmarnowałbyś wieczoru.

- Nie zmarnowałem - zaprotestował. - Ach...! Więc dowiedziałeś się, czego chciałeś.

- Cholera, Vicki, nie przekreślaj moich słów! Uniosła obie brwi w górę. Ten gest zdawał się

ciąć ciszę na kawałki. - Vicki...?

Powiedział: „Vicki”. Cholera.

- Koleżanka z pracy. Często się kłócimy. Wygląda na to, że jej imię w naturalny sposób kojarzy mi się z protestami.

Brwi pozostały w górze.

Celluci westchnął i rozłożył ramiona w geście poddania.

- Rachel, przepraszam. Masz rację, potrzebuję informacji, ale nie mogę ci powiedzieć, dlaczego.

- Dlaczego nie możesz? - Brwi opadły, lecz ton głosu był zdecydowanie chłodny.

- To by było dla ciebie niebezpiecznie. - Czekał na jej protest, a kiedy się nie doczekał, zorientował się, że czeka na protest Vicki.

- Czy to ma coś wspólnego ze śmiercią doktora Raksa?

- Tylko pośrednio.

- Myślałam, że odebrali ci tę sprawę.

Wzruszył ramionami. Cokolwiek by teraz powiedział, mogłoby jej nasunąć

jakieś wyjaśnienie, a wspomnienie o tym, że zatrudnił Vicki - i jej nad-naturalnego pomagiera - tylko by jeszcze bardziej wszystko skomplikowało.  
- Wiesz, że pomogę, jeśli tylko będę mogła.

Większość ludzi, jakich Celluci spotykał, oddzielała człowieka od gliny i każdego trzymała w osobnej szufladzie. Pewne różnice w tonie i zachowaniu wskazywały na to, że Rachel Shane właśnie zamknęła pierwszą szufladę i otworzyła drugą.

Przez resztę wieczoru sprawiała, że trwał w roli policjanta, a kiedy odwiózł ją do mieszkania, musiał przyznać, że chociaż czuje się, jakby właśnie skończył kurs „101 rzeczy, które trzeba wiedzieć o archeologii”, w kategorii randek nie odniósł sukcesu. Nie miała zamiaru zapraszać go do środka.

- Michael, dziękuję ci za kolację.

- Nie ma za co. Mogę jeszcze zadzwonić?

- Coś ci powiem - Spojrzała na niego z namysłem. - Jeśli dojdiesz do wniosku, że chcesz zobaczyć się ze mną, a nie z wicekustoszem Działu Egiptologii Royal Ontario Museum i dasz sobie spokój z tajnymi planami wyciągania informacji, pomyślę o tym. - Rzuciła mu przez ramię uśmiezek i we-szła do budynku.

Celluci pokręcił głową i wszedł do samochodu. Pod wieloma względami Rachel przypominała mu Vicki. Nie była tylko taka... taka...

- Taka jak Vicki - uznał w końcu, zjeżdżając z podjazdu i machinalnie skręcając na wschód w kierunku Huron Street. Dopiero kiedy zaczął szukać miejsca do zaparkowania, o które w pobliżu mieszkania Vicki zawsze było trudno, zaczął się zastanawiać, co on, do cholery, robi.

Przejechał przecnicę jeszcze dwa razy, zanim zwolniło się miejsce, a on uznał, że nie potrzebuje żadnej wymówki, żeby tu być. Powodu też nie.

Kiedy Vicki usłyszała klucz przekręcany w zam-ku, wiedziała, że to Celluci. Przez jedna chwilę wal-

czyły w niej dwie przeciwstawne reakcje na jego przyjście. Zanim otworzył, zdołała zapanować nad chaosem myśli i była gotowa. Jeśli myśli, że może liczyć na współczucie dlatego, że doktor Shane go spławiła, to się mocno myli.

- Co tu u diabła robisz?

- A co? - Rzucił kurtkę na wieszak w przedpokoju. - Czekasz na Fitzroya?

- Co ci odbiło? - Podniosła odrobinę okulary i potarła oczy. - Skoro o tym mowa, nie czekam. Dziś pisze.

- I dobrze. Ile ta kawa tu stoi?

- Jakaś godzinę. - Wsadziła okulary z powrotem na nos i patrzyła, jak Celluci napełnia kubek i sięga do lodówki po śmietankę. Wyglądał... melancholijnie, nic odpowiedniejszego nie przychodziło jej do głowy. Chryste, może doktor Shane złamała mu ser-ce? Jej serce teraz podskoczyło ciekawie.

Zignorowała je.

- Jak się udała randka?



Przełknął łyk kawy. Dwa kroki wystarczyły mu, by przeszedł przez małą kuchnię i stanął za plecami Vicki.

- Udała się. Co to za książki?

- Douczam się. Wierz lub nie, ale dyplom z historii nie oznacza, że człowiek wie dużo o starożytnym Egipcie.

Za jej plecami Celluci prychnął.

- Historycy ci tu dużo nie pomogą.

Vicki odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego z wyższością.

- Dlatego czytam mity i legendy. Czyżby doktor Shane nie zareagowała prawidłowo na słynny urok „gwarantowane przyznanie do winy w pięćdziesięciu krokach” Celluciego?

Odwrócił jej głowę do siebie, odstawił kubek i wbił palce w jej ramiona.

- Nie użyłem go.

Powstrzymała westchnienie, na poły bólu, na poły przyjemności.

- Czemu? „To jak zdrapywanie strupa”, uznała. „Jak się już zacznie, człowiek nie może przestać”.

- Bo ona zasługuje na więcej. Wystarczy, że przez cały wieczór ją oszukiwałem. Nie chciałem jeszcze bardziej namieszać. Chryste, ale jesteś spięta!

- To nie napięcie, tylko wyrobioną mięśnie. Co masz na myśli mówiąc: „ona zasługuje na więcej”? Masz wiele wad, Celluci, ale nigdy nie sądziłam, że fałszywa skromność jest... auć!... jedną z nich.

- Zasługuje na szczerłość. Zasługuje na to, żebym myślał o niej, nie o tym, ile może mi powiedzieć.

„Cóż” pomyślała, „jak to mawia moja matka: jeśli nie chcesz wiedzieć, nie pytaj”.

- Spodobała ci się.

- Vicki, nie bądź upierdliwa. Gdyby mi się nie spodobała, nie zapraszałbym jej na kolację, mogłem ją o wiele tańszym kosztem wypytać w muzeum.

Uważam, że jest atrakcyjna, inteligentna, pewna siebie... - mówił.

„Oczywiście, problem ze strupem jest taki, że jak się za mocno oderwie, ranka zaczyna krwawić”. - I w końcu spędziłem prawie cały wie-

czór, myśląc o tobie. - Ścisnął jej ramiona ostatni raz, wziął swoją kawę i poszedł do pokoju.

Vicki otworzyła usta, zamknęła je i spróbowała wymyślić jakąś odpowiedź.

Nigdy nie rozmawiali o swoim związku - akceptowali go i zostawiali takim, jaki był. Zeszłej wiosny znowu się zeszli na tych samych zasadach. „Ten sukinyś je zmienia”, uzmysłowiła sobie. Ale pod falą protestu poczuła ulgę:

„spędził prawie cały wieczór, myśląc o mnie”. A pod ulgą panikę: „co teraz?”.

Czekał, aż Vicki coś powie, tymczasem ona miała pustkę w głowie. Boże, proszę, ześlij coś, co nam przeszkodzi!...

Pukanie do drzwi poderwało ją na nogi tak gwałtownie, że okulary zsunęły jej się z nosa.

- Proszę...! Chciałam przeszkody, a nie katastrofy - mruknęła chwilę później.  
- Myślałem, że masz dziś pisać - warknął ponuro Celluci, który zajrzał do przedpokoju.

Henry uśmiechnął się, umyślnie go prowokując. Zanim zapukał, już wiedział, że Celluci jest w mieszkaniu - słyszał jego głos, jego ruchy, bicie jego serca. Śmiertelnik jednak miał dla siebie dni, on zaś nie zamierzał oddawać mu też nocy.

- Pisałem. Skończyłem.

- Następną książkę? - Słowo „książkę” zabrzmiało jak nazwa czegoś, co człowiek znajduje na podszwie po przechadzce w stodole.

- Nie. - Powiesił płaszcz na wieszaku obok kurtki Celluciego. - Ale skończyłem to, co miałem dziś do napisania.

- Miło, bo jeszcze nawet północy nie ma. Chociaż prawdziwą pracą tego nazwać nie można.

- Cóż, na pewno to nie jest tak poważna praca jak zabranie kogoś na kolację, podtrzymywanie iluzji, że jest się tą osobą zainteresowanym, podczas gdy tak naprawdę interesuje cię tylko to, co ona wie.

Celluci rzucił Vicki wściekłe spojrzenie. Drgnęła i pośpiesznie powiedziała:

- Henry, cios poniżej pasa. Mike nie chciał tego zrobić, ale musiał.

Henry przeszedł do kuchni. Obaj mężczyźni byli teraz w osobnych pomieszczeniach, choć dzieliła ich odległość mniej niż trzech metrów, Vicki zaś siedziała wciąż przy stole dokładnie pomiędzy nimi. Henry z gracją skłonił głowę.

- Masz rację. To był cios poniżej pasa. Przepraszam.

- Taaa, kurde, akurat...!

- Nazywasz mnie kłamcą? - Głos Henry'ego stał się zwodniczo miękki. Stał się głosem człowieka, którego wychowano, by dowodził, głosem kogoś, kto ma za sobą wieki doświadczeń.

Celluci nie mógł nic na to poradzić, jego gniew nie miał najmniejszych szans w starciu z drugim facetem. Wiedział o tym.

- Nie - wycedził przez zęby. - Nie nazywam cię kłamcą.

Vicki spoglądała to na jednego, to na drugiego i coraz mocniej czuła potrzebę zostawienia ich i pójścia po pizzę. Napięcie pomiędzy dwoma mężczyznami było tak silne, że kiedy zadzwonił tek

fon, musiała się przez nie niemal przebić, żeby odebrać.

- Witaj, kochanie. Jest po jedenastej i połączenia są tańsze, więc pomyślałam, że zadzwonię, za-nim wpadnę.

Tylko tego jeszcze brakowało! - Mamo, złe wyczucie czasu. - Czemu? Co się stało?

- Mam... e... towarzystwo.

- Och...! - Chociaż ton nie był potępiający, dwie głoski zawierały nieproporcjonalnie wielki ciężar. - Kochanie, Michael czy Henry?

- Eee... - W chwili kiedy się zawahała, Vicki już wiedziała, że zrobiła błąd. Jej

matka była mistrzynią w odczytywaniu znaczeń ciszy.

- Obaj?

- Uwierz mi mamo, to nie był mój pomysł, -Zmarszczyła brwi. - Śmiejesz się?

- Skądże znowu!

- Śmiejesz się.

- Kochanie, zadzwonię jutro. Nie mogę się doczekać, aż mi opowiesz, jak poszło.

- Mamo, nie rozłączaj... - Vicki spojrzała na słuchawkę, a potem z rozmachem odłożyła ją na widełki. - No, mam nadzieję, że jesteście zadowoleni. - Wstała z krzesła i kopniakiem odsunęła je sobie z drogi. - Będę wysłuchiwać uwag o dzisiejszym wieczorze przez resztę życia! - Spoglądała to na Celluciego, to na Henry'ego, mówiąc coraz głośniej: „Nie mów, że cię nie ostrzegałam, kochanie. Czego można się spodziewać, spotykając się z dwoma mężczyznami...” Powiem wam, czego się spodziewałam: spodziewałam się, że obaj będziecie się zachowywać jak jednostki cywilizowane, a nie jak dwa psy walczące o kość! Nie wiem, czemu nie możemy się jakoś dogadać we troje!

- Nie możesz? - zapytał z lekkim niedowierzaniem Henry.

Vicki, rozpoznając sarkazm, odwróciła się do niego i warknęła:

- Zamknij się, Henry!

- Zawsze była kiepską kłamczucha - mruknął Celluci.

- Ty też się zamknij! - Wzięła głęboki oddech i poprawiła okulary. - A teraz, skoro jesteśmy tu wszyscy, myślę, że powinniśmy porozmawiać o sprawie. Czy któryś z was ma coś przeciwko? Celluci prychnął.

- Gdzieżbym śmiał...

Henry rozłożył szeroko ręce, jasno dając do zrozumienia, co myśli.

Przeszli do pokoju dziennego. Cała trójka była świadoma, że rozwiązanie jest tylko tymczasowe. Vicki to wystarczyło. Jeśli ci dwaj mają wyjaśnić sobie parę spraw, lepiej, żeby nie robili tego, kiedy ona jest na linii ognia.



- Nie ma żadnego oczywistego powodu, który by tłumaczył, dlaczego to coś zamordowało Trembley i jej partnera, a pracownikom muzeum tylko wymazało pamięć. - Celluci znowu upił łyk kawy, skrzypi się i mówił dalej: - Jedyna różnica jest taka, że ludzie w muzeum spędzili trzy dni w pobliżu mumii, a Trembley widziała ją może przez trzy minuty.

- Może żeby zamieszać komuś w głowie, trzeba czasu i bliskości? - Vicki z

namysłem zaczęła obgryzać końcówkę ołówka. Po chwili przerwała, by dodać: - Zastanawiam się, czemu mumia zabiła sprzątacza.

Celluci wzruszył ramionami.

- Bo mogła...? Może po prostu musiała rozciągnąć mięśnie zdrętwiałe po pobycie w trumnie?

- Może była głodna. - Henry pochylił się lekko do przodu. - A sprzątacz po prostu był w pobliżu, kiedy się obudziła.

- Co w takim razie zjadła? - prychnął Celluci. - Na ciele nie było żadnych śladów i niczego mu nie brakowało.

Henry usiadł wygodniej i pozwolił, by znowu osłoniły go cienie padające w kąt pokoju.

- Niezupełnie. Kiedy go znaleziono, brakowało mu życia.

- Myślisz, że mumia je zjadła?

- Śmiertelnicy zawsze mieli legendy o tych, którzy przedłużali swoje życie, pochłaniając życie innych.

- Jasne, tylko że to są legendy. Cienie nie mogły ukryć błysku zębów Henry'ego, kiedy się uśmiechał.

- Tak jak i ja. Jak, skoro już o tym mowa, chodząca mumia. A także demony. I wilkołaki.

- No dobra, dobra, załapałem... - Celluci przeczesał palcami włosy. Naprawdę nienawidził tego nadnaturalnego gówna. Czemu on? Czemu nie detektyw Henderson? Na litość boską, Henderson nosi kryształ na rzemyku! I jak to jest, że zanim Vic-ki zadała się z Fitzroyem, on, Celluci, z rzeczami niewyjaśnialnymi stykał się tylko wtedy, gdy Leafsi wygrywali dwa razy z rzędu. Czy to, że czegoś nie widzisz, oznacza, że tego tam nie ma? No dobra, znał odpowiedź na to pytanie. Westchnął i zaczął się zastanawiać, ile nierozwiązanych spraw miało coś wspólnego z ghulami, duchami i resztą tego nocnego towarzystwa. Chociaż bardzo chciał, nie mógł winić za to całe bagno Fitzroya. - Więc czemu zabiła doktora Raksa?

- Nadal była głodna, a doktor Rax wszedł sam do pracowni.

- Ale musiała wiedzieć, że dwa ciała w tym samym miejscu, martwe z tego samego powodu, wzbudzą podejrzenia. Po co zadawać sobie tyle trudu, żeby się ukryć, a potem robić coś tak głupiego?

- Doktor Rax nakrył ją, jak wychodzi, a ona spanikowała.

- Świetnie...! - Vicki wywróciła oczyma. - Impulsywna mumia. - Ziewnęła i końcem ołówka poprawiła okulary. - Przynajmniej wiemy, że popełnia błędy. Niestety, wygląda na to, że jej bóg też przetrwał.

Brwi Celluciego powędrowały tak wysoko w górę, że niemal sięgnęły linii włosów.

- A skąd to wiemy?

- Zeszłej nocy w muzeum...

- Chwila. - Celluci podniósł rękę. - Byliście w nocy w muzeum? Po zamknięciu? Włamałiście się do Royal Ontario Museum... On mógł tego nie

wiedzieć - Celluci wycelował palcem w Henry'ego, a potem obrócił się, żeby spojrzeć na Vicki - ale ty cholernie dobrze wiesz, że to wbrew prawu. Vicki westchnęła.

- Słuchaj, nigdzie się nie włamaliśmy. Nic nie zepsuliśmy, rozejrzeliśmy się tylko. Już bardzo późno. Jestem zmęczona. Jeśli nie masz zamiaru mnie aresztować, to odpuść... - Zrobiła przerwę, wiedząc, że jedyne co pozostało Celluciemu, to pogodzić się z tym, po czym uśmiechnęła się i mówiła dalej: - Znaleźliśmy na biurku doktora Raxa rysunek, a potem pasującą do niego ilustrację w książce o starożytnych bogach, też leżącej na biurku doktora. - I?

- Ilustracja na mnie spojrzała... - Przełknęła ślinę i wetknęła ołówek za ucho, żeby wytrzeć zwilgotniałe nagle dłonie o spodnie. - Oczy jej się zaświeciły na czerwono i spojrzała na mnie.

Celluci prychnął.

- Jak dobrze był oświetlony pokój?

- Mike, wiem, co widziałam. - Zmrużyła oczy. -Zwyrodnienie barwnikowe siatkówki nie powoduje halucynacji

Przez chwilę wpatrywał się w jej twarz, potem skinął głową.

- Czy ten bóg ma imię? - Tak Ach...

Dłoń Henry'ego zakryła jej usta, nim którekolwiek z nich zobaczyło, że się w ogóle poruszył,

- Kiedy wypowiadasz imię boga - powiedział miękko - zwracasz jego uwagę. Niezbyt dobry pomysł.

Opuścił dłoń, Celluci czekał na wybuch. Vicki bardziej niż ktokolwiek nie lubiła być na siłę uciszana. Kiedy wybuch nie nastąpił, mógł tylko przyjąć, że uznała, iż zachowanie Fitzroya było uzasadnione. Poczuł, jak po kręgosłupie przechodzi mu zimny dreszcz. Jeśli ten starożytny bóg potrafił wystraszyć Wiktorię Nelson, to on nie chce się z nim spotkać.

- Mumia to pewnie najwyższy kapłan tego boga -zasugerował. Kiedy Vicki i Henry jednocześnie wbili w niego spojrzenia, wzruszył ramionami. - No co...? Oglądam horror.

- Nie jest to zbyt wiarygodne źródło wiedzy - zauważył Henry, zajmując na powrót miejsce w fotelu.

- Cóż, nie każdy może się pochwalić, że ma za kumpla hrabiego Drakulę.

- Panowie, jest druga w nocy, możemy skończyć wszystko omawiać, zanim padnę na nos? - Vicki ziewnęła i ułożyła się na leżance. - Myślę, że Celluci ma rację.

- Och, co za wspianiały dzień - mruknął. Zignorowała go.

- Koła samochodu Trembley były skrecone, ale samochód jechał prosto. Tak dzieje się tylko wtedy, gdy na pojazd wpływa jakaś zewnętrzna siła. Nie było śladów po żadnej. Wedle książek, które czytałam, kapłani w starożytnym Egipcie byli też czarownikami.

- Chcesz powiedzieć, że mumia zabiła Trembley, używając magii? - zapytał sceptycznie Celluci.

- Wszystko na to wskazuje.

W ciszy, jaka zapadła, doskonale dało się słyszeć kapiący w kuchni kran.

- A co mi tam - westchnął Celluci. - Jeszcze przed śniadaniem doszedłem do sześciu możliwości, w które udało mi się uwierzyć, siódma nie zrobi różnicy.

- No dobra... - Vicki wyliczała na palcach wymieniane punkty: - Szukamy ożywionego czarownika, kapłana starożytnego boga, który żywi się albo i nie siłą życiową innych ludzi, potrafi mieszać w głowach tym, którzy są w pobliżu, i zabijać na odległość za pomocą magii.

- Świetnie... - Celluci stłumił pięścią ziewnięcie. - A w tym narożniku trzech komicy z grupy Three Stooges!

- Nyuk, nyuk, nyuk - zgodził się Henry, cytując zawołanie komików.

Vicki pochyliła się gwałtownie w przód i z przerażeniem spojrzała na Henry'ego, podczas gdy Celluci z aprobatą skinął głową.

- Nie wierzę - mruknęła. Miała teorię na temat Three Stooges. Uważała, że ich dowcipy są skierowane tylko do jednej płci. Jak dotąd nigdy nie spotkała kobiety, która by uważała, że ci faceci są śmieszni. Jej teoria właśnie się potwierdziła, jako że Henry'ego

i Celluciego łączyło tylko jedno: każdy miał chromo-

som Y. Wampiry powinny mieć bardziej wysublimowany gust! - Jeśli chcecie wysłuchać reszty tego, co mam do powiedzenia, to może wróćmy do tematu.

Celluci, który naprawdę chciał sobie pozwolić na jeszcze jeden żart z repertuaru Stoogesów, żeby sprowokować Vicki, zrezygnował z tego, gdy uświadomił sobie, z kim musiałby żartować. Dowcipkuje się z kumplami, nie z... autorami romansów.

- Dawaj! - warknął.

Henry lekko skinął głową. Chciał mieć równie wiele wspólnego z Cellucim jak Celluci z nim. Poza, rzecz jasna, jedną osobą, z której żaden z nich nie chciał zrezygnować...

- Dobra... - zaczęła Vicki, lecz przerwało jej rozdzierające ziewnięcie. Chociaż ucięła sobie drzemkę po południu, wiedziała, że jeśli szybko się nie położy, to rano będzie kompletnie nieprzytomna. „Skończ-my to i idźmy spać”. -

Dobra, na razie zignorujmy ten kawałek o czarowniku. Czego chcą kapłani? Świątyń i zborów. Ich bogowie chcą wiernych. I chyba wiem, gdzie ten bóg ich szuka. - Kiedy mówiła o swoim spotkaniu z inspektorem Cantreem, twarz Celluciego pociemniała. - Chcą policji, nie tylko tej z Toronto, ale z całej prowincji. Małej prywatnej armii i świetnej bazy dla sięgnięcia po władzę świecką.

- Po co jakimkolwiek bogu władza świecka? -zapytał Henry.

Vicki prychnęła.

- Pytaj Kościoła katolickiego, nie mnie. Bóg chce wiernych, kapłan chce

oczywiście władzy, bo jakoś

wątpię, żeby działał wyłącznie altruistycznie. A policja da im jedno i drugie.

- Ale czemu od razu w całej prowincji? Czemu nie zaczną od samego miasta?

- Miasta nie są dość autonomiczne, zbyt ściśle je kontrolują wyższe szczeble rządowe. Za to jeśli kontrolujesz prowincję, kontrolujesz kraj wewnątrz kraju. Spójrz na Quebec...

- Słabo, Vicki, słabiutko - warknął Celluci, wreszcie pozwalając, by gniew zabrzmiał w jego głosie. Nie wiedział, co wkurzyło go bardziej: myśl o tym, że mumia chce sobie podporządkować policję, czy to, że zdaniem Vicki jest to możliwe. - Nie masz dowodów na to, że ten nowy doradca to mumia.

- Mam przecucie - powiedziała mu ostro Vic-ki. - Od tego ty zaczynałeś i zobacz, gdzie skończyliśmy. Cantree powtarzający wiadomości od szefa to nie jest coś normalnego. Wiesz, że on taki nie jest. - Ich spojrzenia się skrzyżowały. Kiedy Celluci odwrócił wzrok, Vicki podjęła wątek: - Jedno z nas musi pójść w sobotę na przyjęcie do prokuratora generalnego.

- Jedno z nas? - zapytał cicho Henry.

- No dobra, ty. - Vicki wyprostowała się i położyła ręce na kolanach. - Połowa ludzi tam zebranych będzie kojarzyła Mike'a albo mnie, więc to nie może być żadne z nas. Poza tym trzeba mieć zaproszenie, a ty jesteś dobry w omijaniu...

- Przeszkód natury towarzyskiej - podsunął, kiedy zamilkła na chwilę. - Masz rację. Ja muszę tam iść.

- A jeśli Vicki się myli i mumii tam nie będzie?

Henry wzruszył ramionami.

- Wyjdę wcześniej. Nic się nie stanie.

- A jeśli ma rację? Henry uśmiechnął się.

- To się nią zajmę.

Celluci przypomniał sobie ciemną stodołę i blade palce zaciskające się na gardle mężczyzny, któremu zostało tylko kilka sekund życia. Odwrócił oczy, żeby nie patrzeć na ten uśmiech.

- Myślisz, że dasz sobie radę z tym kapłanem--czarownikiem?

W gruncie rzeczy Henry nie miał pojęcia, lecz nie zamierzał się z tym ujawniać przed Cellucim.

- Mam swoje sposoby.

- No to ustalone. - Vicki wstała i przeciągnęła się. Kręgosłup zaczynał ją boleć.

- Nasze spotkan-

ko było bardzo owocne. Umówimy się po przyjęciu i znowu wszystko obgadamy. Dziękuję wam obu za przybycie. Możecie wracać do domu. - Było jasne, że myśli to, co mówi.

- Przyjdę tuż przed świtem - powiedziała Hen-ry'emu przy drzwiach, na tyle cicho, by Celluci nie usłyszał. - Nie zaczynaj beze mnie.

Podniósł jej rękę i delikatnie ucałował wewnętrzną stronę nadgarstka.

- Nie śmiałbym - powiedział miękko i już go nie było.

Celluci wyszedł z łazienki i sięgnął po kurtkę.

- Przez kilka następnych nocy mam służbę, więc nie wpadnę. Ale jak to się skończy, musimy porozmawiać.

-Oczym?

Wyciągnął rękę i palcem poprawił jej okulary.

- A jak myślisz? - Ten sam palec przesunął się po linii jej żuchwy.

- Mike, wiesz...

- Wiem. - Wyszedł do przedpokoju. - Ale i tak porozmawiamy.

Drzwi zamknęły się za nim, a Vicki oparła się o nie, szukając po omacku zamka. Przez kilka następnych godzin chciała tylko spać. Przez kilka następnych dni zajmie się powstrzymywaniem mumii. A potem...

- Do diabła...! - Powlokła się do sypialni, ściągając jednocześnie bluzę przez głowę. - A potem może coś się znowu stanie...



Chciał świtów, jakie pamiętał - ze złocistym dyskiem wspinającym się na lazurowym niebie, spalającym cienie, którymi usłana była pustynia, aż każde ziarnko piasku lśniło od światła. Chciał czuć żar na ramionach i chłód kamieni pod stopami. Świt na północy był tylko namiastką, blady krąg słońca ledwie było widać na zachmurzonym niebie. Zadrżał i zszedł z balkonu. Niedługo będzie musiał zająć się kobietą, którą wybrał jego bóg. Przez kilka kolejnych dni będzie używał otrzymanego klucza do jej ka, by wypełniać jej umysł rozpaczą i strachem, których źródło znajdzie w jej myślach. Jego pan nigdy nie domagał się śmierci. Pokarmu dostarczała mu samonapędzająca się energia wytwarzana przez mroczniejsze aspekty egzystencji. Po jakimś czasie jednak wybrani zwykle sami modlili się o śmierć. Czasami ich próśb wysłuchiowano.



## ROZDZIAŁ 9

Ci, którzy nie mieli wiele wspólnego z polityką, ale czasem zaprzęтали sobie myśli rządem Ontario, myśleli tylko o Queen's Park, olbrzymiej budowli z czerwonego piaskowca z miedzianym dachem stojącej na północnym końcu University Avenue. Chociaż w nim zbierał się parlament prowincji, prawdziwą pracę wykonywano w biurach na wschodzie.

Pod numerem 25 na Grosvenor Street, pomiędzy Bay i Yonge, biuro prokuratora generalnego najbardziej ze wszystkich składowych rządu wysuwało się na wschód.

Vicki z niesmakiem spojrzała na budynek. Nie chodziło o to, że nie podoba jej się różowy betonowy biurowiec - nawet jeśli ze wschodu czy zachodu wyglądał jak zrobiony z modeliny - lecz o to, że musiała przejść trzy przecznice od Queen's Park: za krótki dystans, żeby bawić się w jeżdżenie autobusami czy metrem, wystarczająco jednak długi, żeby wleźć w kałużę i przemoknąć.

- Toronto w październiku. Chryste!... Każda mumia przy zdrowych zmysłach wsiadłaby w pierwszy samolot do Egiptu - westchnęła, mijając rzeźbę stojącą przed głównym wejściem. Wyglądała jak zestaw gigantycznych aluminiowych krat więziennych powyginanych na różne strony. Vicki nigdy nie łapała jej symboliki.

Skinęła głową strażnikowi siedzącemu przy stanowisku informacji i przeszła przez lobby, kierując się do zaułka z windami. Z sześciu świetlówek zamontowanych na suficie tylko dwie działały, spowijając pomieszczenie bursztynowym półmrokiem. Jeśli chodzi o Vicki, równie dobrze wszystkie mogłyby zostać wyłączone.

Jakiś bystrzak pewnie na chwilę przed przyznawaniem podwyżek wymyślił, że w ten sposób można

oszczędzić pieniądze. Przesunęła po omacku dłonią po marmurze pokrywającym ścianę, potem po stalowych drzwiach, aż wreszcie natrafiła na plastikowy panel, na którym były przyciski windy. „Miejmy nadzieję że zostawili zapalone światła w kabinach, bo nawet nie będę wiedziała, że winda przyjechała”.

Zostawili, Chociaż oczy jej zaczęły łzawić od nagłej zmiany oświetlenia,

lepsze było to niż wpadnięcie do szybu windy. Poza tym po przejściu dzie-  
sięciu przecznic w deszczu i tak była przemoczo-

Biuro prokuratora mieściło się na jedenastym piętrze i w kategorii biur  
rządowych wyróżniało się okazałością. Intensywne barwy i na poły konser-  
watywny, na poły nowoczesny wystrój miały onieśmielić część wyborców, a  
resztę wprawić w podziw. Vicki rozpoznała symboliczność wystroju wnętrza,  
jak tylko je zobaczyła. Dobrze wiedziała, że za zamkniętymi drzwiami na tym  
i na pozostałych piętrach w jednakowych boksach tkwi prawdziwa siła  
robocza.

- Mogę w czymś pomóc?

Młoda kobieta za biurkiem miała tę samą funkcję co wystrój wnętrza - miała  
robić wrażenie i uspokajać petentów. Vicki, która nienawidziła być uprzejmą  
dla obcych, nie przyjęłaby takiej pracy nawet za podwójną stawkę.

- Mam taką nadzieję. Nazywam się Nelson, jestem umówiona na pierwszą  
trzydzieści z panem Zottiem - zerknęła na zegarek. - Jestem trochę za  
wczesnie.

- Nic nie szkodzi, pani Nelson. Proszę wejść.

„Dobra jest”, uznała Vicki, przechodząc przez wskazane podwójne drzwi.

„Mimo że spodziewałam się, że to zrobi, ledwie zauważyłam, jak sprawdza  
listę”.

W środku kobieta za biurkiem, choć imponująca, nie miała w sobie nic  
uspokajającego.

- Pani Nelson, pan Zottie przyjmie panią za chwilę. Proszę spocząć.

Minęło zdecydowanie więcej niż chwila, nim otworzyły się drzwi gabinetu  
prokuratora generalnego. Vicki starała się nie wiercić, czekając. Podczas  
minionego weekendu nic się nie wydarzyło, a do swoich jedynych tropów nie  
mieli jeszcze do-stępu. Każdego ranka układała Henr'ego do snu -  
niepewna, czy martwić się, że nadal ma te sny, cieszyć, że pozostają tylko  
snami, a on nie przejawu żadnych skłonności do rzucania się na słońce - po-  
tem szła do domu, robiła pranie, zakupy, dzwoniła do matki i odznaczała  
kolejny mijający dzień. Tego ranka wykorzystwała kilka swoich znajomości,  
żeby umówić się na to spotkanie.

- Pani Nelson? - George Zottie, prokurator generalny, był niezbyt wysokim,  
niezbyt szczupłym mężczyzną w średnim wieku z gęstymi ciemnymi  
włosami, krzaczastymi brwiami i długimi rzęsami. -Przepraszam, że musiała  
pani czekać.

Miał mocny, szybki uścisk ręki kogoś, kto spędza czas nie tylko za biurkiem, i  
Vicki, która z zasady nie znosiła polityków, uznała go za jednego z najlep-  
szych. Połączenie osobistej uczciwości i szczerego  
szacunku dla sił policyjnych, za które odpowiadała sprawiły, że zajmował  
swoje stanowisko już przez dwie kadencje. Gdyby obecny rząd wygrał  
następne wybory, co wydawało się pewne, bardzo prawdopodobne było, że  
zostanie i na trzecią.

Kiedy Vicki jeszcze pracowała w policji, spotkała go trzy razy, ostatni na osiem miesięcy przed tym, jak pogarszający się wzrok zmusił ją do odejścia. Rozmawiali kilka minut po ceremonii nadania odznaczeń i ta rozmowa podsunęła Vicki pomysł, dzięki któremu się tu dziś znalazła: plan rozszerzenia pracy policji w szkołach podstawowych i średnich. Właściwie pomysł był tak dobry, że zamierzała się nim poważnie zająć, jak już uporają się z mumią. Zakładając oczywiście, że ci dobrzy wygrają.

Tamta rozmowa dała jej też podstawy do tego, by teraz osądzić jego... stabilność emocjonalną...? poczucie rzeczywistości...? Krótko mówiąc, to, jak bardzo pozostaje w mocy mumii i czy w ogóle. Czegokolwiek dowie się dzisiaj, może pomóc Henry'emu w sobotę.

Idąc za prokuratorem do jego biura, rozejrzała się szybko wokoło. Jako że nie miała prawie wcale pola widzenia obwodowego, nie mogła tego zrobić dyskretnie, lecz uznała, że muszą tu być przyzwyczajeni do tego, że goście sobie niemal skręcają karki. Niestety, jeśli mumia tu bywała, nie zostawiła żadnych widocznych śladów. Żadnych gnijących bandaży, kupek piasku, nawet małej figurki sfinksa z zegarkiem na brzuchu.

- Jeśli chodzi o pani propozycję... - powiedział, sadowiąc się za biurkiem i wskazując jej krzesło.

Vicki wyciągnęła z torby kilka teczek i wręczyła mu jedną. Mówiąc, obserwowała jego oczy, ręce, za-chowanie; próbując znaleźć potwierdzenie tego, że jest pod wpływem albo nawet pod kontrolą kapłana-czarownika sprzed paru tysięcy lat. Nie wydawał się zdenerwowany. Jeśli coś się zmieniło, to chyba to, że był teraz spokojniejszy niż na policyjnej uroczystości, podczas której przez cały wieczór poprawiał kołnierzyk.

„Możliwe, że odebranie człowiekowi sumienia uspokaja”, pomyślała Vicki, kończąc prezentację. „Ale tak samo działa odstawienie kofeiny”.

- Bardzo interesujące. - Prokurator skinął w zamyśleniu głową i zanotował coś na pierwszej stro-

nie. Vicki nie starała się tego przeczytać, chociaż zmrużyła oczy. -

Rozmawiała pani o tym z działem public relations?

- Nie. Uznałam, że najpierw postaram się o pana poparcie.

- Pokażę im pani propozycję i odezwę się, powiedzmy, w przyszłym tygodniu, dobrze? - Wstał i wyszedł zza biurka.

- Oczywiście. - Vicki też wstała i schowała swoją teczkę do torby. „Miejmy nadzieję, że do przyszłego tygodnia nikt z nas nie wysie życia przez nos.” - Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić czas.

- Zawsze chętnie wysłuchuję dobrych pomysłów. - Zatrzymał się przy drzwiach i uśmiechnął do niej. - A ten jest dobry. Przybliżenie wizji prawa i porządku młodocianym może sprawić, że droga drobnego przestępcy nie będzie dla nich zachęcająca. Jestem jak najbardziej za zwiększeniem obecności policji w szkołach prowincji.

- Wiem. - Minęła go. - Dlatego do pana przy-szłam.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Szkoda, że odeszła pani ze służby, pani Nelson. Była pani jedną z najlepszych policjantek. Be dostała pani pochwał...? Dwie?

- Trzy.

- Tak, dobra robota. Nie mogę sobie wyobrazić, jak dopasowała się pani do życia cywila.

- Nie było łatwo. - Poprawiła okulary i zmusiła się, by unieść kąciki ust w górę. - Ale jest... interesująca.

- Cieszę się, że to słyszę.

Uśmiech Vicki zniknął, jak tylko zamknęły się drzwi. Zarzuciła torbę na ramię i wyszła z biura, czując na plecach spojrzenie pełne dezaprobaty. „Daj spokój, paniusiu”, pomyślała, przechodząc do recepcji, „bo zaraz zapomnę, po której stoję stronie, i wepchnę ci swoją pelerynkę supermenki w gardło”.

Wizytę można było uznać za marnowanie czasu. Jeśli George Zottie był kontrolowany przez mumię, to niepostrzeżenie dla otoczenia. Co mogło równie dobrze oznaczać, że kreatura jest subtelna w działaniu. „Boże”, westchnęła Vicki, „nie wiem, co bym dała za prostą sprawę rozwodową, taką, gdzie zaczyna się od zrobienia zdjęć...”

Winda zadzwoniła i Vicki przyśpieszyła, żeby ją złapać, zanim odjedzie. W pierwszej chwili myślała, że mężczyzna, który wytoczył się z niej, gdy drzwi się otworzyły, jest pijany, lecz chwilę później uświadomiła sobie, że raczej źle się czuje. Jego skóra miała ziemistą barwę, na czole i nad górną wargą widniały kropelki potu. Bełkotał coś w języku, którego nie rozumiała, ponieważ jednak wyglądał na potomka mieszkańców północnej Afryki, Vicki uznała, że to arabski.

Założywszy, że jego stan może mieć wpływ na wygląd i postarzać go, uznała, że jest między trzydziestką a czterdziestką. Twarz miał przeciętną -dwoje oczu, nos, dość wąskie wargi, biorąc pod uwagę przeciętną ich grubość - ale nawet chory i zdezorientowany roztaczał wokół siebie aurę osoby o silnej osobowości.

Próbująca go podtrzymać Vicki aż podskoczyła, słysząc za plecami dziwny dźwięk. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że recepcjonistka właśnie skończyła odsłaniać kasztanowe zasłony, za którymi kryła się cała ściana okien. Drżąc konwulsyjnie, nieznajomy skupił wzrok na widoku rozciągającym się za nimi: na szarych chmurach, siedzibie koronera z różowego betonu, komendzie policji stojącej kawałek dalej -i jakby się zaczął uspokajać.

Marszcząc brwi, Vicki pozwoliła, by recepcjonistka zastąpiła ją na stanowisku anioła miłosierdzia. Jeśli o nią chodzi, widok za oknem nie był specjalnie uspokajający, chyba że... Zrozumiała.

- Ma klaustrofobię, prawda?

- Bardzo silną. - Młoda kobieta rozpięła mu dwa górne guziki płaszcza. - Winda to dla niego kosz-mar.

- Ale z niej korzysta...

- Jest bardzo odważny. - Wyraz jej twarzy nagle jakby się lekko rozmył.  
- Dziękuję, pani Evans. - Starsza kobieta z następnego biura szła po ciemnoszarym dywanie. Jej ściągnięte brwi aż parowały żądzą dowiedzenia się, co Vicki śmie robić tak blisko ważnego gościa. - Panie Tawfik, proszę mi pozwolić...

Vicki wsiadła do windy, nim zaczęło jej się zbierać na wymioty. Chociaż, uznała w kabinie, która nagle stała się o wiele ciasniej sza, jeśli winda wywołuje tak silną reakcję, a on mimo to jej używa, musi faktycznie być odważny. Albo przejawia skłonności masochistyczne. Nie miała pojęcia, jakie stanowisko zajmuje nieznamy, lecz nie dziwiło jej, jak na niego reaguje personel. Coś w nim, mimo jego stanu, przypominało jej Henry'ego.



- Panie Tawfik, może podać coś do picia?  
- Nie, dziękuję. - Wciąż wpatrywał się w okno i przestrzeń poza nim. Zmusił swój oddech do uspokojenia się. Bicie serca powoli zwalniało, ustały spazmy, które sprawiły, że jego wnętrzności dosłownie się skręcały. Wyciągnął z kieszeni garnituru bawełnianą chusteczkę. Palce mu wciąż lekko drżały, gdy wycierał pot z twarzy.  
Spojrzał na dwie kobiety stojące nieopodal.  
- Była jeszcze trzecia...  
- Gość, proszę pana. Nie musi pan się nią zajmować.  
- Ja to osadzę. - Mimo że był zdenerwowany, jej ka wydało mu się znajome, choć nie umiał określić dlaczego - Nazwisko?  
- Nelson - powiedziała młodsza kobieta. - Vic-toria Nelson. Pan Zottie zna ją z czasów, gdy służyła w policji.  
Nie. Jej nazwisko nic mu nie mówiło. Ale nie mógł pozbyć się uczucia, że już dotykał jej ka.  
- Czy mogę powiedzieć panu Zottiemu, że pan już przybył?  
- Tak.

Od samego początku żądał, by prokuratora generalnego nie informowano o jego przyjeździe, póki nie doszedł całkiem do siebie. Kontrola musi wywodzić się z siły, słabość człowieka ją także osłabia. W tej kulturze kobiety wychowywano tak, by przejmowały się słabością, a nie gardziły nią, i chociaż w teorii był przeciwny takiemu podejściu, w praktyce je wykorzystywał. Kiedy George Zottie

przybiegł do recepcji, chcąc osobiście wprowadzić gościa do gabinetu, po słabości, jaką w przybyłym wywołała winda, nie było już śladu. Mdłości, jakie jeszcze odczuwał, nie były widoczne na zewnątrz, więc nie miały znaczenia.

Przechodząc przez podwójne drzwi, czuł żar spojrzenia młodszej kobiety. Jej pożądanie było efektem otarcia się o jej ka, które miało mu zapewnić jej lojalność. Nie planował tego i nie chciał. Szczerze mówiąc, sam pomysł czegoś takiego budził w nim odrazę, tak samo jak przed wiekami, nim został pochowany. Starsza kobieta reagowała na okazywaną władzę - to rozumiał.

Jego plany wobec prokuratora generalnego wymagały gruntownej przeróbki. Kiedy zostali sami w biurze, a drzwi się zamknęły, wyciągnął dłoń. Zottie z niezwykłą gracją, jak na człowieka tej postury, opadł na jedno kolano i ucałował ją. Kiedy wstał, na jego twarzy gościł wyraz niemal niebiańskiego spokoju.

Skryba - doradca do spraw mediów - dał mu klucz do Zottiego i dziedzictwo tysiąca pięciuset lat doświadczeń z biurokracją, które nauczyło go, jak tego klucza użyć. Na pierwsze spotkanie przyszedł z zakłębieniem otumanienia przygotowanym na dłoni. Rzucił je poprzez ceremonialny uścisk ręki, uaktywnił i dzięki niemu zyskał dostęp do ka. W przeszłości ktoś z taką władzą byłby chroniony, miałby własnego czarownika, zatrudnionego, by zapobiegać takim przypadkom. Aż ciężko było uwierzyć, że w tych czasach to jest takie proste. Niewiele zostało z George'a Zottiego.

Dzięki Zottiemu mógł jedną po drugiej przejmować kolejne osoby potrzebne mu, by zbudować potęgę, przyjdzie zaś pora, kiedy Zottie już nie będzie mu przydatny.

- Czy wszystko zostało wykonane?

- Jak rozkazałeś. - Prokurator podniósł z biurka ręcznie wypisaną listę i podał mu ją z ukłonem. - To ci, którzy przyjdą. Mimo że zostali późno uprzedzeni, większość przybędzie. Mam ponowić zaproszenie wobec pozostałych?

- Nie. Nimi mogę zająć się później. ~ Przejrzał listę. Tylko kilka tytułów było znajomych. To nie wystarczało. - Potrzebny mi starszy mężczyzna, taki, który spędził całe życie w rządzie, ale nie jako polityk. Taki, który zna nie tylko zasady i prawa, ale też wie o trupach w szafie. - Pierwsze ka, które pochłonał, dostarczyło mu tę frazę, i teraz uśmiechnął się, korzystając z niej.

- Potrzebujesz Briana Mortona, panie. W Queen's Park nie dzieje się nic, o czym by nie wiedział.

- Zabierz mnie do niego.



- Dziś po południu w Queen's Park doszło do nieszczęśliwego zdarzenia. Wyższy urzędnik administracji rządowej Brian Morton zmarł na atak serca w swoim biurze. Morton pracował dla rządu Ontario od czterdziestu dwóch lat. Prokurator generalny George Zottie, w którego biurze Morton pracował w chwili swojej śmierci, powiedział, że był on inspiracją dla młodszych pracowników i wszystkim brakować będzie jego wiedzy i doświadczenia. Wdowa po Mortonie wyznała, że jej mąż nie cieszył się na czekającą go w przyszłym roku emeryturę i gdyby dano mu wybór, wolałby umrzeć tak, jak umarł: w pracy. Pogrzeb odbędzie się w poniedziałek w kościele Matki Zbawiciela w Scarborough. A teraz Elaine i pogoda.

Vicki zmarszczyła czoło i wyłączyła telewizor. Reid Ellis i doktor Rax zmarli w muzeum na atak serca. Mumia wyszła z muzeum. Brian Morton zmarł na atak serca, pracując dla prokuratora generalnego. Vicki wierzyła, że mumia wykorzystuje prokuratora, by zdobyć kontrolę nad policją i zbudować własną armię. Morton był stary, jego śmierć mogła być zbiegiem okoliczności. W to nie wierzyła.

Henry uważał, że mumia musi się żywić. Krążyła już po mieście tydzień. Jak często potrzebowała się pożywiać?

Wyciągnęła przygotowane do wrzucenia do pojemnika na makulaturę gazety leżące obok biurka. Usiadła na ławce do ćwiczeń i zaczęła czytać. Nagłe zgony w miejscach publicznych... Najrozsądniej było zacząć od tabloidu.

Znalezienie pierwszego artykułu zajęło jej mniej niż pięć minut. Pięć centymetrów kwadratowych w prawym dolnym rogu na stronie dwudziestej drugiej; łatwo byłoby je przeoczyć, gdyby nie nagłówek:

**TAJEMNICZA ŚMIERĆ CHŁOPCA W METRZE.** Ciało Wy-

ciągnięto z metra na stacji Osgoode przy Queen's Street. W szpitalu dziecięcym stwierdzono zgon. Przyczyna zgonu: niewydolność serca.

Osgoode była trzy stacje na wschód od muzeum. Data: dwudziestego października. Czas: dziewięć czterdzieści pięć. Kilka godzin po tym, jak doktor Rax zmarł, a wszyscy wokoło zaczęli twierdzić, że trumna zawsze była pusta.

Dłonie Vicki zacisnęły się w pięści i uderzyły w gazetę. Chłopiec miał dwanaście lat. Z zacisniętymi zębami wycięła artykuł, a potem powoli i metodycznie podarła gazetę na drobne kawałeczki.

Dopiero o trzeciej nad ranem znalazła drugą śmierć - artykuł opowiadał o śledztwie w placówce opieki dziennej dla dzieci. We wtorek, dwudziestego drugiego października, z drabinek w przedszkolu Sunyview spadł trzylatek.

Autopsja wykazała, że był martwy, nim dotknął ziemi. Przedszkole od muzeum oddzielał tylko długi budynek stojący przy Bloor Street. We wtorek po południu, po tym jak ułożyła Hen-ry'ego do snu i sama się kilka godzin przespała, Vicki stała oparta jedną ręką o płot otaczający przedszkole, w którym zmarło drugie dziecko. „Żadna przeszkoda”, pomyślała, dotykając przerdzewiałej siatki. „Zwłaszcza dla wcielonego zła”. Chociaż niebo było szare i zanosilo się na deszcz, nie padało, a na podwórku pełno było dzieci. W jednym miejscu sześcioro atakowało wieżę z drewna, sznurów i opon, podczas gdy jej obrońcy z krzykiem odpierali szturm. Gdzie indziej dwoje dzieci wykorzystywało pustą cementową sadzawkę jako idealny tor wyścigowy. Jedno dziecko z zapalem obserwowało kałużę. Troje innych kłóciło się o prawo do zjeżdżalni. Wszędzie, w ograniczonym polu widzenia Vicki i poza nim, dzieci biegały, skakały i bawiły się. Powinno być ich o jedno więcej. Przeszła wzdłuż płotu na podjazd i z zaciśniętymi ustami weszła do budynku.



- No dobra, śmierć dziecka, które miała pod opieką, mogła sprawić, że reszta dnia wyleciała jej z pamięci. Fakt, widziałam takie przypadki wcześniej. Ale chodzi o to, jak ona nic nie pamięta. Henry, to brzmiało nieszczerze. Henry podniósł głowę znad wycinków. Z jego twarzy nie dało się nic wyczytać.
- Myślisz, że co się stało?
- Była na placu zabaw, nie dalej niż trzy metry od miejsca, gdzie spadło dziecko. Myślę, że widziała ją, a ona wymazała to z jej pamięci, tak jak zrobiła w muzeum.
- Mówiąc „ją” masz na myśli...?
- Mumię, Henry. - Vicki przeszła kolejny raz salon wzdłuż i zawróciła, żeby zacząć od nowa. - Mam na myśli tę cholerną mumię!
- Nie sądzisz, że wyciągasz przedwczesne wnioski? - zadał to pytanie tak spokojnie, jak mógł, mimo to Vicki wyprostowała się i ściągnęła brwi.
- Do cholery, co masz na myśli?
- Chodzi mi o to, że dzieci umierają, z różnych powodów. To smutne i straszne, ale się zdarza. Byłem jedynym dzieckiem mojej matki które przeżyło wczesne dzieciństwo.
- To było w piętnastym wieku!
- A czy w tym stuleciu dzieci przestały umierać?



Westchnęła. Skuliła ramiona.

- Nie. Jasne, że nie. Ale, Henry... - Kilka szybkich kroków doprowadziło ją do jego krzesła. Opadła na kolana i przykryła jego dłonie swoimi. - Tę dwójkę zabiła mumia. Wiem to. Nie wiem skąd, ale wiem. Gliniarzy uczą obserwować. Robimy to zawsze i wszędzie. Może świadomie nie rozpoznajemy wszystkiego ważnego, co widzimy i słyszymy, ale podświadomość nieustannie odcedza informacje, póki poszczególne kawałki nie zaczną do siebie pasować. - Zaciśnęła dłonie i podniosła wzrok, by spojrzeć mu w oczy. - Wiem, że mumia zabiła te dzieci.

Nie odwracała oczu, póki nie zaczęły łzawić. Czowała się naga, bezbronna - lecz tę cenę gotowa była zapłacić za to, by zaczął jej wierzyć.

- Być może - powiedział w zamyśleniu Henry, wreszcie pozwalając jej odwrócić wzrok - ci, którzy umieją zaobserwować więcej niż inni, umieją też dostrzec prawdę.

- Chryste, Henry...! - Zabrała mu wycinki i wstała. - Nie wciskaj mi tego new age'owego gówna. To trening i praktyka, nic więcej.

- Jak sobie życzysz. - W minionych wiekach widział wiele rzeczy, za które nie były odpowiedzialne „trening i praktyka”, wątpił jednak, czy Vicki chciałaby o tym dyskutować, więc odpuścił. - Nawet jeśli masz rację w sprawie mumii i dzieci - rozłożył ręce - co to właściwie zmienia? Nie pomaga nam przecież jej odnaleźć.

- Mylisz się - podkreśliła te słowa palcem wyciągniętym w górę. - Wiemy, że przebywa gdzieś w pobliżu muzeum i Queen's Park. To daje nam pojęcie, gdzie jej szukać. Wiemy, że dalej zabija, nie tylko po to, żeby się chronić przed odkryciem, ale z innych powodów. Żeby się karmić, jak to nazwałeś. Wiemy, że zabija dzieci. A to - warknęła - oznacza, że musimy ją znaleźć i zatrzymać, i to szybko.

- Powiesz to wszystko detektywowi?

- Celluciemu? Nie. - Vicki oparła czoło o szybę i wyjrzała w dół na miasto. Nie widziała nic poza ciemnością. W chwili gdy weszła do budynku, w którym mieszkał Henry, reszta miasta mogła równie dobrze zniknąć. - To teraz moja sprawa. Jego by to tylko zdenerwowało.

- Bardzo jesteś troskliwa - zauważył sucho Henry. Zobaczył, jak drga mięsień na jej policzku, a kącik ust się wykrzywia. To, że nie umiała kłamać nawet przed sobą, było jedną z jej cech, które lubił najbardziej. - Co mam zrobić?

- Znajdź ją. - Jak?

Vicki odwróciła się od okna i rozłożyła ręce.

- Znamy teren. Jesteś myśliwym. Myślałam, że wywąchałeś ją przy trumnie.

- Nie tak, żebym mógł tropić. - Odór strachu i rozpachy to jedno, a zapach fizycznie przynależny do osoby to zupełnie co innego. Henry szybko wypchnął z pamięci wspomnienie i cień, jaki za nim podążał. - Vicki, jestem wampirem, nie psem gończym.

- No przecież to mag. Nie możesz wytropić skupiska mocy czy czegoś w tym

guście?

- Owszem, jeśli jestem blisko, kiedy następuje użycie mocy. Tak wyczułem wezwania demonów zeszłej wiosny. Ale - uniósł ostrzegawczo dłoń - jak może pamiętasz, wtedy też nie mogłem wytropić źródła.

Vicki skrzywiła się i znowu zaczęła chodzić w tę i z powrotem.

- Słuchaj - powiedziała po chwili - a poznałbyś ją, gdybyś ją zobaczył?

- Czy poznałbym istotę ze starożytnego Egiptu ożywioną po spędzeniu w grobie tysiącleci? Chyba tak - westchnął. - Chcesz, żebym się kręcił w oko-

licy muzeum, tak? Na wypadek gdyby się tam znowu pojawiła.

Vicki zatrzymała się i odwróciła twarzą do niego.

- Tak.

- Skoro jesteś pewna, że będzie na przyjęciu w sobotę, czemu po prostu nie zaczekamy?

- Bo dziś jest wtorek i kto wie, ile dzieci zginie w ciągu tych czterech dni.



Henry wsunął dłonie głęboko w kieszenie skórzanego płaszcza i usiadł na jednej z drewniano-betonowych ławek przed muzeum. Zimny, wilgotny wiatr omiatał budynek, podrywając podmuchami zeschnięte liście do wirującego tańca. Przejeżdżające samochody zdawały się szukać schronienia pewniejszego niż metalowa klatka chroniąca ich zawartość przed nocą.

To nie mogło się udać. Szanse na to, że wpadnie na mumię, nawet na zawężonym przez Vicki terenie tylko dlatego, że właśnie będzie przechodziła, rzucając przy okazji zaklęcie, była żadna. Wyciągnął rękę z zegarkiem i sprawdził godzinę. Trzecia dwanaście. Gdyby teraz wrócił do domu, mógłby jeszcze ze trzy godziny popisać.

Kolejny podmuch wiatru przyniósł znajomy zapach. Wstał i dla oczu każdego przypadkowego obserwatora nagle znikł.

Na wschód Bloor szła znajoma postać z postawionym dla ochrony przed zimnem kołnierzem.

skulona, ze zmrużonymi oczami. Ignorując czerwone światło na Queen's Park Road, Henry przemknął przez skrzyżowanie, ścigając się ze srebrną chmurką swojego oddechu.

- Dzień dobry, Tony.

- Chryste, człowieku...! - Tony instynktownie chciał się uchylić, Henry go

jednak przytrzymał. -Nie rób tak!

- Przepraszam. Późna pora jak na spacer.

- Nie, wczesna. Późna dla ciebie. - Zatrzymali się przy krawężniku i Tony odwrócił się, żeby spojrzeć Henry'emu w twarz. - Polujesz?

- Niezupełnie. Czekam na ciąg niemożliwych zbiegów okoliczności, dzięki którym będę mógł się zabawić w bohatera.

- Pomysł Wiktorii?

Henry uśmiechnął się.

- Skąd wiesz?

- Żartujesz? - zachichotał Tony. - Masz jej imię wypisane na czole wielkimi literami. Musisz na nią uważać, Henry. Daj jej szansę... jakimukolwiek glinie czy eks-glinie - uściślił - daj szansę, a zaczniesz kontrolować twoje życie.

- Moje życie? - Henry pozwolił, by maska ucywilizowanej bestii uchyliła się odrobinę.

Tony oblizał wargi, lecz nie odsunął się. - Tak - rzekł chrapliwie. - Twoje też. Henry przez chwilę bawił się z Głodem, pozwą-lając mu rosnąć, kiedy dotykał policzka Tony'ego, po czym uciszył go, uznawszy że nie ma ochoty jeść.

- Powinieneś się przespać - powiedział, zagłuszając swoimi słowami dzikie bicie serca Tony'ego. -Jak na jedną noc miałeś dość wrażeń.

- Co...?

- Czuję na tobie jego zapach... - Usłyszał, jak krew napływa Tony'emu do głowy, wywołując rumieniec na gładkich policzkach. - Nie przejmuj się - pocieszył go z uśmiechem. - Nikt inny tego nie wyczuje.

- Nie był taki jak ty...

- Mam nadzieję.

- Chodzi mi o to, że nie był... to nie było... to znaczy było, ale... chodzi mi o to...

- Wiem, o co ci chodzi. - Jego uśmiech był obietnicą, której pozwolił trwać, póki Tony nie zrozumiał. - Odprowadziłbym cię do domu, ale mam zadanie do wypełnienia.

- Jasne. - Tony westchnął, poprawił spodnie w kroku i ruszył w swoją stronę. Po kilku krokach zawołał: - Hej, Henry! Jeśli chodzi o te szalone pomysły Wiktorii... Zwykle okazuje się, że wcale nie są aż takie szalone.



- ...po sygnale zostaw wiadomość.

- Vicki? Tu Celluci. Jest czwarta po południu w środę. Jeden z mundurowych właśnie powiedział mi, że widział cię, jak zaglądałaś dziś rano do studzienek kanalizacyjnych w pobliżu muzeum. Co ty tam, kurde, robiłaś? Cholera, szukasz mumii, a nie żółwia ninja! A jeśli coś znalazłaś, cokolwiek, i nie powiedziałaś mi od razu, skopię ci dupę jak stąd do gwiazdki.



Dom i ogród wyglądały znajomo, zupełnie jak wspomnienie z dzieciństwa, którego nie da się umiejscowić w czasie ani w przestrzeni. Zachowując bezpieczny dystans, przeszła na tył. Jeszcze nim się tam znalazła, wiedziała, że przy drzwiach kuchennych będą rosły malwy, że patio będzie wyłożone nierównymi szarymi płytami, a róże będą właśnie w pełnym rozkwicie. Było słonecznie i ciepło, trawnik pachniał, jakby go właśnie skoszono - w rzeczy samej koło garażu stała stara kosiarka do trawy, którą w każdy poniedziałek kosiła ich malutki trawniczek

przy domu Kingston. Przy tylnych schodkach leżała rękawka do bejs-bolu odziedziczona po starszym kuzynku. Sznurowanie, które sama naprawiała, odznaczało się od zużytej skóry bardziej niż w rzeczywistości. Jej dzinsowa kurtka z frędzlami, ostatnia rzecz, jaką kupił jej ojciec, nim odszedł, wisiała na sznurze do suszenia.

Ogród zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Zaczęła po nim myszkować, najpierw powoli, potem idąc coraz szybciej, nagle świadoma, że coś podąża za nią. Okrążyła dom, biegiem przebyła ścieżkę, wpadła na ganek i zatrzymała się gwałtownie z ręką na klamce. - Nie.

to chciało, żeby weszła do środka.

Klamka zaczęła się przekręcać, a wraz z nią jej dłoń. Widziała swoje odbicie w szybie w drzwiach. Musiało to być jej odbicie, choć przez chwilę miała wrażenie, że patrzy na siebie wyglądającą przez szybę z wnętrza domu.

Cokolwiek podążało za nią przez ogród, weszło na ganek. Czuła, jak stare deski uginają się pod czymś ciężarem, w szybie zobaczyła odbicie świecących czerwonych oczu.

- Nie!

Oderwała palce od klamki i czując, jak strach ją niemal paraliżuje, zmusiła się, żeby się odwrócić.



Vicki wsunęła okulary na nos i spojrzała na zegarek. Druga czterdzieści sześć.  
- Nie mam na to czasu - mruknęła, kładąc się z powrotem na poduszkach. Serce nadal waliło jej jak młot. Za niecałe dwie godziny musi iść do Henry'ego, co oznacza, że sen jest teraz najważniejszy. Chociaż to, co zaszło w muzeum, wystraszyło ją widocznie bardziej, niż przypuszczała, analiza snów będzie musiała poczekać. Odłożyła okulary na miejsce, wyciągnęła rękę do wyłącznika i zgasiła światło. - Następną parę czerwonych oczu, które spróbują mnie obudzić, też zgaszę - obiecała swojej podświadomości. Kilka chwil później, leżąc w ciemności, zmarszczyła brwi. Od lat nawet nie pomyślała o tej kurtce.



W czwartkową noc dom stał samotnie na szarym pustkowiu, a sen zaczął się przed drzwiami wejściowymi. Przymus otworzenia ich był zbyt silny, aby mu się oprzeć, i weszła do środka, a to tuż za nią. Ledwie zdążyła zauważyć, co jest w pokoju, kiedy światło ściemniało, gdy zaczęła walczyć, by to zatrzymać. to chciało zobaczyć, co jest w domu. Może sobie, kurde, pomarzyć. Kiedy się obudziła, głowa tak ją bolała, jakby w nocy tłukła nią kamienie, mimo to Vicki była zadowolona z siebie jak cholera.



Walczyła mocniej, niż się spodziewał. Jego pan nie będzie zadowolony. Ponieważ nie miała chroniących ją bogów, tylko silnie rozwiniętą wiarę w

siebie, porażka zostanie odebrana jako wyłącznie jego wina. Achech nie tolerował porażek i karał je tak, że wszystko inne było lepsze niż narażenie się na nie. Potrzebował więcej mocy.



Mimo zimna i chłodu piątkowe popołudnie spędzone w parku było o wiele lepsze niż piątkowe popołudnie spędzone na zmaganiu się z Rielem i jego rebeliami na historii czy z lekcją chemii. Brian objął mocniej Louise i odwrócił jej twarz ku sobie.

„To się dopiero nazywa edukacja!” - pomyślał, kiedy jej wargi się rozchyliły, a język powędrował na spotkanie jego języka. „Ciekawe, czy pozwoli mi wsadzić sobie rękę pod...”. Aua...! „Chyba nie”.

Otworzył oczy, żeby sprawdzić, jak dziewczyna wygląda, gdy patrzy się na nią z tak bliska, i skrzywił się, kiedy zobaczył dobrze ubranego faceta stojącego z półtora metra dalej i gapiącego się na nich. Po prostu ekstra. Zbok. Albo glina. Może powinniśmy... Powinniśmy...

- Brian? - Louise odsunęła się od niego, kiedy zwiotczał. - Przestań! - Jego głowa opadła bezwładnie na jej ramię. - Brian, mówię serio. Boję się.. Brian...? O Boże...!



Ułożył się na łóżku, zrzucając na podłogę worek z piórami. Niedługo będzie musiał kazać zrobić sobie porządny podgłówek.

Była jedenasta czterdzieści trzy - przywiązanie tej kultury do dzielenia czasu na najmniejsze kawałeczki wciąż go zadziwiało - i ona teraz na pewno już śpi, a jej ka jest najbardziej bezbronne. Tej nocy nie zdoła mu się oprzeć, zniszczy jej obronę całą mocą, jaką czerpie z pochłoniętego dziś ka.

Zamknął oczy i wysłał swoje ka ścieżką, którą wskazał mu bóg, wchodząc przez obraz jego oczu.



Było tak, jakby to trzymało ją za łokieć i oprowadzało po domu, obserwując, odrzucając kolejne elementy, szukając. Nie mogła się uwolnić. Nie mogła zgasić świateł.

Nie mogła pozwolić, by to znalazło to, czego szukało.

Tyle że nie miała pojęcia, czego szuka.

Weszli po schodach i znaleźli się w długim korytarzu z rzędami drzwi po obu stronach. Kiedy doszli do drugich, zobaczyła na nich wypisane ołówkiem daty i uświadomiła sobie, kto za nimi czeka. Pomyślała - albo powiedziała, nie była pewna: „Tylko nie trzecie drzwi, wszystko, tylko nie to” - i spróbowała przejść szybciej do przodu.

to zatrzymało ją, odwróciło, przeszło z nią do trzecich drzwi i do pokoju za nimi. Kiedy wyszli, ruszyło dalej, prowadząc ją ze sobą. Nie wróciło do drugich drzwi.

Najwidoczniej nigdy nie słyszało żadnej z bajek Ezopa.

Zdołała ochronić swoją matkę, Celluciego i Hen-ry'ego. to znalazło wszystko inne. Wszystko.



Wiedział, że będzie cierpiała. Ustalenie wszystkiego musiało trochę potrwać, chociaż część niezbędnych wpływów zdołał już zdobyć, lecz jego pan z pewnością będzie zadowolony.



- Nie wyglądasz najlepiej. Wszystko w porządku?

Vicki przełożyła aluminiowy kij bejsbolowy do drugiej ręki i zdołała się uśmiechnąć.

- Tak, w porządku. Jestem tylko trochę zmęczona.

- Przykro mi, że przez kilka ostatnich nocy nic nie udało mi się odkryć, ale szczerze mówiąc, spodziewałem się, że tak będzie.

- Nie szkodzi. To był strzał na ślepo. Henry... -Usiadła na skraju łóżka i pogładziła rudozłote włosy na jego piersi. - Wciąż masz te sny?

Henry odsunął przykrycie, żeby pokazać jej kilka dziur w materacu.

- Dziś rano wbiłem tu palca - powiedział sucho. Opuścił przykrycia, a potem położył rękę na jej dło-

ni. - Gdyby nie to, że poczułem na poduszce twój zapach, nie wiem, co jeszcze bym zniszczył. - Odwróciła wzroki on zaś uznał, że reszty jej nie powie, nie wyzna, że tylko Vicki, jej obecność trzyma go przy zdrowych zmysłach. - Czemu pytasz? - zacie-kawił się.

- Zastanawiałam się, czy nie są coraz gorsze.

- Nie zmieniły się. Zaczyna cię męczyć stanie na straży, prawda?

- Nie. Tylko... - urwała. Nie mogła mu powiedzieć. Sen wydawał się taki ważny, kiedy go śniła, ale teraz, w obliczu strachu Henry'ego, był oderwany od rzeczywistości i bez znaczenia.

- Tylko co? - naciskał, od razu z wyrazu jej twarzy odczytując, że i tak mu nie powie.

- Nic

- Spójrz na to od lepszej strony. - Uniósł jej dłoń do ust i ucałował blizny po wewnętrznej stronie nadgarstka. - Dziś jest przyjęcie. W taki czy inny sposób coś się...

- ...stanie. - Vicki odsunęła rękę i wyprostowała jego ramię. Poprawiła okulary i oparła kij o łóżko. -W taki czy inny sposób.



## ROZDZIAŁ 10

O Boże...! - Co się stało? Vicki oblizwała usta.

- Absolutnie nic. Wyglądasz... hm... dobrze. -Strój Henry'ego przypominał uroczyste stroje ze starych filmów. Szeroka szkarłatna szarfa przecinała na skos jego pierś, a długi płaszcz, żywcem wyjęty z „Upiora Opery”, z wdziękiem opadał do ziemi. Całość wyglądała niesamowicie. Nie chodziło tylko o kontrast między białą koszulą, czernią smokingu, bladą twarzą i złocistymi włosami Henry'ego. Vic-ki uznała, że sekret tkwi w tym, jak on to wszystko nosi. Niewielu mężczyzn miało dość pewności siebie i arogancji wynikającej z dobrego urodzenia, by czuć się komfortowo w takim stroju. Henry wyglądał jak... cóż, jak wampir. Taki, na jakiego chciałoby się wpaść w ciemnej uliczce. I to kilka razy pod rząd - Właściwie wyglądasz lepiej niż dobrze. Niesamowicie.

- Dziękuję. - Henry uśmiechnął się i poprawił rękaw marynarki tak, że wystawały spod niego tylko dwa centymetry białego mankietu. Ciężki złoty pierścień lśnił na palcu jego prawej ręki. - Cieszę się, że ci się podoba. Czuł, jak wraz z tym strojem osiadają na nim lata. Czuł, jak Henry Fitzroy, autor romansów okazjonalnie bawiący się w detektywa, wtapia się w większą całość. Tej nocy będzie kroczył pomiędzy śmiertelnikami, cień krążący pomiędzy jasnością i radością, nocny łowca. „Dobry Boże!” - pomyślał. „Zaczynam być bardziej melodramatyczny od moich książek”.

- Wciąż uważam, że to dość brawurowe. Iść na przyjęcie w przebraniu wampira...! Jesteś pewien, że nie ryzykujesz?

-Co miałbym ryzykować? Że zostanę odkryty? -Uniósł jedno ramię okryte płaszczem i spojrzał na nią ponad nim, przyjmując klasyczną pozę Drakuli ze starych filmów. - To jak u Poego w „Skradzionym liście”: co chcesz ukryć, chowasz na widoku. - Wyprostował się i uśmiechnął do niej. - Nie pierwszy raz to robię. Pomyśl o tym jako o zasłonie dymnej. Halloween wymaga przebrania się. Jeśli w Hallo-ween Henry Fitzroy jest wampirem, to na pewno nie jest nim przez resztę roku.

Vicki przerzuciła jedną nogę przez podłokietnik fotela i stłumiła ziewnięcie.

- Nie jestem pewna, czy to takie logiczne - mruknęła. Wczesne poranki i

późne wieczory zaczynały na nią coraz bardziej wpływać. Czterogodzinne popołudniowe drzemki nie pomogły, tylko jeszcze bardziej rozregulowały jej wewnętrzny zegar. Minał ledwie rok, odkąd skończyła z policyjną służbą dwadzieścia cztery godziny na dobę, i zadziwiła ją, jak szybko utraciła zdolność przystosowania się. Wieczór spędzony na ćwiczeniach sprawił, że krew w niej trochę szybciej krążyła, unosząc część zmęczenia. Widok Henry'ego przyspieszył jej krążenie jeszcze bardziej.

Jego nos drgnął, gdy zapach Vicki nagle się wzmógł. Uniósł jedną brew.

- Wiem, o czym myślisz - szepnął.

Poczuła, że się rumieni, lecz zdołała zapanować nad głosem.

- Nie zaczynaj czegoś, czego nie masz zamiaru

skończyć, Henry - powiedziała, zmieniając pozycję tak, by skrzyżować nogi. - Już jadłeś.

Głód zaspokoił wcześniej, musiał, jeśli miał spędzić wieczór w otoczeniu tak wielu śmiertelników, skupiony na czymś innym niż krew płynąca pod ich ubraniami i skórą, jednakże zainteresowanie Vicki leciutko go pobudziło.

- To nie ja się wiercę...

- Henry!

- ...na fotelu - dokończył cicho, kiedy zadzwonił telefon. - Wybacz. Dobry wieczór, Henry Fitzroy. Och, witaj, Caroline... Tak, minęło trochę czasu.

Głównie pracuję nad książką.

Caroline. Vicki rozpoznała to imię. Chociaż nie miała Henry'ego na wyłączność, tak jak on nie miał jej, nie mogła powstrzymać uczucia... zadowolenia.

Nie tylko dzieliła z Henrym łóżko, czego tamta kobieta już nie robiła, ale też znała jego tajemnicę. Tamta nigdy nie dostąpiła tego zaszczytu.

- Niestety, mam już na dzisiaj plany, miło jednak, że pytasz... Tak... Może...

Nie, to ja do ciebie zadzwonię.

Kiedy odłożył słuchawkę, Vicki pokręciła głową.

- Wiesz oczywiście, że w piekle mają specjalny kocioł dla tych, którzy obiecują, że zadzwonią, a tego nie robią?

- Zanim nadejdzie mój czas, już dawno zabraknie w nim miejsca... - Henry urwał zamyślony. A może nie zabraknie? Póki śnił o słońcu, każdy świt mógł być jego ostatnim. Po raz pierwszy naprawdę zaczął myśleć o swojej śmierci i o tym, ile niezakończonych

spraw za sobą zostawi. Przez chwilę stał w milczeniu z ręką na słuchawce, wreszcie podjął decyzję.

Vicki spoglądała na niego z ciekawością. Podeszedł do niej, uklęknął i ujął jej dłonie w swoje. Dół płaszcza ułożył się wokół jego stóp. Chociaż Vicki nie miała nic przeciwko temu, by przystojny mężczyzna klęczał przed nią, zaczynała nabierać nieprzyjemnego uczucia, że sytuacja zaraz zrobi się bardzo niezręczna.

- Masz rację, nie zadzwonię - zaczął. - Ale myślę, że powinnaś wiedzieć,

dlaczego. Mogę pić z przypadkowego nieznanego i nie czuć przy tym, że kogoś zdradzam, gdybym jednak pił z Caroline, miałbym uczucie, że zdradzam was obie. Ja, bo daję jej z siebie tak niewiele, i ciebie, bo tobie dałem wszystko.

Vicki, nagle bardziej przestraszona niż zadowolona z siebie, spróbowała wyrwać mu dłoń. - Nie...

Henry puścił ją, lecz nadal klęczał u jej stóp.

- Dlaczego nie? Jutrzejszy świt może się okazać tym, na który czekam.

- Nie ma mowy!

- Skąd wiesz? - W tej chwili śmierć stała się mniej ważna od tego, co miał do powiedzenia. - Co to zmieni, jeśli powiem, co chcę?

- Wszystko. Nic. Nie wiem... - Wzięła głęboki oddech i zaczęła żałować, że światła nie są słabsze. Nie widziałyby wtedy tak dokładnie jego twarzy. I może on nie widziałby jej. - Henry, mogę z tobą sypiać. Mogę ci pozwolić ze mnie pić. Mogę być twoją przyjaciółką i strażniczką, ale nie mogę...

- Kochać mnie...? A nie kochasz? Czy kochała?

- Czy to z powodu tego, co czujesz do Celluciego? - drażył.

- Celluciego? - prychnęła. - Nie bądź głupi. Mike Celluci to mój najlepszy przyjaciel i tak, lubię go. Ale nie kocham ani jego, ani ciebie.

- Nie? Żadnego z nas? A może obu kochasz? Obu...?

- Vicki, nie proszę, żebyś wybrała. Nawet nie proszę, żebyś przyznała, co sama czujesz. - Henry wstał i poprawił płaszcz. - Pomyślałem tylko, że powinnaś wiedzieć, że cię kocham.

Oddychanie zaczęło ją niemal boleć, wokół zrobiło się straszliwie ciasno.

- Wiem. Od zeszłego czwartku wiem. Tu. - Dotknęła lekko swojej piersi. - Całkowicie mi się oddałeś, bez żadnej liny bezpieczeństwa, bez drogi odwrotu. Jeśli to nie była miłość, to coś cholernie podobnego. - Wstała, odeszła na bezpieczną odległość, a potem odwróciła się twarzą do niego. - Nie mogę. Za dużo sznurków się za mną ciągnie. Za dużo lin bezpieczeństwa. Jeśli je odetnę... rozpadnę się. Na kawałeczki.

Rozłożył ręce.

- Nie domagam się zobowiązań. Chciałem tylko powiedzieć ci to, póki mogę.

- Henry, masz na to całą wieczność.

- Sny o słońcu...

- Powiedziałaś, że prawie się do nich przyzwyczaiłeś. - Jeśli mu się pogorszyło i nie przyznał się jej, gotowa była skrócić mu kark.

- Jestem pewien, że Damokles też się przyzwyczaił do miecza, co nie zmienia faktu, że to tylko kwestia czasu.

- Czas! Chryste, spójrz na zegarek! Przyjęcie zaczęło się pół godziny temu.

Zbierajmy się. - Vicki złapała swoją torbę i ruszyła do drzwi.

Henry dotarł do nich na długo przed nią, pełen jednocześnie gniewu i zaskoczenia spowodowanego nagłą zmianą tematu. Zastawił drzwi, błyskając przy tym satynową podszewką płaszcza.

- My?  
- Tak, my. Będę czekała w samochodzie w charakterze wsparcia.  
- Nie  
- Tak. Zejdź mi z drogi.  
- Vicki, na wypadek gdybyś zapomniała, przypominam, że tam będzie ciemno, a ty nie widzisz w ciemności.  
- I co z tego? - Zmarszczyła brwi i zaczęła mówić ostrzejszym tonem: - Słucham w porządku. Węch też. Potrafię siedzieć w cholernym samochodzie godzinami, nic nie robiąc. Ciebie tego nie uczyli.  
- Mnie tego nie uczyli? - powtórzył powoli Henry. - Przez setki lat dopasowywałem się do społeczeństwa, byłem niewidzialnym łowcą w masie ludzi - mówiąc, pozwolił, by maska cywilizowanego człowieka lekko się zsunęła. - A ty śmiesz mi mówić, że mnie tego nie uczyli!  
Vicki oblizwała wargi. Nie była w stanie odwrócić wzroku ani się poruszyć. Myślała, że przyzwyczaiła się już do tego, czym jest Henry. Teraz jednak uświadomiła sobie, że rzadko widywała jego prawdziwe oblicze. Strużka potu spłynęła jej po ciele i nagle zapragnęła koniecznie iść do toalety. „Jasne. Wampir. Ciągle zapominam”. Połowa niej chciała uciekać gdzie pieprz rośnie, a druga połowa podciąć mu nogi i powalić go na ziemię. „Na litość boską, Vicki, opanuj te pieprzone hormony”.  
- No dobrze - głos jej drżał tylko odrobinę. - Nauczyłeś się więcej, niż ja kiedykolwiek zdołam, Masz rację. Ale i tak jadę z tobą i zaczekam w wozie. - Zdołała unieść dłoń i powstrzymać go, nim zdążył coś powiedzieć. - I tak nie spotka mnie nic bardziej niebezpiecznego od tego, co mam teraz przed sobą. Henry zamrugał, a potem zaczął się śmiać. Po czterystu pięćdziesięciu latach umiał rozpoznać, kiedy ktoś go zapędził w koziego róg.



- Dobrze. Bardzo dobrze. - Spojrzał na salę wypełnioną mężczyznami i kobietami mającymi władzę. W myślach widział już ich wszystkich kłaniających się przed ołtarzem Achecha, oddających swoją władzę i podkomendnych w ręce boga.  
George Zottie skłonił się zadowolony, że jego pan jest rad.  
- Będę chodził między nimi. Możesz mnie przedstawiać, jak uznasz za stosowne. Później, kiedy w ich głowach będą myśli o mnie i będę mógł dotknąć ich ka, zaprowadzisz wszystkich do pokoju, który przygotowałem, a

ja będę rozmawiał z każdym na osobności.



Henry nie musiał się zbytnio starać, by dostać się do ogromnego domu prokuratora generalnego przy Summerside Drive. Nie spodziewał się też, by pozostanie na przyjęciu wiązało się z jakimiś trudnościami. Jeśli ktoś na takie przyjęcie przybywał, znaczyło, że miał prawo na nie przybyć. Skinął głową młodemu mężczyźnie, który otworzył przed nim drzwi, i przeszedł obok niego, kierując się w stronę źródła najgłośniejszego dźwięku. Współczesne społeczeń-

stwo zdawało się zapominać, że służba nie potrzebuje wyjaśnień.

Olbrzymi salon-jadalnia został udekorowany na Halloween. Czarne i pomarańczowe świece paliły się w zabytkowych srebrnych świecznikach, stół przykrywał piękny pomarańczowy obrus, w wazonach umieszczono czarne róże, a kieliszki na wino były z czarnego kryształu - Henry założył, że wino jednak nie będzie pomarańczowe. Nawet kelnerzy, z gracją poruszający się z tacami z kanapecz-kami i drinkami, mieli pasy i krawaty w czarno--pomarańczową kratkę.

Wziął szklanekę z wodą mineralną, uśmiechnął się tak, że serce kelnera mocniej zabiło, i wtopił się w tłum. Wiek kobiet miało na sobie długie suknie z różnych epok. tak że w jednej chwili sobą dwór swojego ojca w Windsorze, pałac Króla Słońce w Wersalu, salę balową księcia regenta w Brighton. Strzepując niewidoczny pyłek z marynarki, za-stanowił się, czy nie powinien był wykorzystać tej okazji, by przyodziać się w jaskrawe kolory, których te czasy zwykle zabraniały panom.

Przebrania mężczyzn mocno były zróżnicowane: od bardzo krzykliwych do lekkich wariacji stylu ulicznego - chyba że brązowy tweedowy garnitur oznaczał przebranie za kogoś, kogo Henry nie kojarzył. Dwa inne wampiry rzuciły sobie spojrzenia ponad szerokimi ramionami policjanta żywcem wyjętego z pierwszych niemych filmów. Większość policjantów wstąpiła na służbę, zanim rozluźniono wymagania co do wzrostu, więc w sali pełno było ludzi wysokich i krzepkich. Kilku, po latach spędzonych na patrolowaniu własnego biurka, dorobiło się warstewki tłuszczu. Polityków znajdujących się w tej masie łatwo było rozpoznać po braku masy.

Henry był nie tylko najniższym, ale też najmłodszym mężczyzną w pomieszczeniu. To nie miało znaczenia. Ci ludzie rozpoznawali władzę, natomiast wzrost i wiek były na dalekim drugim miejscu.

- Witam, jestem Sue Zottie.

Żona prokuratora generalnego była filigranową kobietą z lśniącymi ciemnymi oczami i brązowymi włosami upiętymi w kok na czubku głowy. Jej ciemnozielona suknia z czasów Tudorów dodawała godności temu, co nieraz w dziejach ludzkości określano mianem piękna. Instynkt wziął górę i dłoń, którą mu podała, Henry uniósł do ust. Nie wydawało się, żeby miała coś przeciwko temu.

- Henry Fitzroy.

- Czy... czy myśmy się już spotkali? Uśmiechnął się, a ona zaczęła odrobinę szybciej

oddychać. - Nie.

- Ach... - Chciała zapewne zapytać, w jakiej jednostce służył albo czy pracował dla jej męża, lecz to pytanie utonęło w jego oczach. - Jeśli chce pan rozmawiać z George'em, to jest w bibliotece z panem Tawfikiem. Obaj spędzili tam większość wieczoru.

- Dziękuję.

Jeszcze nigdy nie słyszała tak pięknego i pełnego podziękowania. Odeszła, zastanawiając się, czemu George nigdy nie zaprosił tego przemiłego młodzieńca na obiad Henry upił łyk wody mineralnej. Tawfik. Wyglądało na to, że jego zwierzyna jest w bibliotece.



W samochodzie przy odsuniętym oknie było zimno, lecz Vicki, teraz ślepa, nie mogła sobie pozwolić na odcięcie pozostałych zmysłów. Wiatr pachniał dymem, gnijącymi liśćmi i drogimi perfumami - przypuszczała, że ta ostatnia woń występuje tylko w tej dzielnicy - i przynosił odgłosy odległego ruchu ulicznego. Drzwi, dość blisko, otwierają się i zamy-

kają. Telefon - albo bardzo blisko, albo przy otwar-tym oknie - dzwoni.

Spóźniony przebrany dzieciak

namawiający matkę, by przeszli jeszcze jedną prz-cznicę. Dwie nastolatki, za stare na zbieranie słodyczy, opowiadały sobie, jak minął dzień, idąc drugą stroną ulicy. Chociaż wzrok Vicki się pogarszał, ze słuchem było coraz lepiej - albo może po postu bardziej zwracała uwagę na to, co słyszy.

Nie miała wątpliwości, że na podstawie tego, co usłyszała, mogłaby wskazać te dwie dziewczyny wśród innych nastolatek. Jedna para płaskich butów, jedno obcasy. Miękkie szuranie, szuranie rękawa ocierającego się o ciało

odziane w polisterową kurtkę, niemal niesłyszalne dzwonięcie cienkich meta-łowych bransoletek, brzęczących nierówno, każda więc musiała nosić komplet. Jedna mówiła tak, jakby

miała usta pełne gumy, a druga, jakby nosiła aparat ortodontyczny.

- ...a ona normalnie ocierała się o niego cycka-

- Nie, no...! Zderzakami?!

- No...! A potem ma czelność mówić, że naprawdę kocha Bradleya.

„Co niby dzieci wiedzą o miłości?” - zastanowiła się Vicki, kiedy dziewczyny odeszły zbyt daleko, by mogła je słyszeć. „Henry Fitzroy, bękart Henryka VIII, książe Richmondu, mówi, że mnie kocha. Co o tym myśleć?”.

Westchnęła. „Co ja o tym myślę?”.

Przesunęła palcem po dyszach wentylatora na desce rozdzielczej bmw, a potem znowu westchnęła. „No dobra, boi się umierać. To rozumiem. Jeśli żyje się w mroku przez ponad czterysta lat, a potem zaczyna śnić o dniu...”.

Nagła myśl przyszła jej do głowy. „Jezu, może on się boi, że dziś umrze?”

Może myśli, że nie da sobie rady z mumią?”. Zaczęła się mocować z

drzwiami, lecz przestała, zanim je otworzyła. „Nie bądź głupia, Vicki. To wampir, drapieżnik, potrafi sobie radzić. I jest moim przyjacielem. I kocha mnie”.

„I będę sobie powtarzała ten pokrętny wywód logiczny za każdym razem, kiedy o nim pomyślę, zaczynając od teraz”. Uniosła oczy ku niebu, którego nie widziała. „Najpierw Celluci chcący »porozmawiać«, a teraz Henry i jego deklaracje! Nie wystarczy, że mumia biega po mieście? Potrzeba mi więcej problemów?”

Typowe dla mężczyzn: chcą skomplikować idealnie działający związek.

Zsunęła się w dół po skórzanym siedzeniu, tak że jej głowa znalazła się na poziomie dolnej krawędzi okna, i zajęła się czekaniem. Ale tylko dlatego, że nie miała nic innego do roboty.



Światła w holu były przygaszone, tak że wokół roztaczał się tylko lekki pomarańczowy blask przenoszący atmosferę Halloween poza teren, na którym odbywało się przyjęcie. Zakręcające schody skrywały w cieniu drzwi do biblioteki. Henry okrył się płaszczem i tak zamaskowany schował się w mrocznym zakątku, by przemyśleć następny ruch.

Według Sue Zottie, prokurator generalny i pan Tawfik przebywali w

bibliotece. Tymczasem on wyczuwał trzy życia po drugiej stronie ściany i nie sugerowało, że którekolwiek z nich właśnie wyszło na wolność po tysiącletnich spędzonych w zamknięciu. Wszystkie trzy serca były w podobnym rytmie...

Nie. W identycznym.

Henry'emu włosy zjeżyły się na karku. Wsunął się jeszcze głębiej w ciemność. Serca nie mogły być tak zsynchronizowane przez przypadek. Tylko raz zdarzyło mu się coś takiego słyszeć - w roku 1537, kiedy osłabiony i ledwo przytomny z utraty krwi przycisnął usta do rany na piersi Christiny i pił, świadomy jedynie żaru, jakim był dla niego jej dotyk, i równego bicia ich serc. Co się dzieje w tym pokoju?

Po raz pierwszy Henry poczuł się niepewnie na myśl, że ma stanąć twarzą w twarz z istotą, która tak długo pozostawała w zamknięciu. Czas przemiany był najmocniejszym doświadczeniem jego życia, nie tylko tego pierwszego siedemnastoletniego, ale i tych czterystu trzydziestu trzech lat, które upłynęły od chwili, gdy stał się wampirem. A jeśli mumia ma taką moc...

„Myślisz, że dasz sobie radę z tym kapłanem-czarownikiem?” - zapytał Celluci, „Mam swoje sposoby” - brzmiała jego wzgardliwa odpowiedź.

W przeszłości pokonywał już czarowników, bazując na swojej szybkości i sile woli, lecz oni postępowali według reguł, które znał, i nie chowali po kieszeniach własnego boga ciemności.

„Myślisz, że dasz sobie radę z tym kapłanem-trownikiem?”. Głos w jego wspomnieniach przybrał sarkastyczny ton i Henry zmarszczył brwi. W żadnym razie nie miał zamiaru sprawić Cellucie-mu przyjemności i poddać się bez walki.

Trzy serca zamarły, potem dwa znów były w duecie, a trzecie własnym rytmem.

Musiał się dostać do tej biblioteki. Może przez ogrody...

Pojedyncze bicie serca zbliżyło się do drzwi i Henry zamarł. Klamka przekręciła się, drzwi otworzyły i wyszła przez nie kobieta z krótko ostrzyżonymi szpakowatymi włosami. Henry rozpoznał przewodniczącą Sądu Najwyższego Ontario - widział w gazecie zdjęcie, na którym fotografowi udało się

uchwycić nie tylko jej pewność siebie, ale i poczucie humoru. Kostium kawalerzysty, który miała na sobie, pasował i do jednego, i do drugiego.

Na oczach Henry'ego wykonała ukłon, zamiatając ziemię porem, które miała przy kapeluszu.

- George, panie Tawfik, macie moje całkowite poparcie. Zobaczymy się na ceremonii, a teraz przekażę inspektorowi Cantree'emu, że chcecie się z nim widzieć. - Uśmiechając się, nałożyła kapelusz i wróciła na przyjęcie. Nie wyglądała jak ktoś, na kogo właśnie rzucono urok.

Z biblioteki dochodziło już tylko bicie dwóch serc - Tawflka i prokuratora - które brzmiały jak jedno. Przez otwarte drzwi Henry usłyszał niski, za-



myślony głos.

- Jaki jest inspektor Cantree? - Nie będzie go łatwo przekonać.
- Dobrze. Mój pan i ja wolimy pracować z silnymi. Dłużej się utrzymują.
- Cantree wierzy, że niezależność przynosi lepsze rezultaty niż konformizm.
- Ach, tak...
- Mówią, że jest nieprzekupny.
- To da się wykorzystać.

„W jakim celu?” - zastanowił się Henry. W tym głosie było coś, co przypominało mu ojca. I to go wcale nie pocieszało. Jego ojciec był okrutnym, ma-kiawelicznym władcą, który potrafił rankiem grać z poddanym w tenisa, a wieczorem kazać go ściąć za zdradę. Wciąż pozostając bez ruchu, Henry patrzył, jak postawny mężczyzna w przebraniu pirata idzie stanowczym krokiem przez hol, wyglądając przy tym, jakby szykował się do walki. Jedno skrzywienie dzieliło wyraz jego twarzy od czegoś, co można by określić jako „podejrzliwość”. Wszystko w nim tak głośno krzyczało „gliniarz”, że Henry wątpił, by ten człowiek kiedykolwiek pracował jako tajniak.

Przybyły zatrzymał się w drzwiach, trzymając jedną dłoń na rękojeści plastikowego pałasza, który miał przypasany. Wydawało się, że instynkt ostrzega go przed czającym się w pokoju niebezpieczeństwem.

- Panie Zottie? Chciał pan się ze mną widzieć? -Jego ton był ostrożny, neutralny.

- Ach, inspektor Cantree. Proszę wejść. Henry w mgnieniu oka zrzucił ciężką pelerynę

kiedy Cantree przechodził przez próg, przemknął obok niego. Na krótkim dystansie mógł poruszać się tak szybko, że oczy śmiertelników nie były w stanie go dojrzeć, tyle że nie w tak obszernej pelerynie. Prześlizgnął się między krępyim inspektorem i framugą, niczym cień przebył pokój wzdłuż ścian zakrytych półkami z książkami i znikł za sięgającą od sufitu do podłogi ciężką zasłoną.

Dobrze się złożyło, uznał, przyciskając plecy do szyby. Stopy miał rozstawione na boki, by nie wystawały spod kotary. Na powrót stanął całkiem nieruchomo. Przez bicie trzech serc przebił się dźwięk zamykanych drzwi. Deski podłogi ugięły się pod ciężarem inspektora. Nikt nie krzychał i nie podnosił alarmu. Wejście Henry'ego pozostało niezauważone.



Poczuł coś. Otarło się o jego kark z niewinna siłą pu-stynnej burzy, niemal wyrzuwając go z transu, w którym pozostawał przez prawie całe popołudnie. Zanim zdążył zareagować, bariery ochronne, które postawił bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby, oddzieliły go od tego czegoś. Tylko opuściwszy je, mógł próbować to coś odnaleźć.

Przez chwilę rozważał, czy zająć się czymś nowym czy kontynuować dotychczasowe działania. Z żalem zostawił bariery tam, gdzie były. Jego plan chciał, by ten wieczór był pierwszym spotkaniem trzonu jego akolitów - i tym właśnie był, a przy okazji szansą zdobycia władzy świeckiej - i nie byłby zadowolony, że w takiej chwili jego kapłan działa też na własną rękę.

Dotyk był przypadkowy, nie skierowany przeciw niemu, musiał więc się wstrzymać.

Ale wspomnienie zostało w pamięci i przysiągł, że nie będzie czekało tam długo.

- Inspektor Frank Cantree, pan Anwar Tawfik. Henry rozsunał odrobinę zasłony. Ich szelest zagłuszyło ściskanie rąk.

- Inspektorze, proszę usiąść. Pan Tawfik ma pewną propozycję, którą może pan uznać za dość interesującą.

Henry obserwował, jak inspektor siada na drogiej skórzanej sofie. Prokurator przesunął się tak, że stał ledwie metr od wampira, obok masywnego fotela, zupełnie zasłaniając Anwara Tawfika przed wzrokiem Henry'ego.

„Zaczyna się jak kiepski horror” uznał Henry. „Potwór wstaje z fotela, żeby pokazać się kamerze na koniec sceny. Ja chyba będę musiał poczekać na swoją kolej”. Miał zamiar zadziałać, jak tylko Cantree opuści pomieszczenie, zanim jego miejsce zajmie inny wysoki urzędnik. Zottie był tylko śmiertelnikiem, toteż uporanie się z nim nie stanowiło problemu. A co się tyczy mumii - jeśli Tawfik był mumią - to udowodniła, że niszczy niewinne życia. Henry'ego nie obchodziły jej motywacje. Powinna była zakończyć żywot tysiące lat temu.

Z miejsca, w którym stał, widział, jak wzrok Cantree'ego wędruje po pokoju, obserwując, zauważając, zapamiętując. To było chyba powszechne policyjne przyzwyczajenie, bo Vicki i Celluci zachowywali się często podobnie.

Tawfik zaczął mówić niskim, mocnym głosem. Henry słyszał ogólniki o prawie i porządku, Cantree jednak najwyraźniej coś więcej. Jego spojrzenie nie błędziło już po pokoju, zaczęło zwalniać, aż w końcu zatrzymało się na mężczyźnie siedzącym w fotelu. Określone słowa zaczęły się powtarzać. Po każdym z nich inspektor kiwał głową, a jego spojrzenie stawało się coraz bardziej puste. Strużka potu - w bibliotece było co najmniej o dziesięć stopni cieplej niż w pozostałych częściach domu - spłynęła mu po twarzy.

Niepewność przemknęła lodowatym dreszczem po plecach Henry'ego, kiedy głos Tawfika stawał się

coraz bardziej hipnotyzujący, a słowa-kłucze zaczęły padać coraz częściej.

Henry zgadywał, że to magia, chociaż wyjątkowo tajemnicza, kompletnie dla

niego niezrozumiała. Umiał wyczuć magię dobrą i złą, ale ta była obojętna. Po prostu była.

Kiedy wszystkie trzy serca zabiły identycznym rytmem, Tawfik urwał.

-Jego ka jest otwarte - powiedział. - Franku Cantree, słyszysz mnie?

- Tak.

- Od tej chwili twoim celem nadrzędnym jest być mi posłusznym. Rozumiesz?

- Tak.

- Moje dobro będzie dla ciebie najważniejsze. Rozumiesz?

- Będziesz mnie chronił. Rozumiesz? - Tak... - potwierdził Cantree, lecz tym razem

jego usta nie znieruchomiały. - Co się dzieje?

Chociaż pod działaniem zaklęcia niezależne ruchy powinny być niemożliwe, kąci ust Cantreeego uniosły się lekko w górę, gdy odpowiadał:

- Ktoś stoi za zasłoną za twoim krzesłem

Na ułamek sekundy wszyscy zamarli. Potem Henry odsunął zasłonę, runął do przodu i stanął twarzą w twarz z istotą, która wstała z fotela. Zamarł.

Półprzytomnie zauważył złote skórzane sandały, bawełniany kilt, szeroki pas, ciężki naszyjnik, który zakrywał połowę nagiej klatki piersiowej, włosy zbyt gęste i zbyt czarne, by były prawdziwe. Potem ob-rysowane czarną linią oczy spojrzwały na niego i widział już tylko wielkie złote słońce na lazurowym niebie.

W panice cofnął się, odwrócił i rzucił się przez okno.



Chociaż Vicki wiedziała, że to niemożliwe, że noc dla niej jest już tak ciemna, jak tylko może być, nagle odniosła wrażenie, że mrok się zagęścił. Zupełnie jakby chmura zakryła księżyc, którego Vicki nie widziała, a cienie stały się ciemniejsze. Zmysły miała napięte do granic możliwości, kiedy wysiadała powoli z samochodu, pilnując, by tylko przymknąć za sobą drzwi. Szarpnięcie za nie wystarczyło, by włączyć światelko wewnętrzne i umożliwić jej powrót. Można się było spodziewać, że przy wysokości podatków ściąganych w tej dzielnicy rząd będzie stać na postawienie lepszych latarni.

Noc zdawała się na coś czekać, więc Vicki czekała wraz z nią. Wtem gdzieś niedaleko rozległ się brzęk tłuczonego szkła, trzask łamanych gałęzi i odgłos zbliżających się szybciej, niż to było możliwe, skórzanych podeszew kogoś biegnącego w panice po chodniku.

Nie było czasu na zastanawianie się. Vicki zrobiła krok i znalazła się

dokładnie na drodze uciekiniera.

Oboje upadli.

Siła uderzenia odebrała jej na chwilę dech, a zęby aż stuknęły o siebie. Vicki podziękowała w duchu wszystkim bogom, którzy akurat byli w pobliżu, że jej język nie znajdował się pomiędzy nimi, kiedy złapała biegnącego za coś, co wydawało się kłapami kosztownej marynarki. Podczas upadku uderzyła głową o chodnik i pod powiekami wybuchły jej nader imponujące fajerwerki. Jakoś udało jej się nie rozluźnić uścisku. Dopiero kiedy chłodne dłonie złapały ją za nadgarstki i odsunęły jej ręce, zdała sobie sprawę, kogo trzyma. A raczej trzymała.

- Henry? Do diabła, to ja, Vicki!

Bezpieczne miejsce... Słońce wstawało... Musi do trzec do bezpiecznego miejsca...

Vicki obróciła się i w ostatniej chwili uczepiła prawej nogi Henry'ego. Jeśli nie zdoła go zatrzymać, to może chociaż spowolni.

- Henry...!

Ciężar wisiał na jego nodze, utrudniając ucieczkę. Pochylił się, by go do siebie oderwać, i poczuł znajomy zapach wypierający odór jego lęku.

Vicki...

Powiedziała, że będzie przy nim, kiedy świt zacznie się o niego dopominać. Że będzie z nim walczyć. Dla niego. Że nie pozwoli mu spłonąć.

Bezpieczne miejsce...

Napięcie uleciało z jego ramion, a palce zaciśnięte na ręce Vicki puściły.

Ostrożnie i ona go wy

puściła, gotowa jednak rzucić się ponownie, gdyby zaczął znów uciekać.

- Samochód jest tam. - Właściwie nie miała pojęcia, gdzie jest wóz, lecz miała nadzieję, że Henry odwróci się i zobaczy go. - Chodź, Jesteś w stanie prowadzić?

- Tak... tak sądzę. - To dobrze.

Inne pytania mogły poczekać. Echa zderzenia z Henrym wciąż dudniły jej w głowie i utrudniały usłyszenie czegokolwiek, poza tym sądząc po dźwiękach, Henry wyskoczył przez zamknięte okno z domu pełnego policjantów. Lada chwila zaczęła pościg i zaczęła zadawać pytania, na które nie da się odpowiedzieć. „Pani Nelson, czy może nam pani wyjaśnić, dlaczego o świcie pani przyjaciel zmienił się w kupkę popiołu?”.

Kiedy szli do samochodu, jedną ręką kurczowo trzymała się marynarki Henry'ego. Puściła ją, dopiero gdy drugą poczuła karoserię. Wygramoliła się na swoje siedzenie, a potem nerwowo patrzyła, jak Henry - a raczej jego cień ledwie widoczny w świetle lampek na tablicy rozdzielczej - uruchamia samochód i ostrożnie wyjeżdża na ulicę. Nie miała pojęcia, czemu z domu prokuratora ludzie nie wybiegają na ulicę niczym osy z uszkodzonego gniazda, lecz nie zamierzała narzekać na sprzyjające okoliczności.

- Henry?

- Nie teraz. - Większa część leku zniknęła, jednakże obecność Vicki nie wystarczała, by całkiem go odgonić. „Czuję słońce. Jeszcze parę godzin do świtu, a ja czuję słońce”. - Najpierw wrócę do domu. Może wtedy...  
- Spokojnie, poczekam, aż będziesz gotowy - powiedziała uspokajająco, chociaż tak naprawdę miała ochotę potrząsnąć nim i domagać się wyjaśnień. „Skoro Henry tak zareagował na mumię, to wdepnęliśmy w większe gówno, niż sądziliśmy”



- Czy mam go ścigać, panie?  
- Nie. Jesteś powiązany z zaklęciem, a ono nie zastało jeszcze zakończone - warknął. Siła jego gniewu była niemal widoczna wokoło.  
- Ale inni...  
- Nie słyszą nic z tego, co dzieje się w tym pokoju. Nie słyszeli, jak rozbijał okno. Nie będą przeszkadzać. - Z trudem na powrót skupił się na skomplikowanym zaklęciu przymusu, które właśnie uaktywniał. - Kiedy skończę z inspektorem, możesz przeszukać teren. Nie wcześniej.  
Inspektor Cantree odrzucił głowę na bok. Jego kostium pod pachami przesiąkł potem. Widać mu było białka oczu, z gardła dobywały się jęki  
- Panie, innych to nie bolało. - Wiem.  
Ka, które go wcześniej dotknęło swoim wspaniałym, nieskończonym potencjałem mocy, było w jego zasięgu, okoliczności wszakże zmusiły go, by po-zwolił mu uciec.  
To mu się nie podobało.  
Ale teraz wiedział o jego istnieniu, a co ważniejsze - ono wiedziało o nim. Będzie mógł je znaleźć. To mu się bardzo podobało.



Kiedy Vicki wreszcie w ostrym świetle lamp windy zobaczyła twarz Henry'ego, nie zdołała z niej nic wyczytać. Absolutnie nic. Równie dobrze

mógł mieć na twarzy marmurową maskę. Nie było dobrze...

Trzej nastolatki - ubrani w coś, co mogło, ale nie musiało być przebraniem - wsiedli do windy na parterze, spojrzeli na Henry'ego i stanęli cicho w swoim kącie, nie mówiąc nic ani nie wydając żadnych dźwięków.

Wysiedli na piątym piętrze.

„Nie ma tego złego...”, przemknęło Vicki przez głowę, kiedy dzieci wyszły z windy.

Ostatni wychodzący, któremu opuszczenie kabiny dodało odwagi, zatrzymał się w drzwiach i od-wróciwszy się, scenicznym szeptem zapytał:

- Kim on ma być?

„Czemu nie?” - pomyślała.

- Wampirem.

Ufarbowane na czarno włosy otarły się o zdobione cekinami ramiona, gdy pytający pokręcił głową.

- Marniutko - ocenił pogardliwie, kiedy drzwi się już zamykały.

Vicki otworzyła mieszkanie, a potem poszła za Henrym do sypialni, deptając mu niemal po piętach. Włączyła światło, kiedy rzucił się na łóżko.

- Czuję słońce - powiedział miękko.

- Do świtu jeszcze kilka godzin.

- Wiem.

- Pułkownik Mustard w bibliotece z mumią... Henry spojrział na nią spod zmarszczonych brwi.

- O czym ty mówisz?

- Co? - Vicki opuściła rękę. Dokonywała właśnie bolesnego obmacywania guza z tyłu głowy. Na szczęście wyglądało na to, że bliskie spotkanie z chodnikiem przed rezydencją prokuratora generalnego nie wyrządziło jej poważniejszych szkód. Wstrząs mózgu był ostatnim, czego potrzebowała. - A, nic. Głośno myślałam...

Informacje zdobyte na przyjęciu tylko potwierdziły to, co już wiedzieli albo podejrzewali: mumia zbierała wokół siebie ludzi dowodzących policją, budowała prywatną armię. Z całą pewnością miała zamiar stworzyć własne państwo z własną religią. W końcu jakkolwiek patrzeć, przywlokła ze sobą swojego boga.

Mieli nazwisko: Anwar Tawfik. Mężczyzna, któremu pomogła wysiąść z windy w biurze prokuratora generalnego. Mimo wszystko Vicki poczuła cień współczucia - po paru tysiącach lat w trumnie też by miała straszliwą klaustrofobię. Co nie zmieniało faktu, że gdyby wtedy wiedziała, kim jest, zepchnęłaby tego sukinsyna do szybu windy.

Uderzyła się pięścią o udo.

- Nie sądzę, żeby udało mu się osiągnąć to, czego chce, ale wielu ludzi zginie, zanim się o tym przekona. Poza tym nikt nam nie uwierzy, póki on czegoś nie zrobi.

- I pewnie jeszcze długo potem.
- Co masz na myśli?
- Co robi przeciętny obywatel, gdy jest w niebezpieczeństwie? - zapytał Henry.
- Wzywa policję.
- Właśnie - przytaknął.
- A on kontroluje policję. Kurde, kurde, kurde, kurde!
- Nader elokwentnie.

Uśmiech Vicki bardziej przypominał wyszczerzenie zębów. Usiadła na skraju łóżka.

- Wygląda na to, że sami będziemy się musieli tym zająć.
- Henry zakrył oczy przedramieniem.

- Bardzo się przydam.
- Śniłeś o słońcu od tygodni, a mimo to nadal funkcjonujesz normalnie.
- Normalnie? Skoku przez okno biblioteki nie nazwałbym normalnym.
- Przynajmniej wiesz, że nie jesteś szalony.
- Nie. Jestem przeklęty.

Vicki odsunęła mu ramię z twarzy i pochyliła się nad nim. Światło lampy ledwie sięgało jego oczu, lecz mimo okrywającego je cienia miała wrażenie, że są tak ludzkie - śmiertelne - jak nigdy przedtem.

- Chcesz zrezygnować?
- Z czego? - Jego śmiech brzmiał gorzko i odrobinę histerycznie. - Z życia?
- Nie, głupku. - Ujęła go za brodę i delikatnie za-kołysała jego głową na obie strony. Miała nadzieję, że jej dotyk nie zdradza, jak bardzo się o niego boi. - Czy chcesz zrezygnować z tej sprawy?
- Nie wiem.

# ROZDZIAŁ 11

Na ścianę nie padały cienie, więc musiał spać długo. Jego ciało bezskutecznie próbowało odzyskać część sił utraconych podczas rzucania zaklęć zeszłej nocy. Język miał zdrętwiały, kości obolałe, jakby polano je wrzącym ołowiem. Niebawem przy moim łóżku będzie czuwał niewolnik ze szklaneczką chłodnego soku, gotowy podać mi go po przebudzeniu. Ale „niebawem”, niestety, nie oznaczało jeszcze „teraz”. Spojrzał na zegar. Jedenasta pięćdziesiąt sześć i trzy sekundy... cztery... pięć... Odwrócił wzrok, nim zegar zdołał go oszołomić upływem czasu. Zostało mu tylko pół dnia na to, aby się pożywić i odnaleźć ka, które tak wspaniale lśniło.

Sztywno wstał z łóżka i poszedł pod prysznic. Świętej pamięci doktor Rax, który podczas swojego życia i kariery archeologa miał okazję zapoznać się z przeróżnymi sanitariatami - względnie ich brakiem - na brzegach Nilu, uznawał hydraulikę Ameryki Północnej za ósmy cud świata. Kiedy litry gorącej wody spłynęły na niego, zmywając napięcie z jego ramion, uznał, że może się z tym zgodzić.

Gdy skończył obfite śniadanie i wyglądał filiżanki kawy - każde dorosłe ka, które wchłonał, miało ten nałóg - nie czuł już ciężaru swoich lat i był gotowy zacząć nowy dzień.

Tego dnia dla odmiany niebo nad miastem było bladobłękitne i chociaż listopadowe słońce nie dawało wiele ciepła, miło było je widzieć. Wziął filiżankę i podszedł do ściany z okien - tej, która chroniła go przed uczuciem, że pozostałe ściany zamykają się wokół niego - i wyjrzał na ulicę. Prawo nakazywało, by większość sklepów i przedsiębiorstw była zamknięta w dzień nazywany niedzielą. Dość dużo ludzi korzystało z pogody i spędzało czas wolny na dworze. Z dziećmi.

Poprzedniej nocy rzucił wiele przygotowanych dla konkretnych ludzi zaklęć, każde dopełnione skomplikowaną siecią kontroli. Wyczerpało go to bardzo, tak że pozostała moc ledwie wystarczy by utrzymał ciepło ciała podczas szukania dziecięcego ka, którym mógłby się pożywić. Używał mocy w sposób, na jaki nigdy by się nie powazył w czasach, gdy nieprzynależnych dusz było niewiele i nawet niewolnicy pozostawali pod ochroną podsta-



wowych amuletów i zaklęć. Jednakże teraz, gdy nic nie stało mu na drodze, nie widział powodu, aby się ograniczać. Żadnej z tych śmierci nie dało się z nim powiązać - konieczność już wieki temu nauczyła go brać wzgląd na tak przyziemne sprawy. Kiedy poli-

cja i jej dowódcy oddadzą się Achechowi, on, jako najwyższy kapłan, będzie nietykalny.

Nie miał pojęcia, ilu zaprzysiężonych akolitów potrzebuje jego pan, by zebrać dość sił do stworzenia kolejnych takich jak on. W przeszłości raz udało mu się zebrać czterdziestu trzech, ponieważ jednak stało się to tuż przed tym, jak kapłani Thota otrzymali rozkaz podjęcia działań, przypuszczał, że teraz czterdziestu czterech albo czterdziestu pięciu wystarczy. Te trzydzieści ka, które zebrał, nie robią wielkiej różnicy. Używał ich najmniejszych części, aby ich przekonać - w dwóch wypadkach naprawdę maciupenkich - i podczas rzucania zaklęcia powiedział dość prawdy, by ich przysięgi wierności miały moc. Tych trzydziestu przymuszonych będzie się równało może dwudziestu zaprzysiężonym z wolnej woli. Na początek może być.

Po ceremonii nie będzie musiał już tak często używać magii i nie będzie się musiał tak często karmić.

- A kiedy znajdę ciebie, moje lśniące i jasne... -Odstawił filiżankę i sięgnął po płaszcz, który prokurator generalny znalazł za drzwiami biblioteki. -Kiedy ciebie znajdę... może już nigdy nie będę musiał się pożywiać.

Gdy trzymał satynę w palcach, czuł, jak grzeje go blask tamtego ka. Było niczym diament na tle in-

nych w tym mieście. A teraz, kiedy je dotknął, nie będzie już mogło się przed nim ukryć. Był trochę ciekawy, co za człowiek - bo to był tylko człowiek, nic nie wskazywało na to, aby był bogiem czy czarownikiem - ma w sobie takie ka, lecz ta ciekawość była niczym w porównaniu z pożądaniem.

Płaszcz upadł u jego stóp. Może zwróci młodemu mężczyźnie zapomniany element garderoby, a kiedy ich dłonie się zetkną, spojrzysz w jego oczy i...

Z taką mocą nie byłoby dla niego rzeczy niemożliwych.



Tony nie był pewien, co sprawiło, że wyszedł ze swojej sutereny, coś jednak wyrwało go rankiem ze snu i skłoniło do wyjścia na ulicę. Dwie kawy i czekoladowa muffinka kupiona w Druxy nie przybliżyły go do odpowiedzi. Wsunął dłonie do kieszeni kurtki i czekał rogu Yonge i Bloor na zmianę światła, podsłuchując przy tym rozmowy toczone wokoło. Zignorował gadki

yuppie, za to skoncentrował się na narzekaniach grupki dzieciaków z ulicy na zimno. O tej porze roku ci, którzy mieszkali w parkach i na przystankach, martwili się przede wszystkim o to, jak przeżyć nadchodzącą zimą, a dopiero w drugiej kolejności o następny posiłek, fajkę czy kasę. Rozmawiali o tym, gdzie można żebrać, gdzie najlepiej stać żeby zaliczyć płatny numerek, które bramy są bezpieczne, który glina pomoże w potrzebie, kogo zgarnęli, kto umarł. Tony przeżył na ulicy prawie pięć lat i umiał poznać, które gadki są istotne, a które nic niewarte. Nic z tego, o czym dzieciaki mówiły.

nie wyjaśniało, czemu dziś jest taki podenerwowany.

Z głową ukrytą w ramionach ruszył Bloor. Miał na sobie nową kurtkę kupioną za pieniądze z prawdziwej, uczciwej pracy, i było mu wystarczająco ciepło, ale stare przyzwyczajenia mocno się go trzymały. Nawet po dwóch miesiącach nie umiał się przyzwyczaić do pracy, przestać się bać, że nagle zniknie, a razem z nią pokój, ciepło, regularne posiłki... i Henry.

Henry mu ufał, wierzył w niego. Tony nie wiedział, dlaczego i nie obchodziło go to. Wystarczyło mu zaufanie i wiara. Henry stał się jego kotwicą. Nie sądził, żeby to miało coś wspólnego z tym, że jest wampirem - chociaż to było cholernie zajebiste,

no i seks był najlepszy, taki, że na samo wspomnienie się napalał - bardziej chodziło o to, że Henry był... cóż, Henrym.

Przecucie, które wyciągnęło go dziś na ulicę, nie miało nic wspólnego z Henrym, wręcz przeciwnie. Przecucia związane z Henrym zawsze rozpoznawał.

Dochodząc do niskiego murku przy Manulife Centre, Tony potarł skronie.

Chciałby, żeby to już minęło. Miał lepsze rzeczy do roboty w niedzielne popołudnie, niż próbować zrozumieć, skąd się wzięło to dziwne mrowienie.

Zatrzymał się, oparł o betonowy murek i obserwował mijających go ludzi.

Dziecko w nosidełku na plecach ojca, ledwie widoczne pod czapczką, rękawiczkami, szalikiem i kombinezonem, zwróciło jego

uwagę. Uśmiechnął się, zastanawiając, czy maluch w ogóle jest się w stanie ruszać. Rany, dzieciak spędzi kilka pierwszych lat życia, nie widząc nawet, na jakim świecie żyje. Pewnie wyrośnie na polityka.

Dziecko z radosną fascynacją spoglądało na mężczyznę, który szedł za jego rodzicami, chociaż ten zdaniem Tony'ego nie robił nic, żeby przyciągnąć uwagę malucha. Gość nie wyglądał źle, trochę posiwiały i z zakrzywionym nosem, ale miał w sobie coś całkiem atrakcyjnego.

Pewnie lubi dzieci. Pewnie patrzy się... Jezu, nie...!

Twarz dziecka, ledwie widoczna pod bladoniebieską czapczką w żółte kaczuszki, nagle zwiotczała. Ubranko utrzymywało je nadal w pionie, wyciągnie-

te ręce wystawały z nosidełka, lecz Tony bez cienia wątpliwości widział, że dziecko nie żyje!

Lodowata obręcz zacisnęła się wokół jego serca. Mężczyzna, który szedł za

rodzicami, nie był już siwy.

Zabił je. Tony był tego pewien jak niczego w życiu. Nie wiedział, jak i nie obchodziło go to. Boże, on je zabił!

A wtedy mężczyzna odwrócił się, spojrzął na niego i uśmiechnął się.

Tony zaczął uciekać. Instynkt mu kazał. Rozległy się klaksony. Ktoś potrącony zaczął krzyczeć. Zignorował to wszystko i biegł dalej.

Kiedy przerażenie już nie wystarczało, by mógł dalej uciekać, opadł na ziemię w zacienionej bramie i zaczął oddychać głęboko, przepychając powietrze obok guli, jaką miał w gardle. Cały drżał, a każdy oddech bolał jak wbijany w pierś ostry nóż. Wyczerpanie owinięło się wokół niego, sprawiając, że przez jego bezpieczną mgłę mógł jeszcze raz przypomnieć sobie to, co widział.

Ten człowiek, czy co to było, zabił dziecko, tylko na nie patrząc!

A potem odwrócił się i spojrzął na mnie. Ale jestem bezpieczny. Nie znajdzie mnie. Jestem bezpieczny. Na ulicy nie słychać było kroków, nie było żadnego zagrożenia, lecz zjeżyły mu się włosy i napięły mięśnie. On nie musiał za mną iść. On na mnie czeka. Boże. Jezu...! Nie chcę umierać.

Dziecko było martwe.

Będą myśleli, że śpi. Będą się śmiali, że wszystko przesypia. Potem wrócą do domu i wyjmą je z nosidełka, a ono nie będzie spało. Ich dziecko będzie martwe, a oni nie będą wiedzieli, kiedy, jak ani dlaczego.

Potał dłońmi policzki

Ale ja wiem.

A on wie, że ja wiem.

Henry mnie obroni.

Tyle że do zachodu słońca było jeszcze kilka godzin, on zaś nie mógł przestać myśleć o rodzicach dziecka wracających do domu i... Nie mógł tego tak zostawić. Musiał komuś powiedzieć.

Wizytówka, którą wyciągnął z portfela, była dość sponiewierana: pomięta i poplamiona, nazwisko i numer telefonu ledwie dało się odczytać. Przez lata stanowiła jego jedyne połączenie z innym światem. Ściskając ją mocno w spoczonej dłoni, Tony ostrożnie opuścił swoją kryjówkę i ruszył na poszukiwanie budki telefonicznej. Wiktoria będzie wiedziała, co robić. Wiktoria zawsze wie, co robić.

- Nelson, prywatny detektyw. Nikt nie może odebrać w tej chwili telefonu.

Proszę po sygnale nagrać nazwisko, numer telefonu i powód, dla którego państwo dzwonią. Oddzwonię, kiedy tylko będę mogła. Dziękuję.

- Kurde...! - Tony odłożył gwałtownie słuchawkę i oparł czoło o chłodny plastik telefonu. Co teraz? W odwodzie miał numer napisany ręcznie na drugiej stronie wizytówki, lecz wątpił, czy detektyw sierżant Michael Celluci przychylnie przyjmie coś takiego. Cokolwiek to jest... Jezu...! Wiktoria, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję?

Wsunął wizytówkę z powrotem do kieszeni i ostrożnie rozejrzawszy się po ludziach wokoło, wyszedł z budki. Mrużąc oczy, ruszył z powrotem na Yonge

i Bloor. Wiedział, gdzie jest teraz Henry, a godziny od teraz do zachodu słońca tylko w jego odczuciu będą się dłużyły tak, jakby były całą resztą jego życia. Przy odrobinie szczęścia wcale nią nie będą.



Chłopak widział go, jak się pożywia, albo tylko był świadomy tego, że się karmił. Wyglądało na to, że w tych czasach jednak są tacy, którzy nie odgradzili się niedowierzaniem od świata wokół nich. Zdarzenie było zajmujące, nie narażało go jednak na niebezpieczeństwo. Komu ten chłopak miałby o tym powiedzieć? Może później go poszuka i sprawdzi, czy będzie z niego pożytek. Był na tyle młody że stanowił godne uwagi źródło mocy. W tej chwili miał tyle sił, ile potrzebował. Czuł się wspaniale. Wchłonięcie życia niemowlęcia, potencjału niemal nietkniętego, było rozkoszą. W przeszłości, kiedy dobrze mu się powodziło, bywało, że kupował niewolnicę, kazał akolicie ją zapłodnić, a potem wchłaniał życie dziecka przy narodzinach. Ból, jaki kobieta odczuwała przy porodzie, i rozpacz po śmierci dziecka stawały się ofiarą dla Achecha. Taki sposób pożywiania się wymagał starannych przygotowań i ciągłej kontroli, bo dzieci niektórych kobiet zostawały przypisane bogom jeszcze w macicy. Przy tak niewielkiej liczbie aktywnych bogów być może, po zbudowaniu świątyni Achecha, będzie mógł tak zawsze się karmić. Podniósł temperaturę swojego ciała o dwa stopnie tylko dlatego, że miał dużo mocy. Dzień był zbyt piękny, by wracać do hotelu. Miał zamiar przejść się do parku, odgradzić niewielki kącik zaklęciami i sycić się słońcem, szukając tego pięknego, lśniącego ka.



- Mike, tu Vicki. Jest dziesięć po drugiej w niedzielę. Zadzwoń, kiedy będziesz miał czas poga-

dać. - Odłożyła słuchawkę i sięgnęła po kurtkę. Teraz gdy już wiedzieli, że w sprawę zamieszani są wysocy rangą oficerowie policji, w tym ci, którzy odsunęli Celluciego od sprawy, istniało prawdopodobieństwo, że jego telefon jest na podsłuchu. Prawdopodobieństwo mizerne co prawda, lecz Vicki nie widziała powodu, by tylko dlatego lekceważyć pod-; słuch. W końcu ścigali starożytną egipską mumię -jakie było prawdopodobieństwo, że będą robić coś takiego?

- Starożytną egipską mumię o imieniu Anwar Tawfik. - Poprawiła torebkę. - Mogę się założyć, że to nie jest jego prawdziwe imię.

Tylko to jednak mieli, toteż zamierzała spędzić popołudnie na sprawdzaniu hoteli w pobliżu muzeum. Wszystko wskazywało na to, że mumia przebywa w tamtej w okolicy, a z tego, co mówił Henry, wynikało, że pan Tawfik jest z tych, co podróżują pierwszą klasą. Zastanowiła się przelotnie, jak płaci za takie luksusy. Może ma platynową kartę Egyptian Express? Nie daj się bez niej pochować. Henry.

Henry chciał uciec jak najdalej od tej istoty i jej obrazów słońca. Nie musiał tego mówić, to było oczywiste. Wątpiła, by chciał czy nawet był w stanie ponownie stanąć twarzą w twarz z mumią.

- Wygląda na to, że ja to będę musiała zrobić. - Okulary jej się zsunęły, więc poprawiła je pewnym ruchem. - Tak jak lubię.

Zignorowała mgliste poczucie pustki.



Jego ka przeszukało miasto, nie znalazło jednak ani śladu życia, które otarło się o niego poprzedniej nocy. Ka z takim potencjałem powinno lśnić jak latarnia morska, a odnalezienie go powinno być tylko podążeniem za jego blaskiem. Wiedział, że istnieje. Widział je, czuł je. Nie powinno być w stanie się przed nim ukryć!

Gdzie ono się podziewa?

Połączenie pomiędzy nimi trwało mgnienie oka, potem młodzieniec rzucił się przez okno na zewnątrz, ale ten krótki kontakt powinien wystarczyć, by uzyskać dostęp do ka mężczyzny. Jeśli je znajdzie.

Czy ten mężczyzna zmarł tamtej nocy? A może wsiadł do jednego z zadziwiających urządzeń podróży tej epoki i odleciał? Jego frustracja rosła, kiedy ocierał się o tysiące ka, które wszystkie razem lśniły słabiej niż tamto jedno.

A potem poczuł, że jego własne ka chwyta silniejsza moc, i poczuł naraz

wszechogarniający strach. Po chwili zorientował się, co się dzieje, lecz strach niewiele zmalął.

Czy dałeś mi cierpienie tej, której chciałem?

- Panie, ja... - Przeszedł przez ka kobiety i zebrał wszystkie informacje niezbędne, by dostarczyć jego panu przyjemności. Chciał zacząć działać zeszłej nocy. Gdyby tak zrobił, cierpienie już by się rozpoczęło. Dotyk ka intruza sprawił, że zupełnie o tym zapomniał.

Wymówek nie było.

Nie miało znaczenia, że ból istniał tylko na płaszczyźnie duchowej. Jego ka wrzeszczało.

- Wszystko w porządku?

Poczuł mocne ręce ujmujące go pod ramię, podnoszące do pozycji siedzącej. Jego zaklęcia strażnicze zostały przerwane. Oczy otworzył powoli, bo nawet to bolało.

Z początku, kiedy jeszcze walczył z oplatającą go siecią bólu, wydawało mu się, że stojący obok młody człowiek jest tym, który mu uciekł, który ponosi odpowiedzialność za to, że nie wypełnił polecenia swego pana.

Odpowiedzialność za ból, który jego bóg na niego zesłał. Chwilę później dojrzał, że włosy ma jaśniejsze, skórę ciemniejszą, oczy szare, a nie piwne, lecz wtedy to już nie miało znaczenia.

- Potknął się pan. - Młodzieniec uśmiechnął się nieśmiało. - Mogę jakoś pomóc?

- Tak. - Zmusił się i unioś obolałą głowę na tyk, by spojrzeć tamtemu w oczy.

- Możesz rzucić się pod pociąg metra. - Oczy chłopaka rozszerzyły się, mięśnie napięły. - Twoim ostatnim słowem musi być Achech.

- Tak... - Na drżących nogach młodzieniec ruszył przed siebie. Całe jego ciało krzyczało: „Nie!”

Poczuł się lepiej. Przymus został nałożony mało subtelnie, to jednak nie miało znaczenia. Młody mężczyzna miał żyć tak krótko, że nie było sensu starać się, by jego wygląd i zachowanie pozostały normalne. Czuł, jak jego pan podąża tuż za tym człowiekiem, karmiąc się jego rozpaczą i strachem.

Mężczyzna wiedział, co zaraz zrobi, i nie był w stanie się przed tym powstrzymać.

Pozostawało mieć nadzieję, że jego pan nasyci się na tyle, by wytrwać, aż dostanie to, czego pragnie.



Vicki zatrzymała się przed Park Plaza Hotel i rzuciła okiem na swoje ubranie. Porządne buty, szare spodnie i granatowa budrysówka były odzieniem, w którym mogła się pokazać w większości miejsc w mieście, ale miała przecucie, że jeśli tak ubrana przejdzie przez drzwi tego hotelu, będzie się czuła niewystarczająco elegancka. Hotele, w których zwykle szukała podejrzanych, nie miały odźwiernego, a jeśli już ktoś przed nimi stał, to tylko po to, żeby pilnować, czy nie nadjeżdża policja. Sklepiki w lobby sprzedawały fajki i gumki, a nie diamentowe i szmaragdowe naszyjniki warte jakieś siedem tysięcy dolarów każdy. Szyby były ciemniejsze dlatego, że za nimi zamontowano sklejkę, a nie z racji pokrycia szkła złotem.

„Nie dam się onieśmielić budynkowi!”. Park Plaza był po drugiej stronie Bloor Street, dokładnie naprzeciwko muzeum, logiczne zatem było szukanie w nim Anwara Tawfika. Minęła odźwiernego, przeszła przez drzwi obrotowe w takim tempie, że gdyby ktoś inny nieopatrznie z nich w tej samej chwili korzystał, wyleciałby na ulicę jak wystrzelony z procy, i zatrzymała się w cichym lobby wyłożonym zielonym marmurem.

Niektóre rzeczy są we wszystkich hotelach takie same. Dwoje wymęczonych recepcjonistów próbowało obsłużyć jedenaście osób - jedenaście bardzo dobrze ubranych osób, zauważyła Vicki. Westchnęła cicho i stanęła w kolejce, żałując, że nie ma już odznaki, która przy takich okazjach naprawdę oszczędzała człowiekowi czas.



Zanim doszedł do hotelu, krok miał już całkiem spokojny. Większa część mocy, jaką wziął z ka niemowlęcia, posłużyła jako bufor oddzielający jego ka od gniewu jego pana. W przeszłości zdarzało się, że po takim spotkaniu odczołgiwał się do swojej kryjówki, a potem przez wiele dni, pełnych bólu i stra-

chu, odzyskiwał siły. Na szczęście niebawem zostaną zaprzysiężeni nowi akolici i uwaga jego pana nie będzie już skupiona wyłącznie na nim. Achech, choć nie był jednym z naprawdę potężnych bogów, przywiązywał wielką wagę do usług, jakie było mu się winnym w zamian za nieśmiertelność.

Odźwierny w liberii otworzył przed nim drzwi z przyciemnionego szkła, a on wszedł do lobby i jak wryty przystanął tuż za progiem. Wyczuł znajome ka. Wyglądała niemal tak samo, jak siebie postrzegała, chociaż w rzeczywistości

była odrobinę niższa, odrobinę mniej jasnowłosa i miała bardziej wyrazisty podbródek. Co tu robi wybranka jego pana?  
Sięgnął delikatnie i otarł się o powierzchnię jej myśli. Po nocach, które spędził na penetrowaniu jej fea, nie miała już przed nim tajemnic.  
Zmarszczył czoło, kiedy odkrył powód jej obecności w hotelu. Szuka jego! Nie była czarownikiem i nie mogła być świadoma obecności jego fea... Ach, szuka z polecenia kogoś innego. Wyglądało na to, że w muzeum nie był aż tak ostrożny, jak mu się wydawało. Nieważne. Uśmiechnął się. Jego pan odczuje podwójną przyjemność, jeśli cierpienie pani Nelson da się rozszerzyć także na detektywa sierżanta Michaela Celluciego i to bez przeszukiwania jego ka.  
Ale na razie lepiej, żeby wybrana nie naruszyła spokoju jego sanktuarium. Ledwie muskając jej świadomość, umieścił tam fałszywe wspomnienia.  
„Co ja znowu robię w kolejce?” - zdziwiła się Vicki. Pokręciła głową i skierowała się do drzwi. Nie będą wiedzieli więcej niż pięć minut temu. Rejestry komputerowe można było zmienić, mógł zameldować się pod innym nazwiskiem, ale jeśli kierownik hotelu go nie kojarzył, to nic więcej nie miała tu do roboty. Trzeba sprawdzić inne hotele w okolicy.  
Może później przyjdzie jej do głowy jakiś inny sposób, aby go znaleźć.



-Tak, pani Zottie, to był wspaniały wieczór. Dziękuję. Gdyby mogła pani poprosić męża do telefonu... - Czekając, aż prokurator generalny podniesie słuchawkę, wyglądał przez okno na miasto. Stał blisko przeszklonej ściany, reszta apartamentu wydawała mu się zbyt ciasna.  
- Panie, chciałeś za mną rozmawiać? - Zakładam, że jesteś sam?  
-Tak, panie. Odebrałem telefon w gabinecie.  
- Dobrze. - Efektem ubocznym zaklęcia przymusu był postępujący zanik zdolności umysłowych Zottiego. Na szczęście był potrzebny tylko do chwili, kiedy reszta zostanie zaprzysiężona.  
- Posłuchaj teraz: chcę, żebyś zrobił coś ważnego...





Henry wiele razy stawał twarzą w twarz z wrogami, walczył i pokonywał ich, ale jego nieczłowiecza natura sprawiała, że nie mógł stawić czoła słońcu. Vicki dała mu szansę, aby się wycofał - zrozumiałaby, gdyby uciekł od istoty, której nie mógł pokonać.

Ona by zrozumiała. A ja?

Zmuszając mięśnie do posłuszeństwa, zsunął nogi z łóżka i usiadł. Poblask słońca wciąż tańczył mu przed oczami.

„Kiedy stoję naprzeciw kapłana-czarownika, stoję twarzą w twarz ze słońcem. Kiedy stoję naprzeciw j słońca, stoję twarzą w twarz ze śmiercią. Więc kiedy stoję twarzą w twarz z nim, stoję twarzą w twarz ze śmiercią. Już nieraz to robiłem”.

Tyle że to nie była prawda. Nigdy tak naprawdę nie dopuszczał myśli, że może umrzeć. Gdzieś głę-

boko w sercu tkwiło przeświadczenie, że jest szybszy i silniejszy. To on był myśliwym. Był wampirem. Był nieśmiertelny.

Tym razem, po raz pierwszy od ponad czterystu pięćdziesięciu lat, stawał twarzą w twarz ze śmiercią, w którą wierzył.

„I co teraz?” - zastanowił się.

Znoszenie snów, o których sensie ani pochodzeniu nic nie wiedział, było zupełnie czymś innym niż śnienie ich nadal teraz, kiedy wiedział, skąd zostały przysłane. „Musiał uświadomić sobie moją obecność w chwili, kiedy przebudził się w muzeum”. Chociaż Henry już wiedział „kto”, pozostawało jeszcze pytanie: „dlaczego?” Może sen o słońcu był ostrzeżeniem, strzałem ostrzegawczym z doczepioną wiadomością: „Jeśli zechcę, taki los cię spotka. Nie przeszkadzaj mi?”.

„Wracamy do punktu wyjścia. Pozwolę mu robić, co chce, czy stanę z nim twarzą w twarz?”. Poderwał się na nogi. Głowę trzymał wysoko, oczy mu błyszczały.

-Jestem synem króla! - powiedział na głos. - Jestem wampirem! Nie uciekam! Drzwi szafy z głośnym skrzypnięciem wypadły z zawiasów wyrwane jego rękami. Henry spoglądał na nie przez chwilę, po czym wolno wypuścił je z rąk. Kiedy przychodziło co do czego, gniew i słowa nic nie znaczyły. Nie sądził, by był w stanie stanąć ponownie naprzeciw Tawfika. Nie teraz, kiedy wiedział, że wtedy stanie również naprzeciw słońca.

Dzwonek telefonu sprawił, że serce niemal pod-skoczyło mu do gardła w jakże typowy dla śmie-telników sposób.

- W porządku. Pan Fitzroy mówi, że może pan wejść - rzekł strażnik przy

wejściu.

Tony skinął głową, wciąż lekko drżącą dłonią odgarnął włosy z twarzy i pośpiesznie przeszedł przez wewnętrzne drzwi. Nie podobał się Gregowi, staremu strażnikowi, który umiał poznać chłopaka z ulicy na pierwszy rzut oka. Od razu pomyślał, że ma do czynienia z bezdomnym złodziejaskiem i ćpunem.

Tony'ego głównie obchodziło, co stary myśli, a już na pewno tego wieczora miał ważniejsze rzeczy na głowie. Chciał tylko dostać się do Henry'ego. Henry wszystko naprawi.



Greg patrzył ze zmarszczonymi brwiami, jak chłopak biegnie do windy. Walczył w dwóch wojnach i umiał rozpoznać prawdziwe, śmiertelne przerażenie. Chłopak mu się nie podobał - trzymanie takich z dala od budynku było częścią jego pracy - i nie podobało mu się też to - cokolwiek to było - co łączyło go z panem Fitzroyem. Nikomu jednak nie życzyłby takiego stracha.



Henry czuł, jak zapach strachu zaczyna rozplýwać się po całym jego mieszkaniu, a kiedy Tony rzucił mu się w ramiona, odór niemal go przytłoczył. Stłumił Głód, który urósł w takiej bliskości kruchego ciała, odsunął na bok własne lęki i obejmował młodego mężczyznę, póki nie poczuł, jak jego mięśnie rozluźniają się, a on sam przestaje drżeć. Kiedy już mógł się spodziewać, że otrzyma odpowiedź na swoje pytanie, odsunął Tony'ego od siebie. - Co się stało?

Tony przetarł wierzchem dłoni wilgotne rzęsy. Był zbyt roztrzęsiony, żeby udawać, że nie płakał. Skóra wokół jego oczu była sina. Musiał kilka razy przełknąć ślinę, nim był w stanie coś powiedzieć.

- Widziałem... dziś po południu... dziecko... on... - Wzdrygnął się. Obecność Henry'ego pozwalała mu dojść do siebie. - A teraz... on mnie... widziałem, jak

zabił dziecko!

Henry zacisnął usta na myśl o tym, że ktoś śmiałby zagrozić jednemu z jego ludzi. Pociągnął niestawiającego oporu Tony'ego ku kanapie i posadził go na niej.

- Nie pozwolę, by ktoś cię skrzywdził - rzekł takim tonem, że Tony musiał mu uwierzyć. - Opowiedz, co się stało. Od początku.

Kiedy Tony mówił, zrazu wolno, potem coraz szybciej, jakby strach kazał mu gnać ku zakończeniu opowieści, Henry musiał się odwrócić. Podszedł do okna, oparł dłoń o szybę i spojrzał na miasto. Znał tego ciemnowłosego, ciemnookiego mężczy-

znę. „Zabija dzieci”, powiedziała Vicki. „Przyjdzie po mnie”, łkał Tony. „Liczy się to, że tu jesteśmy” - nawet Mike Celluci był głosem w jego głowie.

Czuję słońce. Jeszcze kilka godzin do świtu, a ja czuję słońce...

- Henry?

Odwrócił się powoli.

- Pójdę tam, gdzie go ostatnio widziałeś, i spróbuję go namierzyć. - Nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że rozpozna zapach, wyczuje go pośród setek innych pozostawionych na betonie w listopadowe popołudnie. A jeśli znajdzie kryjówkę tej istoty, co zrobi? Nie wiedział. Nie chciał wiedzieć.

Tony westchnął. Wiedział, że Henry go nie za-wiedzie.

- Mogę tu zostać? Póki nie wrócisz? Henry skinął głową.

- Póki nie wrócę - powtórzył, zupełnie jakby to była mantra, która miała zapewnić jego szczęśliwy powrót.

- Czy... czy musisz się napić, zanim wejdiesz? Wątpił, by był w stanie, nie jeść, nie...

- Nie. Ale dziękuję.

Tony odgarnął włosy z twarzy i zdobył się na nie-pewny uśmiech i lekkie wzruszenie ramion.

- Hej, nie, żeby mi to przeszkadzało czy co... Henry odpowiedział uśmiechem.

Więcej dla tego

śmiertelnego chłopca zrobić nie mógł. - I dobrze.

Dzwonek telefonu sprawił, że obaj odwrócili głowy z identycznym wyrazem paniki na twarzach. Henry szybko się opanował i kiedy Tony zapytał:

- Chcesz, żebym odebrał? - spokojnie mu odpowiedział:

- Nie, ja odbiorę.

Podniósł słuchawkę, nim przebrzmiał drugi dzwonek. Przestrzeń pomiędzy oknem a telefonem pokonał w ułamku sekundy. Tyle samo czasu potrzebował, żeby zebrać się w sobie.

- Halo? Henry?

Vicki. Nie dało się nie poznać charakterystycznego tonu głosu, pełnego jednocześnie zmartwienia i irytacji. Nie wiedział, kogo innego się spodziewał.

Nie, nieprawda. Wiedział, kogo się spodziewał, nie wiedział tylko, dlaczego.

Gdyby Anwar Tawfik uznał, że chce się z nim skontaktować, raczej nie

korzystałby z telefonu.

- Henry...? - usłyszał niespokojny głos Vicki.

- Witaj, Vicki.

- Coś się stało?

Po jej głosie Henry poznał, że Vicki wie, iż coś jest nie tak, więc równie dobrze mógł jej od razu powiedzieć co.

- Nic. Tony tu jest. - Za jego plecami Tony zaczął wiercić się na kanapie.

- Co się stało Tony'emu?

Oczywisty wniosek. Powinien był przewidzieć, że go wyciągnie.

- Ma problem. Ale się nim zajmę. Dziś w nocy. - Jaki problem?

- Chwileczkę... - Zakrył mikrofon, odwrócił się i uniósł pytająco brew.

Tony zrozumiał i pokręcił energicznie głową, wbijając palce w poduszkę.

- Nie mów jej. Wiesz, jaka ona jest. Zapomni, że jest tylko człowiekiem, pobiegnie tam, dopadnie tego gościa i będzie po niej.

Henry skinął głową. „A ja nie jestem tylko człowiekiem. Jestem nocą. Jestem wampirem. Chcę, by była tam ze mną. Nie chcę stawać przeciwko tej istocie sam”.

- Vicki? Tony nie chce, żebym ci mówił. To... hm... problem z pewnym mężczyzną.

- Och...! - Nie śmiał zgadywać, co oznaczało to westchnienie i pauza, jaka po nim nastąpiła. - Cóż,

chciałam spędzić trochę czasu z Mikiem, powiedzieć mu, co wiemy. Ostrzec go... - Znowu pauza. - Jeśli mnie nie potrzebujesz...

Co wyczuła? Jego półkłamstwo? Jego strach?

- Będziesz tu przed świtem? - Nieważne, co się stanie tej nocy. Jeśli jednak miał dożyć kolejnego świtu, chciał, aby była wtedy przy nim.

- Będę! - Zabrzmiało to jak przysięga.

- Przekaż detektywowi pozdrowienia. Vicki prychnęła.

- Nie ma głupich. - Głos jej złagodniał. - Henry? Bądź ostrożny.

I rozłączyła się.

Nagle strach przestał być taki straszny. Zadziwiające, jak bardzo „bądź ostrożny” może brzmieniem przypominać „kocham cię”. Dzierżąc jej słowa - ton.

jakim je wypowiedziała - niczym talizman, jeszcze raz dokładnie wypytał o miejsce, włożył płaszcz i wyszedł w noc. Wątpliwym ukojeniem była dla niego pewność, że cokolwiek go spotka, nie jest szalony.



Wiele zaklęć, których uczył się latami, będzie musiał dostosować do tego nowego czasu i miejsca. Niestety, jako że znalazł się w kulturze, która niewiele miała świętości, znalezienie substytutów nie było łatwe. W jego czasach ibis był tak bardzo czczony, że słowo „święty” przyległo doń na stałe, a jego dziób, krew i kości były silnymi składnikami magicznymi. Jakoś wątpił, by wypatroszenie kanadyjskiej gęsi przyniosło taki sam efekt.

Nagle wyprostował się na krześle i odwrócił twarz do okna. Było tam. Blisko. Poderwał się na nogi i zaczął wkładać pośpiesznie ubranie. Jego ka nie będzie musiało już szukać, świadomość młodego mężczyzny wystarczy, aby odnaleźć tamto.

Nie wiedział, jak taki wspaniały blask zdołał się ukryć w dzień, ale spodziewał się, że niebawem się tego dowie. W ten czy inny sposób.



Henry podążał za tropem na południowy róg Bloor i Queen's Park Road. Tam zapach rozdzielał się, jeden trop podążał na południe, drugi na północ. Powoli wstał, otrzepał kolano, na którym przyklął na chodniku, i zaczął się zastanawiać, co teraz zrobić. Wiedział, co chciałby zrobić - chciałby wrócić do Tony'ego, powiedzieć, że nie zdołał znaleźć potwora, j i zająć się lękiem chłopaka, a nie swoim.

Tyle, że to tak nie działało. Był odpowiedzialny za Tony'ego. Honor kazał mu wyjść na ulicę i honor \ nie pozwalał mu wrócić.



Po dniu nastąpiła noc, chłodna i przejrzysta. W taką pogodę trop trzymał się blisko ziemi, a myśliwi jechali za psami gończymi.

Jego najlepszy przyjaciel, niemal brat, Henry Howard hrabia Surrey, jechał obok niego. Ich wałachy łeb przy łbie przemierzały zamrażającą murawę. Przed nimi psy gończe ujadły, depcząc po piętach zwierzynie, która starała się desperacko uniknąć śmierci. Henry nie widział dokładnie, kiedy psy ją okrążyły, ale rozległ się niemal ludzki krzyk bólu i jeleni padł na ziemię. Odsunął się od masy warczących psów, które ; umykały przed kopytami i rogami wielkiej bestii, Surrey jednak podjechał bliżej, stanął w strzemionach i skupił wzrok na nożu, gardle i strumieniu gorącej krwi, parującej na chłodnym listopadowym powietrzu.

- Dlaczego? - zapytał później Surreya, kiedy salę wypełniał zapach pieczonej dziczyzny, a oni siedzieli bez butów, grzejąc się przy palenisku.

Surrey zastanowił się, ciemne brwi zbiegły się w elegancką linię przy nosie.

- Nie chciałem, żeby śmierć tak wspaniałego stworzenia się zmarnowała.

Myślałem, że może napiszę wiersz...

Urwał, więc Henry naciskał dalej:

- Napisałeś?

— Tak - zamyślił się głęboko. - Ale zbyt krwawy jak na mnie. Opisze polowanie lecz jelenia zosta-wię przy życiu.

Czterysta pięćdziesiąt dziwnych lat później wiedź Henry'ego brzmiała tak samo jak wtedy: - Na końcu polowania zawsze jest śmierć. Trop wiodący na południe niemal zniknął pod innymi z tego dnia. Ten na północy był wyraźniejszy, jakby istota szła tamtędy więcej niż raz, może zmierzając do hotelu. Henry przeszedł przez Bloor, zrównał się z kościołem stojącym na rogu i nagle zamarł nieruchomo w tłumie przechodniów, którzy wylegli na ulicę w niedzielny wieczór.

Znał ciemnowłosego, ciemnokiego mężczyznę, który ku niemu szedł.

## ROZDZIAŁ 12

Henry czekał nieruchomo, podczas gdy tamten się zbliżał. Czuł się jak królik oślepiiony przez reflektory nadjeżdżającego samochodu, świadomy nadchodzącej zagłady, niezdolny jednak się ruszyć. Słońce za jego oczami stawało się coraz silniejsze i musiał z nim walczyć, aby coś widzieć. „Nie mam jak z tym walczyć...”

I wtedy nagle zdał sobie sprawę, z czym ma do czynienia. Jego rodzaj umiał wyczuć życie wokoło nie tylko za pomocą słuchu i węchu, ale też poprzez świadomość charakterystyczną dla tych, którzy polują nocą. Czuł, że zbliża się do niego życie starożytne, niepodobne do żadnego innego, jakie znał, a słońce jest tylko symbolem, jakim jego świadomość je określa.

„Byłem świadomy jego istnienia, odkąd się przebudził, najmocniej wtedy, gdy byłem najbardziej bezbronny. Słodki Jezu, przez samo to, że istnieje, niemal doprowadził mnie do śmierci...!”

Ze zmarszczonymi brwiami i zaciśniętymi zębami walczył, by odepchnąć to życie z przedsiönka swojego umysłu, aż wreszcie zdołał je wygnać i przyćmić światło, choć nie udało mu się go całkiem zgasić. Pozostawało w tle, ale przynajmniej go nie oślepiało.

Noc wróciła. Henry zamrugał i odkrył, że tonie w źrenicach tak ciemnych, że wydawały się niemal czarne. Tuż przed tym, nim ciemność zamknęła się wokół niego, warknął i wyrwał się na wolność.

- Nie jestem owcą, którą można prowadzić na rzeź!



Siła woli uderzyła w zakłęcie wchłonięcia i rozbiła je na drobne kawałki. Podczas tych wszystkich wieków, jakie minęły od czasu, gdy jego bóg go odmienił, nigdy nie czuł tak czystej mocy.

Powinien był wiedzieć, że to nie będzie łatwe, i gdyby nie zaślepiła go świadomość tamtego fea, nawet by nie próbował. Ten był chroniony, nie tylko przez własną siłę, ale też przez mocne więzi z Bogiem sięgające dawnych czasów. Już jedna z tych osłon wystarczyłaby, aby go powstrzymać przed pochłonięciem tego, czego tak pożądał. Razem tworzyły barierę nie do pokonania.

„Będę miał to ka. Muszę je mieć”.

Dotknął samego brzegu myśli tamtego. Wyczuwał w nich siebie i strach. To wystarczyło, by dać

mu jeśli nie prostą drogę, to okrężną. Szukał słabości, lecz zobaczył tylko blask nieskończonego potencjału.

- Czym jesteś?

Henry miał napięte mięśnie ramion, dłonie zaciśnięte tak mocno, że paznokcie wbijały mu się w skórę. Nie widział powodu, by nie odpowiadać. Dobrał tembr głosu tak, aby odpowiedź była słyszalna tylko na krótkim dystansie pomiędzy nimi dwoma.

- Jestem wampirem - rzucił jak wyzwanie.

Ka, które wchłonął od przebudzenia, podsunęły mu dziwny zestaw obrazów. Żaden z nich raczej nie pasował do młodego mężczyzny, który przed nim stał. Przesiał dostępne informacje i znalazł odpowiedź na pytanie, z czym ma do czynienia. Jego lud nazywał ich inaczej.

Nic dziwnego, że ka młodego mężczyzny świeciło tak jasno. Póki Chodzący Nocą karmili się krwią żywych, byli nieśmiertelni. Tak jak on. Czy jego ka też lśni niczym neon? Szkoda, że nigdy się nie dowie - to było jedyne ka, którego nie widział.

Jakaż moc by posiadał, gdyby wchłonął ka innego nieśmiertelnego! Nie musiałby już działać za pośrednictwem żalosnych ludzkich narzędzi. Od początku rządziłby pod własnym imieniem

Może... może nawet znalazłoby się dla niego miejsce wśród bogów. Widział siebie w chwale, już nie sługę podrzędnego bóstwa, lecz pana. Chociaż ta wizja wielce go radowała, szybko ukrył ją głęboka Niedobrze by było, gdyby Achech ją znalazł.

Jednakże wchłonąć nieśmiertelne ka... Był tak zaślepiiony tym, ile życia w nim zostało, że nigdy się nie zastanawiał, ile mu już upłynęło, nie uzmyslał sobie, że chodzi po ziemi dłużej niż inni. Był -co odkrył ze zdziwieniem - starszy, nawet odliczając czas spędzony w więzieniu. Należało działać ostrożnie. Chodzący Nocą musi opuścić gardę. Nie miał dość mocy, by zniszczyć jego ochronę mimo strachu, jaki przez nią przezierał.

„Chodzący Nocą, czemu się mnie boisz?”

Chociaż wykorzystałby to uczucie, takiego pytania nie mógł zadać. Zadał inne.

- Czemu mnie szukasz, Chodzący Nocą?



No właśnie: czemu...?

- Polujesz na moim terenie.

Wystarczająco niejasne, by ukryć masę innych powodów, i jednocześnie - co Henry odkrył, mówiąc - prawdziwe.



Znowu spróbował odczytać ka tamtego, wniknąć pod powierzchnię, lecz nie udało mu się dostać głębiej niż poprzednio.

- Porozmawiam z tobą, Chodzący Nocą. Przejdziemy się?

W pierwszej chwili Henry chciał odmówić, rozdarty między pragnieniem ucieczki a chęcią rozdarcia tej istocie gardła i wypicia krwi, którą słyszał pod gładką skórą szyi. Pierwsze niczego nie rozwiązywało. Drugie... cóż, nawet gdyby zdołał się przedrzeć przez ochronę, jaką miał czarownik - a wątpił, żeby mu się udało - to przecież był niedzielny wieczór, a oni stali na jednym z głównych skrzyżowań w centrum Toronto. Popęnienie brutalnego morderstwa przy tylu świadkach, choć z pewnością można by je uznać za rozwiązanie, pociągnęłoby za sobą prawdopodobnie jego śmierć. Najlepszym, a może nawet jedynym wyjściem było kroczyć u boku tamtego i ignorować słońce, które uparcie świeciło w zakamarkach jego umysłu. Szli na południe Queen's Park Road, a otaczająca ich moc sprawiała, że wiele osób się za nimi oglądało.

- Jak mam cię nazywać? - zapytał w końcu Henry.

- Używam imienia Anwar Tawfik. Ty też możesz.

- Nie takie ci nadano przy urodzeniu.

- Oczywiście, że nie. - Zaśmiał się cicho niczym stary nauczyciel z błędu ucznia. - Przybrałem je po przebudzeniu. Nie licz na to, że dam ci do dyspozycji moc mego prawdziwego imienia. - Nie słyszał go od czasów, gdy Egipt połączył się w jedno państwo. - A jak mam cię nazywać...?

- Richmond. - Chociaż w przeszłości na nie reagował, był to tytuł, nie imię, więc powinien być bezpieczny od magii imion, jakakolwiek ona jest.

Przeszli jeszcze kawałek, aż odgłosy ruchu na Bloor Street stały się mniej wyraźne, a potem jed-

nocześnie w milczeniu skręcili do parku. Po zmroku był pusty i tylko oni przemierzali ścieżki zasypane żółtymi liśćmi, otoczone przez niemal łyse drzewa. Nikt tu nie mógł podsłuchać, o czym mówią. Nikt nie musiał ginąć dlatego, że usłyszał za wiele.

Światło latarni tylko w niektórych miejscach odganiało mrok. Resztę parku

opanovała noc, rozciągając się od ziemi ku nieskończoności Na ławkę, którą wybrali, niemal wcale nie padało światło. Henry obserwując, jak Tawfik ostrożnie na niej siada, uświadomił sobie, że ten widzi nie lepiej niż przeciętny śmiertelnik.

„Mam więc przewagę - więcej widzę. Oby to wystarczyło”,

Tawfik pachniał podekscytowaniem, nie strachem, a jego serce biło tylko odrobinę szybciej niż normalnie u człowieka. Jego płynąca pod skórą krew pobudzała Głód, mimo że świadomość tego, kim jest, studziła pragnienie. Henry wyczuwał własny strach i bicie swojego serca, które mimo że wciąż biło wolniej niż serca śmiertelników, to jednak szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Tawfik odezwał się pierwszy.

- Masz wiele pytań. Może zaczniesz je zadawać? -W jego głosie brzmiała lekka nutka rozbawienia.

Czemu nie? Tylko od czego zacząć? Może od pytania, na które sam już odpowiedział?

- Kim jesteś?

- Jestem ostatnim kapłanem boga Achecha.

- Co tu robisz?

- Chcesz wiedzieć, jak się tu znalazłem, w tym miejscu, w tych czasach? Czy chodzi ci o to, jakie działania podjąłem, gdy już się tu znalazłem?

- Jedno i drugie.

Tawfik usiadł wygodniej.

- Jak mówią, to bardzo długa historia, a ty masz czas tylko do świtu... ~ Nie widział powodu, żeby nie opowiedzieć Chodzącemu Nocą, kim jest, i choć zamierzał starannie dobierać słowa, był też skłonny porozmawiać o swoich planach. Zależało mu na zaufaniu Richmonda. Na szczęście od doktora Raxa przejął wiedzę o dwudziestowiecznym sposobie postrzegania historii i mógł się na nim oprzeć. - Urodziłem się w roku 3250 przed waszą erą, w Górnym Egipcie, na krótko przed tym, jak Merinar, władca Dolnego Egiptu, stworzył imperium rozciągające

ca Dolnego Egiptu, stworzył imperium rozciągają się wzdłuż całego Nilu. W czasach gdy dokonywał swoich podbojów, byłem kapłanem Seta, lecz nie takiego Seta, jakiego pamięta współczesna historia. Wtedy był łaskawym bogiem, niestety, stał po stronie, która przegrała. Po podboju Horus, najstarszy i najpotężniejszy bóg Dolnego Egiptu, zdetronizował Seta i uznał go za nieczystego. Set, mimo że wciąż potężny, ledwie zdołał się utrzymać na nowym panteonie. Cokolwiek mówić o egipskich bogach, byli elastyczni - rzekł sucho. - Ja, jako najwyższy kapłan, zostałem zdetronizowany, tak jak i mój bóg, odarty z szat, wychłostany i wyrzucony ze świątyni. Byłem tylko śmiertelnikiem w średnim wieku, nie mogłem polegać na długoterminowych planach Seta. Chciałem szybkiej zemsty i byłem gotowy... - Urwał i zmarszczył brwi, jakby coś sobie przypomniał. -Byłem gotowy zrobić wszystko, by odzyskać straconą władzę i prestiż. Przyszedł do mnie Achech,

pomniejsze mroczne bóstwo, któremu w całym tym niebiańskim zamieszaniu udało się uzyskać większą moc niż zwykle. „Przysięgnij mi wierność”, powiedział, „poświęć życie służbie dla mnie, a dam ci czas, jakiego będziesz potrzebował na zemstę. Sprawię, że będziesz potężniejszy niż kiedykolwiek. Zostań moim kapłanem, a ja dam ci moc niszczenia ka twoich wrogów. Będziesz żywił się ich duszami i w ten sposób żył wiecznie” ... - Tawfik odwrócił się do Henry'ego i wykrzywił zaciśnięte wargi w uśmiechu. - Nie myśl, że Achech to zaproponował, bo mu na mnie zależało. Bogowie istnieją tylko tak długo, jak długo istnieje wiara w nich. Zmiana wśród wiernych oznacza zmianę wśród bogów. Kiedy już nikt nie wierzy, bogowie tracą tożsamość, poczucie tego, kim są, i nikną w przestrzeni. - Poczul negatywną energię płynącą od Chodzącego Nocą i skinął uprzejmie głową w jego stronę. - Chciałeś coś powiedzieć?

Henry nie zamierzał się odzywać, lecz odkrył, że wobec rzuconego wprost wyzwania nie może się opanować. Nie będę jak Piotr, nie wyprę się Pana.

- Jest tylko jeden Bóg.

- Richmondzie, proszę... - Tawfik nie starał się ukryć rozbawienia. - Może inni w to wierzą, ale ty powinieneś wiedzieć lepiej. Może kiedyś, gdy ludzie zaczną jednakowo marzyć i pragnąć, będzie tylko jeden bóg, już dzisiaj jest z pewnością mniej bo-

gów niż w czasach przed moim uwięzieniem. Ale jeden? Nie. Mogę... przedstawić cię mojemu bogu, jeśli chcesz.

Noc nagle stała się ciemniejsza.

- Nie - warknął przez zęby Henry. Tawfik wzruszył ramionami.

- Jak chcesz... Na czym stanąłem? A tak... Oczywiście przyjąłem ofertę Achecha. W tych okolicznościach niewiele mnie obchodziło, że propozycja pochodziła do mrocznego bóstwa. Odkryłem, że nie tylko mogę przedłużać swoje życie i zwiększać moc dzięki wchłanianym ka, ale też zyskuję wiedzę, jaką zawierały. Jakże ważne to źródło dla kogoś, kto musi radzić sobie w kulturze zmieniającej się podczas jego długiego, bardzo długiego życia.

- Więc kiedy zabiłeś doktora Raxa...

- Wchłonałem moc życia, jakie mu pozostało, i zyskałem całą wiedzę, jaką posiadał. Młodsze życie miało mniejszą wiedzę, za to większy potencjał mocy.

- W takim razie niemowlę, które zabiłeś dzisiaj...

Tawfik drgnął.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał. I zaraz sam sobie odpowiedział. Ten chłopak, który patrzył, zauważył, co się stało, i uciekł przerażony. Musiał uciec do Chodzącego Nocą. Słyszał, że tacy jak on czasem zbierają wokół siebie śmiertelników, by mieć gotowe źródło pożywienia i nie musieć polować.

Kolejny pionek włączył się do gry... Tawfik nie zdradził się, czego się domyślił. Jeśli Chodzący Nocą będzie myślał, że zapomniał o chłopaku, nie będzie go tak mocno chronił i da się do niego dotrzeć.

Henry usłyszał, jak serce Tawfika przyspiesza, lecz kapłan-czarownik nie wspomniał o Tonym. Może chłopak się mylił i nie został zauważony? Choć biorąc pod uwagę jego przerażenie, nie wydawało się to prawdopodobne. Być może Tawfik gra w jakąś grę i nie chce ujawniać, co wie. Na pewno ma jakieś powody, aby się nie przyznawać do tego, że był świadek jego działań. Henry także nie zamierzał o tym wspominać, a jego powód był prosty - nie zdradziłby przyjaciela.

- Polowałeś na moim terenie - powiedział, pozwalając, by przemawiała przez niego bestia.

Tawfik rozpoznał groźbę i odpowiedział swoją, wykorzystując strach, jaki Chodzący Nocą przed nim odczuwał.

- Jak zauważyłeś, niemowie, które zabiłem wcześniej, dało mi ogromną moc... Czy możemy teraz wrócić do mojej opowieści?

- Mów.

- Dziękuję...

Oferta Achecha zawierała jeden warunek: nie mógł pochłaniać ka tych, którzy już należeli do jakichś bogów. Przez pierwsze sto lat po podboju, kiedy panteon był jeszcze niestabilny, łatwo było takich znaleźć, a jego moc rosła - odkrył, że potęgi pragnie bardziej niż zemsty - rósł też kult Achecha. Im bardziej jednak uspokajała się sytuacja w Egipcie i kraj się rozwijał, tym więcej ludzi było zadowolonych ze swoich bogów i trudniej było o nieprzynależne ka. Moc jego - i Achecha - malała wraz ze wzrostem potęgi Egiptu. Ka w tych czasach miały w sobie dekadencję, którą zamierzał wykorzystać - idealnie nadawały się do rytuałów Achecha. Tawfik nie widział wszakże powodu, by o tym wspominać Chodzącemu Nocą.

- Ze względu na mnie - ciągnął - mój bóg, mimo swojej podrzędnej pozycji w panteonie, nie został wchłonięty przez większych bogów. Ten los spotkał wiele pomniejszych bóstw w każdym zakątku doliny Nilu. Wzniósłem Achechowi świątynię... - Niekiedy był jedynym wyznawcą swojego boga, o tym jednak także nie zamierzał wspominać. - Inni kapłani często stawali przeciw mnie niezadowoleni, że wyłamane się z cyklu życia, ale w ciągu wieków stałem

się potężnym czarownikiem i wiedziałem, kiedy naj-lepiej opuścić miasto, żeby uniknąć strat, więc nie mogli mnie pokonać. A ponieważ niszczyłem tylko tych, którzy nie przynależeli do żadnego boga, inni bogowie nie chcieli się w moje sprawy mieszać.

- Ale w końcu cię pokonano.

- Tak. Wskutek mojego błędnego osądu. Każdego mogło to spotkać - Uśmiechnął się. - Mam ci powiedzieć, jak to zrobiono? Te sprawy są tak nieprzystające do tego czasu i miejsca, że nawet gdybyś chciał, nie mógłbyś tego wykorzystać przeciw mnie. W czasach, które wy nazywacie osiemnastą dynastią, Egipt świetnie prosperował, a większość wy-soko urodzonych miała ogromne rodziny. To oznaczało wielu szlachetnie urodzonych młodzieńców,

którzy nie mieli co ze sobą zrobić. Świątynia Achecha była często odwiedzana, jego kult kwitł. Mój pan miał więcej zaprzysiężonych akolitów niż kiedykolwiek wcześniej. W końcu dołączyło do nas dwóch młodszych synów faraona, co wtedy nie wydawało mi się niefortunnym zdarzeniem. To jednak zwróciło na nas uwagę większych bogów.

Urwał, westchnął i pokręcił głową. Kiedy znowu zaczął mówić, jego głos nie był już głosem wykładowcy, lecz człowieka snującego bolesne wspomnienia. - Synowie faraona byli synami odrodzonego Ozyrysa, a Ozyrys nie zgadzał się na to, by służyli bogu, który napawał go odrazą. Więc Thot, bóg mądrości, przyszedł we śnie do swoich kapłanów i powiedział im, jak można mnie pokonać. Zniszczono moją ochronę i kolejny raz wywleczono mnie z moją świątyni. Za pierwszym razem zostawiono mnie przy życiu, nie miałem bowiem żadnego znaczenia, tym razem bali się mnie zabić, ponieważ tak długo żyłem. Nawet bogowie obawiali się tego, co by się stało, gdyby moja ka zostało uwolnione i uleciało do Achecha, który miał tylu akolitów wciąż odprawiających rytuały. Nie chciano mnie zamordować, ale pochować żywcem. Powiedziano mi to, kiedy kapłani Thota przygotowywali mnie do pochówku. Trzy tysiące lat później moje więzienie zostało przewiezione do tego miasta i uwolniono mnie.

- A ty zniszczyłeś człowieka, który dał ci wolność.

- Zniszczenie go dało mi wolność. Potrzebowałem jego wiedzy.

- A ten drugi, sprzątaacz?...

- Potrzebowałem jego życia. Chodzący Nocą, spędziłem w grobie trzy tysiące lat. Musiałem się pożywić. Czy ty byś postąpił inaczej?

Henry przypomniał sobie trzy dni spędzone pod ziemią w towarzystwie tylko Głodu, który rósł tak bardzo, że w końcu wypełnił go całego.

- Nie - przyznał przed sobą i przed Tawfikiem. - Pożywiłbym się. Ale - otrząsnął się ze wspomnień - nie zabiłbym pozostałych. Na pewno nie dzieci. Tawfik wzruszył ramionami.

- Potrzebowałem ich mocy.

- Więc odebrałeś im życie.

- Tak. - Złączył palce i oparł przedramiona o uda. - Mówię ci to wszystko, Chodzący Nocą, żebyś zrozumiał, że nie możesz mnie powstrzymać. Nie jesteś czarownikiem. Thot i Ozyrys od dawna nie żyją i nie mogą ci pomóc. Twój bóg się nie wtrąca. - Najpierw kij. - Jeśli staniesz przeciw mnie, będę musiał cię zabić. - A potem marchewka. - Ale myślę, że masz inne opcje: możesz żyć, pozwalając mi żyć i czynić to, co czynię, albo przyłączyć się do mnie.

- Przyłączyć się... - powtórzył mimowolnie Henry.

- Tak. Ty i ja mamy wiele wspólnego.

- Nie mamy nic wspólnego. Tawfik uniósł brwi.

- Oczywiście, że nie - sarkazm ciał niczym brzytwa. - W tym mieście pełno jest

innych nieśmiertelnych.

- Zabijasz niewinnych.

- A ty nigdy nie zabiłeś, by przeżyć?

- Zabijałem, ale...

- Żeby zdobyć władzę?

- Nie niewinnych.

- A kto uznał ich za winnych?

- Sami udowodnili, że tacy są. Swoimi czynami.

- A kto uczynił cię sędzią, ławą przysięgłych i katem? Czy ja nie mam takiego samego jak ty prawa, by sądzić i skazywać?

- Nigdy nie niszczyłem niewinnych! - Henry uchwycił się tych słów. Słońce za jego oczami świeciło coraz jaśniej.

- Nie ma niewinnych. A może zaprzeczysz temu, co twój Kościół głosi o grzechu pierworodnym?

- Dyskutujesz jak jezuita!

- Dziękuję. Jestem nieśmiertelny tak jak ty, Richmond. Nigdy się nie zestarzeję, nigdy nie umrę, nigdy cię nie opuszczę. Nawet inny Chodzący Nocą nie obieca ci tego samego.

Wampiry to samotni myśliwi. Ludzie to zwierzęta stadne. Żeby przeżyć w świecie ludzi, wampiry nie mogły całkiem zrezygnować z człowieczeństwa - ci, którzy tak zrobili, szybko padali ofiarą lęku, jaki budzili - i dwoistość ich natury pozostawała w stanie nieustannej wojny ze sobą samą. Znaleźć towarzysza, kogoś, z kim nie trzeba by instynktownie walczyć o terytorium, kogoś, kto nie umierałby w chwili, gdy stał się niezbędnym elementem życia...

- Nie...! - Henry poderwał się na nogi i rzucił w mrok, próbując przegonić słońce. W połowie par

ku zdołał się zatrzymać. Palce wbił głęboko w pień starego, powykrzywianego drzewa i walczył ze sobą w milczeniu.

- Przeżyłem tysiące lat wiedząc, że jestem nieśmiertelny - mówił dalej Tawfik pewny, że Chodzący Nocą go słyszy. Obserwował reakcje jego ka i starannie dobierał słowa. - Jestem prawdopodobnie jedynym człowiekiem, który cię rozumie, rozumie, przez co przechodzisz. Który zaakceptuje cię takiego, jaki jesteś. Ja też widziałem, jak ci, których kochałem, starzeją się i umierają.

Kiedy Henry tego słuchał, wyobraźnia mimo jego protestów podsunęła mu obraz Vicki, którą odbierze mu czas, tak jak odebrał innych.

- Proszę, byś stanął ze mną ramię w ramię. Chodzący Nocą. Człowiek nie powinien sam kroczyć przez wieki. Żaden z nas nie musi być już sam. Nie musisz gnać ślepo przed siebie. Żyję na tym świecie dłużej od ciebie, mogę cię poprowadzić. - Tawfik nie zdołał powstrzymać westchnienia, gdy Chodzący Nocą nagle znalazł się obok niego.

- Nie powiedziałaś mi, co teraz planujesz. - Odpowiedź nie była aż tak ważna, istotne było, że pytając, przerwał Tawfikowi, odegnał od siebie jego słowa i poczucie osamotnienia, jakie wywoływały. Nie mógł tak po prostu odejść,

zmienił więc temat.

- Chcę zbudować świątynię, tak jak robiłem za każdym razem, gdy zaczynałem nowe życie, i zebrać akolitów, by służyli mojemu panu. To w tej chwili moja jedyna troska, Chodzący Nocą. Akolitów trzeba zaprzysiąc jak najszybciej, bo bóg potrzebuje

wiernych, rytuałów i wszystkich tych drobiazgów, których bóstwo potrzebuje, aby czuło się ważne.

- Czemu więc próbujesz przejąć kontrolę nad policją i wymiarem sprawiedliwości?

- Nowe religie często są ścigane. Mam okazję temu zapobiec, korzystam z niej zatem. Gdyby nie potrzeba ukrywania się, stanąłbym na najwyższej górze i krzychał: „ACHECH!”. A kiedy świątynia będzie już na tyle duża, by zapewnić mi dość mocy, twoi niewinni będą bezpieczni. - Tawfik wstał i wyciągnął dłoń. - Żyjesz jak śmiertelnik, szukasz chwilowych rozwiązań, chwilowych odpowiedzi. Dlaczego nie planujesz na wieczność? Dlaczego nie miałbyś planować wieczności razem ze mną? - Miał już wystarczająco szeroki dostęp do ka Chodzącego Nocą, by, jeśli tylko Richmond z własnej woli ujmie jego dłoń, przywiązać go do siebie w taki sposób, że nigdy się nie uwolni. Z czasem to przywiązanie przyciągnie go bliżej, a wtedy będzie mógł się nim pożywić.

Zapach i głos powiedziały Henry'emu, że Tawfik nie skłamał ani jednym słowem.

Henry czuł się młody, zagubiony i przestraszony. Przez siedemnaście lat, jakie przeżył jako śmiertelnik, robił wszystko, by zyskać miłość i akceptację swojego ojca. Tawfik - starszy, mądrzejszy, opanowany - sprawiał, że czuł się przy nim jak przy swoim ojcu. Czterysta pięćdziesiąt lat polowania nocami powinno wymazać z jego pamięci bękarta, który desperacko chciał gdzieś przynależeć. Nie wymazało. Nie wiedział, co myśleć. Spojrzał w dół na wyciągniętą dłoń Tawfika i zastanowił się, jak by to było móc planować dalej niż tylko na jedno życie. Być częścią większej całości. Ale jeśli Tawfik nie kłamała

- Twój bóg to mroczne bóstwo. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

- Nie musisz się zadawać moim bogiem. Achech nic od ciebie nie chce. Ja proszę o twoje towarzystwo. O przyjaźń.

-Jesteś bardziej niebezpieczny niż twój bóg! -Z tymi słowami Henry rzucił się do przodu. Zamigotało czerwienią i odkrył, że leży na plecach dwa Tawfik powoli opuścił rękę.

- Głupie dziecko - powiedział miękko. - Nie zniszczę cię teraz, choć mógłbym, i nie wycofam swojej oferty: Jeśli zmęczy cię samotna wieczność, przyjdź na róg, na którym spotkaliśmy się dzisiaj, a ja cię tam znajdę. - Odwrócił się i odszedł.

Czuł na plecach spojrzenie Chodzącego Nocą. Nie był całkiem niezadowolony z tego, co zaszło. Powierzchnia ka tamtego aż wrzała od

emocji, w których gąszczy nawet ktoś z tysiącletnim doświadczeniem mógł się pogubić, lecz wszystkie one dotyczyły jego.



Kiedy Henry wślizgnął się do kościoła i usiadł w jednej z wolnych ławek z tyłu, wieczorna msza miała się już ku końcowi. Przerażony i zdezorientowany przyszedł w miejsce, które mimo wielu lat i wielu zmian wciąż pozostawało takie samo. Prawie takie samo. Brakowało mu poprzedniego rytmu, brakowało łaciny, tak że czasem zdarzało mu się mamrotać modlitwy w martwym języku.

Inkwizycja na jakiś czas odsunęła go od Kościoła, jednakże potrzeba i ciągłość wiary sprawiły, że powrócił. Czasem postrzegał Kościół jako nieśmiertelną istotę swoistego rodzaju, żyjącą tak jak on w ściśle określonych godzinach, karmiącą się krwią otaczających ją śmiertelników. Często ta krew była nie tylko metaforyczna, wielu bowiem umarło w imię Boga miłości...

Wstał z pozostałymi, lekko opierając się dłońmi o ciepłe drewniane oparcie ławki stojącej przed nim.

W ciągu wieków trzeba było dojść do pewnych kompromisów. Kościół miał go za istotę bez duszy. Nie zgadzał się z tym. Widział mężczyzn i kobiety bez dusz - bo z duszy można zrezygnować w rozpacz czy gniewie - ale siebie do nich nie zaliczał. Na początku spowiedź była wyzwaniem, póki nie uświadomił sobie, że grzechy, które kapłani rozumieją, takie jak obżarstwo, gniew, żądza, lenistwo, odnoszą się do niego tak samo jak do śmiertelników, a szczegóły różniące go od nich były nieistotne. Odprawiał zadaną pokutę. Odchodził od konfesjonału, czując się częścią większej całości.

Tyle że od przemiany nie mógł przyjmować komunii.

„Po raz kolejny zostaje odsunięty na bok, inny | niż reszta najbliższej mi społeczności”.

Zainteresowało go, że Tawfik - jedyny nieśmiertelny, jakiego spotkał, odkąd rozeszły się drogi jego i Christiny - przyszedł od razu z własnym bogiem. Może nieśmiertelni potrzebują jeszcze czegoś, co będzie trwało poza nimi. Zorientował się, że rozważa, jak mógłby przedyskutować ten problem z Tawfikiem i odrzucił tę myśl.

Ławka skrzypnęła pod wpływem jego uścisku. Pośpiesznie rozluźnił dłonie. Gdyby nie obietnice, jakie złożył Tony'emu, uciekłyby, nim zdążyłby ulec kuszeniu. A gdyby nie Vicki, pokusa nie byłaby tak wielka. Vicki ofiarowała mu przyjaźń, może nawet miłość, lecz jej śmiertelność płynęła żyłami i każde



uderzenie serca przy-  
bliżało ją do śmierci. Za jakiś czas - bardzo krótki w porównaniu z tym, który  
on już przeżył - zabraknie jej, potem odejdzie też Tony i powróci samotność.  
Tawfik obiecał mu koniec samotności, coś dłuższego niż życie śmiertelnika.  
Dlaczego nie zacząć planować wieczności?  
Słońce zalsniło za jego oczami. Nie mógł już dłużej być nieświadomy istnienia  
Tawfika.

„Jeśli umrę, będę miał wieczność, jaką obiecał mi i Kościół. Tak łatwo byłoby  
wybrać tę drogę, pójść ku słońcu. Tyle że samobójstwo to grzech”.  
Więszym grzechem byłby ból, który by po sobie zostawił. Jeśli chciał wybrać  
tę drogę, musiał poczekać. Nagle poczuł się lekko, kiedy uświadomił sobie,  
że po raz pierwszy od tygodni, odkąd zaczęły się sny, może stawić czoła  
świtowi bez lęku. Słońce, które zesłał na niego Tawfik, już go nie popychało.  
Cokolwiek się stanie - pragnienie i strach wciąż mieszały się w jego umyśle -  
nie będzie to wejście w słońce.

Ksiądz uniósł rękę. Jego oczu niemal nie było widać znad zaokrąglonych  
policzków.

- Idźcie w pokoju - powiedział z przekonaniem. Msza się skończyła, wierni, w  
większości starsi

imigranci, zaczęli wychodzić. Henry czekał z tyłu, aż kapłan pożegna  
każdego z nich przy wyjściu. Kiedy ostatnia odziana w czerni osoba opuściła  
kościół, podszedł i spojrzał księdzu w oczy.

- Ojciec, muszę z ojcem porozmawiać.

Nie tylko powołanie nie pozwoliło księdzu odmówić tej prośbie.



Do mieszkania wrócił o siódmej dziesiątej, ledwie osiemnaście minut przed  
wschodem słońca. Vicki czekała na niego przy drzwiach. Złapała go za rękę i  
niemal wciągnęła do środka.

- Gdzieś ty u diabła był? - warknęła. Teraz, gdy był już bezpieczny,  
zmartwienie przemieniło się w gniew.

- Spotkałem mumię.

Jednostajność jego głosu przebiła się przez jej gniew. Możesz sobie z tym  
poradzić, jeśli wyprzesz się efektów, jakie to wywołało. Przez lata Vicki wi-  
działa dość ludzi po traumie, żeby w nocy o północy  
rozpoznać ten mechanizm. Z wysiłkiem odsunęła na bok własne emocje.

-A więc znalazłeś ją...! Tony zadzwonił do mnie o północy bał się, że potwór wysłał cię jak to dziecko. Mike mnie podrzucił. Mam do niego zadzwonić po wschodzie słońca i powiedzieć, co się stało. „Pod warunkiem”, pomyślała, „że ty mi to powiesz”.

Henry słyszał wolne, ciche bicie serca dochodzące z salonu.

- Tony koło czwartej wreszcie zasnął na kanapie -ciągnęła. - Zabiorę go stąd, jak zaśnie.

Siła, z jaką zacisnęła palce na jego ręce, prowadząc go przez mieszkanie, u śmiertelnika wywołałaby jęk bólu. Nawet Henry'emu przeszkadzała. Nie próbował jednak uwolnić ręki. Uścisk Vicki był wyjątkowo kotwicą. Puściła go, dopiero gdy dotarli do sypialni, drzwi zostały zamknięte, a zasłony zaciągnięte. Zostawiła go na środku pokoju i usiadła na łóżku, poprawiając okulary.

- Gdybyś tam zginął... - zaczęła powoli. Gdyby nie wyrzuciła z siebie tego, co miała do powiedzenia, chyba by eksplodowała. - Gdybyś zginął, zostawiłbyś w moim życiu wyrwę, której nie dałoby się niczym wypełnić. Zawsze byłam przeciwko obwarowywaniu... - przygryzła wargę - ...miłości warunkami, ale jeśli jeszcze raz staniesz twarzą w twarz z wrogiem. którego siły nie znamy, który potrafi zabijać spojrzeniem, przed którym ledwie noc wcześniej uciekałeś w panice, i nie wrócisz z tego spotkania w jednym kawałku... - wyprostowała się i spojrzała mu w oczy - ...to skrucę ci ten twój pieprzony wampi-rzy kark. Jasne?

- Jasne. Wystraszyłaś się, więc lepiej, żeby ja uważał. - Usiadł obok niej. - Jeśli to ci poprawi humor, uważałem.

- Pieprz się, Henry. Wiesz, o co mi chodzi -Wściekłym ruchem otarta spływającą po policzku łzę.- Bałam się, że bierzesz na swoje barki więcej, niż zdołasz unieść.

- Wziąłem. - Uniósł rękę, zanim zdążyła coś powiedzieć. - AJe nie dlatego, że po wczorajszej nocy dniałem coś udowodnić. Z głupiego zgrywania machu wyrosłem trzy wieki temu. Poszedłem, bo Tony tego potrzebował.

Vicki wzięła głęboki oddech. Wyprostowała się, zupełnie jakby z jej pleców zdjęto wielki ciężar. Bóg jeden wie, jak sama kiedyś ryzykowała. I dzięki Bogu, że on ryzykował z powodu, który była skłonna zaakceptować.

- Ależ ty jesteś głupi...!

Henry pochylił się i głęboko posmakował jej

- Masz bardzo zajmujące sposoby mówienia „kocham cię” - wymruczał w jej wargi. Nie zaprotestowała, objęła go tylko mocno i niemal desperacko, i wtedy uświadomił sobie, jak bardzo musiała się

Kiedy wreszcie się od niego odsunęła, wstał i zaczął się rozbierać. Jeśli się nie pośpieszy, spędzi dzień w ubraniu.

Spoglądała na niego i z każdą chwilą jej pełen troski wyraz twarzy twardniał, zmieniając się w coś bliższego „no dobra, przejdźmy do rzeczy”.

- No...? - ponagliła go wreszcie.

- Zaczynamy od tego, że nie ja go znalazłem, tylko on mnie. - Rzucił koszulę na ziemię. - I odkryłem, że słońce, o którym śniłem, to nic więcej jak manifestacja jego energii życiowej.

- Co?

Wygląda na to, że niekiedy jestem bardziej podatny na wpływy niż inni. A teraz, kiedy go już spotkałem, nie mogę tego wyłączyć.

- Ciągłe widzisz słońce?

- Jest gdzieś na skraju mojej świadomości. - Chryste, Henry...!

- Vicki, on mnie przeraża. Nie bardzo wiem, jak moglibyśmy go pokonać. Ściągnęła brwi.

- Co on ci zrobił?

- Mówił. - Odsunął przykrycie i położył się na łóżku. Słońce, to drugie słońce, już pojawiało się na horyzoncie. - Kompletnie namieszał mi w głowie, a potem zostawił, żebym sam sobie wszystko poukładał.

Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Zrobiłeś to?

- Chyba tak. Nie wiem... - „I nie będę wiedział, póki znów nie stanę naprzeciw niego”. - Spędziłem tę noc, próbując pozbiierać się do kupy. Zdefiniować. Kościół. Polowanie... - Wyciągnął rękę i położył dwa palce na jej nadgarstku. - Ty.

„Ja się zamartwiam, a on sobie łązi po mieście? Pomodlić się, zeżreć coś i bzyknąć...”. Zapach seksu, jaki się wokół niego unosił, był nie do pomylenia. Teraz, kiedy już wiedziała, czuła go. „Uspokój się. Każdy próbuje się uporać z traumą na swój sposób”.

- A co w tobie ja definiuję?

- Moje serce.

Położyła delikatnie dłoń na jego nagiej piersi, kciukiem przeczesując rudozłote włosy.

- Nie znoszę takiego słodzenia.

- Wiem. - Prawie się uśmiechnął, ale szybko spoważniał. - Próbowałem go zaatakować. Nawet nie udało mi się do niego zbliżyć. Vicki, on jest niebezpieczny.

Było jasne, że nie ma na myśli zgonów, do których mumia doprowadziła, odkąd ożyła. Ból, jaki dało się słyszeć w jego głosie, był gorszy od paniki. - Dlaczego?

- Bo nie mogę od razu odrzucić jego propozycji.

- Jego propozycji? - Vicki zmarszczyła brwi tak gwałtownie, że okulary zjechały jej na czubek nosa. - Jakiej propozycji? Mów!

Zaczął kręcić głową...

...coraz wolniej...

...aż pochłonał go dzień.



Jak się obudzi, złapię go za uszy i wytrząsnę z niego wszystko, co wie, zda mi relację sekunda po se-

kundzie". Vicki wepchnęła do ust garść serowych! chipsów.

- Jak się pozwoli, żeby hormony wpływały na sprawę, to takie są efekty - mruknęła wściekle do obojętnego gołębia. Tak się martwiła o Henry'ego, j że najpierw coś słodko bełkotała, potem pozwoliła jemu pleść farmazony, które nie były nikomu do niczego potrzebne, a zanim powiedział coś sensownego, odpłynął. Gdyby zrobiła coś tak głupiego, kiedy jeszcze była w policji, przy świadkach, oskarżyliby ją o niekompetencję. Zlizwała pomarańczowy proszek z palców i pokręciła głową. - A oni się zastanawiają, czemu gardzę tym romantycznym bełkotem - warknęła. No dobrze, to nieprawda. Żaden z nich się nie zastanawiał. Celluci rozumiał, a Henry akceptował.

To ona zawałiła i nie ma co zrzucac winy na kogoś innego.

- Dobry Boże. Celluci!... - Wrzuciła opróżnione do połowy opakowanie chrupek do torby i zerknęła na zegarek. Miał iść do komendy na jedenastą i powiedział jej, żeby przedtem do niego zadzwoniła. Vicki uznała, że jest mu to winna. Nie, żeby się do tego paliła, zważywszy na to, że niewiele mogła mu powiedzieć. Ku jej zaskoczeniu była dopiero ósma pięćdziesiąt trzy. Dlaczego wydawało jej się, że jest później? Czas szybko leci, jak się człowiek wkurza...

Kiedy Henry bezpiecznie i z nader wkurzającym wyczuciem czasu odpłynął w dzienny niebyt, obudziła Tony'ego, uspokoiła go i wsadziła do metra, które miało go zawieźć do pracy. Wetknęła mu

w rękę doków, żeby kupił sobie coś na śniadanie. Sama pojechała w przeciwną stronę, wpadła do sklepu pani Kopolous po coś na ząb i dostała w bonusie wykład na temat zdrowego żywienia, a teraz właśnie skręcała na Huron Street do domu. Wyszli z apartamentu Henry'ego o ósmej, teraz była za dziesięć dziewiąta. Godzina była akurat...

- Skutek rannego wstawania. Moje ciało myśli, że jest za dziesięć dziesiąta - westchnęła. - Moje ciało jest głupie. Nie mogę polegać na własnym stanie emocjonalnym. Dobrze chociaż, że jestem taka cholernie inteligentna.

Ta strona Huron Street, gdzie wolno było parkować, była zastawiona samochodami i Vicki nie zwróciła uwagi na brązowego sedana, który zaparkował w niedozwolonym miejscu przed budynkiem. Szła dalej, a za jej plecami otworzyły się drzwi samochodu.

Zatrzymała się gwałtownie, dopiero kiedy usłyszała znajomy głos:

- Witaj, Nelson.

- Dzień dobry, sierzancie Gowan. - Odwróciła się na pięcie, uśmiechając się nieszczerze. Sierzant sztabowy Gowan nie lubił jej od chwili, gdy wstąpiła na służbę, a im wyżej się pięła, tym większa była jego niechęć, która w końcu przeszła w nienawiść. Szczerze mówiąc, ona też go nie znosiła. - Och, i zabrał pan ze sobą posterunkowego Mallarda... - Kiedyś zgłosiła Mallarda do raportu za niewłaściwe zachowanie. Jej zdaniem, mundur oznaczał odpowiedzialność, a nie z niej zwalniał.

Jej dłonie zwilgotniały. Obaj byli po cywilnemu. Cokolwiek zamierzali, nie wyglądało to dobrze.

- Jakimuz to szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięczam wasz widok o poranku?

Gowan uśmiechnął się bardzo szeroko. Takiego radosnego jeszcze go nie widziała.

- Och, szczęśliwy, nie da się ukryć. Nelson, mamy na ciebie nakaz aresztowania.

- Co?

- Wiedziałem, że jeśli poczekam wystarczająco długo, w końcu posuniesz się za daleko i wkurzysz kogoś ważnego.

Cofnęła się, kiedy Mallard podszedł.

- Dla mnie to wygląda na stawianie oporu przy aresztowaniu - mruknął i wyciągnął pałkę, którą trzymał schowaną z tyłu nogi.

Uderzenie padło tak szybko, że nie zdążyła się uchylić. Trafiło ją w splot słoneczny. Zwinęła się, walcząc o oddech. Ten dupek zawsze nadużywał pałki. Każdy z nich złapał ją pod ramię i zanim się zorientowała, rzucili ją na tylne siedzenie. Mallard usiadł obok niej, Gowan z przodu.

Wszystko od chwili, kiedy Gowan się do niej odezwał, trwało krócej niż minutę.

Vicki z twarzą wciśniętą w tapicerkę rozpaczliwie łapała oddech. Kiedy samochód ruszył, Mallard skuł jej ręce kajdankami za plecami tak ciasno, że metal ścisnął jej kości. Ból sprawił, że poderwała głowę, a jego pięść, że opuściła ją gwałtownie.

- No dalej, walcz - zachichotał. Poczwała na plecach jego ramię, które ją unieruchomiło.

Okulary wisiały jej na jednym uchu, a utrata ich przerażała bardziej niż Gowan i Mallard razem wzięci. Chociaż to, co ją od nich czekało, też nie było zabawną perspektywą... Widziała więźniów dostarczanych przez nich do cel. Podobno wszyscy co do jednego często się potykali.

Kiedy zaczął grzebać przy pasku jej spodni, uwolniła jedną nogę i spróbowała kopnąć go w ucho. Złapał jej stopę i przekręcił.

Pierdolony sukinsyn!

Ból sprawił, że miała o czym myśleć przez chwilę, toteż niemal nie poczuła ukłucia igłą. Igłą?

O kurde...

Narkotyki działają szybko.

## ROZDZIAŁ 13

Nelson, prywatny detektyw. Nikt nie może odebrać w tej chwili telefonu. Proszę po sygnale nagrać nazwisko, numer telefonu i powód, dla którego państwo dzwonią...

- Dzwonię, bo ty nie zadzwoniłaś, Nelson -warknął Celluci i odłożył słuchawkę. Spojrzał na zegar wiszący na ścianie kuchni. Dziesiąta dwadzieścia pięć. Nawet o tej porze dojazd z Downsview do centrum zajmie co najmniej trzydzieści pięć minut, które mu pozostało. Nie mógł dłużej czekać, Cantree miał całkowicie zrozumiałe zastrzeżenia do detektywów przychodzących do pracy, kiedy im pasuje.

Oczywiście mógł zadzwonić na inny numer, Fi-kuśny Roy już dawno wlaźł do swojej trumny, lecz Vicki mogła ciągle być u niego.

Celluci prychnął.

- Nie, w jego apartamencie... - Boże, co za yuppi-szonowskie słowo! Ludzie, którzy mieszkali w apartamentach, jedli surowe ryby, pili piwo bezalkoholowe i zbierali karty bejsbolowe ze względu na ich

potencjał inwestycyjny. Fitzroy na pewno żadnej z tych rzeczy nie robił, ale udawał, że też tak żyje. Romanse? Już u człowieka pisanie takich bzdur nie wyglądało dobrze, a co dopiero u... u... u tego czegoś, czym był Fitzroy.

Nie. Nie miał zamiaru dzwonić do mieszkania Fitzroya. To duże miasto, Vicki może być wszędzie. Pewnie odprowadza młodego Tony'ego do domu i układa do snu. Wizja Vicki robiącej coś tak matczynego sprawiła, że uśmiechnął się sardonicznie i unióśł brwi niemal do linii włosów. Układa Tony'ego do snu?

Nie. Celluci pokręcił stanowczo głową. Myślenie o Fitzroyu szkodziło mu na umysł. Włożył kurtkę, sięgnął po leżące na stole kuchennym klucze i ruszył do drzwi. Vicki na pewno z jakiegoś ważnego powodu nie zadzwoniła. Ufał jej. Może lęki Tony'ego nie były nieuzasadnione? Może mumia coś zrobiła Fitzroyowi, a Vicki zabrała go tam, gdzie się zabiera rannych... autorów romansów? Wierzył, że rozsądek nie pozwoli jej na wykorzystanie informacji, jakie mógł przynieść Fitzroy, do tego, by samotnie ścigać mumię.

- A jeśli w biurze nie będzie na mnie czekała wiadomość, wezmę jej rozsądek i

ją nim spiorę.

Telefon zadzwonił.

- Vicki, masz wycucie czasu. Właśnie wychodzę. Gdzieś była, do cholery? Mówiłem, żebyś od razu do mnie zadzwoniła!

- Celluci, zamknij się i słuchaj. Celluci zamrugął.

- Dave? - Głos jego partnera nie świadczył o zadowoleniu z życia. - Co jest? Coś z dzieckiem?

- Nie, nie o to chodzi... - Po drugiej stronie linii Dave wziął głęboki oddech. - Mike, musisz się na jakiś czas przyciąć. Cantree chce, żeby cię zgarnięto i zamknięto.

- Powtórz.

- Ma nakaz twojego aresztowania,

- Na jakiej podstawie?

- Nie ma żadnej podstawy. To specjalny nakaz.

- To jakiś pierdolony żart. - Celluci uśmiechnął się z ulgą. - Nie uwierzyłeś w to chyba?

- Uwierzyłem. I ty lepiej też uwierz. - Coś w głosie Dave'a sprawiło, że Mike'owi uśmiech odpłynął z twarzy. - Nie wiem, co się dzieje, ale zrobili przetasowania w kilku wydziałach, bez uprzedzenia, i ten nakaz będzie ważny. Nigdy nie widziałem, żeby Cantree podchodził do czegoś tak poważnie.

- Ależ gówna... - To była bardziej obserwacja niż przekleństwo.

- Możesz to powtarzać do woli, kolego. Nie jestem pewien, czy powinienem pytać, ale coś ty zrobił?

- Byłem w złym miejscu, w złym czasie i dowiedziałem się czegoś, czego nie powinienem. - Celluci przypomniał sobie, co Vicki powiedziała mu o przyjęciu o prokuratora generalnego. Cantree... Kurwa, ten sukinsyn podporządkował sobie jednego z naj-uczciwszych policjantów w mieście. Fitzroy był tego świadkiem. Myśl o Cantreem, właśnie o nim, ślepo posłusznym jak marionetka mumii, sprawiła, że zebrało mu się na mdłości. Ta marionetka goni za mną. Jak następnym razem pomyślę, że po Toronto chodzi mumia, będę trzymał głębę na kłódkę. - Dzwonisz z komendy?

- Czy ja jestem głupi? - odparł sucho Dave. - Jestem w Taco Bell na Yonge Street.

- Dobra. Słuchaj, Dave, to wielka sprawa. Uważaj i przez jakiś czas bardzo, ale to bardzo nie rzucaj się w oczy.

- Nie musisz mi tego mówić. Dzieje się tu coś naprawdę dziwnego, a ja nigdy nie czułem pociągu do rewizji osobistej. Jak się z tobą skontaktować?

- Ech... dobre pytanie. - Mógł z innego aparatu odsłuchiwać wiadomości na swojej sekretarce. Jeśli nagrania będą krótkie, nie da się ich namierzyć. Ale będą pilnować linii, a to wepchnie Dave'a na jeden wóz z nim.

Prawdopodobnie podsłuchują też Vicki. Cantree wiedział, że są sobie bliscy. Najlepiej trzymać się od Vicki z daleka, to zaś oznaczało trzymanie także



Dave'a z dala od jej sekretarki.

- Ty mógłbyś dzwonić.

- Nie. Nawet jeśli nie będą podejrzewać, że mnie ostrzegłeś, będą podsłuchiwać twój telefon. Logiczne, że jeśli do kogoś zadzwonię, to do ciebie. Do diabła! - Uderzył dłonią o stół i spojrzał na różową karteczkę, która spadła na podłogę. Fitzroy?... Czemu nie. - Podam ci numer, pod którym możesz zostawić wiadomość. Nie mogę zagwarantować, że odbiorę ją przed zmrokiem, ale linia jest bezpieczna. Zapamiętaj go, nie zapisuj i dzwoń z...

- Z budki. Mike, znam zasady. - Dave trzy razy powtórzył numer, żeby się upewnić, czy dobrze zapamiętał. - Lepiej znikaj - ostrzegł. - Cantree może nie czekać, aż się zjawisz w robocie. Może wysłali wóz.

-Już znikam. I Dave... dzięki. - Partnerzy, na których można polegać, czy jest się na wozie czy pod wozem, ocalili więcej policjantów niż najbardziej wypasiony sprzęt. - Jestem ci winien jednego.

- Tylko jednego? Dalej mi wisisz sześć lunchów i lanie za narażanie tyłka. Uważaj na siebie! - Rozłączył się, nim Celluci zdążył odpowiedzieć. „Uważaj. Jasne”.

Przy wtórze włoskich przekleństw spakował do torby parę ubrań, papierów i pudełko amunicji. Nie miał czasu zmienić garnituru, lecz jeśli zamiast niego włożył dżinsy i skórzaną kurtkę, zginie w tłumie

podobnych mu mieszkańców Toronto, zupełnie jakby miał na sobie czapkę niewidkę. Nie licząc drobnych w kieszeni, miał dwadzieścia siedem dolarów w portfelu i jeszcze sto schowanych pod siedzeniem samochodu na wszelki wypadek. Pieniądze weźmie, samochód będzie musiał zostawić.

Idąc już do drzwi, przystanął jeszcze i spojrzał na telefon. Może powinien zostawić wiadomość dla Vicki na sekretarce Fitzroya? Uznał, że lepiej nie.

Cantree pewnie sprawdzi, na jakie numery dzwonił z jego telefonu, i jeśli będzie wśród nich numer Fitzroya... Dobrze, że nie zadzwonił do niego wcześniej. Wyglądało na to, że ego Mike'a troszczy się o niego.

Zaciągnął łańcuch, zamknął za sobą drzwi od zewnątrz. Usłyszał, jak zamek zaskakuje. Zamki w jego mieszkaniu zaprojektował jeden z najlepszych włamywaczy w mieście. Cantree pewnie każe wyważyć drzwi - policja zwykle była mniej subtelna niż ci, których ścigała - ale i tak powinno to spowodować tych dupków.

Zza wzmocnianych stałą dębowych drzwi doleciał go dźwięk dzwoniącego telefonu. To mogła być Vicki. Nie miał czasu, by wrócić i odebrać. Jeśli to Vicki... Cóż, Vicki umie o sobie zadbać, poza tym na razie jest bezpieczna. Cantree chciał dopaść jego, nie ją.



Cela w areszcie śmierdziała wymiocinami, uryną i tanim alkoholem. Cela, która przez lata widziała zbyt wiele ludzi, a zbyt mało pieniędzy na wyposażenie, przesiąkła tymi zapachami doszczętnie. Sześć wyglądających na zmęczone dziwek, czekających na poranną podróż do sądu, stłoczyło się w rogu, gdy Vicki wleczono na ławkę.

- Za co siedzi? - zapytała wysoka brunetka, poprawiając coś, co było albo bardzo szerokim paskiem, albo bardzo krótką spódniczką.

- Nie wasz pieprzony interes - warknął Mallard, mocując się z kajdankami. Ramieniem przyciskał Vicki do ściany.

Dziwka wywróciła oczyma. Inne pokiwały głowami.

- Co to było? - zapytał Gowan. Stał za kratami i w przeciwieństwie do Mallarda zauważył wyraz ich twarzy. - Coś wam się nie podoba?

- Nie - odpowiedziała unizonym głosem. - Nic. Gowan uśmiechnął się.

- Miło mi to słyszeć, drogie panie.

Kobieta zachowała służaczy wyraz twarzy, lecz kryjąc dłoń za plecami jednej z koleżanek, pokazała mu środkowy palec. Dziewczyny pracujące na ulicy szybko się uczyły, że są dwa rodzaje gliniarzy - jedni to po prostu normalni, pracujący faceci, ale kilku wrednych tylko czekało na to, żeby wykorzystać swoją pozycję i oceniać świat po swojemu. Jeśli los zetknął dziewczynę z tym drugim rodzajem, najrozsądniej było włożyć mu w dupę tak szybko i tak mocno jak było się w sta-nie.

Mallard, klnąc pod nosem, przesunął kajdanki, żeby wsadzić klucz do zamka.

- To cholerstwo się zacięło... już. - Kajdanki wy-lądowały w jego ręce.

Wyprostował się. Pozbawiona jego wsparcia Vicki oderwała się od ściany i zsu-nęła z ławki.

Chociaż jej sprawnością motoryczną chwilowo kierował ktoś inny, a w głowie miała sieczkę zamiast mózgu, była w pełni świadoma tego, co się wokoło dzieje. To był areszt Metro East na Disco Road. Mallard i Gowan rzucili jej torbę dyżurnemu, mówiąc: „Czekaj, aż ci opowiemy o tej...”. Mieli ją teraz zamiar zostawić w celi. Zamkniętą. Powiedzieli, że mają nakaz.

„Co się, kurwa, dzieje?”

Zdołała skupić wzrok na twarzy Mallarda. Ten sukinsyn się uśmiechał.

- Jakie to przykre, kiedy gliniarz schodzi na złą drogę - powiedział wyraźnie.

„Gliniarz? Kurde, nie mów, że jestem gliną. Nie tutaj!”

Pochylił się i uszczypnął ją w policzek, tak mocno, że poczuła mimo narkotyku. Delikatnie poprawił jej okulary.

- Nie chciałybyś przegapić tego, co się będzie działo.

„Nie zostawiaj mnie tu! Nie możesz mnie tu zostawić, ty sukinsynu!” . Ta myśl tłukła jej się po głowie, lecz z ust wydobył się tylko urywany jęk.

- Zawsze cię taką zapamiętam. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a potem odwrócił się i zszedł z linii jej wzroku.

Nie była w stanie odwrócić głowy na tyle szybko, by podążyć za nim spojrzeniem. Nie!

Obcasy zastukały na betonowej podłodze. Vicki

z trudem zdołała skupić wzrok na młodej kobiecie stojącej nad nią. Chryste... -

Pierdolona gliniara. Jej boty miały ostre czubki. Na szczęście nie wiedziała, jak ich użyć, żeby spowodować szkody. Nic nie złamała.

Vicki spróbowała zapamiętać twarz skrytą za wyzywającym makijażem, ale ból zamknął jej oczy.

- Zostaw ją, Marian. Jest zbyt napruta, żeby coś poczuć.

Czuła smarki spływające jej na górną wargę. Czuła, jak coś wilgotnego wsiąka w jej dżinsy w miejscu, gdzie biodrem dotykała podłogi. Nigdy, przenigdy w całym swoim życiu nie czuła się tak straszliwie bezradna.



Gdzieś indziej.

Oczy rozblęśły czerwienią, a Achech zaczął się pożywiać.



-Jak myślisz, ile będzie działał narkotyk? Gowan wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Kilka godzin. Ludzie ze służb wete-rynaryjnych używają tego do usypiania niedźwiedzi. Nieważne, ile będzie działało. Po historyjce, jaką im sprzedaliśmy, nie uwierzą w ani jedno jej słowo.

- A jeśli dostanie prawnika?

- Nie tam, gdzie ją zabiorą. - Ale...

- Wyluzuj, Mallard. - Gowan ostrożnie wyjechał z parkingu i pomachał kierowcy właśnie zajeżdżającej furgonetki. - Cantree powiedział, że potrzebuje kilku dni, żeby zebrać dowody przeciwko tej suce. A myśmy je mu

właśnie dali. To teraz jego problem.

- I jej.

Sierżant sztabowy Gowan skinął głową. - I jej - powtórzył radośnie.



Dziwki zostały zabrane. Vicki nie wiedziała, kiedy. Czas płynął tak wolno, że mogła przebywać w celi już kilka dni.

Centymetr po centymetrze przesunęła jedną ręką w górę po ścianie, by złapać za brzeg ławki. Za czwartym razem udało się jej wreszcie chwycić wystarczająco mocno, lecz kolejnych trzech prób potrzebowała, żeby przypomnieć sobie, jak zgina się rękę w łokciu. Wreszcie usiadła. Nadal była co prawda na podłodze, ale zawsze to jakaś zmiana na lepsze.

Ogromny wysiłek fizyczny, jakiego to od niej wymagało, odegnał panikę, teraz jednak, kiedy już coś widziała - dzięki Bogu, nie zabrali jej okularów - strach przetoczył się przez nią czerwoną falą, odbił od wnętrza czaszki, wrócił i znowu opadł. Jedynym sensownym słowem unoszącym się pośród tych fal było „nie!”, więc uchwyciła się go niczym tratwy ratunkowej.

„Nie! Nie poddam się”.

Ostry policzek sprawił, że zdołała się skoncentrować na czymś innym i uwolnić od fal strachu.

- Hej? Słyszysz mnie? Pytałam, czy możesz chodzić?

Vicki zamruwała. Strażniczka. Panika odsunęła się, ustępując miejsca uldze.

Zorientowali się, co się

dzieje, i przyszli do niej. Próbowwała uśmiechnąć się i skinąć głową

jednocześnie, ale nie była w stanie wykonać obu tych czynności naraz, toteż w rezultacie nie zrobiła ani jednego, ani drugiego. Zebrała wszystkie siły i spróbowała wstać.

- Grzeczna dziewczynka, tak trzymać. Chryste -jęknęła strażniczka, kiedy przypadło jej w udziale podtrzymywać większość ciężaru Vicki. - Czemu ćpuny zawsze są takie cholernie wielkie?

Stojąca przy drzwiach druga strażniczka wzruszyła ramionami.

- Ta przynajmniej nie śmierdzi. Wolę ćpunka niż pijaczki, drągi przynajmniej nie sprawiają, że kobieta ci rzyga na buty.

- Fakt - zgodziła się pierwsza. - No dobra, stoisz.

Teraz lewa noga, prawa noga... Jeśli będziemy cię musiały nieść, żadnej z nas się to nie spodoba.

To była bardziej groźba, niż zachęta, ale Vicki tego nie zauważyła. Mogła iść.

Niepewnie, szurając nogami, powoli co prawda, poruszała się jednak do przodu. Strażniczki wydawały się tym ledwie odrobinę usatysfakcjonowane, a Vicki wypełniało szczerd ście. Mogła iść Narkotyk przestawał działać.

Jej ulga wzrosła, kiedy kobiety zabrały ją wprost do dyżurnego sierżanta i usadziły na drewnianym krześle.

„Już stąd wychodzę”.

- No dobra - powiedział policjant, gdy za strażniczkami zamknęły się drzwi. - Policjanci, którzy cię tu przywieźli, zasugerowali, żebym sam cię wpisał.

„Wpisał?”.

Czubkami palców popukał w nakaz aresztowania.

- Zostawili mi numer, pod który mam zadzwonić po oficjalne wyjaśnienia.

Nie mogę się już doczekać. Gliniarze, którzy wykorzystują swoją pozycję do tego, by molestować małe dzieci, nie są mile widziani przez mój personel.

Przez więźniów też, skoro o tym mowa. Tamci chyba myśleli, że lepiej będzie, jeśli nikt się nie dowie, co zrobiłaś.

„Nic nie zrobiłam!”

- Nie mają pojęcia, czym się naszprycowałaś, a ja nie mogę czekać, aż oprzytomniejesz. Więc po prostu spisujemy dane z nakazu.

„Dobra. Bez paniki. Jak moje nazwisko trafi do systemu, ktoś je na pewno zauważy”.

- Terri Hanover... „O Boże!”.

- Wiek: trzydzieści dwa lata... metr siedemdziesiąt... sześćdziesiąt siedem kilo... - klasnął językiem. - Trochę ci wagi ubyło.

„To ja, ale to nie moje nazwisko”. Detektywom często dawano fałszywe dokumenty i jej dane pewnie wciąż są w aktach. „Co się dzieje, do cholery?”. Stukanie jego palców o klawiaturę zaczęło przypominać odgłos wbijania gwoździ w klatkę, którą wokół niej budowano. Nie mogła tak po prostu siedzieć i na to pozwolić.

- Nie jestem tym, kim oni mówią, że jestem! Tylko że jej usta nie zdołały wypowiedzieć tych

słów. Jedynie pochrzakała trochę, strużka śliny po-

płynęła jej po brodzie i zaczęła powoli skąpywać w zagłębienie obok obojczyka.

- A teraz - odsunął klawiaturę i sięgnął po telefon - zobaczmy, co powiedzą w komendzie.



- Biuro prokuratora generalnego. Chwileczkę, pan prokurator czeka na pana telefon.

Telefon na biurku Zottiego zadzwonił, kcz prokurator generalny tylko spoglądał na niego z uśmiechem.

- Odbierz - polecił miękko Tawfik. Z tego człowieka nie będzie już wiele pożytku. Na szczęście prawie nie był mu dłużej potrzebny.

- Zottie. Ach, tak, sierżant Baldwin. Właściwie nie ze mną powinien pan rozmawiać. Chwileczkę... -Podał słuchawkę Tawfikowi, a kiedy ten zaczął mówić, pogrzyżył się na powrót w transie.



„Prokurator generalny? O Boże, to znaczy...”.

Po wygłoszeniu entuzjastycznego powitania sierżant prawie się nie odzywał. W końcu przestał z siebie wydawać nawet monosylaby, a jego spojrzenie stało się puste.

Tym razem panika wypełniła głowę Vicki potokiem słów.

„Mumia mnie tu wsadziła. Nie Mallard i Gowan. Mumia. Chryste...!

Powinnam była pamiętać,

że kontroluje Cantree'ego. Ale czemu? Jak? Nie wie o mnie. Henry... Henry rozmawiał z mumią. Czy Henry mnie zdradził? Mimowolnie...? Umyślnie...?

Albo Mike... Mumia dowiedziała się o Cellucim. Był tam. W muzeum...

Mumia ma Celluciego. Zabrała mu to, co wiedział. Jestem kolejna do

odstrzału. Mike...? Nie żyjesz? Nie żyjesz?! Nie żyjesz...?!!!!”.

Nie mogła oddychać. Oddychanie bolało. Nie mogła sobie przypomnieć, jak to się robi.

„Mumię... trzeba... powstrzymać. A jeśli Mike Celluci nie żyje? Jego śmierć musi zostać pomszczona. Po...mszczo...na”. Wyrzuciła z siebie razem z

oddechem pierwszą sylabę, a potem kolejne. „Po...mszczo...na.

Po...mszczo...na. Pomszczona”.

- Rozumiem.

„Co rozumie?”. - Tak zrobię.

Z szeroko otwartymi oczami, niezdolna odwrócić wzroku, Vicki spoglądała, jak sierżant odkłada słuchawkę, podnosi nakaz aresztowania, jej nakaz aresztowania, i podchodzi do niszczarki.

„Nie!”.

Została wprowadzona do systemu. Dla systemu teraz jej miejsce było tutaj, w areszcie, póki nie zawiozą jej do sądu. A przesłuchania w sądzie ustalano na

podstawie nakazów. Bez nakazu zostanie tu już na zawsze.

„Mogłabym rzucić się na sierżanta. Wziąć go jako zakładnika. Zadzwoić do prasy! Zadzwoić... zadzwoić do kogoś. Nie mogę tak po prostu zniknąć!”.

Ale ciało nie chciało jej słuchać. Czowała, jak jej mięśnie się napinają, potem rozluźniają, a potem zaczęła niepohamowanie drżeć.

Sierżant Baldwin spojrział na niszczarkę, zmarszczył brwi i potarł dłonią zakryte szpakowatą grzywką czoło.

- Dickson!

- Sierżancie? - Strażniczka, która podniosła Vicki w celi, otworzyła drzwi i zajrzała do pokoju.

- Przeszukaj panią Hanover, a potem zabierz ją do bloku specjalnego.

- Do czubków? - Dickson uniosła brwi. - Na pewno nie do szpitala? Nie wygląda dobrze.

Sierżant prychnął.

- Dzieciak też nie wyglądał dobrze, jak z nim skończyła.

Vicki usłyszała w głosie strażniczki niechęć. Pedofilami każdy gardził. Silne palce zacisnęły się na jej ramieniu i pociągnęły ją w górę. Wleczona w stronę drzwi z trudem próbowała przypomnieć sobie, jak się chodzi.

- Aha, Dickson... To ma być szczegółowe przeszukanie.

- Sierżancie, niech pan odpuści!... - Strażniczka rozluźniła lekko uścisk, kiedy się odwróciła, żeby zaprotestować. - Robiłam poprzednie.

- I to też zrobisz. Masz.

Strażniczka z niedowierzaniem spoglądała na i wypchane torbiszczce.

- Co ja mam niby z tym zrobić?

- Przynieśli razem z nią. Jak już ją wsadzisz, wpisz zawartość do jej akt.

- To potrwa kilka dni.

- Im szybciej zaczniesz, tym szybciej skończysz.

- Dlaczego ja? - mruknęła Dickson, zarzucając sobie torbę na ramię i wyprowadzając Vicki z biura.

Uścisk na jej ramieniu znowu stał się mocniejszy. Kiedy szły przez zatłoczony korytarz, Vicki próbowała wyrwać się na wolność i złapać torbę. Byłaby z niej dobra broń, gdyby tylko zdołała dostać ją w swoje ręce. Nie powinno jej tu być. Musi coś zrobić, żeby zwrócić na siebie uwagę...

- Nie rób tego - westchnęła Dickson, bez wysiłku popychając ją na ścianę, a potem naprzód. - Mam zły dzień.

Rewizja osobista była gorsza, niż Vicki sobie wyobrażała, chociaż kiedy szła korytarzem, odzyskała trochę panowanie nad swoim ciałem, nie było więc aż tak źle. Uwięziona we własnym umyśle, mogła się tylko wszystkiemu poddawać. Nie winiła Dickson, strażniczka wykonywała jedynie swoją pracę, ale kiedy stąd wyjdzie, Gowan i Mallard zeżrą własne jaja na śniadanie. Ta wizja pomogła jej jakoś przetrwać.

Dickson ściągnęła gumową rękawicę i wyrzuciła ją do śmietnika.

- Robią je tylko w dwóch rozmiarach: za dużym i za małym - powiedziała,

zastępując ubrania, które zdjęła Vicki, więziennymi. - Hanover, jesteś w stanie się sama ubrać?

- Hy... - Boże, to brzmiało niemal jak słowo! Spróbowała jeszcze raz.

Upokorzenie zniknęło, ustępując miejsca radości z tego małego zwycięstwa nad własnym ciałem. - Hy, hy, hy...

- Dobra, dobra, rozumiem. Jezu, znowu się śli-

Z każdą częścią odzieży wracała odrobina kontroli Jej ruchy wciąż były nagłe i niepewne, ale jakoś mocowała się z więzienną bluzą, obojętna na znudzone spojrzenie strażniczki, obojętna na wszystko poza walką, jaką toczyła ze swoim ciałem. Ręce działały. Palce nie. Poczucie równowagi miała do kitu, a bardziej skomplikowane ruchy sprawiały, że się przewracała, lecz oparta o ścianę zdołała włożyć bieliznę, spodnie i buty. Koszulka prawie ją pokonała. Nie mogła znaleźć otworu na głowę i zaczęła panikować. Ręce z zewnątrz pociągnęły materiał w dół, niemal urywając jej przy tym nos.

- No dalej, Hanover, nie mam całego dnia.

Z bawełnianą bluzą z dekoltem w kształcie litery V poszło łatwiej.

Narkotyk przestaje działać. Dzięki Bogu. Jak tylko będę mogła mówić, ktoś się nasłucha. Ostrożnie, jakby miała do czynienia ze zgniłym jajem, Vicki sięgnęła po okulary. Dickson ją uprzedziła.

- Zapomnij. Będziesz musiała radzić sobie bez nich.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogą jej zabrać okulary. Ale oczywiście, że nie pozwolą jej ich zatrzymać. Nie w bloku specjalnym. Okularów można użyć jako broni.

„Tylko że ja bez nich nic nie widzę!”. Uleciała cała pewnością siebie, jaką odzyskała wraz z odzyskiwaniem kontroli nad ciałem. „Będę ślepa”.

Tego właśnie się bała najbardziej od dnia, kiedy diagnozowano u niej zwyrodnienie barwnikowe siatkówki

Ślepa.

- Ieee... - Używając ramienia jak kija, odtrąciła rękę kobiety i spróbowała zabrać okulary ze stosu ubrań. Ale jej palce nie były w stanie zacisnąć się wystarczająco szybko, a strażniczka ostrym szarpnięciem odepchnęła ją pod ścianę.

- Żadnych mi tu takich! Będziesz stawiać opór będą pasy. Jasne?

"Nie rozumiesz. Moje okulary..." Część strachu Vicki musiała wypłynąć na jej twarz.

- Słuchaj, jeśli przekonasz psychiatrę, że blok specjalny to nie miejsce dla ciebie, oddamy ci okulary

Nadzieja. Psychiatra jej wysłucha. Może nawet rozpozna, jakim świnstwem ją nafaszerowali.

- A teraz chodź. Nie mam czasu. Chryste, przez resztę zmiany pewnie będę spisywała szpargały, które masz w tej torbie.

Świat zmienił się w rozmazany tunel. Vicki wlokła się przez niego, a serce podskakiwało jej za każdym razem, gdy drzwi, meble i ludzie pojawiali się



znienacka. Uderzyła w coś kolanem i zahaczyła ramieniem o róg.

Dickson westchnęła, wprowadzając ją przez pierwsze drzwi zamknięte na kłódkę.

- Może najlepiej będzie, jak po prostu zamkniesz

Dźwięki otaczały ją zewsząd - odgłosy uderzania sztućców ze stołówki i tyle kobiecych głosów, że nie dało się ich od siebie odróżnić. Zapach jedzenia był silniejszy niż zapach więzienia. Vicki nagle uświadomiła sobie, że od zeszłego wieczora nie miała nic w ustach. Do ust napłynęła jej ślina i zaburczało w żołądku.

- Niezłe wycucie czasu, Dickson - odezwał się nowy głos. - Właśnie liczymy łyżki. Będiesz mu-siała ją przypilnować, póki nie skończymy i nie odeślemy ich do czyszczenia.

- Cudownie - mruknęła Dickson. Vicki zeszywniała, kiedy strażniczka pchnęła ją plecami na ścianę. - Zostań tu. Nie ruszaj się. Przeszedł ci koło nosa lunch, ale biorąc pod uwagę, jak tu karmią, może to i lepiej.

Vicki czuła, że ludzie się na nią gapią. Kraty były na skraju pola widzenia, za nimi rozciągało się falujące morze błękitu,

Zjeżyły jej się włosy na karku. „Będiesz tu, póki nie porozmawiasz z psychiatrą. Nie musisz nic wi-dzieć”.

Po prawej stronie słyszała grzechotanie łyżek na plastikowej tacy. Przez hałas przebił się głos innej strażniczki.

- Co tu masz?

- Pedofilka. Naćpana.

- Agresywna?

- Ledwie się rusza..

- Umie sikać do wiadra?

- Pewnie tak.

- Bogu dzięki za małe łaski. Mam tu cztery, którym trzeba pomagać. Problem w tym, gdzie ją wsadzić. Mam po trzy w piętnastu z osiemnastu

- Wsadź ją z Lambert i Wills.

Podczas pauzy, jaka zapadła po tym stwierdzeniu, Vicki uświadomiła sobie, że mówią o niej. Jakby jej tam nie było. Jakby się nie liczyła. Bo tak właśnie było.

- Pedofilka, tak? - Druga pauza była bardziej znacząca. - Ile lat miał dzieciak?

- Nie wiem.

- Myślę, że Lambert i Wills naprawdę serdecznie ją przywitają. - Podniosła głos: - Dobra, panienci, do środka, znacie zasady. Chryste, Naylor, zabierz ze sobą Chin. Wiesz, że ona się gubi...

Morze błękitu odpłynęło, rozdzieliło się na mniejsze kształty i zniknęło. Vicki usłyszała dźwięk towarzyszący zamykaniu stalowych drzwi.

- Pszy... pszy... pszy...?

- Co tam mamrociesz? - Twarz Dickson pojawiła się przed nią. Strażniczka złapała Vicki za łokieć i poprowadziła do podwójnych drzwi wiodących do

bloku z celami.

- Pszychtra...

- A, psychiatra. Cowan był już dzisiaj?

- Tak. Przyszedł i wyszedł przed lunchem.

- Słyszałaś. Wygląda na to, że będziesz tu co naj-mniej do środy.

- Środa. Minęło już pół poniedziałku. Potem wtorek. Potem środa. Ale psychiatra przyszedł rano. Wiec tylko dwa dni Pół poniedziałku, wtorek i pół środy. Wytrzymam dwa dni. Dam radę. Nawet bez okularów.

Zatrzymały się przed jedną z cel. Vicki była gotowa się założyć, że dwie znajdujące się w niej kobiety spoglądają na nią niechętnie ze swoich prycz. Cele zbudowano dla dwóch osób, trzecia oznaczała początek tłoku. Czasem liczba więźniów w jednej celi dochodziła do pięciu. Chciała wejść cicho do celi, ale na progu nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Panika znowu zaczęła rosnać.

- No dalej, Hanover, włącz!

Pchnięcie w plecy posłało ją do przodu. Zrobiła trzy kroki i runęła na kolana.

„Jest dobrze. To tylko dwa dni. Jak minie działanie narkotyku, wszystko będzie w porządku. Ci ludzie tutaj to wariaci. A ja nie”. Powoli, ostrożnie wstała. Za nią drzwi celi zamknęły się ze zgrzytem i kroki Dickson oddaliły się. „Nawet jeśli mumia dopadła Henry'ego albo Celluciego” - a rozmyślanie o tej możliwości musiało na razie poczekać - „ona nie ma jak dotrzeć do psychiatry. Dwa dni. Za dwa dni stąd wyjdę”.

Prycza po prawej skrzypnęła, kiedy siedząca na niej kobieta wstała. Z rękoma szeroko rozłożonymi na boki Vicki odwróciła się do współwięźniarki.

„Pamiętaj, to wariatka. Pewnie zagubiona. Stracona. Ty taka nie jesteś. Dwa dni”.

Krótko obcięte siwe włosy i drobna budowa ciała. Dnie ciemne oczy i twarz, która zdawała się składać z samych krostek. Coś znajomego... ale Vicki nie widziała na tyle dobrze, by dostrzec co.

- No, no, no. Świat nigdy nie przestaje mnie zadziwiać. - Głos był niski i czysty. I co było naprawdę przerażające, brzmiał jak głos człowieka zdrowego na umyśle. - Czy to nie zadziwiające, kogo można spotkać w takim miejscu, Natalie?

Burknięcie z drugiej pryczy mogło oznaczać wszystko.

Vicki poczuła, jak sucha ręka ujmuje jej prawą dłoń. Zabolało. Bez powodzenia próbowała uścisnąć tamtą równie mocno.

- Miło panią znowu widzieć, detektyw Nelson... „Lambert. Angel Lambert. Co ona robi na bloku specjalnym?”.

- Nie może sobie pani nawet wyobrazić, jak miło.

„Wręcz przeciwnie, mogę...”.

\*

- Nelson, prywatny detektyw. W tej chwili nikt...

- Kurde, Vicki, gdzie jesteś? - Celluci z impetem odłożył słuchawkę i wypadł z budki. Vicki nigdy nie włączała sekretarki, jeśli była w domu. Czyli nie było na sekretarce Fitzroya i zadzwonił do Vicki kilka razy z kilku różnych miejsc w mieście.

Pewnie pracowała, tropiła mumię, zbierała informacje. Może robiła pranie albo zakupy. Nie miał powodów, by uważać, że coś jej grozi.

Cantree mnie szuka. Dave by wspomniał, gdyby o nią też chodziło. Problem w tym, że Cantree i całkiem spora grupa policjantów wiedzieli o ich związku. A jeśli Fitzroy odkrył coś o mumii, Vicki zaś uznała, że może to wykorzystać i wykorzystała, to Cantree i policja byli ostatnim z jej zmartwień. Była dobrym gliną. Nie zostaje się jednym z najlepszych, nie ucząc się przy okazji, żeby nie rzucać na silniejszych od siebie.

„W takim razie Cantree'ego i mumię mamy z głowy”, uznał Celluci. „Vicki nic nie jest. Nie ma powodu sądzić, że coś jej się stało, tylko dlatego, że nie zadzwoniła wtedy, kiedy miała zadzwonić. To ty toniesz po szyję w gównie”. Zapalił papierosa, wsadził ręce do kieszeni i ruszył przed siebie, starając się nie zaciągać. Chmurka dymu papierosowego była najlepszym możliwym kamuflażem, kiedy ludzie wokół szukali niepalącego. Vicki stosowała tę sztuczkę, kiedy pracowała jako tajniaczka. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo liczy na jej pomoc. „Jasne, rzuca się na oślep, kiedy Fitzroy jej potrzebuje, ale jak mnie ziemia się pali pod stopami, to gdzie jest...?”.

# ROZDZIAŁ 14

Na sekretarce Henry'ego były cztery wiadomości. Dwie od Mike'a Celluciego dla Vicki. Jedna od kogoś o nazwisku Dave Graham dla Celluciego - wyglądało na to, że wszystko bez zmian. Czując coraz większy niepokój, Henry zaczął się zastanawiać, o co chodzi. Czwarta wiadomość była od Tony'ego. Do niego.

- Henry, wiem, że Wiktoria mówiła, że wszystko z tobą w porządku, ale chcę to usłyszeć do ciebie. Zadzwoń, proszę.

Ledwie zdążył odłożyć słuchawkę po tym, jak uspokoił chłopaka, kiedy telefon znów zadzwonił.

- Fitzroy? Tu Celluci. Odezwała się do ciebie Vicki?

Henry zacisnął dłoń na słuchawce. Plastik zaskrzypiał.

- Nie - powiedział cicho. - Co się stało?

- Cały dzień próbuję się z nią skontaktować. Jak się do ciebie odezwie, powiedz, żeby się przyczaiła.

Cantree ma nakaz mojego aresztowania, może też mieć drugi na nią.

Cantree. Ten, którego zaczarowano na oczach Henry'ego. Według Vicki Celluci napomknął na posterunku o swoim zainteresowaniu mumią, nic więc dziwnego, że Tawfik postanowił go uciszyć. Henry zmarszczył brwi. Tawfik nie miał do czynienia z Vicki.

- Co Vicki ma z tym wspólnego? - zapytał.

- Cantree wie, jacy Vicki i ja jesteśmy sobie bliscy. - To sformułowanie było celowo dwuznaczne. - Ani przez chwilę nie uwierzy, że nie opowiedziałem jej o czymś, co mnie tak bardzo męczyło.

Henry walczył z ogarniającą go zazdrością. Ledwie udało mu się przez nią przebić.

- Skąd wiemy, że już jej nie mają?

- Dałem mojemu partnerowi, Daveowi Grahamowi, twój numer. Jeśli ją zgarną, da mi znać.

- Graham zostawił wiadomość. Mówi, że nic się nie zmieniło.

- Dobra. Czyli Cantree jej nie ma. Zostań przy telefonie na wypadek, gdyby się odezwała. Będę się z tobą kontaktował. Jak upewnimy się, że jest bezpieczna, będziemy mogli zacząć planować.

- Śmiertelniku, nie ośmielaj się...

- Nie wciskaj mi tego kitu, Fitzroy. Możesz ją znaleźć?

Czy mógł wyczuć ślad jej krwi wśród tyłu innych żywotów? - Nie.

- To zostań przy telefonie. Słuchaj... - Henry słyszał, z jakim trudem przychodzi Celluciemu rozsądne przemawianie. - Jeśli wyjdiesz na ulicę, nie skontaktujemy się. Vicki umie o siebie zadbać.

- Nie w przypadku Tawfika.

- Cholera, Fitzroy, ona nie staje przeciw Tawfi-kowi. On używa Cantree'ego...

- A co z Trembley?

- Nie miał wtedy chłopców na posyłki. Wiem, jak tacy działają. Jak już założą sobie organizację, nie chcą brudzić własnych rąk.

- Detektywie, Tawfik to nie jakiś pomniejszy mafioso - warknął Henry. - A ty nie masz pojęcia, jak działa umysł nieśmiertelnego. - Ignorując resztę tego, co Celluci ma do powiedzenia, a wyglądało na to, że miał dużo, Henry ostrożnie odłożył słuchawkę. Vicki żyje. Gdyby nie żyła, poczułby jej nieobecność.

„Przyjdź na róg, na którym spotkaliśmy się dzisiaj”, powiedział mu Tawfik.

„A ja cię tam znajdę”,

„Znajdź mnie”, powiedział wspomnieniu Henry, „oddaj się w moje ręce. Powiesz mi, gdzie ona jest”.



Świat przybrał odcień czerwieni. Vicki leżała nieruchomo i próbowała rozluźnić mięśnie na tyle, by zasnąć. Chociaż z każdą godziną odzyskiwała coraz więcej kontroli nad swoim ciałem, napięcie z mięśni pleców nie chciało odejść. Nie mogła go za to winić.

Angel Lambert udawała, że brakuje jej kilku klepek, żeby uniknąć wycieczki do Kingston i do więzienia dla kobiet. Odpowiednia diagnoza wysłałaby ją do względnie przyjemnego szpitala, a potem szybko z powrotem na wolność. Pyszniła się tym. Oczywiście dopiero kiedy się upewniła, że Vicki nie znalazła się w celi w charakterze policyjnego szpiega.

- Może uznali, że skoro nie jesteś już gliną, będziesz tu bezpieczna. - Ze skrzyżowanymi na piersi ramionami Lambert okrążała nową współwięźniarkę. Vicki starała się mieć ją w polu widzenia, lecz kiedy omal się nie przewróciła, dała sobie spokój. - Oczywiście naszprycowanie cię to jakby trochę za dużo. - Upewniwszy się, że Vicki widzi, co zamierza zrobić, kopnęła ją w łydkę, wbijając czubek buta głęboko w mięśnie.

Vicki próbowała uniknąć uderzenia, ale jej noga nie reagowała na czas. Jęknęła z bólu i spróbowała chwycić Lambert za gardło.

Lambert z łatwością się uchyliła.

- No, no, no. Naćpałaś się i wpakowałaś w kłopoty? Słyszałam, jak strażniczka mówi, że pedofil-ka z ciebie. Wiesz, co to znaczy, prawda? Nie będą się przejmować, jeśli nabijesz sobie kilka siniaków. Nawet mają nadzieję, że tak będzie. Dlatego cię tu wsadzili. Wiedzą, że lubimy ostro grać. - Oparła się i o ścianę i skrzyżowała ramiona, drapiąc się w biceps. - Widziałam twoje spojrzenie, kiedy mnie rozpoznałaś, więc wiem, że jesteś przytomna. Wiem, co i myślisz. Myślisz, że jak tylko prochy przestaną dzia-łać, dobierzesz mi się do dupy. Niezły plan, jesteś

ode mnie większa i nauczono cię, jak się bić, ale -uśmiechnęła się - ja mam coś, czego ty nie masz. Natalie, pokaż się naszej nowej koleżance.

Przy swoim wzroście Vicki rzadko musiała zadzierać głowę, żeby spojrzeć na jakąś kobietę, jednakże NatalieWills była ogromna. Nawet zgarbiona miała jakiś metr osiemdziesiąt, gdyby się wyprostowała, dobiłaby pewnie do dwóch metrów. Kręcone jasne włosy otaczały jej twarz obłoczkiem i podkreślały zaokrąglone rysy. Jasnoniebieskie oczy miała lekko wyłupiaste. W przeszłości złamano jej nos, co

najmniej raz, i źle nastawiono. Przez szparę między wiotkimi wargami słycać było ciężki oddech, jej piersi i brzuch rozciągały więzienne ubranie do granic możliwości. Wyglądała na grubasa i poruszała się jak grubas, ale Vicki nie była skłonna przyjąć z góry, że kimś takim właśnie jest - Natalie to moja przyjaciółka - oznajmiła Lambert. - Prawda, Natalie?

Natalie skinęła powoli głową. Kąciki jej ust powędrowały w górę, Vicki założyła, że to miał być uśmiech.

- Natalie jest bardzo silna. Prawda, Natalie? Natalie znowu pokiwała głową.

- Pokaż naszej współlokatorce, jaka jesteś silna, Natalie. Podnieś ją.

Olbrzymie dłonie zacisnęły się na barkach Vicki, boleśnie przygniatając mięśnie do kości. Najpierw w górę powędrowały jej ramiona, a po chwili reszta ciała. Stopy znalazły się jakieś piętnaście centymetrów nad podłogą. Świetnie. Darth Vader przebrany za kobietę.

- Bardzo dobrze, Natalie. Teraz potrząśnij nią. Po kilku sekundach Vicki zaczęło się wydawać,

ze jej mózg oderwał się od rdzenia kręgowego i teraz luzem obija się po czaszce.

- Puść ją, Natalie.

Okazało się, że podłoga jest dalej, niż sądziła. Kolanami boleśnie uderzyła o beton i poleciała na twarz. Ledwie zdążyła ochronić ją ramieniem przed zderzeniem z podłogą. Gdyby miała coś w żołądku, zaraz by się tego pozbyła.

- Rzygasz tam? - zapytała Lambert, pochylając się i łapiąc Vicki za włosy. - Jeśli porzygasz się w mojej celi, będziesz to zlizywać z podłogi.

- Eldol się... - Wciąż mówiła niewyraźnie, Lambert jednak chyba zrozumiała, bo przekreśliła rękę, niemal wyrywając Vicki garść włosów.

- Jak tylko prochy przestaną działać, wyjdiesz przy następnej wizycie psychiatry. Czyli najwcześniej w środę. Natalie, ty i ja mamy przed sobą dwa dni pełne zabawy.

„Dwa dni. Zniosę dwa dni wszystkiego”. Tyle, że leżąc na pryczy i słuchając chrapliwego oddechu Natalie, Vicki zastanawiała się, czy rzeczywiście zniesie. Nie chodziło o fizyczne znęcanie się -gdyby zaszło za daleko, strażniczki by interweniowały, nawet gdyby chodziło o pedofilkę, poza tym rano powinna być w stanie już się obronić - ale o to, że była całkowicie bezradna. Zgarnięto ją i ładnie wpasowano w system, a system nie lubił przyznawać, że się pomylił. Psychiatra wyciągnie ją z bloku specjalnego, co oznaczało jedynie, że trafi do innej celi, takiej jak ta, tylko w innej części więzienia. Mogła sobie mówić, co chciała - nigdy nie wyznacza jej terminu w sądzie i jak to ujęła Lambert: „Kto ci niby uwierzy? Gliniara na złej drodze, pedofilka. Tu to ja jestem bardziej wiarygodna”.

Miała wrażenie, że obudziła się w swoim najgorszym koszmarze.

„Dwa dni tutaj, ale ile dni, zanim wyjdę?”

I co z Henrym i Cellucim? Czy Henry ją zdradził? Czy Celluciego też złapali? Niewiedza jeszcze wszystko pogarszała.

Oczy jej zwilgotniały i zaczęła wściekle mrugać, aby je osuszyć. Potem zmarszczyła brwi. Wydawało jej się, że w łzach załamuje się światło padające z dwóch małych czerwonych punkcików. Niemożliwe. Przecież nie jest w stanie nic zobaczyć.



Chociaż w celach nie było ciemno, panował tu szary, pełen cieni półmrok, co dla Vicki oznaczało, że nie może używać nawet tej odrobiny wzroku, jaka jej pozostała po zdjęciu okularów. Lambert szybko się zorientowała, w czym rzecz, i wykorzystywała to do woli. O dziwo, kiedy nie było już sensu walczyć o to, by coś widzieć, Vicki łatwiej było się odnaleźć. Dźwięki i zapachy, i ruch powietrza odczuwalny na skórze były bardziej użyteczne niż jej marny wzrok. Niestety, nie na tyle użyteczne, by uniknęła ciągłych ataków. Natalie mogła się tak ba-

wić całą noc, Lambert jednak szybko się znudziła i zarządziła przerwę. Natalie lubiła krzywdzić ludzi. Siła była jedyną przewagą nad innymi. A

Lambert lubiła patrzeć, jak ktoś krzywdzi ludzi. Vicki westchnęła cicho. „Jak miło, że się tak udatnie dobrały”.

Wiedziała, że potrzebuje snu, lecz wątpiła, czy będzie w stanie spać. Za bardzo ją bolało w zbyt wielu miejscach, kolacja ciążyła w żołądku, materac zdawał się celowo uwierać w barki i biodra, a zapach tego miejsca wypełniał jej nos i usta, utrudniając oddychanie. Ale przede wszystkim nie mogła spać, bo rozpacz miotła się na oślep w jej głowie, goniąc własny ogon.

Wreszcie wyczerpanie wzięło górę i zasnęła ukołyszana odgłosami uderzeń plastiku o cement. Kobie

ta dwie cele niżej próbowała zerwać kajdanki i hełmem hokejowym, który miała na głowie, uderzała miarowo o ścianę.



Palce Henry'ego zacisnęły się na betonowym cokole ulicznej latarni. Cement zaczął się kruszyć. „Tawfik! Jestem!”.

- Hej, stary, wspomóżesz... Kto śmie...? Odwrócił głowę.

- Święta Mario, Matko Boża... - Pod zarostem i warstwą brudu pijak zbladł.

Jego koszmary często miały właśnie taki wyraz twarzy. Zasłaniając oczy brudnym ramieniem, uciekł, mrużąc: „Zapomnij, człowieku. Zapomnij o mnie”.

Od razu został zapomniany.

Henry nie miał czasu na myśli o śmiertelnikach. Chciał Tawflka.



Czuł gniew Chodzącego Nocą. Jego lśniąca ka płonęła nim.

„Znajdź mnie!”

Stał przy oknie i wyglądał na ulicę. Chociaż budynek hotelu zasłaniał mu widok, dobrze wiedział, gdzie dokładnie czeka młody Richmond. Jego pasja tak rozciągała jego ka, że Tawfik nie musiał daleko sięgać, aby go dotknąć. Wciąż otwarta była jedynie powierzchnia jego myśli, lecz tak gotowało się w niej od emocji, że tej nocy i ona wystarczała.



- Jakie to małe miasto - mruknął, dotykając lekko szkła. - Znasz zabawkę mojego pana, znasz policjanta, który ją wysłał, by mnie odnalazła... i który na razie przegania moje ogary. - Nagle przypomniał sobie drzwi, które minęły, gdy odkrywał tajemnice umysłu tej kobiety. Jak szlachetnie, że próbowała chronić bliskich. - Wyobrażam sobie, że te wszystkie powiązania sprawiają, że jej cierpienie jest większe, niż mogłoby być tylko za moją sprawą. Mój pan musi być zadowolony. - Jeśli jego pan w ogóle to zauważył. Kiedy się sycił, był zwykle ślepy na takie subtelności. Tawfik westchnął. Już dawno, dawno temu uświadomił sobie, że wstąpił na służbę do boga, któremu daleko do wspaniałości i światłości. Znajdź mnie!

- Możesz szaleć ile chcesz, Chodzący Nocą, nie zejdę do ciebie. Nie myślisz teraz, żądzą tobą emocje. Nad myślami można zapanować. Emocji, zwłaszcza kogoś tak silnego, należy unikać.

Rozbawiło go, że Chodzący Nocą nie wyrósł jeszcze z miłości. Jak głupio kochać tych, którzy służą za pożywienie. To jakby śmiertelnik oświadczył się krowie czy kurze...

Spojrzał ostatni raz na płonące wspaniałe ka, którego tak pragnął, a potem zamknął swój umysł na nie, odsuwając pokusę.

- Wyprostujemy wszystko później - obiecał miękko. - Mamy czas. I ty, i ja.



- Graham. Co jest?

- Vicki się odezwała?

Dave Graham oparł się na łokciu i spojrzał na podświetlane cyfry na zegarku.

- Jezu, Mike... - syknął. - Do cholery, jest druga w nocy. Czy to nie może poczekać?

- Co z Vicki?

Dave poddał się, kuląc się przy telefonie, żebyj nie obudzić żony.

- W systemie nie ma nakazu. Nikomu nie kazano po nią jechać. Pilnują jej mieszkania, ale szukają ciebie.

- Więc już ją mają. - Jacy oni? Cantree?

- Ten, który go wykorzystuje.

- Czyli kto? - Nieważne.

Dave westchnął.

- Słuchaj, może ona nie ma z tym nic wspólnego. Może pojechała do Kingston odwiedzić matkę.

- Pracowaliśmy nad tą samą sprawą.

- Policijną? - Długa cisza, jaka zapanowała po tym pytaniu, wystarczyła Dave'owi za odpowiedź. -Mike, Vicki już nie jest w policji. Nie powinieneś tego robić. Rozmawiałem z nim zaraz po telefonie do ciebie.

- I co?

- Tak jak w wiadomości, którą ci zostawiłem, nic się nie zmieniło. Dalej chce cię mieć, nie wiem, dla-czego. Powiedział, że to ma coś wspólnego z bezpieczeństwem wewnętrznym i wszystko zostanie póź-niej wyjaśnione. Wysłał mnie do Resdale, żebyśmy dopilnowali głównianych dupereli.

- Zachowywał się dziwnie?

- Kurde. Mike, cała ta sytuacja jest dziwna. Może powinieneś przyjść i wszystko wyjaśnić? Cantree cię wysłucha.

Śmiech, jakim Celluci na to zareagował, był niemal zupełnie pozbawiony wesołości.

- Jedyna nadzieja całego miasta, ba, może całego świata w tym, że nie dam się złapać i nie zbliżę się do Franka Cantree'ego.

- Jasne. - O drugiej nad ranem Dave nie miał ochoty wdawać się w szczegóły teorii spiskowych. -Będę miał oczy i uszy otwarte, ale wiele nie zdziałam.

- Jeśli coś zobaczysz albo usłyszysz...

- Zostawię wiadomość. Chociaż na zachodzie niewielkie są szanse, że dotrą do mnie jakieś wieści. Mówimy w końcu o Rexdale, to zadupie. Lepiej już znikaj na wypadek, gdyby namierzali tę rozmowę... Mike? Żartowałem. Celluci? Chryste... - Przez chwilę patrzył na słuchawkę, potem pokręcił głową, rozłączył się i przytulił do miękkich, ciepłych krąg-łości żony.

Kto to? - mruknęła.

- Celluci.

- Która godzina?

- Po drugiej.

- Boże... - Wsunęła się głębiej pod kołdrę. - Złapali go już?

- Jeszcze nie.

- Szkoda.



Do śniadania Vicki odzyskała większość kontroli nad mięśniami. Ramiona i nogi poruszały się wtedy,] kiedy chciała, ale nad szczegółami musiała jeszcze popracować. Użycie palców do czegoś więcej niż najprostszego chwytania było trudne, a wypowiedzenie więcej niż dwóch czy trzech słów wiązało jej supeł na języku. Rozmyślanie o czymś innym niż jej obec-

ne położenie, próba analizowania czy planowania sprawiała, że jej mózg zmieniał się w watę. A myślenie o położeniu nie prowadziło do niczego dobrego.

Bez okularów widziała śniadanie jako kupkę czegoś żółto-brązowego czekającą na końcu rozmazanego tunelu. Smakowało mniej więcej tak, jak wyglądało.

Nie mogła uniknąć swoich dwóch towarzyszek z celi przy śniadaniu. Nie mogła też nie zauważyć, że inne kobiety ich unikają, schodzą im z drogi, pozwalając, by stanęły na początku kolejki i wzięły cały dzbanek kawy. Siła Natalie w połączeniu z okrucieństwem Lambert sprawiły, że obie znalazły się na samym szczycie więziennej hierarchii. Bystrzejsze więźniarki spoglądały na Vicki, a ich twarze mówiły nie tyle: „Lepiej ty niż ja”, ile: „Jeśli ty, to nie ja”. Chronienie jednocześnie siebie i posiłku przerosło możliwości Vicki.

Zachęcana przez Lambert Natalie zabrała większość jej śniadania i pod obrusem leżącym na rozchwierutanim stole piknikowym -który chwiał się niebezpiecznie pod jej ciężarem -szczypała ją z całej siły w udo. Natalie uważała to za zabawne. Vicki nie, lecz ataki przychodziły z boku, a ona nie mogła walczyć z czymś, czego nie widziała. Posiłek stał się bolesną i upokarzającą lekcją własnej bezradności.

Kiedy zamknięto je w celach na czas sprzątanania, pilnowała, żeby stać plecami do ściany. Próbowowała zmusić swoje oczy do pracy. Niestety, Lambert szybko zorientowała się w jej ograniczeniach. Próbując się uchylić przed zmoczonym w toalecie ręcz-

nikiem, Vicki nagle poczuła wież z tymi dziećmi w szkole, nad którymi wszyscy się znęcali tylko dla-tego, że mogli.

Kiedy wypuszczono je z cel, kulejąc przeszła koło rzędu stołów i spróbowała porozmawiać ze strażniczką. Wiedziała, gdzie powinno stać biurko dyżurnej, chociaż go nie widziała.

- Hej?

- Co? - Głos strażniczki był obojętny. - Ja-a...

- Nie. Nie! NIE! NIE! NIEEEEE!

Natalie. Stała tuż za nią. Chociaż Vicki wiedziała, co teraz będzie, spróbowała jeszcze raz. - Ty idź...

- NIE! NIE! NIE! NIEEEEE!

Nie wymyśliła tego sama. Lambert ją podpuściła.

Vicki zacisnęła zęby tak mocno, aż stawy ją rozbolały. Gotowa była się założyć, że ten wrzask nigdy się nie skończy.

- Słuchaj! - wrzasnęła w końcu, bezskutecznie odpychając kobietę wyjąca z siłą jakichś stu dwudziestu decybeli. - Tu nie moje miejsce!

Nagle uderzyła twarzą o żelazne kraty. Natalie ją popchnęła. W jednej chwili strażniczka znalazła się w polu widzenia. To nie była Dickson. Vicki jej nie znała.

- Powiedz psychiatrze - zasugerowała. Na jej twarzy nuda mieszała się z

irytacją. - I odsuń się od krat.

- Jesteś moja na dwa dni - powiedziała Lambert, gdy Natalie przyprowadziła do niej Vicki.

Ranek spędziły oglądając teleturnieje. Vicki wpadła w jakieś otępienie. Biorąc pod uwagę to, co słyszała od czterdziestu kobiet stłoczonych na przestrzeni przeznaczonej dla osiemnastu, była wdzięczna, że nie widzi telewizora, Amerykanie kwiczący z radości nad wolnymi od szronu lodówkami wykończyliby ją psychicznie do reszty.

Lunch był powtórką ze śniadania, tyle że Natalie siadła po jej drugiej stronie i szczypała ją w drugie udo. Kobieta z ciężkim przypadkiem urojeń rzuciła talerzem o kraty dwie inne zaczęły wykrzykiwać obelgi. Ktoś zaczął wyć. Vicki wbijała spojrzenie w swój talerz. Każdy kęs był doprawiony żalostí.

Po lunchu się uspokoiło - w telewizji nadawano

operę mydlaną. Lambert siedziała niczym na tronie przed najlepszym z czterech telewizorów, a Natalie uszała ciszę przynajmniej tuż obok. - To mój mąż, wiesz. Mój mąż - powiedziała starsza kobieta, wskazując na ekran. - Mamy trzynaścioro dzieci, psa i dwa... - Pisk bólu uciął tę wyliczankę.

Na chwilę o Vicki zapomniano. Poruszając się ostrożnie, ruszyła do łazienki z prysznicami. Może jeśli zmyje z siebie smród tego miejsca, będzie się czuła mniej nędznie.

Betonowa ścianka oddzielająca prysznic od pokoju wspólnego sięgała od podłogi na wysokość kobiecej talii. Druga - od sufitu na wysokość ramion. Wszystko pomiędzy nimi było wystawione na widok strażniczek i innych więźniarek.

„Nikt nie będzie patrzył na twoje cycki, Vicki”, powiedziała sobie, przesuując dłonią po wilgotnym betonie. „Jesteś tylko kolejnym bydlęciem. Nikogo nie obchodzisz”.

Kilka przegród tuż przy wejściu było już zajętych. W jednej plama w kolorze ciała rozdzieliła się na dwie osoby. Wszystko poniżej przerwy w ściankach działało się w maksymalnie dostępnej prywatności.

Zdjęcie butów, spodni i bielizny nie było aż takie trudne, ale plecy rozboleły Vicki, kiedy mocowała się z bluzą, a ściągnięcie koszulki przez głowę sprawiło, że nagle poczuła się bardziej krucha i wystawiona na widok niż kiedykolwiek w całym swoim życiu. Pośpiesznie skorzystała z minimalnej zasłony, jaką dawała woda.

Zagubiona w gorącu i szumie strumienia, mogła sobie wmówić, że jest w domu, bezpieczna, i przez chwilę wszystko nie wydawało się aż tak beznadziejne.

- Dobry pomysł, Nelson, ale nie powinnaś zostawać sama. Wciąż nie umiesz się utrzymać na nogach, a ludzie pod prysznicem często się przewracają. Straszne miejsce. Łatwo sobie zrobić krzywdę.

Lambert. I jak zwykle nie była sama.

Vicki próbowała uwolnić ramię z uścisku Natalie. Tamta w odpowiedzi

niemal wywichnęła jej łokieć. Ból sprawił, że Vicki przed oczami stanęły czerwone plamy, przebijając się przez mgłę. Rozpacz nagle zmieniła się w furję.

Była bez szans. Jednakże miała to gdzieś.

Długo to nie trwało.

- Co tu się, u diabła, dzieje?

- Nic, szefowo - oznajmiła przymilnie Lambert. - Koleżanka upadła. - Poniżej pola widzenia strażniczki jej stopa lekko nacisnęła na gardło Vicki.

- Nic jej nie jest?

- Wszystko w porządku.

- To podnieś ją i wyłaźcie stamtąd.

Natalie zachichotała, pochyliła się i uszczypnęła Vicki w brzuch. Mocno. Vicki drgnęła, lecz zignorowała to. W głowie wciąż jej huczało od brutalnego zetknięcia z płytkami, ale po raz pierwszy od dawna - wydawało jej się, że od wieków - myślała jasno. Lambert i Wills to chwilowe niedogodności, nic więcej. Jej wrogiem była licząca, sobie trzy tysiące lat mumia, która sięgnęła po prawo, skrzyła ją w spiralę, a ją wrzuciła w sam środek. Zapłaci jej za to. Nie wiedziała, kogo potwór skrzywdził, aby do niej dotrzeć, Henry'ego czy Celluciego, za to jednak także zapłaci. Ażeby zmusić go do zapłaty za to wszystko, ona musi być wolna. Jeśli system jej nie uwolni, musi uwolnić się sama.

- Dziękuję - mruknęła półprzytomnie, gdy Natalie postawiła ją na nogi.

Ludzie od zawsze uciekali z więzień.



- Kolejny piękny dzień w areszcie Metro West. Dziękuję, panowie, możecie ją zabrać.

350

Młoda kobieta szarpała się w kajdankach, sycząc i jeżąc się jak drapieżny kot. Strażnicy zignorowali ją, ujęli pod pachy i odprowadzili.

- Pierdolone świnię - wrzeszczała. - Jesteście pierdolonymi świniami i mam nadzieję, że wybiłam wam wasze pierdolone zęby.

Dave Graham westchnął i odwrócił się do swojego tymczasowego partnera.

- Wybiła komuś ząb?

- Gdzie tam...! - detektyw Carter Aiken potarł kącik ust i skrzywił się, gdy na palcach została krew. - Ale rozwalila mi wargę.

- Niezły prawy sierpowy. Aiken prychnął.

- Z twojego miejsca na pewno na takiego wyglądał. Kibel jest na końcu korytarza, zaraz wróć.

- Co masz zamiar zrobić, wsadzić łeb do muszli?

- Kto mówił coś o moim łbie? - Aiken zlizął krew z zębów i w dramatycznym geście uniół brwi. - Si-kać mi się chce, odkąd wyszliśmy z posterunku. Dave roześmiał się. Kiedy mężczyzna zniknął za rogiem, Graham oparł się plecami o ścianę. Lubił Aikena. Żałował, że nie spotkali się w innych okolicznościach. Żałował, że nie wie, co się dzieje.

- Witaj, nieznajomy.

Wyprostował się i odwrócił. Sierżant posiłkowa z naręczem wydruków komputerowych wyglądała znajomo, aJe~.

- Hania? Hania Wojotowicz? Rany! Kiedy zostałeś sierżantem?

Roześmiała się.

- Sześć tygodni temu. Właściwie sześć tygodni, dwa dni, cztery godziny i - spojrzała na zegarek, omal nie upuszczając przy tym papierów - jedenaście minut temu. Ale kto by tam to liczył...! Co tu robisz? Gdzie Mike?

Najwyraźniej nie słyszała o Cellucim. I dobrze, miał już dość rozmów na ten temat.

- Chwilowo oddelegowany. Wiesz, jak to jest. Co u ciebie?

- Więziennictwo ma problem z SLP. Programem komputerowym - wyjaśniła, widząc jego spojrzenie. - System Lokalizacji Przestępców. Przyszedłam naprostować sprawy.

- Jeśli ktokolwiek jest w stanie to zrobić... - Kiedy spotkali się po raz pierwszy, Hanię sprowadzono do pomocy przy porządkowaniu danych zgromadzonych przy okazji szeroko zakrojonych poszukiwań mordercy w Parkdale. Jego zdaniem, jej umiejętności w zakresie obchodzenia się z komputerem podpadały pod magię. Nawet Celluci, który był zdania, że cały ten silikon należy odesłać na plażę, gdzie jego miejsce, był pod wrażeniem. - Żle jest?

Hania wzruszyła ramionami.

- Właściwie nie. Już swoje zrobiłam, teraz ktoś musi wprowadzić to wszystko

- wskazała brodą na stos papierów w swoich ramionach - z powrotem do systemu.

- Boże, to potrwa kilka dni.

- Nie, większość jest pusta. To spis posiadanych przedmiotów, a niewiele osób tu przychodzi z bagażem podręcznym. No, są wyjątki... - Wyciągnęła jedną kartkę i uśmiechnęła się. Posłuchaj tego: cztery ołówki, czarny marker, plastikowa torebka na mrożonki zawierająca sześć zwiniętych plastikowych torebek na mrożonki, szczotka, grzebień, kosmetyczka zawierająca szminkę i dwa tampony, sześć szklanych kulek w bawełnianym woreczku, zestaw wytrychów w skórzanym etui, szkło powiększające w futerale, trzy notesy pozapisywane w połowie, jeden czysty, paczka chusteczek, paczka prezerwatyw, opakowanie pigułek antykoncepcyjnych, para rękawiczek chi-

rurgicznych w opakowaniu, mała butelka alkoholu etylowego, duża latarka z czterema zapasowymi bateriami, dwa gwoździe w kształcie litery U, dwanaście dolarów siedemdziesiąt trzy centy w monetach i pół paczki chrupek serowych. Powiedz mi, co za dziwaczka nosi to wszystko przy sobie?

Dave'owi na dłuższą chwilę odebrało głos.

- I nie było żadnych dokumentów? - zdołał wreszcie wykrztusić.

- Ani jednego. Nawet wyciągu z karty. Pewnie schowała je gdzieś, zanim ją zgarnęli. Czasem tak robią, ale to wiesz.

- Tak... - Owszem, czasem tak robili. Nie sądził jednak, żeby tak było tym razem. - Jest tam napisane, kto to wszystko ze sobą nosił?

- Nie. Ale mogę się dowiedzieć. - Ruszyła przed siebie korytarzem. - Chodź, tam jest komputer, z którego możemy skorzystać.

Poszedł za nią na wpół przytomnie. Dobrze wiedział, co za dziwaczka nosiła to wszystko w torbie.

- Dave...? Detektywie sierżancie Graham...? Słuchasz mnie?

- Tak. Przepraszam. - Wcale jej nie słuchał. Słyszał tylko dźwięczący mu głowie głos Celluciego: „Więc już ją mają”.



Żeby ją znaleźć. - Nawet odtwarzane przez mały głośnik sekretarki ostatnie zdanie brzmiało jak rzucona rękawica.

Mimo wszystko Henry zdołał się uśmiechnąć. „Potrzebujesz mojej pomocy, śmiertelniku. Czas, żebyś to przyznał”.

- Cześć, Henry, tu Brenda. Przypominam, że potrzebujemy na piętnastego „Trudy miłości” czy jak tam chcesz to zatytułować. Aliston podpisał umowę na okładkę i obiecał, że tym razem nie będzie żadnych fioletowych cieni do powiek. Zadzwoń.

- Celluci? Tu Dave Graham. Jest kwadrans po drugiej, wtorek, trzeci listopada... - Teraz była szósta dwanaście, osiem minut po zachodzie słońca. - Zadzwoń, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość. Będę w domu cały wieczór. - W jego głosie pojawiło się napięcie, zupełnie jakby sam nie mógł uwierzyć w to, co mówi. - Chyba ją znalazłem. Nie jest dobrze. Palce Henry'ego zacisnęły się na oparciu krzesła. Z głośnym chrzęstem rzeźbione drewno dębowe rozpadło się na kawałeczki. Henry spojrział na odłamki, wcale ich nie widząc. Ten człowiek, Dave Graham, wiedział, gdzie jest Vicki. Jeśli i on chciał się tego dowiedzieć, musiał przekazać wiadomość

Michaelowi Celluciemu.



Policjantów w nieoznakowanym radiowozie łatwo było ominąć. Mało się przykładali do wykonywania swojej pracy, a na cienie przemykające po chodniku nie zwracali uwagi. A co do drzwi do mieszkania... cóż, miał klucz. Drzwi otwarły się przed nim cicho i równie cicho zamknęły za nim. Stał w korytarzu i słuchał życia na drugim jego końcu. Serce biło szybciej, niż powinno, oddech był krótki i niemal wymuszony. Nad wszystkim dominował zapach krwi, lecz dało się też wyczuć strach, gniew i zmęczenie.

Ruszył przed siebie i zatrzymał się w drzwiach do pokoju dziennego. Chociaż było ciemno, doskonale widział klęczącego mężczyznę.

- Mam dla ciebie wiadomość - powiedział, czerpiąc perwersyjną przyjemność z faktu, że serce tamtego podskoczyło gwałtownie.

- Jezu Chryste...! - syknął Celluci, podrywając się na nogi i odwracając do Henry'ego. - Nie rób tak!

Skąd się tu wziąłeś...? A poza tym chyba ci mówiłem...

Henry tylko na niego spojrzał.

Celluci drżącą dłonią odgarnął włosy z twarzy.

- No dobra, masz wiadomość.

Oczy mu się rozszerzyły. - Od Vicki?

- Jesteś gotów jej wysłuchać?

- Niech cię szlag...! - Celluci złapał Henry'e-go za kłapy płaszcza i spróbował podnieść do góry. Nie dawał rady dźwignąć drobniejszego mężczyzny, chociaż chwilę potrwało, zanim to sobie uświadomił. - Do diabła z tobą! - zaklął, ściskając mocniej skórzany płaszcz. - Jeśli to od Vicki, gadaj!

Ból, który dało się słyszeć w jego głosie, przebił się tam, gdzie nie mógł dotrzeć gniew. Henry poczuł wstyd. Co ja robię? Niemal delikatnie zdjął dłoń Celluciego ze swojego płaszcza. „Ona nie będzie mnie kochać bardziej, jeśli cię skrzywdzę”.

- Wiadomość jest od Dave'a Grahama. Chce, żebyś zadzwonił do niego do domu. Wydaje mu się, że ją znalazł.

Jeden oddech, drugi, trzeci. Celluci na oślep zaczął szukać telefonu. Ciemność nie była już ochroną, ale wrogiem, z którym musiał walczyć. Henry poprowadził jego dłoń, a potem, gdy Mike wybierał numer, przemknął do sypialni, gdzie stał drugi aparat.

- Dave? Gdzie ona jest?



Dave westchnął. Henry usłyszał, jak przygryza miękką dolną wargę.

- Areszt Metro West. Myślę, że to ona.

- Nie sprawdziłeś!

- Sprawdziłem. - Sądząc po tonie jego głosu, detektyw Graham wciąż nie mógł uwierzyć w to, czego się dowiedział. - Najlepiej zacznę od początku... -

Opowiedział, jak wpadł na Hanię Wojotowicz i jak opisała mu zawartość torebki, zajrzała do akt. Jak odkrył, że opis pasuje do Vicki, lecz nazwisko brzmi Terri Hanover. - Zgarnęli ją jako pedofilkę molestującą dwunastolatka. Była naćpana, nie wiedzieli czym, więc wsadzili ją do bloku specjalnego.

- Podali jej coś! Te sukinsyny ją czymś nafasze-rowały!

- Tak. Jeśli to ona - podkreślił, choć nie mówił jak ktoś, kto ma wątpliwości. - Kim są ci „oni”, Mike? Co się, kurwa, dzieje?

- Nie mogę ci powiedzieć. Gdzie ona teraz jest? Pauza oznaczała, że Dave doskonale wie, czemu

Celluci pyta.

- Dalej na bloku specjalnym - powiedział wreszcie. - Blok D, cela trzecia. Ale nie widziałem jej. Nie wpuścili mnie. Nie wiem, czy to na pewno ona.

- Ja wiem.

- To zaszło za daleko. - Przełknął głośno ślinę. - Jutro porozmawiam z Cantreem.

- Nie! Dave, jak porozmawiasz o tym z Cantreem, to wylądujesz tak głęboko w tym gównie jak my. Siedź cicho jeszcze trochę. Proszę.

- Jeszcze trochę... - powtórzył Dave. Westchnął. -No dobra. Partnerze, ile to jest „jeszcze trochę”?

- Nie wiem. Może powinienes wykorzystać urlop, który ci przysługuje.

- Tak. Może powinienem.

Ciche kliknięcie świadczące o tym, że Dave Graham odłożył słuchawkę, odbiło się echem po całym mieszkaniu.

Henry wyszedł z sypialni. Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie.

- Musimy ją stamtąd wyciągnąć - powiedział Celluci. W ciemności widział tylko bładny owal twarzy. - Zrobię wszystko, żeby ją wyciągnąć, czy mi się będzie to podobało czy nie. Będę nawet współpracował z tobą, bo potrzebna mi twoja szybkość i siła.

- Tak - zgodził się Henry. - „Areszty”, jakie znałem, są już przeszłością.

Potrzebuję twojej wiedzy. Moje uczucia nie są ważne, ważna jest ona.

Niewypowiedziane słowa odbiły się między nimi tak głośnym echem, że aż dziwne, że nie zaalarmowały obstawiających budynek policjantów i nie sprowadziły ich do mieszkania.

## ROZDZIAŁ 15

No więc jak zgasną światła, przejdiesz przez mur, przez dziedziniec, do wyjścia ewakuacyjnego i...

- Trzy piętra w górę i przez pierwsze drzwi ewakuacyjne po lewej. Pamiętam twoje instrukcje, detektywie. - Henry wysiadł z bmw i spojrzał na siedzącego za kierownicą Celluciego. - Jesteś pewien, że dasz radę dostać się do generatora?

- Nie martw się o mnie, po prostu bądź gotów. Nie będziesz miał wiele czasu. Jak tylko odetnę zasilanie, wszyscy strażnicy pójną do bloku A i zaczną zamykać wszystko zgodnie z procedurą awaryjną, Vicki jest w D, tam dojdą na końcu. Będziesz też musiał sobie poradzić z innymi kobietami na bloku. Jest ósma, więc jeszcze nie będą w celach...

- Michael...

Celluci zamarł. Coś w sposobie, w jaki Fitz-roy wypowiedział jego imię, sprawiło, że zamilkł i podniósł głowę. Chociaż wiedział, że oczy Hen-ry'ego są piwne, teraz wydawały się o wiele ciemniejsze, zupełnie jakby wciągnęły w siebie mrok

- Chcę ją stamtąd wydostać tak tamo mocno jak ty. Uda nam się. Uwolnimy ją. W ten czy inny sposób.

Słowa, ton głosu, człowiek, który je wypowiadał -to wszystko nie zostawiało miejsca na protesty czy wątpliwości. Celluci skinął głową, wbrew wszystkiemu nagle uspokojony. Tak jak kiedyś w kuchni domu na fermie przemknęło mu przez głowę: „Mam słuchać... autora romansów? Taaa, jasne, już lecę”. Ale protest zabrzmiał jakoś słabo. Oblizał wargi i spuścił wzrok, świadom, że robi to tylko dlatego, iż Fitzroy mu pozwala. Co dziwne, siła tamtego nie wzbudzała w nim niechęci.

- Nie będziesz miał wiele czasu, nim włączy się zasilanie awaryjne, więc musisz uwinąć się szybko.

- Wiem.

Detektyw nacisnął pedał gazu.

- Eee... uważaj na siebie - rzucił.

- Będę uważał.

Henry spoglądał za odjeżdżającym autem, póki tylne światła nie zniknęły za

rogiem, a potem powoli przeszedł przez jezdnię, kierując się w stronę więzienia. Jego spodnie i buty z miękkimi podeszwami były czarne, ale sweter z golfem miał głęboki, soczysty odcień bordo. Nie ma sensu bardziej przypominać przeciętnego przechodnia, niż to konieczne. Zabrał też czarną wełnianą czapkę, żeby schować pod nią włosy. Już dawno zrozumiał, że jasne włosy u wampira są wadą, gdy musi skradać się w mroku.

Z dość bliska dochodziły odgłosy ruchu ulicznego, dźwięki radia, płacz dziecka, rozmowy ludzi, którzy nie zwracali uwagi na to, że niedaleko od ich miejsca zamieszkania inni ludzie siedzą w klatkach. Albo zapomnieli, że tak jest. Henry wyciągnął rękę i delikatnie dotknął muru, odwracając spojrzenie wrażliwych oczu od ostrego światła reflektorów.

Lochy, więzienia, areszty niewiele się od siebie różniły. Wyczuwał żal, bunt, gniew, rozpacz - to wszystko wsiąkło w cegły. Każde życie, które przebywało tu w zamknięciu, zostawiło swój mroczny znak. Henry nigdy nie rozumiał teorii głoszącej, że tortura odosobnienia i ograniczenia wolności jest kara łagodniejsza niż śmierć.

- Dostali szansę poprawy - zaprotestowała Vicki, kiedy zaczął się z nią o to kłócić, przeczytawszy artykuł o karze śmierci.

- Byłaś w miejscowych więzieniach - wytknął. - Jaką szansę poprawy one dają? Nigdy nie żyłem w czasach, w których ludzie tak lubią się okłamywać.

- Jasne, lepiej brać przykład z twojego ojca i przykuwać więźniów do ściany, niech czekają, aż uznamy, że czas im ściąć głowy.

- Vicki, nigdy nie twierdziłem, że stare sposoby były lepsze. Mój ojciec przynajmniej nie obrażał tych, których kazał uwieźć, wmawiając im, że czyni to dla ich dobra.

- Robił to dla swojego dobra - prychnęła i odmówiła dalszej dyskusji.

Znalazłszy miejsce, w którym zamierzał przejść przez mur, Henry szedł dalej, póki nie przekroczył linii pomiędzy światłem a ciemnością. Wtedy przystanął i czekał. Wierzył, że Celluci zdoła odciąć zasilanie. Wierzył w to mocniej niż Celluci w to, że on jest w stanie wejść do środka i wyciągnąć Vicki - ale cóż, detektyw musiał się jeszcze nauczyć, jak patrzeć na świat bez mgły zazdrości zasłaniającej oczy.

Oboje, Mike Celluci i Vicki Nelson, byli do siebie bardzo podobni. Oboje mieli swoją wizję prawa. Henry zauważał tylko jedną podstawową różnicę: Vicki łamała prawo dla ideałów, Celluci dla niej. To ona, nie zasady prawa, sprawiła, że milczał na temat tego, co się zdarzyło w sierpniu w London. To jej osobowość, a nie zasady prawa, sprowadziła go tu tej nocy - mimo że nie podobało mu się to, co mieli zamiar zrobić.

Henry uznał, że sytuacja nie uległaby poprawie, gdyby wyznał Celluciemu, że już wcześniej podejmował podobne działania...



Henry'ego nie było w Anglii, kiedy Henry Howard hrabia Surrey został aresztowany. Ponieważ wiadomość długo do niego wędrowała, a podróż powrotna była skomplikowana z racji jego natury, dotarł do Londynu siedemnastego stycznia, dwa dni przed egzekucją. Pierwszą noc spędził nerwowo zbierając informacje. Osiemnastego, godzinę po zachodzie słońca, posilił się szybko w dokach, a potem stanął i spojrzął na czarne kamienne mury Tower.

Początkowo Surreyowi dano celę w widokiem na rzekę, lecz podjęta przez niego próba ucieczki przez wygódkę w czasie odpływu sprawiła, że przeniesiono go do mniej wystawnych wewnętrznych komnat Z miejsca, w którym stał. Henry ledwie widział migotanie światła w jego oknie.

- Nie - szepnął do nocy. - Nie sądzę, żebyś spał, ty arogancki głupku, nie teraz, kiedy rano czeka na ciebie topór.

Uznał, że nie ma sensu przechodzić przez mur -choć trochę żałował tego brawurowego gestu -i niczym cień wewnątrz cieni przemknął obok środka, zamykając za sobą drzwi. Jeżeli od czasów, gdy przebywał na dworze, nie zmieniło się wiele, to strażnicy nie zajrzą tu do świtu - a o świcie oni będą już daleko.

Przez chwilę stał, napawając się widokiem i zapachem najdroższego przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miał, uświadamiając sobie, jak bardzo mu go brakowało. Smukła postać odziana w czern siedziała przy drewnianym stole koło wąskiego okna. Jedynym źródłem światła była łojowa świeczka. Masywna żelazna obręcz, umocowana łańcuchem do sworznia w podłodze, otaczała smukłą łydkę więźnia. Pisał coś niedawno - Henry czuł świeży jeszcze zapach atramentu - ale teraz siedział z głową opartą na ramieniu i rozpaczą wypisaną na zgarbionych plecach. Henry poczuł, jak ściska mu się serce, i musiał się powstrzymać, by nie podbiec i nie objąć go. Postąpił krok do przodu.

- Surrey - powiedział miękko. Uniósł gwałtownie głowę.

- Richmond...? - Odwrócił się do niego. Oczy miał rozszerzone ze strachu, a kiedy zobaczył, kto stoi w jego celi, umknął pod najdalszą ścianę, grzechocząc łańcuchem po podłodze i pojękując. - Czy jestem już tak bliski śmierci - zawodził - że umarli do mnie przychodzą?

Henry uśmiechnął się.

- Jestem z krwi i kości, tak jak ty. A nawet bardziej, tobie trochę wagi ubyło.

- Cóż, kucharz stara się jak może, ale nie jestem przyzwyczajony do takich posiłków. - Dłonią o smukłych pakach przecesał włosy lekceważącym ge-

stem, który Henry tak dobrze pamiętał. Zaraz tą samą dłonią zakrył oczy. - Oszalałem. Żartuję sobie z duchem.

- Nie jestem duchem.

- Udowodnij.

- Dotknij mnie. - Henry podszedł bliżej, wyciągając ręce.

- Dotknąć cię i stracić duszę?... Nie ma mowy! -Surrey uczynił znak krzyża i wyprostował się. - Podejdź bliżej, a zawołam strażę.

Henry zmarszczył brwi. Nie tak to sobie zaplanował.

- No dobrze. Dowiodę tego, nie dotykając cię... -Zastanowił się chwilę. -

Pamiętasz, co powiedziałaś, gdy obserwowaliśmy egzekucję drugiej żony mojego ojca, twojej kuzynki Anny Boleyn? Powiedziałaś, że chociaż Jej egzekucja była nieunikniona z punktu widzenia racji stanu, żałujesz tej nędznicy i masz nadzieję, że w piekle pozwolą jej się śmiać, bo zawsze uważałaś, że jej śmiech jest piękniejszy od jej twarzy.

- Duch Richmonda by o tym wiedział. Powie-

- No dobrze - powtórzył Henry. Całe szczęście, stwierdził, że przyszedł wcześniej, bo to mogło potrwać całą noc - Napisałaś to już po mojej śmierci, a wierz mi, Surrey, w niebie twoich wierszy nie recytują. - Odchrząknął i zaczął deklamować: - „Sekretne myśli w zaufaniu zdradzane, beztroskie spacer, przeróżne zabawy, przysięgi przyjaźni wszystkie dochowane, którymiśmy odegnali mrok nocy zimowej...”

„Miejsce błogosławione, wdzięczny kompan, który ze mną dzielił radosne żalności, kłótnie przyjazne...” - Surrey postąpił krok. Drżał tak bardzo, że łańcuch przy jego nodze aż podzwaniał. - Napisałem to dla ciebie.

- Wiem. - Miał kopie niemal wszystkiego, co napisał Surrey. Wystawny tryb życia, jaki prowadził hrabia, oznaczał, że jego słudzy często nie mogli doczekać się wynagrodzenia, a to sprawiało, że łasi byli na dodatkowy zarobek.

„Dumnym Windsorem byłem, a me dzieciństwo w radości i sprawiedliwości z synem króla spędzone...” Richmond...? - Ze łzami w oczach Surrey rzucił się naprzód, a Henry objął go mocno.

- Widzisz? - szepnął w ciemne loki. - Mam ciało, żyję i przyszedłem cię stąd wyciągnąć.

Przez chwilę Surrey nieskładnie wyrażał na przemian swoją radość i żal, po czym odsunął się i wycierając policzki dłonią, zmierzył przyjaciela wzrokiem.

- Nie zmieniłeś się - powiedział, a na jego twarzy znowu pojawił się strach. - Wyglądasz tak samo jak wtedy, gdy... gdy miałaś siedemnaście lat.

- Ty też się mało zmieniłeś. - Chociaż jedenaście lat dodało mu ciała, a dworska moda uzupełniła jego wygląd o wąsy i długą kręconą brodę, twarz i zachowanie Surreya pozostały niezmienione. Henry z łatwością mógł uwierzyć, że przyjaciel wpakował się w kłopoty. Zawsze był dziki, beztroski, niedojrzały nawet w wieku dziewiętnastu lat. Teraz, gdy zbliżał się do trzydziestki, wciąż był dziki, beztroski i niedojrzały. - A jeśli chodzi o to, że ja

się nie zmienilem, to długa historia.

Surrey usiadł na łóżku i nie bez trudności podniósł nogę z łańcuchem na siennik.

- Nigdzie się nie wybieram - zauważył, unosząc sardonicznie hebanowe brwi. Henry sobie uświadomił, że tak właśnie jest. Nie wybierał się nigdzie, póki jego ciekawość nie zostanie zaspokojona. Jeśli chce go ocalić, musi powiedzieć mu prawdę.

- Pojechałeś do Kenninghall, by pobyć z Fran-ces, a mnie jego wysokość wysłał do Sheriffhuton -zaczął.

- Pamiętam.

- Poznałem tam kobietę...

Surrey roześmiał się i chociaż na pozór był spokojny, w jego głosie pobrzmiwała nutka hysterii.

- Tak słyszałem.

Henry cieszył się, że już się nie może rumienić. W przeszłości słysząc coś takiego, oblewał się szkarłatem. Po raz pierwszy od swojej przemiany opowiadał tę historię, nie spodziewał się, że będzie to aż tak trudne. Podszedł do stołu i mówił, wyglądając przez okno w mrok i jedną dłonią poprawiając papiery Surreya. Kiedy skończył, odwrócił się w stronę pryczy.

Surrey siedział na jej skraju z głową ukrytą w dłoniach. Powoli podniósł wzrok, jakby czuł na sobie ciężar spojrzenia Henry'ego.

Furia i rozpacz widoczne na jego twarzy sprawiły, że Henry cofnął się o krok.

- Surrey...? - zapytał niepewnie. - Jesteś wampirem?

- Tak...

Surrey wstał i przez chwilę próbował znaleźć słowa.

- Zdobyłeś nieśmiertelność - powiedział wreszcie - i pozwoliłeś mi wierzyć, że nie żyjesz.

Zaskoczony Henry uniósł ręce, jakby słowa były ciosami, przed którymi musi się osłonić.

- Śmierć, w którą pozwoliłeś mi wierzyć, zostawiła we mnie ranę dotąd krwawiącą - ciągnął Surrey głosem drżącym od emocji. - Kochałem cię. Jak mogłeś mnie tak zdradzić?

- Zdradzić...? A jak mogłem ci powiedzieć? - Jak mogłeś nie powiedzieć? - Ściągnął brwi,

w jego głosie pojawiła się gorycz. - A może myślałeś, że nie możesz mi ufać?

Że cię zdradzę? - Wyczytał odpowiedź z twarzy Henry'ego. - Tak myślałeś.

Nazywałem cię bratem mego serca, a ty myślałeś, że zdradzę twoją tajemnicę świata.

- Też cię tak nazywałem i kochałem tak samo, jak ty kochałeś mnie, ale znałem cię dobrze, Surrey, i wiedziałem, że tego sekretu nie zdołasz utrzymać.

- Ale teraz, po skazaniu mnie na jedenaście lat smutku, ufasz mi?

- Przyszedłem cię uwolnić. Nie mogłem pozwolić ci umrzeć...

- Czemu? Bo moja śmierć skazałaby cię na taki sam żal, jaki ja nosiłem w sercu tak długo? - Wziął głęboki oddech i zamknął oczy. Gardło mu drżało, kiedy próbował powstrzymać łzy, które czały się na krawędzi każdego słowa. Po chwili odezwał się tak cicho, że gdyby Henry był śmiertelnikiem, nic by nie usłyszał. - Zachowam twoją tajemnicę. Zabiorę ją ze sobą do grobu. - Uniósł głowę i dodał odrobinę głośniej: - Jutro.

- Surrey...!

Niestety, Henry błagał, prosił, padł na kolana, oferował nieśmiertelność - nic nie było w stanie zmienić jego zdania.

Surrey go ignorował.

- Umieranie po to, żeby się na mnie zemścić, to głupota!

- Richmond, jakiego znałem, ten, który był mi bratam, umarł jedenaście lat temu. Opłakiwałem go.

Wciąż opłakuję. Ciebie tu nie ma.

- Mógłbym cię zmusić - powiedział wreszcie. - Mam moc, której nie zołasz się oprzeć.

— Jeśli mnie zmusisz -? rzekł Surrey z nienawidzę cię.

Na to nie miał żadnej odpowiedzi.

Został i przekonywał Surreya, póki nadchodzący wschód słońca nie zmusił go do odejścia. Następnej nocy wkroczył do kaplicy w Tower, otworzył niezapieczętowaną trumnę, która zawierała oddzielone od siebie głowę i tułów Henry'ego Howarda hrabiego Surrey. ucałował blade wargi i odciął kosmyk włosów. Jego natura nie pozwalała mu na płacz. Nie był pewien, czy roniłby łzy, nawet gdyby mógł.



- Sat superest, wystarczy triumfować. - Henry otrząsnął się ze wspomnień. - Powinienem był przyjąć motto Surreya jako własne, wepchnąć mu je do gardła i wynieść go stamtąd przerzuconego przez ramię. - Teraz był starszy, pewniejszy siebie i swoich racji, mniej podatny na histerię innych. - Powinienem był mu pozwolić mnie nienawidzić, przynajmniej by żył i mógł to robić. - Wiedział, że Vicki nie byłaby taka głupia. Gdyby to ona była w Tower zamiast Surreya, najpierw zajęłaby się wydostaniem stamtąd, potem mogłaby go znenawidzić.

Poza tym wątpliwe, by tej nocy protestowała, kiedy będzie ją ratował.

Jeśli tylko jest przy zdrowych zmysłach.

Starał się nie myśleć o tym, co narkotyk mógł z nią zrobić. Niemal w tej samej chwili zgasły reflektory oświetlające areszt.



Vicki spędziła popołudnie, ustalając na słuch i dotyk granice swojego więzienia. O dziwno, kiedy zrezygnowała z korzystania ze wzroku i używała oczu tylko po to, by spojrzeć na coś z bardzo bliska, radziła sobie lepiej, nie gorzej. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zaczęła w ciągu ostatniego roku polegać na pozostałych zmysłach, póki nie musiała tylko im za-wierzyć. Bez okularów jej wzrok - czy też jego brak -stał się bardziej utrudnieniem niż pomocą.

Po zejściu pod prysznicami Lambert triumfalnie powróciła do oglądania telewizji, ale Natalie deptała Vicki po piętach, a jej chrapliwy oddech niekiedy wręcz zagłuszał dźwięki dochodzące z czterech telewizorów i okrzyki oglądających je kobiet. Reklamy zdawały się wywoływać największy entuzjazm. Vic-ki zastanawiała się, czy to dlatego, że fabuła reklam jest zrozumiała dla największej liczby więźniarek.

Co jakiś czas Natalie wyciągała rękę i szczypała z całej siły Vicki, która z racji tego, że narkotyk wciąż osłabiał jej kontrolę nad mięśniami, nie była wystarczająco szybka ani skoordynowana, by uniknąć ataków. Za piątym razem odwróciła się i gestem przywołała swoją dręczycielkę bliżej.

- Jak znów to zo-o-obisz - powiedziała, wypowiadając słowa tak wyraźnie, jak tylko była w stanie - złapię cię za e-e-ekę, przyciągnę i u-u-uwę ci ucho. A potem każę ci je zjeść. O-o-ozumiesz?

Natalie zachichotała, lecz uszczyplenia stały się rzadsze, a w końcu Wills poszła oglądać „Familia-de”. Vicki nie była pewna, czy to jej groźba podziała, czy Natalie po prostu się znudziła i szuka sobie innej ofiary.

Nim nadszedł czas kolacji, Vicki uznała, że jest tylko jedna droga na zewnątrz. Z tyłu, za prysznicami, było wyjście ewakuacyjne. Większość więźniarek nawet nie wiedziała, że coś takiego tu jest, ale dziewięć lat spędzonych w policji dawało Vicki przewagę. Areszt Metro West był jedynym aresztem dla kobiet w całym mieście i mimo że sytuacja zmieniała się z roku na rok, w policji wciąż służyło o wiele mniej kobiet niż mężczyzn. Policjantki spędzały bardzo dużo czasu w Metro West.

Problem w tym, że drzwi otwierały się do środka, nie miały klamki ani



niczego, za co można by pociągnąć, a zamek był wielki i metalowy. Obmacawszy go pośpiesznie, Vicki uznała, że każdy przyzwoity fachowiec otworzyłby go w kilka sekund. Oczywiście trudność tkwiła w braku wytrychów i okazji.

Po kolacji, podczas sprzątanania, kiedy zostały pozamykane w celach, Vicki siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i w zamyśleniu sprawdzała materac. Materace leżące na pryczach były solidne i nie dało się ich użyć w żadnym innym celu jak tylko do oddzielenia śpiącego ciała od desek, ale te dodatkowe, rzucone na podłogę, pochodziły z zapasów wojska. Nie były zbyt grube ani wygodne, lecz wydawało jej się, że mają metalowe sprężyny. Z czasem zdoła wydlubać jedną...

Tylko że nie miała czasu. Psychiatra przyjdzie jutro po południu, a ją przeniosą z bloku specjalnego do normalnego - ponieważ zaś mumia kontroluje policję, stamtąd na pewno nie zostanie uwolniona. Uciec ze zwykłego bloku nie będzie łatwo. A skoro o tym mowa, to przeżyć w nim też nie. Więcej więźniarek ją rozpozna, a tragiczne „wypadki” często przydarzały się gliniarzom, którzy znaleźli się po drugiej stronie. Będzie musiała przekonać psychiatrę, że jej miejsce jest tutaj.

Uśmiechnęła się. Udawanie wariatki na pewno doprowadzi Lambert do szaleństwa.

- Co się, kurwa, śmiejesz?

Vicki odwróciła się w kierunku, skąd dobiegł ją głos Lambert, i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Właśnie sobie myślałam - powiedziała, starannie pilnując każdego słowa, które zdołała wypowiedzieć - że w kraju ślepców jednooki jest królem.

- Pierdolona wariatka! - warknęła Lambert.

- Cieszy mnie, że tak uważasz.

Nie widziała wyrazu twarzy Lambert, ale usłyszała, jak Natalie schodzi ze swojej pryczy. Powietrze zafalowało, kiedy ogromna kobieta ruszyła ku niej. O kurde...

Opanowała przemożne pragnienie, by usunąć się. To i tak nie zapobiegnie nieuniknionemu. Poza tym nie mam zamiaru dać Lambert satys... Uderzenie otwartą dłonią odrzuciło jej głowę do tyłu i niemal pozbawiło przytomności. Kiedy się wyprostowała, próbując zignorować dzwonienie w uszach, stała przed nią zamazana góra czegoś niebieskiego - Natalie.

Po lewej usłyszała śmiech Lambert.

- Chcesz się bić? Będzie ubaw! Natalie, podo-kuczaj jej!

Natalie zachichotała.

- Sprzątanie skończone! - Słowom strażniczki zawtórował dźwięk otwieranych drzwi. - Wszyscy wychodzić! Roberts, ubierz się.

- Ale mnie swędzi.

- Nie obchodzi mnie to. Ubieraj się.

Natalie zatrzymała się. Lambert dołączyła do niej, pojawiając się w

ograniczonym polu widzenia Vicki.

- Później - obiecała, klepiąc ogromny biceps. -Później jej podokuczasz. A na razie usiądziecie sobie z nami i obejrzymy „Koło fortuny”.

- O Boże... Już wolałabym oberwać - warknęła Vicki, próbując wyrwać ramię z uchwytu Natalie.

Lambert pochyliła się tak, żeby Vicki widziała jej uśmiech.

- Później - obiecała znowu.

Billy Bob Dickey z Tulsy w Oklahomie właśnie kupił samogłoskę, kiedy zgasły światła, przerywając hostessie przekręcanie czwartego „e”. Na bloku zapanował absolutny chaos.

- Zachować spokój! - wrzaski strażniczeki ledwie było słycać nad krzykami będącymi mieszaniną strachu, furii i hysterii. - Z powrotem do cel. Już!

Vicki nie miała pojęcia, ile widzą pozostałe kobiety, sądząc jednak po odgłosach, nawet te z normalnym widzeniem nocnym były prawie ślepe.

Strażnicy, o czym wiedziała, pognają teraz do bloku A, żeby dokonać zamknięcia awaryjnego. Bloku D przez kilka następnych minut nikt nie będzie pilnował

Królestwo za zestaw wytrychowi... Bóg zsyła mi szantę, a ja jej nie mogę wykorzystać... Jezu! Odskoczyła, gdy stół przewrócił się na bok pod ciężarem jednej ze spanikowanych więźniarek. Te graty trzymają się na słowo honoru.

- Gdzie leżesz, kurwa? - warknęła Lambert. -Ja mówię, kiedy wychodzimy.

Natalie, sprowadź ją z powrotem.

- Nie widzę - zaprotestowała Natalie. Drewno westchnęło z ulgą, gdy wstała.

- No to co? Ona też nie!

Vicki poczuła drgnienie powietrza i ustąpiła tamtej z drogi.

- „Zaufaj mi, rzekł, i idź. Jak dziecko za nim podążyłem - ślepiec zaprowadził mnie do domu”.

- Co ty, kurwa, pierdolisz?

- To wiesz - odparła Vicki, z łatwością unikając Natalie. Wielka kobieta każdym swoim ruchem wywoływała niemal sztorm tropikalny w otaczającym ją powietrzu. - Williama Henry'ego Daviesa. Chodziło mu, jak sądzę, o to, że jeśli wszyscy oślepną, to ci z pewną praktyką mają przewagę. - Uśmiechnęła się, pochyliła i użyła rozpędu Natalie przeciw niej, przerzucając ją przez swoje ramię i w powietrze.

Trzask pękającego drewna powiedział Vicki, że jej olbrzymia dręczycielka trafiła na przewrócony

- Mam... nadzieję... że... bolało - wydyszała. Kolana odmówiły jej posłuszeństwa i opadła na ziemię, próbując odzyskać oddech. Dobry Boże, ona waży ze sto osiemdziesiąt kilo, zadziwiająco, co może działać adrenalina.

Jej palce natrafiły na piętnastocentymetrową drzazgę. Wciąż oddychając ciężko, podniosła ją. Sądząc po rozrzucie szczątków, stół został kompletnie strzaskany. Jezu Chryste! To mogło kogoś zabić. Kucnęła i spróbowała

złamać drzazgę, oparłszy ją o podłogę. Zgięła się, ale nie pękła. To chyba nie sosna... Typowe dla miasta: kupić do aresztu dębowe stoły, a potem pozwolić im się rozsypać. Nagle serce zabiło jej mocniej, zagłuszając chaos wokoło. Dąb. Mocne drewno. Długa drzazga z cienkim, elastycznym końcem.

„Nie. Nie ma mowy. Zamek jest wielki i marny, jasne, ale tylko idiota próbowałby go otworzyć kawałkiem drewna. Nie”.

Dlaczego nie?

„Zbyt dużego wyboru i tak nie mam”.

Wstając, otarła się o ciało innej kobiety, stojącej tak blisko, że wdychały to samo powietrze. Drobne silne palce wbiły się w jej przedramię.

- Kurwa, Natalie rozbije cię na kawałeczki!

Zasilanie awaryjne niedługo zacznie działać. Vic-ki wiedziała, że nie ma zbyt wiele czasu, pewnym pokusom jednak nie mogła się oprzeć.

- Nie powinnaś była podchodzić tak blisko - powiedziała, wyszarpnęła rękę, wykręciła Lambert ramię i silnym kopniakiem posłała ją w stronę pomagierki. Zduszone stęknienie, przekleństwo i jęk bólu powiedziały jej, że trafiła do celu. Pośpiesznie skierowała się w stronę pryszniców.

„Już pewnie skończyli z blokiem A, pewnie teraz robią swoje w B. Krucho z czasem...”.

Przeźren między barierką a ścianą była szeroka na mniej niż trzy metry.

Vicki rzuciła się w otwartą rozpadlinę, jaka się przed nią rozciągała, nie zważając na nic. Uniknięcie kilku siniaków nie było warte tego, by spędzić kolejną noc za kratkami. Uderzyła w ścianę z taką siłą, że się od niej odbiła, a potem nerwowo zaczęła szukać ukrytych drzwi.

Szczęk stalowych drzwi przebił się przez zamieszanie za jej plecami.

Podskoczyła, niemal upuszczając drzazgę.

„Jeśli już doszli do bloku C...”.

Wreszcie jej palce znalazły zamek. Upadła przed nim na kolana.

„A skoro już i tak jestem na klęczkach, mogę od razu zmówić modlitwę, bo i tak nie... o kurde”. Pierwszy bolec puścił.

„Chryste, mogłabym to nawet paznokciem otworzyć. Jak już stąd wyjdę, porozmawiam sobie z kimś poważnie. Te stoły to śmiertelna pułapka, a ten zamek to jakiś żart. Bardzo prawdopodobne, że areszty dla mężczyzn są bardziej zadbane”.

Drugi bolec puścił.

„To hańba”.

Słyszała, jak jeden ze strażników krzyczy coś o środkach uspokajających. Głos dochodził z bliska.

„Cholera...” Dłonie miała śliskie od potu i drewno zaczynało pękać. „Dobra”, Strażnicy byli już na bloku C. Nagle oddychanie stało się strasznie trudne.

„Już prawie”. Ktoś wszczął bójkę.

„Dajcie im łupnia, spowolnijcie ich ich i...”

Czy z tyłu nie słyszy Natalie...? Nie, to tylko echo jej przyspieszonego oddechu, wciągania powietrza śmierdzącego wilgocią spod pryszniców. „Już...”.

Chociaż zamek był otwarty, drzwi pozostały zamknięte. Vicki uświadomiła sobie, że nie ma jak ich otworzyć.

- Nie! - Jedna kostka jej pękła od siły uderzenia.

Musiała uskoczyć, kiedy drzwi nagle się przed nią otworzyły.

Nie mogła z nikim pomylić właściciela ręki, która przytrzymała ją, ratując przed upadkiem, ani objęć, w których się nagle znalazła. Adrenalina buzowała jej w każdej komórce ciała, tak że niemal siłą uwolniła się z jego ramion.

- Cholera, Henry! - Zaczęto się straszliwie trząść. Chyba wskutek furii. - Co ci, kurwa, zajęło tyk czasu?



Prysznic szumiał od dłuższego czasu. Kiedy wreszcie woda została zakręcona, dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie przez długość pokoju.

- Znasz ją dłużej - powiedział miękko Henry. - Wszystko z nią w porządku?

- Tak sądzę.

- Wydaje się tylko, że ona... - rozłożył ręce.

- Nic nie czuje?

- Tak.

- To wszystko w niej siedzi. Tylko schowane za gniewem.

- Ma prawo być wściekła. Celluci spojrzał na niego spode łba.

- Nie powiedziałem, że nie.

W drodze do mieszkania Henry'ego opowiedziała im w skrócie, co się z nią działo. Obaj słuchali w milczeniu, domyślając się, że przerwanie jej czy to pytaniem, czy jakimś okrzykiem ukróciłoby ten potok słów. Kiedy skończyła, Celluci natychmiast zaczął planować, co zrobi Gowanowi i Mallardowi, lecz Vicki spojrzała na niego przez szkła zapasowych okularów, które jej przywiózł, i oznajmiła:

- Nie. Nie wiem jeszcze, jak i kiedy ich dopadnę, ale zemsta jest moja. Nie twoja. Moja. - Jej ton nie pozostawiał wątpliwości, że Gowan i Mallard zapłacą co do grosza za to, co zrobili. - I chcę dopaść Tawfika - dodała po chwili takim tonem, aż Henry'ego przeszedł dreszcz.

Odwrócili się do niej, kiedy kulejąc weszła do pokoju, Mokra włosy miała zaczesane do tyłu, kolorowy siniak na jednej stronie jej twarzy kontrastował z

bladym policzkiem na drugiej. Dłoń, którą wygładzała przód bluzy, miała owiniętą bandażem.

„Widziałem fanatyków religijnych”, pomyślał Henry, gdy Vicki podeszła do okna, „mieli identyczny wyraz twarzy”. Mężczyźni znowu wymienili spojrzenia. Nie wyglądała na zgnębianą - poruszała się tak, jakby lada chwila miała eksplodować.

- Zanim zaczniemy - powiedziała, spoglądając na noc za oknem - zamówcie mi pizzę. Umieram z głodu.



- Wciąż nie wiemy - powiedział Celluci, dla podkreślenia swoich słów wymachując obgryzionym brzegiem pizzy - skąd Tawfik dowiedział się o Vicki.

- Kiedy Cantree powiedział mu o tobie, Tawfik nie miał problemów z wyciągnięciem informacji o niej z jego głowy. - Henry, chodzący po pokoju, zatrzymał się i spojrzał na Celluciego. - Cantree mógł przypuszczać, że cokolwiek wiesz, powiedziałeś to Vicki, a Tawfik musiał uznać, że trzeba zlikwidować wszystkie utrudnienia.

- Tak? Skąd taki rozwinięty scenariusz? - Celluci wrzucił brzeg ciasta do pudełka i wstał, wycierając dłonie. - Czemu nie pozbył się jej tak jak Trembley? Bum i po sprawie.

- Nie wiem.

- Wydaje mi się, że spędziłeś na rozmowie z Taw-fikiem co najmniej tyle czasu co Cantree. Skąd wiemy, że nic mu nie powiedziałeś?

- Bo... - pauzę wypełniło coś bardzo bliskiego groźbie - nie powiedziałem. Celluci walczył z rosnącym pragnieniem, by spuścić wzrok, i mówił dalej, coraz głośniej.

- Wiemy, że może mieszać ludziom w głowie. Personel muzeum to najlepszy dowód. Skąd mamy wiedzieć, czy z twojej głowy nie wyciągnął czegoś na jej temat?

- Nie! Nie zdradziłbym jej.

Celluci zmrużył oczy, kiedy uświadomił sobie, co jest źródłem bólu, który słychać było w głosie Hen-ry'ego. Nie, on by jej nie zdradził. Kocha ją. Naprawdę ją kocha. Sukinsyn. I boi się, że mógł to zrobić. Że Tawfik z jego głowy mógł wyciągnąć wszystko o Vicki.

- Zauważyłbyś, gdyby to zrobił? - To pytanie trzeba było zadać. I wcale nie

chodziło mu o kopanie leżącego. W każdym razie tak mu się wydawało.

- Śmiertelniku, nikt nieproszony nie wchodzi do mojego umysłu! - oświadczył, aczkolwiek Tawfik wszedł do niego przez samo to, że istniał, a Henry nie miał właściwie pojęcia, co kapłan-czarownik znalazł w jego głowie. Mimo deklarowanej pewności słychać to było w jego głosie.

- Dość! - Vicki poderwała się z krzesła, wycierając wierzchem dłoni tłuszcz z ust. - Nieważne, skąd on o mnie wie. Już po wszystkim. Teraz liczy się tylko znalezienie Tawfika i pozbycie się go. Henry, mówiłeś, że kobieta, która wyszła z biblioteki prokuratora, zanim Cantree tam wszedł, pożegnała się mówiąc, że zobaczą się na ceremonii.

- Tak.

- A sam Tawfik ci powiedział, że najważniejsze to jak najszybciej zebrać akolitów i zaprzysiąc ich przed jego bogiem.

- Tak.

- Skoro już wiemy, że pierwszą grupę akolitów zebrał wśród najwyżej postawionych oficerów policji miasta i prowincji, lepiej powstrzymajmy go, nim dojdzie do ceremonii.

- Skąd wiemy, że jeszcze nie doszło? Vicki prychnęła.

- Tymi powiedz. Przez kilka ostatnich dni byłam trochę wyłączona z życia.

- Przyjęcie było w sobotę. Tawfik rozmawiał ze mną w niedzielę... - „Minęły tylko dwa dni?”. - W poniedziałek... - „Dlaczego nie przyszedł?” - zastanowił się Henry. „Czy już jest za późno?”

- Jeśli to ma jakieś znaczenie - podsunął Celluci - to Cantree był wczoraj w nocy w domu.

- Skąd wiesz?

- Obserwowałem jego dom.

- Rozważałem, czy nie pójść i nie zapytać go, co się, kurwa, dzieje,

- Poszedłeś? - Nie.

- Dlaczego?

- Bo przypomniałem sobie, co się stało z Trem-bley, i uznałem, że przyczajenie się i siedzenie cicho to lepszy plan. Jasne? - rzucił w stronę Henry'ego, a potem mówił dalej: - O wiele bardziej przydałyby nam się informacje, które ty mogłeś zdobyć od Taw-fika podczas waszej małej pogawędki. No, chyba że byliście tak pochłonięci wymienianiem się doświadczeniami na temat tego, jak to jest być dzieckiem nocy, że zapomniałeś, że ten sukinsyn to morderca.

Jestem nieśmiertelny tak jak ty Richmond. Ni-gdy się nie zestarzeję, nigdy nie umrę, nigdy cię nie opuszczę”.

Celluci odczytał tę myśl z twarzy Henry'ego. Poderwał się z krzesła i rzucił się przez pokój.

- Ty draniu, tak było, prawda?

Henry zatrzymał go wyciągniętą ręką. Celluci, chwając się, stanął gwałtownie, zupełnie jakby uderzył w ścianę. Przez jedną chwilę Henry chciał

zmusić go, żeby zrozumiał. A potem ta chwila minęła.

- Nigdy nie zakładaj - powiedział, spoglądając Mike'owi w oczy, zmuszając go, by stał i słuchał - że wiesz, co robię i dlaczego to robię. Nie jestem taki jak ty. Prawa, którym podlegam, nie są prawami, które tobą rządzą. Ty i ja jesteśmy od siebie bardzo, bardzo różni. Tylko dwie rzeczy nas łączą: nieistotne, o czym rozmawiałem z Tawfikiem i jak na to zareagowałem. To już się zmieniło. Skrzywdził jednego z moich ludzi, a na to nie pozwolę.

Kiedy Henry opuścił rękę, Celluci zachwiał się. Miał dziwne uczucie, że upadłby, gdyby Henry nie wbijał w niego spojrzenia, póki nie odzyskał równowagi.

- A ta druga rzecz? - Odgarnął włosy z twarzy.

- Detektywie... - Henry celowo przymknął oczy, pozwalając Celluciemu odwrócić wzrok, gdyby ten zechciał. - Nie próbuj mi wmówić, że nie wiesz, czym... kim obaj się... interesujemy.

Przez chwilę mierzyły się dwie pary piwnych oczu. Wreszcie Celluci westchnął.

-Jeśli już skończyliście - warknęła Vicki, opierając się o okno i krzyżując ręce na piersi - to możemy kontynuować?

- Skończyliśmy? - prychnął cicho Celluci, odwracając się i idąc z powrotem do kanapy. - Coś mi mówi, żeśmy dopiero zaczęli. - Odsunął pudełko po pizzy i usiadł. Kanapa jęknęła pod jego ciężarem. - Ceremonii zwykle nie odprawia się ot, tak. Większość religii ma całoroczną rozpiskę. Vicki skinęła głową.

- Słuszna uwaga. Henry?

- Powiedział „niedługo”. Żadnych konkretów.

- Cholera, musi być jakiś sposób, żebyśmy mogli się dowiedzieć czegoś o starożytnych egipskich rytuałach. - Zmrużyła oczy. - Mike...

- Nie licz na mnie. Ze starożytnym Egiptem miałem do czynienia tylko na wystawie dotyczącej Tu-tanchamona. A to było dawno.

- Och, nie, miałeś ze starożytnością o wiele więcej do czynienia - uśmiechnęła się Vicki. Nigdy nie sądziła, że będzie się cieszyła z tego, że Celluci podrywa inne kobiety. - Co z twoją przyjaciółką, doktor Shane?

- Rachel?

- Jeśli w tym mieście ktokolwiek coś na ten temat wie - stwierdziła Vicki, wręczając mu telefon - to tylko ona.

Celluci pokręcił głową.

- Nie chcę w to wciągać więcej cywilów. Niebezpieczeństwo...

- Tawfik jest teraz słaby - powiedział cicho Henry. - Jeśli doktor Shane nie pomoże nam go zatrzymać, nim urośnie w siłę, to nie będziesz w stanie jej ochronić przed tym, co nadejdzie.



- Rachel? Tu Mike Celluci. Muszę ci zadać kilka pytań.  
Roześmiała się i nabazgrała sarkofag na marginesie sprawozdania dotyczącego nabytków, w którego towarzystwie spędzała wieczór.
- Co? Tym razem nawet nie dostanę kolacji?
- Przykro mi, ale nie.  
Coś w jego głosie sprawiło, że się wyprostowała.
- Czy to ważne?
- Bardzo. Czy starożytni Egipcjanie mieli jakieś określone daty, kiedy kapłani mrocznych bogów organizowali ważne ceremonie?
- No... w kalendarzu były wyznaczone daty rytuałów ku czci Seta.
- Nie szukamy ich wersji Bożego Narodzenia czy Wielkanocy.
- Nietrafione porównanie, Set był mrocznym bogiem.
- Taaa... Ale nie o Seta nam chodzi. Gdyby kapłani któregoś z pomniejszych mrocznych bogów chcieli przeprowadzić dodatkową ceremonię, kiedy by to zrobili?
- Pomogłoby, gdybyś wyjaśnił, po co chcesz to wiedzieć.
- Przykro mi, nie mogę powiedzieć.  
Skąd ona wiedziała, że taka będzie odpowiedź?
- Cóż, chyba kiedykolwiek. Ale mroczny rytuał najpewniej odbywałby się nocą podczas no-wiu, kiedy oka Thota nie ma na niebie. I pewnie o północy, kiedy Ra, bóg słońca, jest już długo poza światem i długo potrwa, nim do niego powróci.
- Gdzie? Zamrugła.
- Słucham?
- Gdzie odbywałby się rytuał?
- Czy ten twój bóg ma świątynię?
- Stworzenie świątyni jest częścią rytuału.  
Jest częścią rytuału...? Czas terazniejszy...? Praca policji w Toronto była dziwniejsza, niż jej się wydawało.
- W takim razie rytuał odbyłby się tam, gdzie kapłan chciałby, by była świątynia.  
Sądząc po jego głosie, mówił przez zaciśnięte
- Bałem się, że to powiesz. Dzięki, Rachel. Bardzo mi pomogłaś.
- Mike? - Chwilę potrwało, zanim się odezwał, co oznaczało, że zdążyła zagadnąć, zanim odłożył słuchawkę. - Powiesz mi, czemu o to pytałeś, jak już skończysz to, nad czym pracujesz, cokolwiek to jest?
- Zależy...



- Od czego?

- Od tego, kto wygra.

Rachel śmiała się z tego melodramatycznego zakończenia, odkładając słuchawkę. Może powinna się jeszcze raz spotkać z detektywem sierżantem Cellucim? Z pewnością był bardziej interesujący niż uczeni i biurokraci.

- Zależy od tego, kto wygra - powtórzyła, pochylając się z powrotem nad sprawozdaniem. - Mówił, jakby w to wierzył.

Nagły dreszcz, jaki ją przeszedł, przypisała swojej wybujałej wyobraźni.



Vicki odwróciła się od okna i zmarszczyła brwi.

- Dziś jest nów.

- Skąd wiesz? - zapytał Celluci. - Może księżyc jest za chmurami?

- Okres mi się zaczyna dwa dni po nowiu. Jest wtorek. Okres będę miała w czwartek.

Trudno się było spierać wobec takiego argumentu.

- Nów jest co miesiąc - zauważył Celluci.

- Tawfik powiedział: „niedługo”. - Otoczyła się ramionami i skrzywiła, bo ruch sprawił, że zabolął ją jeden z licznych siniaków. - To dziś w nocy.

- Nie jesteśmy gotowi zmierzyć się z nim dzisiaj.

- Chciałeś powiedzieć, że ja nie jestem gotowa. Nie mamy wyboru.

Celluci za dobrze ją znał, aby się kłócić.

- Trzeba go jeszcze znaleźć.

- Henry, na pewno coś ci powiedział. - Miasto rozciągało się u jej stóp, oferując tysiące miejsc, gdzie mogła powstać świątynia. - Co jeszcze mówił?

- Nic o lokalizacji świątyni.

- A nie wspominał na przykład o lesie albo szczycie góry? - zapytał Celluci.

- No, może i tak... Powiedział, że gdyby mógł, wykrzyczałby imię Achecha ze szczytu najwyższej góry.

- W tej części kraju mamy deficyt gór, czy to wysokich, czy niskich.

- Nie. - Vicki oparła dłoń o szybę. Nagle uświadomiła sobie, co zwróciło jej uwagę. - Mamy szczyty. Spójrzcie.

Ton jej głosu sprawił, że obaj mężczyźni podeszli do niej bez protestów. Oczy miała szeroko otwarte, oddychała z trudem, a serce biło jej tak mocno, że Henry niemal zaczął się o nią bać.

- Na co patrzymy? - zapytał miękko.

- Na wieżę. Spójrzcie na wieżę.

CN Tower wyrastała ponad miasto niczym cień na tle gwiazd. Kiedy patrzyli, poziomy znajdujące się na ruchomej platformie rozbłysły światłem, jakby zapalono ogromną żarówkę. Trwało to tylko chwilę, lecz przez kilka następnych mieniło im się w oczach.

- To może być cokolwiek. - Celluci sam nie wierzył w swój protest, czuł jednak, że musi to powiedzieć. - Na wieży często zapalają jakieś światła.

- To on. Jest tam. A ja go stamtąd ściągnę, nawet jeśli będę musiała zburzyć tę cholerną wieżę.

Nad tarasem widokowym dwa czerwone światełka lecącego samolotu dziwnie zbliżyły się do siebie. Wyglądały prawie jak para oczu.

# ROZDZIAŁ 16

Co ty robisz, do cholery? Henry zahamował.

- Zatrzymuję się na żółtym świetle.

- Dlaczego?

- Detektywie, wbrew powszechnemu mniemaniu, żółte światło nie oznacza, że należy przyspieszyć, tylko że zaraz zapali się czerwone.

- Tak? Wbrew powszechnemu mniemaniu nie mamy całej nocy. Rachel mówiła, że rytuał odbędzie się o północy, a jest już jedenasta trzydzieści.

- Zatrzymanie przez drogówkę za drobne wykroczenie w sytuacji, gdy w samochodzie jest poszukiwany zbieg, spowolni nas bardziej niż przestrzeganie przepisów.

- Dlaczego ja nie prowadzę? Vicki pochyliła się do przodu.

- Może pójdziemy na kompromis? Mike, zamknij się. Henry, przyspiesz.

Żaden z was nie będzie tu niczego udowadniał.

Zostawili samochód na Front Street i wbiegli po schodach na kładkę, która ponad torami prowadziła do stóp wieży. Chociaż Henry mógł z łatwością prześcignąć dwoje śmiertelników, zrównał się prędkością z Vicki, na wszelki wypadek.

Bez tłumów zwiedzających, których było pełno w dzień, betonowy plac wyglądał surrealistycznie i nawet gumowe podeszwy wywoływały echo. Informując nieobecnych klientów o swojej ofercie, neony reklamowe wskazywały drogę do wieży - i do restauracji, dyskoteki oraz wycieczki po wszechświecie.

- Tak naprawdę dochodzi się tylko do Jowisza - wydyszała Vicki, kiedy mijali ostatni znak. - Połowa Układu Słonecznego. Też mi wszechświat!... -

Biegła, jedną ręką dotykając ściany, żeby móc się o nią oprzeć i nie zgubić drogi. Nie przejmowała się, że nie widzi swoich stóp. Ścieżka była równa, a po tym wszystkim, co przeszła, nie miała zamiaru dać się powstrzymać złemu oświeceniu.

- Jeśli tam jest - krzyknął Celluci, gdy zbiegali po schodach z kładki i skręcali w stronę głównego wyjścia - to założę się, że windy są na górze razem z nim.

- Nie masz co się zakładać. - Vicki bezskutecznie szarpała za klamkę. - Ten sukinsyn zamknął drzwi na dole.

Henry wsunął obie dłonie pod ręce Vicki i pociągnął. Klamka odpadła ze zgrzytem, który odbił się echem po wieży i placu przed nią.

- Cholera... - Vicki spojrzała na drzwi ze wzmocnianego szkła, a potem na Henry'ego. - Dasz radę się przebić?

- Bez jakiejś broni nie. - Pokręcił głową. - To zbrojona szyba, nawet moje kości złamią się szybciej niż ona.

Wyglądało to tak, jakby wieżę zaprojektowano na wypadek takiej właśnie okoliczności. Nic w pobliżu nie nadawało się do wyważenia drzwi. Wszędzie był tylko gładki beton, bez balustrad czy słupków.

- Daj spokój - powiedziała Vicki, gdy Henry, stękając, próbował wyrwać płytę chodnikową. - Tracimy tylko czas. Celluci ma rację co do wind.

Henry się wyprostował.

- Musimy go dopaść dzisiaj, teraz. Zanim zaprzysięgnie tych ludzi. Musimy powstrzymać jego boga, zanim stworzy więcej takich jak Tawfik.

- Wiem. Pójdziemy schodami, Celluci pokręcił głową. - Vicki, tam też będą zamknięte drzwi. - Metalowe drzwi z metalową klamką, która raczej nie odpadnie, gdy Henry za nią pociągnie. - Nim skończyła mówić, już szła, kulejąc, wokół podświetlanego basenu na tył wieży. - Nie pozwolę -warknęła, gdy dotarli do klatki schodowej - żeby to miejsce zmieniono w najwyższą egipską wolno stojącą świątynię świata. Henry!

Masywne metalowe drzwi wygięły się po pierwszym pociągnięciu. Warstwy farby opadły z nich na ziemię niczym szara lawina małych płatków. Drugie szarpnięcie wyrwało je z zawiasów i wraz z drzwiami niemal nienaruszony drogi system bezpieczeństwa.

Wszystko przebiegło zaskakująco cicho.

- Dlaczego nie włączył się alarm? - zdziwił się Celluci, spoglądając podejrzliwie na zerwane przewody.

- Skąd mam wiedzieć? - Henry odstawił drzwi pod ścianę. Jego mięśnie protestowały przeciwko takiemu wysiłkowi. - Może Tawfik się bawi w palenie ofiar i nie chce, żeby włączyły się zraszacze.

- Albo alarm jest cichy, a do nas już jedzie flotyła radiowozów.

- Możliwe - zgodził się Henry.

- To może przestaniemy marnować czas na gadanie. - Słabe światło dawało Vicki tyle, że pozwalało zobaczyć różnicę między betonowym gigantem a ciemną dziurą będącą wejściem. Ruszyła ku niemu, ale Celluci złapał ją za ramię.

- Vicki, zaczekaj.

- Puść!... - Ton jej głosu mówił, że wyrwie mu rękę, jeśli jej nie posłucha. Zaryzykował.

- Nie możemy tam wpaść tak bez planu. Pozwalasz, by myślały za ciebie emocje. Nie tylko za ciebie, za nas. Zatrzymaj się i pomyśl przez chwilę, co zrobimy, jak dojdziemy na górę.

Spojrzała na niego i oswobodziła rękę.

- Dopadniemy Tawfika, ot co.

- Vicki.. - Henry podszedł, by znaleźć się w jej polu widzenia. - Prawdopodobnie nie zdołamy do niego podejść. Ma ochronę. Zmrużyła oczy.

- Henry, jeśli się go boisz, możesz tu poczekać. Podszedł o krok bliżej. Jego milczenie było niemal ogłuszające.

- Przepraszam. - Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego piersi. - Słuchajcie, jak trudne to może być? Mike strzeli do niego, jak tylko staniemy w drzwiach, wątpię, żeby przed tym też był chroniony. Masz broń?

- Tak, ale...

- To kusząco prosty plan - przyznał Henry - ale wątpię, czy dopuści nas tak blisko. Na pewno nałożył ochronę na całą świątynię, a kiedy ją naruszymy... - urwał.

- W takim razie ty odwrócisz jego uwagę, a Mike go zastrzeli - burknęła Vicki przez zęby. - Jak powiedziałaś, to proste. Zaskoczenie jest najważniejsze, a my tu tracimy czas. - Ruszyła ku schodom i znowu Celluci ją zatrzymał.

- Zaczekaj tutaj - powiedział. Już raz w tym tygodniu ją stracił. Nie chciał przez to znowu przechodzić.

- Co?!

- Nie jesteś w formie, by stawać przeciw komukolwiek zwyczajnemu, o siłach nadprzyrodzonych nie wspominając. Wątpię, czy dasz radę dojść na szczyt. Opadasz z sił, kulejesz...

- O siebie ja się będę martwić! - Kaźcie słowo było osobnym, ledwie kontrolowanym wybuchem.

Henry położył jej dłoń na ramieniu.

- Wiesz, że ma rację. Ja mam odwrócić uwagę Tawfika, a on go zastrzelić. Siebie nie uwzględniłaś w tym prostym planie.

- Chcę zobaczyć, jak umiera.

- Ryzykujesz niepotrzebnie - warknął Celluci. -A jeśli nam się nie uda? Kto zostanie, żeby spróbować jeszcze raz?

Vicki wyrwała mu ramię i przysunęła swoją twarz do jego.

- Co? Zapomniałam wspomnieć o planie B? Jak wy dwaj spieszyć sprawę, to ja tam będę, żeby po was pozamiatać. A teraz albo daj mi swoją broń, żebym sama go zastrzeliła, albo bierz dupę w troki i zasuway na górę.

- Ma prawo tam być - powiedział Henry po chwili, która trwała kilka wieków. Po jego tonie dało się poznać, że tak jak Celluciemu, wcale mu się to nie podoba.

Vicki odwróciła się do niego.

- Dziękuję bardzo. Mogłeś już być na szczycie tej cholernej wieży! - Wpadła na klatkę schodową i weszła na pierwszy stopień. A potem na drugi. Światła awaryjne jej przeszkadzały, zamknęła więc oczy. Dwa z głowy, jeszcze tylko tysiąc siedemset osiemdziesiąt osiem.

-Vicki?

Nie usłyszała, jak Henry do niej podchodził, ale czuła jego obecność tuż za swoim lewym ramieniem. Nie chciała słuchać przeprosin, wyjaśnień czy cze-  
gokolwiek, co miał do powiedzenia.

- Po prostu idź.

- Będziesz potrzebowała pomocy, żeby się dostać na górę. Mógłbym cię  
ponieść...

- Mógłbyś się martwić o Tawfika, a nie o mnie. Ruszaj się. Proszę - dodała,  
zgrzytając zębami.

Poczuła, jak przeszedł obok niej, muskając lekko jej nadgarstek w miejscu,  
gdzie tuż pod skórą drgała żyła, i już go nie było.

- On ma rację. Ledwie przestał działać narkotyk, nie mówiąc o obrażeniach,  
jakich doznałaś. Nie wejdiesz na szczyt bez pomocy.

Spojrzała na plamę w kształcie człowieka ledwie odznaczającą się na tle  
ciemności.

- Pierdol się i przestań się o mnie martwić. Celluci dobrze wiedział, że nie ma  
sensu się z nią

kłócić, lecz kiedy ją mijał, słyszała, że mamrocze coś wściekle po nosem.

Próbowała dorównać mu prędkością i napędzający ją gniew nawet jej to  
umożliwił przez jakiś czas, jednakże odległość między nimi rosła. Wreszcie  
odgłos jego kroków ucichł zagłuszony biciem jej serca.

Dziesięć stopni i półpiętro. Dziesięć stopni i pół« piętro. Tym razem potrwa  
to dłużej niż dziewięć minut i pięćdziesiąt cztery sekundy. Tb, że nic nie  
widziała, nie miało znaczenia - kiedy już ustaliła kolejność ruchów, jej stopy  
same znajdowały drogę, ale z każdym krokiem jej ciało coraz mocniej od-  
czuwało wydarzenia ostatnich dwóch dni. Wszystko ją bolała

Dziesięć stopni i półpiętro.

Płuca zaczynały płuwać. Każdy oddech stawał się koszmarnie bolesny.

Dziesięć stopni i półpiętro.

Miała wrażenie, że nogę tuż pod lewym kolanem ktoś jej przebija włócznią.

Dziesięć stopni i półpiętro.

Prawa noga w górę, lewa przed prawą. Prawa przed lewą, lewa...

Zrzuciła kurtkę na ziemię.

Dziesięć stopni i półpiętro.

„Niepotrzebnie ryzykuję”. Walcie się...!

Dziesięć stopni i półpiętro.

„Oczywiście, że siebie nie uwzględniłam w planie. Myśleliście, że nie  
przewidziałam, w jakim będę stanie, jak dotrę na samą górę? Cud będzie, jeśli  
ustoję na nogach”.

Dziesięć stopni i półpiętro.

„Ma prawo tam być”. Jezu Chryste...!

Dziesięć stopni i półpiętro.

„Jasne, kurde, że tam będę. I napluję na trupa Tawfika”.

Dziesięć stopni i półpiętro.

Czytała kiedyś artykuł o człowieku, który dostał amerykański Medal Honoru. Wróg postrzelił go dwadzieścia trzy razy, a on mimo obrażeń zdołał przebiec przez most i ocalić innego członka swojego oddziału. Zastanawiała się wtedy, co myślał, kiedy tego dokonał. W tej chwili chyba to wiedziała.

Możesz paść, kiedy będzie po wszystkim, nie wcześniej.

Dziesięć stopni i półpiętro.

Mięśnie nóg zaczęły drżeć, potem prawie skakać. Każdy krok stał się osobistą walką z bólem i zmęczeniem. Potknęła się, straciła rytm i uderzyła podbródkiem w metalowe obicie stopnia.

Osiem, dziewięć, dziesięć stopni i półpiętro.

Pod wpływem pracy rąk bandaż na rozciętej dłoni poluzował się. Nie wiedziała i nie obchodziło ją, czy przemókł od krwi czy od potu. Kiedy zaczął bardziej przeszkadzać, niż pomagać, zdarła go i wyrzuciła.

Dziesięć stopni i półpiętro.

Mniejsze powody do gniewu zniknęły, pozostała tylko wściekłość na Tawfika. Nafaszerował ją narkotykami i wsadził do więzienia, ale co najgorsze, ska-

ził coś, w co wierzyła. Rozciągało się to pomiędzy nimi niczym lina, którą trzymała i na której podciągała się w jego stronę.

Dziesięć stopni i półpiętro...



Henry poczuł zaklęcia ochronne, gdy je minął: lekkie skwierczenie na skórze sprawiło, że wszystkie włosy na jego ciele stanęły na sztorc. Nie miał pojęcia, jakie informacje trafiły do Tawfika, ogólne czy szczegółowe, ale ważne było, że od tej chwili liczył się tylko czas. Przemknął po dwóch ostatnich podestach.

Daleko w dole słyszał biegnącego ciężko Celluciego i kuśtykającą Vicki.

Walenie ich serc odbijało się echem od klatki schodowej, oddechy były tak głośne, że wydawało się, iż cała konstrukcja oddycha równo z nimi.

Wyglądało na to, że przez jakiś czas będzie sam.

W korytarzu otaczającym główny filar wieży paliła się tylko jedna czwarta świeca. Wychodząc z ciemnej klatki schodowej, Henry przyjął to z ulgą.

Często oświetlenie, jakie woleli śmiertelnicy, upośledzało jego zmysł wzroku, a dziś potrzebował każdej przewagi.

Cicho przemknął korytarzem, podążając ku dźwiękom. Chór złożony z co najmniej tuzina głosów skandował tylko jedno słowo - Achech. Nie-

przerwanie, w kółko, z taką intensywnością, że głosy wdzierały się pod skórę i odbijały echem od kości i krwi. Wyteżający wszystkie zmysły Henry nie zdziwił się, że słyszy jedno potężne bicie serca zamiast wielu.

Ponad powtarzane imię wybijał się jeden głos mówiący w języku, którego Henry nie znał, intonujący słowa w sposób, który brzmiał dziwnie nawet dla uszu kogoś, kto słyszał cztery i pół wieku zmian. Cokolwiek to znaczyło - a Henry nie miał wątpliwości, że każda sylaba, każdy ton ma wiele znaczeń - słowa były wezwaniem. Do niego docierało tylko najbardziej zewnętrzne znaczenie, a czuł, jak go do siebie przyciąga.

Tawfik stał na platformie pod obitym tkaniną łukiem, w miejscu, gdzie zwykle rezydowali didżeje, unosząc ramiona w klasycznej pozie najwyższego kapłana. Miał na sobie spodnie w kolorze khaki i lnianą koszulę rozpiętą pod szyją. Nie był to styl

modny w starożytnym Egipcie, ale Tawfik nie potrzebował szat, by podkreślały, kim jest. Moc wibrowała wokół niego, była niemal widoczna.

Na parkiecie, stłoczeni, ze wzrokiem wbitym w Tawfika, stali najwyżsi rangą oficerowie policji miasta i prowincji, dwoje sędziów i wydawca najbardziej wpływowego z trzech wydawanych w Toronto dzienników. Henry myślał, że słyszy tuzin głosów; gdyby miał polegać tylko na słuchu, teraz powiedziałby, że słyszy sześć, chociaż osób skandujących było ponad dwadzieścia.

Pojedyncze głosy niknęły w skandowanym słowie.

Najbardziej niestosownym elementem całej scenarii była wielka dyskotekowa kula, zwisająca z sufitu i obracająca się powoli, rzucająca wielokolorowe światło na Tawfika i jego akolitów.

To wszystko Henry zarejestrował w przerwie między jednym a drugim biciem serca. Nie zwalniając, zebrał się w sobie i skoczył ku najwyraźniej niechronionym plecóm Tawfika.

- Achech!

Wykrzyknąwszy to imię, Tawfik dołączył do skandujących, punkty światła zaczęły zlewać się w całość, srebrna kula przestała się obracać, a Henry ledwie zdążył zakryć oczy ramieniem. Potknął się i omal nie upadł. Mrugając, próbował pozbyć się plam latających przed oczami z powodu blasku, który do nich dotarł.

- Przeszkadzasz w czymś, czego nie rozumiesz. Chodzący Nocą. - Głos był zimny, odległy, stanowił kontrpunkt dla słońca, które płonęło w umyśle Henry'ego mocniej i jaśniej niż jeszcze dwa dni temu.

Zacisnąwszy zęby, Henry zignorował ból i otoczył słońce swoim gniewem, przytłumił oszałamiającą siłę życiową kapłana-czarownika tak, że mógł znowu funkcjonować. Przez tańczące przed oczami wzory zobaczył, jak Tawfik marszczy brwi zaskoczony działaniami młodzika, niebędącymi zagrożeniem, lecz zaledwie powodem do irytacji.

- Na szczęście - mówił dalej Tawfik, wciąż zwracając się do niego jak rodzic do dziecka, nauczyciel do ucznia - dotarliśmy w naszym rytuale do punktu, w



którym zrobienie krótkiej przerwy nie będzie miało wpływu na ostateczny efekt. Masz czas na to, by wyjaśnić swoją obecność, nim postanowię, co z tobą zrobić.

Henry poczuł, że mimowolnie wchodzi w rolę, jaką mu wyznaczył kapłan-czarownik. Warknął i odepchnął ją od siebie. Był wampirem, Chodzącym Nocą. Nie da się znów podporządkować za pomocą marnych słów.

Niepewność, jaką zasiał w nim Tawfik, spłonęła w ogniu jego gniewu po zniknięciu Vicki, w którym palce maczał starszy nieśmiertelny. „Skrzywdził jedną z moich. Nie pozwolę na to”.

Już niemal dotarł do skraju podestu, do miejsca na wyciągnięcie ręki od gardła Tawfika, kiedy błysk czerwieni rzucił go na ścianę dyskoteki.

- Kiedyśmy się pierwszy raz spotkali, powiedziałem ci, że nie jesteś w stanie mnie zniszczyć. Powinieneś być mnie posłuchać. - Słowa zabrzmiały obojętnie i nieprzejednanie na tle skandowania ako-

litów. Tawfik uświadomił sobie, że względna młodość Chodzącego Nocą już nie pozwala mu na manipulowanie nim, porzucił więc pozę pełnej znudzenia wzgardy. Po tym jak poprzedniej nocy zignorował wezwanie, spodziewał się, że nadejdzie chwila konfrontacji, ale nie tej nocy, kiedy cała jego uwaga powinna być skupiona na Achechu.

Nawet ceremonia poświęcenia nie była w stanie przyćmić blasku ka Chodzącego Nocą. Pragnął go bardziej niż kiedykolwiek czegokolwiek w całym swoim życiu i gdy zadrżały zaklęcia ochronne, jakie nałożył na wieżę, wiedział, że w tej chwili ma dość mocy, by wziąć to, czego tak pragnął.

Jednakże moc, którą dzierżył, nie była jego, Achech zaś, mimo że nazywany przez niego pomniejszym bóstwem.

miał bolesne sposoby pilnowania swojej własności. Wieki nauczyły go ostrożności. Po ceremonii, kiedy Achech będzie w dobrym humorze, skłonny do rozdawania łask, moc pozostanie, za to zniknie ryzyko rozwścieczenia jego pana. A kiedy zabierze ka Chodzącego Nocą, nie będzie już nigdy musiał się bać swojego pana.

Skoro słowa nie wystarczały, by zatrzymać Chodzącego Nocą, musiał podjąć inne kroki. Jednym gestem przerwał skandowanie, a potem powoli, by nie zniszczyć już skonstruowanych elementów magicznych, używając tylko swojej mocy, zaczął rzucać zaklęcie związania. Śmiertelników będących na klatce schodowej mógł ignorować do chwili, gdy przybędą, a wtedy zniszczenie ich stanie się elementem ceremonii.

Zaskoczony i poobijany Henry poderwał się na nogi. Nie miał pojęcia, jak daleko za nim jest Cellu-ci. Zapach i dźwięki wydawane przez akolitów uniemożliwiały mu wyczucie i usłyszenie go.

„Ty odwrócisz jego uwagę, a Mike go zastrzeli. Proste”.

Nie takie proste. Chociaż atak fizyczny nie odniósł skutku, może kapłan-czarownika uda się zająć czymś innym. Wyglądało na to, że lubi słuchać swojego głosu. Henry odsunął się od ściany. Tylko jednego chciał się

dowiedzieć.

- Dlaczego zaatakowałeś Vicki Nelson?

Tawfik uśmiechnął się świadom, czego Chodzący Nocą próbuje.

Zgromadzona moc dawała mu dostęp do najgłębszych zakamarków cudownego nieśmiertelnego ka. Za chwilę uaktywni zakłęcie związania, a potem zacznie trzecią i ostatnią część rytuału przyzywania.

- Twoja Vicki Nelson została wybrana przez mojego pana. Używając analogii, którą jesteś w stanie zrozumieć: on czasem lubi zamówić danie specjalne, a nie zadowalać się tym, co jest w menu. Jako że bogowie nie mogą bezpośrednio wpływać na życie tych, którzy nie są im zaprzysiężeni, ja przygotowuję mu ten posiłek, stawiając wybraną osobę w sytuacji beznadziejnej i rozpaczliwej. To, że ona jest śmier-telniczką, na której ci zależy, to zbieg okoliczności, zapewniam cię. Miałeś duże trudności z wyciągnięciem jej z więzienia?

- Nie. - Henry stanął na skraju podestu, w miejscu gdzie moc otaczająca kapłana-czarownika ocie-

rała się o niego, pulsując w rytm pojedynczego bicia serca chóru. - Kiedy przybyłem, już prawie sama się uwolniła.

- Prawie żałuję, że przyszła tu z tobą dzisiaj. - Ka Chodzącego Nocą zapłonęło, a Tawfik niemal zagubił się w swoim pożądaniu. - Nie sądziłeś chyba, że nie wiem o twoich towarzyszach? Będę ją musiał j oczywiście zabić.

- Najpierw będziesz musiał zabić mnie. Tawfik zaśmiał się, lecz wyraz twarzy Henry'e-

go nie zmienił się, a jego ka płonęło mocno i równo. Powoli kapłan uświadomił sobie, że te słowa, choć z trudem się z tym godził, wypłynęły z najbardziej strzeżonych, wewnętrznych obszarów ka i młodszy nieśmiertelny mówił poważnie. Szok i zaskoczenie sprawiły, że stracił kontrolę nad zakłębciem wiążą-

cym. Hebanowe brwi ściągnął w bolesnie głębokie V.

- Poświęciłbyś dla niej swoje nieśmiertelne życie? Dla jednej z tych, których całe istnienie nie powinno być dla ciebie niczym więcej jak krótkim posiłkiem?

- Tak.

- To szaleństwo.

Kiedy rozpadło się zakłębciem wiążące, Tawfik zrozumiał, że możliwości wymykają mu się z rąk. Odkąd dwoje śmiertelników weszło do wieży, ich śmierć stała się elementem ceremonii poświęcenia. Kobieta musiała umrzeć.

Jej śmierć obiecał Achecho-wi. Ale żeby zabić kobietę, musiał zabić też Chodzą-

cego Nocą. A jeśli go zabije, utraci na zawsze całą moc tkwiącą w tym wspaniałym ka.

„Nie! Nie stracę tego ka! Jest moje!”.

Henry nie miał pojęcia, co sprawiło, że Tawfik tak się przejął, jednakże kapłan sprawiał wrażenie rozkojarzonego. Spróbował przejść przez barierę zakłębciem.

Odepchnęła go.

„Mogę wziąć ka. Teraz. Użyć mocy wyzwolonej przez dwie trzecie zaklęcia poświęcenia. Użyć mocy spływającej od akolitów. Zapłacić cenę...”  
Ale czy będzie jakaś cena? Wchłonięcie nieśmiertelnego ka z pewnością da mu moc równą mocy Achecha. Może większą.  
Skandowanie stawało się coraz głośniejsze. Nadszedł czas, by zacząć trzecią i ostatnią część zaklęcia poświęcenia. Nie miał czasu na tworzenie kolejnego zaklęcia wiążącego. Nie chciał stracić wspaniałego ka Chodzącego Nocą.  
Podjąwszy w ułamku sekundy decyzję, Tawfik owinął swoją wolę wokół skumulowanej energii i rzucił ją całą w zaklęcie przejścia. To będzie gwałt, nie uwiedzenie, jak planował, lecz rezultat będzie taki sam.



Słońce za oczami Henry'ego rozbłysło. Poczł, że płonie. Czł siłę, którą karmiły się płomienie, czł, jak zaczynają go pochłaniać, czł... coś znajomego. Głód. Czł Głód Tawfika.  
Potem poczul, jak Tawfik ujmuje w dłonie jego twarz, podnosząc jego głowę, aż ich oczy się spotkały. Hebanowe oczy bez dna, które mogłoby zakończyć jego upadek.  
Bicie serc akolitów dudniło mu w uszach. Nie. Nie akolitów. Nie, to bicie serca, które słyszał od chwili, gdy dotarł na szczyt wieży. Inne, trochę szybsze niż normalnie, którego echo przenosiło się przez kontakt jednej skóry z drugą. Bicie serca Tawfika. Pompującego krew Tawfika. Mimo wszystkich skradzionych wieków życia Tawfik pachniał jak śmiertnik. Był śmiertnikiem tamtej nocy w parku. Był śmiertnikiem teraz.  
Henry uwolnił swój Głód, spuszczaając go z łańcucha, na którym musiał go trzymać, żyjąc w cywilizowanym świecie.  
Palce zacisnęły się w stalowym uścisku na ramionach Tawfika. Kapłan krzyknął wyrwany z ekstazy, próbując odnaleźć zagrożenie. Rozpoznał Głód szczerzący na niego zęby z twarzy, którą trzymał w dłoniach.  
- Chodzący Nocą... - szepnął, nagle uświadamiając sobie, co trzyma, co oznaczają legendy, które naraz przestały być legendami. Nim skończył mówić, poczul, jak ka, które chciał wchłonać, wyrwa się spod mocy zaklęcia i w jednej chwili wnika tuż pod powierzchnię piwnych oczu, nadając im twardość agatów.  
Uścisk na jego ramionach stał się silniejszy. Kości zaczęły się poddawać. Tawfik rozpaczliwie wchłonał jeszcze więcej mocy od akolitów i wpompował

ją w zakłęcie ochronne - jakież był głupi, że go dotknął, odrzuciwszy wszystkie bariery poza najbardziej podstawowymi! Gdyby uwolnił zakłęcie wchłonięcia, miałyby dość mocy, aby się wyrwać. Teraz tylko ono mu pozostało. Nie było odwrotu.

Uwolnił spojrzenie od wzroku Chodzącego Nocą i opuścił dłonie, sięgając mu do gardła. W chwilę później na jego szyi zacisnęły się palce Chodzącego Nocą. Tylko magia ratowała tchawicę kapłana przed zmiążdzeniem.

„Nie stracę tego ka!” Cisnął zakłębem wchłonięcia w moc Chodzącego Nocą. Słońce stało się płonąca zagładą, lecz Głód przeciągnął Henry'ego przez nie, odpowiadając na wezwanie krwi tętniącej z drugiej strony.



„Jak ja mam. kurwa, do tego strzelać...?”. Celluci dysząc oparł się o ścianę dyskoteki, jedną ręką zasłaniając oczy przed boleśnie jaskrawym światłem kręcącej się kuli. Cholerny sukinsyn miał odwrócić jego uwagę, a nie sobie z nim, kurwa, tańcować.

Z miejsca, w którym stał, widział plecy Fitz-roya i tuż nad nimi długie złociste palce zaciśnięte na jego szyi. Kiedy przechylił się trochę na prawo, stwierdził, że palce Fitzroya też są zaciśnięte na gardle tamtego - wysokiego ciemnowłosego mężczyzny, w normalnych okolicznościach pewnie nawet przystojnego. Choć nie wiedział, dlaczego, miał dziwne uczucie, że to wzajemne duszenie się to tylko drobiazg, a prawdziwa walka toczy się gdzie indziej.

„Może powinienem pozwolić, żeby się pozabijali, a potem strzelać do tego, co z nich zostanie...?” Z podniesioną bronią wszedł na parkiet. Idąc, widział walczących z profilu. Chociaż ich tułowia, oddalone od siebie ledwie na grubość dłoni, drgały w przód i w tył, stopy spoczywały pewnie na podłodze w odległości niemal metra od siebie. Przyjął pozycję, lewą ręką odbezpieczył służbowy rewolwer i spróbował uspokoić oddech. Pewnie miałyby większe szanse, gdyby zaczekał, aż jego płuca przestaną pompować powietrze niczym astmatyczne trąbki, ale zbliżała się północ i jeśli Rachel Shane miała rację, to światu nie zostało wiele czasu. Najpierw w kolano, żeby zwrócić jego uwagę, a potem drugi raz, żeby z nim skończyć. W tak niewielkim pomieszczeniu odgłos wystrzału rozciągnął się aż do ścian, a potem od nich odbił. I jeszcze raz. I jeszcze. Kula zawirowała.

- Kurwa mać...!

Celluciemu dzwoniło w uszach, kiedy podniósł broń, by strzelić jeszcze raz. Nie wyrządził żadnych szkód, za to zwrócił na siebie uwagę kapłana--czarownika.



Dźwięk sprawił, że osłabł jego uścisk na ka Chodzącego Nocą i tylko wieki praktyki sprawiły, że zakłęcie się nie rozpadło. Wzmocnił uchwyt, a gniew spowodowany tym, że im przerwano, rzucił na szalę przeciw sile woli tamtego. Zyskawszy trochę przestrzeni na oddech, wchłonął dość mocy od akolitów, by krzyknąć: - Zatrzymajcie go!



„Zatrzymajcie go?”.

Celluci zrobił krok w tył, a potem następny. O kurwa! Tak się skupił na walce Fitzroya z mumią, że zignorował stojących w półkołu, skandujących mężczyzn i kobiety. W zasadzie minął jedną z tych grup, żeby zająć aktualną pozycję, nawet nie zauważywszy ludzi. No dobra, miałem ciężki dzień i dużo na głowie. Ale taki drobiazg może kosztować człowieka życie. Nie do wiary, że coś takiego zrobiłem!

Z cienia wynurzyło się dwadzieścia, może trzy-dzieści osób, oddzielając swojego pana od zagrożenia. Wciąż skandując imię boga, powoli zbliżali się do Celluciego. Ich twarze były przerażająco puste.

Cofnął się o kilka kroków i uniósł broń. Chociaż część grupy stanowili oficerowie policji, żaden z nich nie zwracał uwagi na broń. Wciąż się zbliżali. Jeszcze jakieś pół metra i będzie pod ścianą. Piętnaście lat służby pozwoliło mu zachować pozorny spokój, czuł jednak rosnącą pod nim panikę.

Nerwowo zaczął szukać czegoś, w co mógłby strzelić, czegoś, co zwróciłoby ich uwagę, zmusiło ich do dostrzeżenia, że on ma broń. Niestety, wirująca kula dyskotekowa, najbardziej oczywisty cel, zapewniała połowę światła w pomieszczeniu. Cofnął się o kolejny krok, podjął decyzję i nacisnął spust. Płytką sufitowa eksplodowała, wypluwając kawałki gumy pianowej i

materiału izolacyjnego wprost na skandujący tłum. Celluci opuścił broń. Wyglądało na to, że instynkt przetrwania zaczął działać i przestali się zbliżać. Ale żywy mur nadal oddzielał go od Tawfika.

No dobra. Co teraz?

Jeden człowiek wysunął się przed pierwszy rząd. Mimo złego oświetlenia Celluci bez trudu go rozpoznał.

- Inspektor Cantree...

Kiedy przełożony zaczął podchodzić bliżej, Celluci poczuł, jak pocałować mu się ręce. Wielu wysokich oficerów policji zastrzeżony z radością, Cantree jednak do nich nie należał. Został czarnoskórym poli-cjantem na długo przed uruchomieniem programów afirmacyjnych i mimo całego gówna, jakim go obrzucano, awansował, a jego wiara w prawo i poczucie honoru pozostały nienaruszone. To, że Tawfik mógł wziąć porządnego człowieka, który tyle przeszedł, i obdrzeć go z wolnej woli i honoru, sprawiało, że Celluciego coś ścisnęło w żołądku. Ku swemu przerażeniu poczuł, że wilgotnieją mu oczy.

- Inspektorze, nie chcę do pana strzelać. Tamten wyciągnął mocarną dłoń.

- Oddaj mi broń. - Jego słowa dały się wyraźnie słyszeć ponad nieustannym skandowaniem.

Ryk dudniący Celluciemu w uszach sprawiał, że ledwie mógł myśleć.

- Inspektorze, niech mnie pan do tego nie zmusza...



Vicki usłyszała strzały w chwili, kiedy wypadła z klatki schodowej i zastygła na kolanach z czołem opartym o jasnoszary dywan. Już dawno powinno być po strzelaninie. Co się dzieje, do cholery?

Ledwie pamiętała, jak udało jej się pokonać końcówkę schodów, chociaż każdy ruch, jaki wtedy zrobiła, wbił się głęboko w jej mięśnie i ścięgna i wiedziała, że ciało każe jej później za ten wysiłek zapłacić, i to z dużymi odsetkami. Dwa razy upadła, a za drugim razem, kiedy leżała na betonowym półpiętrze, tylko myśl o tym, że Celluci już jest na górze, dała jej siłę, by wstać. Echo jej jęków wciąż jeszcze odbijało się po klatce schodowej na całej wysokości wieży.

Zacisnąwszy zęby, przewyciężyła ból ścisający jej łydki, podczołgała się do ściany i ruszyła wzdłuż niej, nie próbując nawet wstać. I tak nie była w stanie. Parę razy oprowadzała swoją matkę po wieży, toteż topografię dobrze знаła. Ominęła główne wejście na dyskotekę i przeszła za zakręt tak szybko, jak pozwalały jej wymęczone mięśnie i kości. Słyszała tylko swój ciężki oddech.

Wdech smakujący krwią, wydech odrzucający możliwość porażki.

„Nie mogłeś wygrać, ty starożytny sukinsynu. Nie pozwolę na to”.

Po przejściu jednej czwartej drogi wokoło rdzenia wieży można było przez okno w ścianie zajrzeć do dyskoteki - miało służyć turystom chcącym zerknąć na parkiet. Od strony dyskoteki szkło było ciemne -widocznie zarządzający uznali, że tancerze na turystów nie będą chcieli spoglądać.

Za szybą ciemna linia cieni zbliżała się do Cel-luciego.

Vicki odsunęła się powoli od okna, wciąż jedną ręką opierając się o ścianę, żeby się nie przewrócić. Drugą poprawiała okulary. Wygląda na to, że nad-szedł czas na plan B.

Nieopodal, ukryte za krzywizną ściany, było wyjście awaryjne, a obok niego szklana szafka ze sprzętem przeciwpożarowym. Vicki dopadła jej, przez chwilę mocowała się z zasuwką, wreszcie zdołała ją otworzyć. Wsadziła końcówkę węża pod pachę, od-kręciła wodę i ruszyła do zamkniętych drzwi dyskoteki. Uznała, że ma jakieś pięć, dziesięć sekund, nim woda dotrze do końcówki węża i ciśnienie zwali ją z nóg.

Trzy sekundy, żeby otworzyć drzwi na tyle, by przez nie przejść.

Musi tu być jakieś światło! Z sytuacjami awaryjnymi nikt nie cacka się w ciemnościach. Dwie kolejne sekundy, zanim logiczne myślenie dało efekt, a palce wymacały znajomy kształt przełącznika.

Ostatnia sekunda na to, by zauważyć Celluciego stojącego pod ścianą z wyciągniętą bronią, inspektora Cantree'ego czołgającego się ku niemu, broczącego krwią z rany na udzie, tłum złożony z ponad dwudziestu osób o przerażająco pustych twarzach, idących naprzód z palcami zagiętymi na podobieństwo szponów.

Poprzez protesty zanoszone przez jej ciało przedarło się skandowanie akolitów.

A potem woda eksplodowała, niemal wrywając jej wąż z rąk. Z kostkami palców pobielającymi od wysiłku, ciśnięta plecami na ścianę Vicki, która znalazła się pomiędzy niepowstrzymaną siłą a nieruchomym elementem budynku, walczyła ze strumieniem, kierując go na parkiet, by zwalić z nóg marionetki Tawfika.

Skandowanie urwało się nagle, a wraz z nim zgasła moc, którą czerpał od akolitów. Kapłan czuł, jak kciuki tamtego zaciskają się mocniej na jego tchawicy, jak wolna wola wpada w pułapkę agatowych oczu.

Uwolnienie zaklęcia wchłonięcia stało się nierealne. Żeby wygrać - żeby żyć - musiał okazać się silniejszy i wchłonać ka Chodzącego Nocą. Wszystko albo nic. Wpuścił w zaklęcie własną moc.

Na podeście na drugim końcu parkietu Vicki zobaczyła Henry'ego walczącego z wysokim ciemnowłosym mężczyzną. Tawfik. To musiał być on. Poczwała, że Celluci staje obok niej, i wepchnęła mu wąż w rękę.

- Trzymaj... ich... na ziemi! - wrzasnęła. Kulejąc, wróciła na korytarz po topór strażacki.

- Vicki...! Cholera, Vicki, co robisz? Zignorowała go. Tylko tak mogła przejść przez parkiet - używając topora jako ostro zakończonych laski. Kiedy dotarła do podestu, mięśnie nóg drgały jej spazmatycznie, a włosy Tawfika zmieniły kolor z czarnych na szare.



Słońce stało się płonącym ciężarem tysięcy, setek tysięcy żywołów zwałających się na niego. Odór własnego płonącego ciała zaczął przyćmiewać zapach krwi. Hebanowa otchłań obiecywała mu chłód i koniec. Henry przedarł się przez Głód, aby się w nią zanurzyć.



Topór z mięsistym płaszczykiem wbił się do połowy w środek pleców Tawfika. Vicki włożyła w ten cios całą siłę, jaka jej pozostała. Osłabione tym wysiłkiem palce ześlizgnęły się z rękojeści, a ciężar jej ramion sprawił, że zatoczyła się o krok do tyłu. Biodrami uderzyła w poręcz, nogi odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się ziemię - siedziała nawet dość prosto, oparta o obitą tapicerką przegrodę.

Tawfik poderwał głowę, otworzył usta, z których nie wydobył się żaden dźwięk. Jego dłonie puściły gardło Henry'ego, na chwilę zawisły bezwładnie za jego plecami, póki nie wyrwał się z uścisku wampira. Odwrócił się od niego, potknął i upadł z plecami zgiętymi z bólu.

Henry wyprostował ramiona. Jego wargi uniosły się, odsłaniając zęby.

Nareszcie, teraz będzie się karmił...

- Henry, nie!

Warknął i podniósł głowę w stronę, z której dochodził głos. Mętnie, przez zasłonę Głodu, rozpoznał Vicki i odwrócił się, by spojrzeć, na co ona patrzy z takim przerażeniem.

Para czerwonych oczu płonęła w powietrzu nad skrajem podestu. Lekki szkarłatny poblask ukazywał zarys ptasiej głowy, dziwnie uskrzydłonej, i ciała



antylopy.

Tawfik uniósł dłoń do swojego boga, rozczapierzając drżące palce, w milczeniu błagając o ratunek.

Czerwone oczy zapłonęły mocniej.

Szpakowate włosy zbieleły, połamały się i opadły, odsłaniając żółtą kopułę czaszki. Policzki się zapadły. Ciało się kurczyło, a wraz z nim skóra, aż w końcu znikła. Jedna po drugiej kostki odpadały z wyciągniętej dłoni Tawfika, w miarę jak ścięgnięta gnęła i puszczała.

Wreszcie zostały tylko ubrania, topór i szary pył, który mógł być prochami. Czerwone oczy zniknęły.



- Jak tam?

Henry wyciągnął rękę ponad szczątkami i dotknął delikatnie policzka Vicki. W ciągu czterystu pięćdziesięciu lat nigdy nie czuł tak słabo obecności Głodu. Vicki zdołała skinać głową. Razem odwrócili się do Celluciego.

- Dobrze. - Gardło Henry'ego zacisnęło się wokół tego słowa, wypuszczając je na zewnątrz zgniecione i poranione. - A co z tobą?

Celluci prychnął.

- Świetnie, po prostu świetnie. - Spojrzał na proch. Ruchy miał gwałtowne, widać było, że stara się utrzymać nad sobą kontrolę. - Wziąwszy wszystko pod uwagę... - urwał, wspomniawszy czerwone oczy. - Czemu to go nie ocaliło? W końcu go zrobiło.

Henry pokręcił głową.

- Nie wiem. Pewnie nigdy się nie dowiemy. Ale czułem życie Tawfika do ostatniej sekundy. Był cały czas świadomy, że...

- Umiera. Jezu Chryste. - To była bardziej modlitwa niż bluźnierstwo.

Grupowe jęki zmieniły się w bliskie hysterii bełkotanie, które zwróciło ich uwagę z powrotem na parkiet. Większość byłych akolitów Tawfika zdawała się być w stanie szoku. Większość, lecz nie wszyscy.

Cantree z nogą obwiązaną prowizorycznym bandażem z koszuli, wspierając się na ramionach jednego z dwóch sędziów i komendanta policji prowincji, wyszedł z tłumu i spojrzał spode łba na stojącą na platformie trójkę.

- Co tu się, do cholery, dzieje? - zapytał.

- Dalej, Mike. - Vicki oparła głowę o poręcz, próbując zdecydować, czy woli wymiotować czy płakać i czy ma na którekolwiek z tych dwóch siłę. - To twój szef. Ty mu powiedz...



Celluci przyszedł do mieszkania Henry'ego jakąś godzinę przed świtem. Spędził bardzo nieprzyjemne dwie godziny w izbie przyjęć szpitala St. Michael's z Cantreem, opowiadając mu tyle, ile tamten był w stanie wysłuchać.

- Zdajesz sobie sprawę, jak to wszystko brzmi? - Tak.

- Nazwałbym cię największym kłamcą, jakiego znam, gdyby nie dwie rzeczy. Nie miałem powodu, by kazać cię aresztować, ale pamiętam, że to zrobiłem. I po drugie, zanim do mnie strzelełeś, zobaczyłem, jak nad twoją głową... - przygryzł wargi -...unoszą się... para czerwonych oczu.

- Zdaje się, że to coś karmi się rozpaczą.

Cantree przekręcił się na noszach na kółkach i skrzywił się z bólu.

- Dobrze wiedzieć, że nie pociągnąłeś za spust z radością...

Teraz Celluci ostrożnie przeszedł przez salon, opadł na kanapę i potarł dłońmi twarz.

- Chryste, Vicki, śmierdzisz więzieniem. Też powinnaś iść do szpitala. - Po zmrużonych za okularami oczach poznał, że go ostrzega. Odpuścił. Znowu. Wiedział, że jest za mądra, żeby dać się zastraszyć postawie macho. - Jak poszło z resztą?

Henry odwrócił się od okna i rozciągającego się za nim miasta. Noc znowu należała do niego. Niemal ją stracił, straciłby na pewno, gdyby Vicki nie użyła topora wtedy, kiedy go użyła. Tawfik miał rację, gdy mówił, że człowiek nie powinien spędzać lat samotnie, chociaż nie w tym sensie, jaki miał na myśli. „To ty żyłeś sam, starcze”, powiedział wspomnieniu hebanowych oczu. „I to cię w końcu zabiło. Ja mam towarzyszy w tej podróży. Mam kogoś, kto obstawia tyły. Ty dla nieśmiertelności zrezygnowałeś z człowieczeństwa. Ja tylko z dnia. Nie będzie już snów o słońcu”.

Oparł się plecami o szybę, krzyżując ramiona na piersi. Jego spojrzenie powędrowało ku Celluciemu, po drodze pieszczotliwie muskając Vicki.

- Na szczęście byli akolici pamiętają dość z tego, na co przystali, włączając w to nader rozległe halucynacje podczas skandowania, o których żadne z nich nie chce mówić. Wystarczy im stwierdzenie: „Skończyło się i w ogóle nigdy nie miało miejsca” Twój in-spektor był jednym z tych, którzy chcieli wiedzieć, co się naprawdę stało. Reszta do rana wmówi sobie, że byli na dzikim przyjęciu, na którym sprawy odrobinę wymknęły się spod kontroli

- Wszyscy poza Georgeem Zottiem - dodała siedząca na fotelu Vicki - Tawfik przejął tak wielką część jego umysłu, że kiedy umarł, nic nie zostało. Lekarze mówią, że to był rozległy udar i pewnie długo już nie pożyje.

- Rozległy udar... - powtórzył Celluci. Podejrzliwe spojrzenie jego zmrużonych oczu spoczęło na Henrym. - Ciekawe, skąd im przyszedł do głowy taki pomysł?

Henry wzruszył ramionami

- Raczej nie byli skłonni uwierzyć w to, że jego mózg zniszczył za pomocą magii mający trzy tysiące lat egipski kapłan-czarownik, który próbował poświęcić świątynię dla swojego boga.

- A co z tym bogiem? Tawfik nie żyje. On też?

- Oczywiście, że nie - rzuciła ostro Vicki, nim Henry zdążył odpowiedzieć. - Inaczej Tawfik nie byłby martwy.

- Wiesz co, Vicki? - westchnął Celluci. - Udawajmy, że jest bardzo późno, byłem na nogach przez prawie dwie doby, a tak się składa, że byłem, i wytłumacz mi to.

- Bóg Tawfika pozwolił, by Tawfik umarł. Zatem Tawfik nie był mu już potrzebny do przetrwania.

- Ale Tawfik powiedział mi, że jego bóg przetrwał tylko dzięki niemu - sprzeciwił się Henry. - Że bóg, w którego nikt nie wierzy, zostaje z powrotem wchłonięty w dobro i zło. Vicki wywróciła oczyma.

- Bóg Tawfika ma ludzi, którzy w niego wierzą - powiedziała powoli i znacząco. - Nas. Czczenie nie jest obowiązkowe. Tylko wiara.

- Nie, Tawfik go czcił.

- Jasne, sprzedał duszę za nieśmiertelność i to była część umowy. Ale spędził też parę tysięcy lat bez zmysłów w sarkofagu, a wtedy na pewno nikogo nie czcił. A jego bóg, zdaje się, całkiem dobrze się potem miał - poprawiła okulary. - Dziś w nocy Tawfik zrobił coś, co wkurzyło jego boga. Nie wiemy, co. Może nie podobała mu się lokalizacja świątyni?

Chociaż każdy bóg, który karmi się brakiem nadziei i rozpaczą, powinien docenić tamtą rzeźnię... Może akolici mu nie pasowali, może nie podobało mu się podejście Tawfika...

- Tawfik chciał, by postrzegano go jako potężnego - rzekł w zamyśleniu Henry.

- No właśnie. - Vicki rozłożyła ręce. - Może ten bóg bał się przewrotu w świątyni? Jakikolwiek był powód, postanowił pozbyć się Tawfika. Lepszej okazji sobie nie mógłby wymarzyć, bo ty - wskazała energicznie palcem na Henry'ego - jesteś tak samo nieśmiertelny, jak był Tawfik.

Celluci zmarszczył brwi.

- W takim razie Henry jest w niebezpieczeństwie.

Vicki wzruszyła ramionami.

- Wszyscy jesteśmy. Wszyscy znamy jego imię. W chwili gdy poddamy się rozpaczce i porzucimy nadzieję, rzuci się na nas jak... jak polityk na darmowe

drinki. Może nie potrzebować wyznawców, by przetrwać, ale na pewno są mu potrzebni, by mógł urosnąć w siłę. Musi tylko przekonać jedno z nas, wtedy my powiemy dwojgu przyjaciół, oni dwojgu swoich przyjaciół i cała kołomyja zacznie się od nowa. Będzie chciał Henry'ego, bo on dłużej przetrwa. Ale zadowolili się też tobą czy mną.

- Więc podsumowując twoją przemowę - westchnął Celluci - wychodzi na to, że to nie koniec. Pokonaliśmy Tawfika, ale został nam jeszcze jego bóg, z którym musimy walczyć.

Ku jego zaskoczeniu Vicki uśmiechnęła się.

Mike, z rozpaczą i brakiem nadziei walczyliśmy przez całe życie. Teraz wiemy, że mają imię. I co z tego? To dalej ta sama walka

Wtem wyraz jej twarzy zmienił się i Celluci, który już wiedział, że będzie źle, spojrzał nerwowo na Henry'ego. On też już wiedział.

- A teraz chciałabym wam obu coś powiedzieć. - Jej głos powinien być zostać zarejestrowany jako jeden z rodzajów zabójczej broni. - Jeśli którykolwiek z was kiedykolwiek zacznie mi wciskać to patronizujące gówno, którym obrzuciliście mnie dziś w nocy pod wieżą, to wyrwę wam żywcem serca i każę wam zjeść. Zrozumiano?

Cisza, jaka zapadła, była głośniejsza od słów.

- Dobrze. A teraz możecie przez kilka miesięcy mi to wynagradzać.